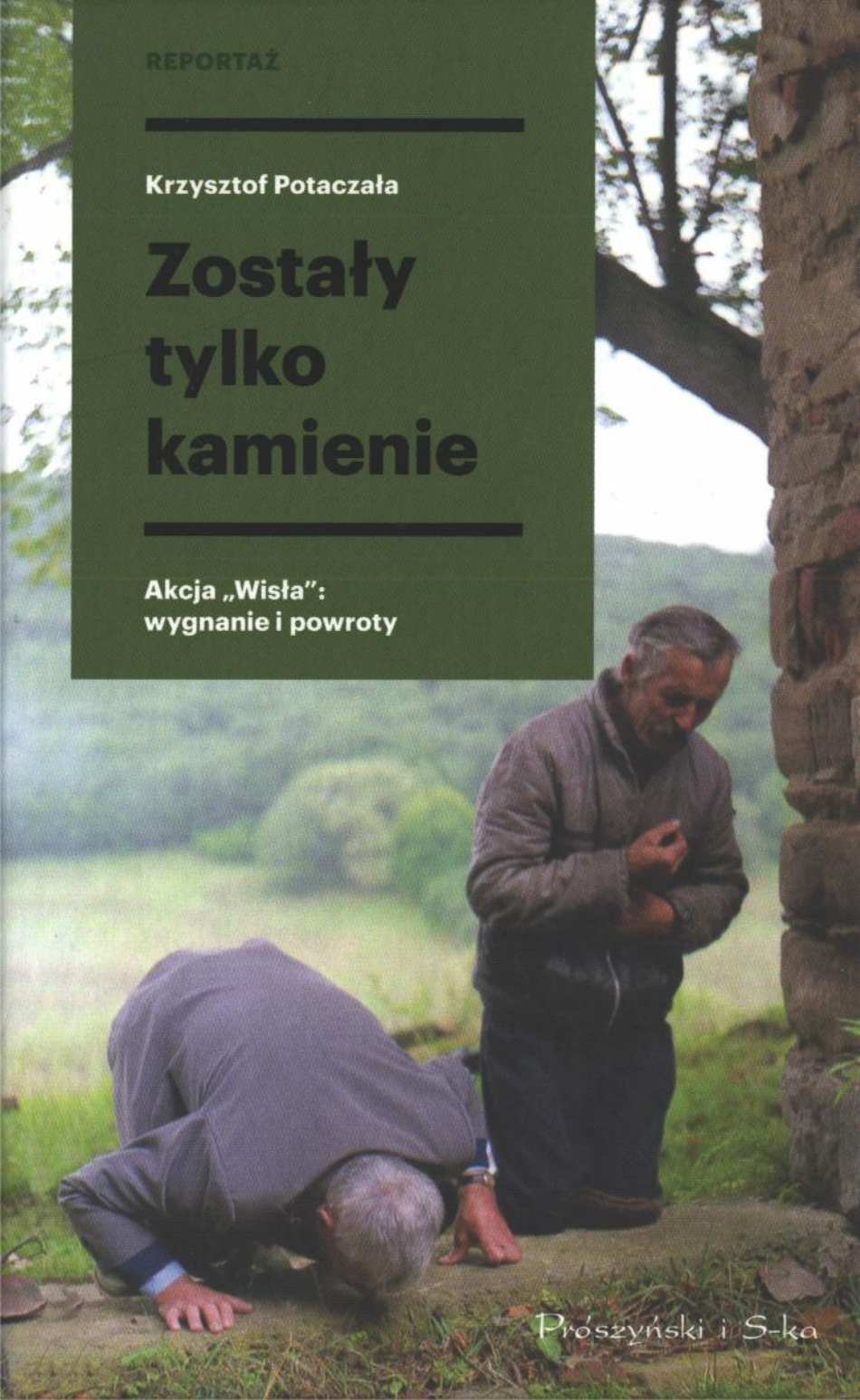


REPORTAŻ

Krzysztof Potaczała

Zostały tylko kamienie

Akcja „Wisła”:
wygnanie i powroty



Prószyński i S-ka

Krzysztof Potaczała

Zostały tylko kamienie

Akcja „Wisła”:
wygnanie i powroty

Prószyński i S-ka

Copyright © Krzysztof Potaczała, 2019

Projekt okładki
Magda Palej

Zdjęcie na okładce
Modlitwa w ruinach cerkwi w Krywem nad Sanem.
fot. Krzysztof Sysko

Redaktor prowadzący
Adrian Markowski

Redakcja
Maria Talar

Korekta
Katarzyna Kusoń
Maciej Korbaś

Łamanie
Jacek Kucharski
Ewa Wójcik

ISBN 978-83-8169-088-1

Warszawa 2019

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
Edica S.A.
61-362 Poznań, ul. Forteczna 3/5



Wasył ukrył się w gnojowniku. Po trzech dobach przemknął w ciemności na cmentarz. Stamtąd miał tylko metry do cerkwi, w której znalazł nowe schronienie. Ale wkrótce i tak go dopadli.

Nieopodal świątyni – rozlany szeroko między trawiasto-skalistymi skarpami – szumiał San. Zimą zwykle zamarzał, a wilki zapędzały na lód jelenie, by łatwiej móc je zabić i wypatroszyć. Wczesną wiosną z nurtem płynęła gruba kra, a zgrzyt napierających na siebie fragmentów połamanej tafli odbijał się od gór i nappełniał grozą rozległą dolinę. Dopiero w kwietniu uwężiona dotychczas rzeka zaczynała na powrót oddychać pełnym korytem.

Kobiety schodziły do brodów na pierwsze pranie pozimowych brudów, a chłopci rozpoczynali siew. Najlepiej rodziły później przybrzeżne, naturalnie nawożone madami pola. Biedne były górskie wioski, które omijał San. Ich mieszkańcy nie mogli liczyć na obfite zbiory, ale z upływem stuleci nauczyli się pokory i wytrwałości. Do głowy im nie przychodziło, że mogliby żyć w miejscu bardziej przyjaznym

klimatycznie, odległym ledwie o sto czy dwieście kilometrów. Ich świat miał sens w obrębie lasów i wzniesień; żadnego innego nie potrzebowali.

Ludzi mieszkających od Beskidu Niskiego po Bieszczady i Pogórze Przemyskie nazywano Łemkami, Bojkami, Rusinami, Ukraińcami. Ale i oni sami niekiedy różnie siebie określali. Ot, chociażby w Bereżkach i Ustrzykach Górnych. Cztery kilometry od wsi do wsi, ale ci drudzy mawiali, że są Rusinami, a pierwsi – *Hałyczanami**. Bywało i tak, że w tej samej wsi lub miasteczku mówiono na kogoś zamiennie Ukrainiec albo Rusin.

Czy to ważne? Wszyscy oni posługiwali się z gruntu tym samym językiem, gdzieniegdzie z lekkimi, lecz powszechnie rozumianymi odmianami. I wszyscy podzielili los wygnanych z rodzinnej ziemi. Tak Polska Ludowa ukarała tych, którzy pisali cyrylicą i klęczeli przed ikonami. Jednych za to, że dobrowolnie pomagali banderowcom. Innych dlatego, że nie chcieli, ale się złamali. Pozostałych, ponieważ też byli współodpowiedzialni – jako ukraińskojęzyczni. Władza nie miała litości także dla „mieszkańców” – rodzin ukraińsko-polskich – a nawet dla garstki czystych etnicznie Polaków, rzymskich katolików, których posądzono o nadmierne sprzyjanie unickim sąsiadom.

Okolo 140 tysięcy – tyle osób deportowano z południowo-wschodniej Polski podczas operacji „Wisła”. Najwięcej od 28 kwietnia do 31 lipca 1947 roku, kiedy pociągi jeden za drugim sunęły na Ziemię Odzyskane. Resztę przeznaczonych do wysiedlenia wywożono aż do 1949, a nawet – w pojedynczych przypadkach – do 1950 roku. Na nizinach, w otoczeniu bagien i jezior, wypędzeni z gór mieli się odciąć od korzeni,

* Galicjanami (ukr.).

by z czasem – wedle życzenia rządu i partii – stać się pełnowartościowymi obywatelami RP. Niektórzy nie dojechali tam, gdzie ich zrazu przeznaczono. Wielu wysiadło przymusowo na stacji w Oświęcimiu, skąd trafili do Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie. Innym nie udało się ucieczka z wagonu – zastygli przy torach skoszeni serią z wojskowego automatu. Jak dużo było takich ofiar? Czy wszystkie odnotowano w dokumentach? A ilu podejrzanych o przynależność do Ukraińskiej Powstańczej Armii schowało się przed odjazdem w skrzyniach ze zbożem i tam umarło z braku powietrza?

Akcja „Wisła” jest dla Ukraińców raną, która – mają pewność – nigdy się nie zagoi. Bo, jak mówią, nawet jeśli część z nas i naszych ojców popełniła czyny niegodne, to dlaczego obwiniono o nie bez wyjątku wszystkich? Starców, kobiety, dzieci? Ich jedyną „winą” było to, że urodzili się i mieszkali w tym, a nie innym miejscu, w takim, a nie innym czasie.

Trzy lata wcześniej, jesienią 1944 roku, władza rozpoczyna wywożenie ludzi na Wschód*. Akcja przebiega opornie, nie wszyscy chcą, dlatego 3 września 1945 roku trzy dywizje piechoty Wojska Polskiego przystępują do przymusowego wysiedlania Ukraińców.

Z notatki podporucznika Franciszka Wilka, szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Lesku,

* Przesiedlenia były wynikiem umowy z 9 września 1944 roku między Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego a wchodzącą w skład ZSRR Ukraińską Socjalistyczną Republiką Radziecką o wymianie ludności. Polacy mieszkający w USRR, którzy do 17 września 1939 roku legitymowali się obywatelstwem polskim, mieli zostać przesiedleni w nowe granice RP, a Ukraińcy mieszkający dotąd w Polsce – do USRR.

z września 1945 roku: „Wojsko zajmuje nową gromadę. W domach zastają tylko starców i dzieci, reszta uciekła do lasu. Po przejściu wojska część ludzi wraca do domów, a reszta zostaje przy banderowcach. W innym przypadku wojsko łapie ludność uciekającą i z zapytaniem, dokąd chcą jechać: do Kijowa czy na Sybir, wskazują im jakąkolwiek drogę, aby udali się w tym kierunku. Ludność ta rozprasza się, a potem wraca do swoich domów”.

„Akcja przesiedleńcza (...) odbywa się w wielkim bałaganie (...), grupy wojska wpierw wjeżdżają do gromady, rabują bydło, zboże i w ogóle wszystko, co im popadnie pod rękę, a ludności, która ma być ewakuowana, każą uciekać w las (...). W akcji tej (...) nie zależy na przesiedleniu ludności ukraińskiej, a tylko na rabowaniu i strzelaniu niewinnych ludzi”.

Tu i ówdzie wojsko rozbiera opuszczone domy, a drewno z nich uzyskane przeznacza na opał lub sprzedaje. Bezsilni ukraińscy gospodarze skarżą się, że żołnierze grabią, biją, a nawet strzelają do kur. Żeby tylko. Gwałcą, palą chałupy i stodoły.

– Tato i macocha z młodszym bratem wcześniej uszli do lasu, a ja schowałem się w sianie na strychu naszej chyży – wspomina dawny mieszkaniak Jaworca. – Nagle do izby weszło dwóch wojaków, jeden z karabinem gotowym do strzału, drugi z bronią na ramieniu. Przetrzęsnęli garnki i skrzynie, a potem podłożyli ogień. Gdy się oddalili, zeskończyłem i pobiegłem przez potok w krzaki. Widziałem, jak płomienie ogarniają kolejne chaty.

W odwecie UPA napada na polskie domostwa; porywa i zabija Polaków, niszczy tory kolejowe, drogi i mosty, zrywa linie telefoniczne. Skoro Bieszczady i sąsiednie tereny mają pozostać „wolne” od Ukraińców, to nowi osadnicy nie mogą przyjść na gotowe.

Od września 1944 do czerwca 1946 roku swoje domy opuszcza około pół miliona Ukraińców, ale i tak w granicach RP – według danych władz – wciąż pozostają tysiące osób z zaocznym wyrokiem wypędzenia. Niemal natychmiast w kręgach rządowych i wojskowych wykuwa się pomysł, by żyjących w górach Bojków i Łemków deportować na Ziemie Odzyskane. Dzieje się to dziewięć miesięcy przed zabiciem generała Karola Świerczewskiego „Waltera”. Jego śmierć z rąk UPA stanie się oficjalną, głoszoną przez komunistyczną propagandę przyczyną ostatecznego wyczyszczenia południowo-wschodnich rubieży z – jak donosiła prasa – „elementu ukraińskiego”.

10 września 1946 roku generał brygady Jan Rótkiewicz, dowódca Grupy Operacyjnej „Rzeszów”, pisze do szefa Sztabu Generalnego WP: „Obserwuje się nadal współpracę z banderowcami miejscowej ludności ukraińskiej (...) oraz ukrywających się w lasach i górach, pod opieką band, kobiet i dzieci zbiegłych przed wysiedleniem (...). Palącą kwestią jest niezwłoczne wysiedlenie z terenu woj. rzeszowskiego, w szczególności z pow. Lesko, Przemyśl, Lubaczów, resztek ludności ukraińskiej, która pod przykrywką tzw. rodzin mieszanych lub innymi pozorami przez współpracę z banderowcami niezmiernie utrudnia likwidację band. Jeśli są pewne trudności w repatriacji tego elementu do USRR, to należałoby go przesiedlić na zachód kraju”.

Ukraińiec równa się banderowiec. A banderowiec – bandyta.

Rozdział I

Krew i łzy

O 1946 roku jeszcze będzie. O pożogach, zabójstwach, ucieczkach. O dzieleniu rodzin. Dwa lata wcześniej w Bieszczadach i na Pogórzu Przemyskim też płonęły chaty. Ludzie umierali od ognia, kul albo noży, zabijani przez sąsiadów i całkiem obcych, którzy przybyli zbrojnie od wschodniej strony. Już po przejściu frontu, po tym, jak czerwonoarmiści pognali hitlerowców na zachód.

W Baligrodzie przy ulicy 6 Sierpnia, w sąsiedztwie za-
bytkowej cerkwi greckokatolickiej, stoi niewielki pomnik
zwieńczony krzyżem. Wymurowano go z kanciastych kamie-
ni. Na żeliwnej tablicy widnieją czterdzieści dwa nazwiska.
Taki sam pomnik – symboliczny zbiorowy grób – stoi na
baligrodzkim cmentarzu. Obydwa upamiętniają zabitych
6 sierpnia 1944 roku przez UPA cywilów, wyłącznie męż-
czyzn. Tragedia letniej niedzieli, nazwanej później krwawą,
wciąż budzi gorączkowe reakcje tych, którzy poznają jej

historię. Głównie z drugiej ręki, bo w 2018 roku żyło zaledwie kilku świadków napadu na miasteczko. Nie wszyscy zachowali pamięć, która pozwoliłaby opowiedzieć o tamtym dniu bez przeinaczeń.

Józef Kopczyński, rocznik 1922, chodzi o kulach i trochę niedosłyszany, ale poza tym – bez zarzutu. Ma jasny umysł, precyzyjnie buduje zdania. Po wojnie był długie lata leśniczym, nie raz natrafiał na poupowskie kryjówki. Później pomagał te zmyślne niekiedy budowie rozbierać albo przyglądał się z daleka, jak wojsko wysadza je w powietrze. Kilka lat wcześniej, jeszcze jako milicjant, tropił ostatnich w Bieszczadach banderowców. Wyciągał ich z szałasów, pogłębionych lisich nor, z załomów skalnych. Czasami nawet kobiety, których – przyznaje – było mu żal. Nie rozumiał, w imię czego zamieniały ciepłą wiejską chatę na wilgotny, cuchnący bunkier i siedziały tam ramię w ramię z mężczyznami. Nie parę dni, lecz tygodniami, miesiącami.

Rankiem 6 sierpnia 1944 roku Józef wrócił do domu po sześciu dniach koczowania na śródleśnej polanie. Razem z kolegami spał na gołej trawie i pilnował tamtejszych pasiek pszczelich przed grabieżą. Schodzili do Baligrodu tylko na niedzielę – zmienić odzienie, zmyć z siebie brud i zjeść porządny obiad. To wtedy się dowiedział, że do pobliskich wsi i miasteczek coraz częściej zapuszczają się „tryzuby”. Że grożą, zastraszają, biją. Czasami na śmierć. Przy śniadaniu, między jednym a drugim kęsem jajecznicy, do kuchni wbiegła sąsiadka. Powiedziała, że od Stężnicy zdążyła do Baligrodu uzbrojony po zęby oddział UPA. Sąsiadka nazywała się Karolina Maślak, była Polką i miała męża Ukraińca. A on nie miał nic przeciwko, żeby Józek schował się na ich strychu. Tak na wszelki wypadek.

– W pierwszej chwili chciałem uciec do lasu, ale Karolka ostrzegła, że tam już banderowcy – opowiada Kopczyński.
– Wszedłem na strych, przykryłem się sianem. Może po półgodzinie usłyszałem strzał, zaraz potem drugi i następne. Zrozumiałem, że dramat rozgrywa się na podwórzach, bo z domów nie dochodziłyby tak wyraźne odgłosy. Nie pomyliłem się. Nazajutrz wszyscy, którzy uszli z życiem, opowiadali, że upowcy zabijali napotkanych Polaków na posesjach, w ogrodach, na pastwiskach. Do budynków nie wchodzili, oszczędzali też kobiety i dzieci.

Tak uśmiercono kilkanaście osób. W tym samym czasie inni zbrojni obstawili kościół. Akurat trwała pierwsza poranna msza, a dźwięk organów i śpiew wiernych skutecznie zagłuszał to, co działo się na zewnątrz. Po „Bogu niech będą dzięki” ludzie wyszli wprost pod lufy karabinów. Nie kosztowano ich seriami – prowadzono pojedynczo na łączkę za kościół, kazano się kłaść na ziemię, a potem likwidowano. Przeżyli nieliczni z parafian, którzy po pierwszych strzałach nie opuścili świątyni, tylko weszli do niszy pod dachem.

Ocalił ich miejscowy ksiądz greckokatolicki.

– Przybiegł i stanął w drzwiach kościoła – mówi Kopczyński. – Zagroził drogę oprawcom, a oni nie śmieli go odsunąć.

Ale w czerwcu i lipcu inny duchowny, przyjezdny z Buczacza czy Kołomyi, namawiał rodaków, by zwrócili się przeciwko Polakom.

– Sam słyszałem – wspomina dalej Kopczyński – jak w baligrodzkiej cerkwi krzyczał z ambony: „Smert Lacham, Żydam i bolszewikom!”.

Prosty lud słuchał i nasiąkał nienawiścią, ale nie wszyscy poszli za głosem obcego. Woleli polegać na tutejszym księdzu, który nakłaniał do zgody.

Wcześniej Niemcy przekonali część Ukraińców, że Polacy są ich największymi wrogami. Zaprosili do nowo utworzonej ukraińskiej policji, mianowali strażnikami w obozach.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku stuknęło mi dwadzieścia lat i niemal od razu trafiłem do obozu pracy przymusowej w Jurowcach koło Sanoka. Byłem jednym z wielu Polaków, ale wśród nas pracowało równie wielu Ukraińców.

Wspólnie kopaliśmy rowy i targaliśmy głązy, lecz wieczorem ta wspólnota zupełnie się rozsypywała. Ukraińcy ogłaszali czas na modlitwę. Zgodnie z nakazem niemieckiego personelu Polacy stawali z Ukraińcami w jednym rzędzie. Kto umiał, ten się modlił, a kto nie – mógł przynajmniej się przeżegnać. Po pierwszym znaku krzyża wybrany robotnik wznosił hasło: „Smert Lacham, Żydam i bolszewikom! Smert!”. Co mogli czuć będący w zdecydowanej mniejszości Polacy? Kiedy zamknęły się drzwi naszego baraku, natychmiast zabarykadowaliśmy się od środka. Nie stołami i szafami, bo ich nie było, lecz naszymi kuferkami, zwykłymi tekturowymi walizkami. To nie miało najmniejszego sensu, jednak w strachu człowiek jest zdolny do najbardziej absurdalnych działań.

Ukraińscy więźniowie na równi z nami harowali, a ukraińscy strażnicy stali z nahajami i lali przez łeb każdego, kto na chwilę przestał machać łopatą. Na sygnał strażnika ustawialiśmy się w kolejce po jedzenie. Do szarej menażki kucharz nalewał wywaru z brukwi i podgniłych liści kapusty. Lura śmierdziała, lecz głód przewycięzał fetor. Tej polewki było co kot napłakał, dlatego po zmroku, ryzykując życie, przedzieraaliśmy się po dwóch na chłopskie pola i kradliśmy ziemniaki. Potem wszyscy chcieli je gotować w małych

garczkach, ale powierzchnia jedynego piecyka w baraku była tak mała, że mieścił się na nim tylko jeden garczek. Pewnego razu stałem gdzieś w środku kolejki. Zanim doszedłem do piecyka, noc zamieniła się w dzień. Nie ugotowałem swoich ziemniaków.

A jadłeś może kiedy zupę z końskich łbów? Nie? No to opowiem. Któregoś dnia powiedziano nas w kilku do Sanoka. Tam kazano nam załadować na ciężarówkę końskie głowy. Patrzyły na nas nieruchome oczy koni karych i siwych, gnających i srokatych, a my, więźniowie, zastanawialiśmy się, w jaki sposób zdołano ukatrupić tyle zwierząt. Czy padły z wycieńczenia, zarżnięto je, czy przywieziono podziurawione po jakiejś bitwie? Potem te łby, dużo łbów, nosiliśmy na plac kuchni polowej w Jurowcach, gdzie kucharz z pomocnikami obrabiali je i wrzucali do wielkich kotłów. Nazajutrz zaserwowano nam końską zupę. Połykałem kolejne łyżki cieczy, chciałem rzygać i powstrzymywałem rzyganie. Kto nie jadł, rychło odpadał. A kto odpadał, miał nikłe szanse na przetrwanie.

Jesienią zostałem przeniesiony do obozu w Pustkowie koło Dębicy. Druty, zasieki, wieże strażnicze. Między Polakami Żydzi i jeńcy radzieccy. Na okrągło nosiłem kamienie, cegły, cement. W cienkim drelichu i w drewniakach. W tych drewniakach, po zwolnieniu mnie z obozu w lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, wróciłem do domu.

Tydzień przed krwawą niedzielą Polacy jakby przeczuwali nadejście złego. W Bieszczadach UPA urosła w siłę, mnożyły się ataki na polskie domostwa. Ale miejscowi Ukraińcy zapewniali swoich sąsiadów, braci Słowian, że mogą czuć się bezpieczni. Stało się inaczej, a większość ludzi zabito według

przygotowanej wcześniej listy. Sporządził ją dla banderowców tutejszy rejonowy *prowidnyk*^{*}, zapewne przy współpracy innych osób. Po tragedii część ukraińskich mieszkańców Baligrodu poprosiła polskich znajomych o wybaczenie, choć nie mieli ze zbrodnią nic wspólnego.

– Jeszcze tego samego popołudnia „tryzuby” odeszły, a wraz z nimi niemało Ukraińców z miasteczka – pamięta Kopczyński. – Przerażeni Polacy też w pośpiechu pakowali dobytek i wyjeżdżali, niekiedy wspólnie z Ukraińcami, którzy nie chcieli mieć z banderowcami nic wspólnego. Ja sam z kilkoma znajomymi uciekłem do Nowego Łupkowa. Znaleźliśmy nocleg nieopodal stacji kolejowej, a naprzeciwko nas zakwaterowały się trzy rodziny ukraińskie. Któryś z mężczyzn zdradził nam, że chcą się przedostać przez Czechosłowację do Austrii, potem zaś do Ameryki. I żebyśmy ruszali z nimi, bo tu, w naszych górach, nie będzie już spokoju. Ukraińcy mieli trochę złota. Mówili, że w razie potrzeby przekupią, kogo trzeba. To był szaleńczy pomysł, dlatego po radzie uznaliśmy, że wrócimy do bliskich. Mimo obaw o kolejne napady UPA i o własne życie. Ale ukraińscy znajomi zostali w Łupkowie i nazajutrz odeszli w kierunku granicy.

Parę miesięcy później Józef Kopczyński zapisał się do milicji. Miał szczęście – gdyby mu wyznaczono Baligród, mógł zginąć podczas ataku UPA na tutejszy posterunek. Do Leska banderowcy tak odważnie się nie zapuszczali.

15 sierpnia 1944 roku w leśniczówce Brenzberg powyżej Mucznego upowcy zamordowali siedemdziesięciu czterech Polaków. Wśród ofiar były kobiety, dzieci oraz leśnicy

^{*} Przewodnik, kierownik (ukr.).

i kolejarze. Napad jest słabo zbadany – w przeciwieństwie do wydarzeń baligrodzkich udało się dotrzeć zaledwie do jednego świadka. Wiadomo tylko, że nieznana sotnia kwaterowała wcześniej w dworze w Tarnawie Wyżnej. Ówczesny mieszkaniec wioski, Alojzy Wiluszyński, wspomina: „W Muczmem, w budynku, który nazywaliśmy »nadleśnictwo«, zatrzymały się 74 osoby narodowości polskiej, które uchodziły przed zalewem represji i linią frontu. UPA, czując się bezkarnie, otoczyła budynek i wszyscy zostali zabici. Pastwiono się nad ofiarami. Wszyscy chyba mieli odrąbane głowy. Na koniec upowcy zapowiedzieli, że przez tydzień zwłoki mają leżeć niepochowane – dla ostrzeżenia innych Łachów”.

Podobno był to tak zwany cichy mord, bez jednego wystrzału, a zabijano nożami i siekierami. Ktoś może zapytać: czy uzbrojony w karabiny oddział UPA zadałby sobie tyle trudu, żeby bestialsko wyróżnić ludzi, zamiast ich zastrzelić, jak miało to miejsce w Baligrodzie? A może to nie była regularna sotnia, tylko zgraja bandziorów? Może najpierw napadniętych Polaków rozstrzelano, a dopiero potem okaleczono? Nikt już tego nie dojdzie.

Tak samo jak szczegółów wymordowania 29 sierpnia 1944 roku kilku polskich rodzin w Ustrzykach Górnych. O tym wydarzeniu nie informują żadne kroniki, nie istnieje w opracowaniach historyków. Jest za to obecne w pamięci ocalałej kobiety.

– Moja mama miała wtedy osiem lat – mówi syn. – Jej i starszemu rodzeństwu udało się przeżyć, ale już nie dziadkowi i innym krewnym. Oprawcy podobno zakopali ich na zwierzęcym grzebowisku.

Grzegorz Motyka szacuje, że tylko latem 1944 roku w Bieszczadach banderowcy zamordowali od 150 do 250

Polaków. A zabójstwa zdarzały się też wcześniej. W Seredniem Małym bojówka samoobrony ukraińskiej uśmierciła około trzydziestu osób. Podobną liczbę ofiar naliczono w Podkaliszczu, przysiółku Soliny. Jedenastu mieszkańców Średniej Wsi upowcy uprowadzili do lasu i powiesili. Polacy ginęli w wielu innych miejscowościach: w Leszczowatem zabito dwadzieścia osób, w Ropience trzynaście, w Brelikowie i Wańkowej odpowiednio siedem i sześć. Zapewne wszyscy stracili życie z rąk tych samych ludzi, bo wioski położone są w sąsiedztwie. Bojówka UPA zamordowała też rodzinę gajowego w Nasicznem. Świadkiem zbrodni była kilkuletnia dziewczynka, która zdążyła się ukryć przed napastnikami w zaroślach.

Takich napadów miało być wkrótce więcej, lecz przecież – nie pozwólmy zapomnieć – także Polacy nie pozostawiali dłużni. I nie ograniczali się do kilku ani nawet kilkudziesięciu ofiar. W Pawłokomie, wsi na Pogórzu Przemyskim, 3 marca 1945 roku zamordowali – według różnych danych – od 150 do 366 Ukraińców. Tak nakręcała się spirala wzajemnej nienawiści.

Struktury banderowskie były coraz liczniejsze. W masywie Bukowego Berda, dzisiaj odwiedzanym przez rzesze turystów, skąd rozpościera się malowniczy widok na pasmo połonin, założono obóz ćwiczebny dla przyszłych strzelców. Posługiwania się bronią uczyli ich między innymi żołnierze rozbitej pod Brodami 14. Dywizji Waffen SS „Galizien”. Potem nowicjusze, przeszkoleni także politycznie, zasilili bieszczadzkie sotnie. Późnym latem i jesienią 1945 roku UPA przeprowadziła przymusowy pobór do wojska młodych Ukraińców. Nie wszyscy chętnie stawiali się na wezwanie. Część

mężczyzn uciekała do lasu, żeby w wykopanych naprędce kryjówkach przetrwać najgorszy czas, inni – jeśli zdołali uniknąć pułapek – wyjeżdżali daleko poza Bieszczady. Ale kara za uchylanie się od służby spadała na całą rodzinę. Skoro syn nie chciał bić się o niepodległą Ukrainę, to również jego najbliżsi nie zasługiwali na szacunek. Z tychże powodów banderowcy pobili do nieprzytomności wielu chłopów i spalili niejedno gospodarstwo. Równie gorzki, a niekiedy tragiczny los spotykał wytropionego niedoszęłego bojowca – musiał przyjąć karę chłosty, a bywało, że kulę w głowę.

W połowie 1945 roku ukraińscy partyzanci opanowali większość wiosek w Bieszczadach, naprężyli muskuły także w Beskidzie Niskim i na Pogórzu Przemyskim. Terror narastał, a ukraińscy cywile musieli wybierać: albo wsparcie dla UPA i dzięki temu względny spokój, albo obrona polskiej mniejszości i wynikające z takiej postawy kłopoty – pobicia, wygnanie z gospodarstwa, zniszczenie majątku. W skrajnych przypadkach – śmierć.

Można było balansować. Umiejętnie się maskować, udawać w zależności od sytuacji. Ale to jak igranie z ogniem, który dzisiaj jest ledwie płomykiem, a jutro może się przemienić w pożogę. Wielu Bojków, Łemków, Rusinów bez cienia sprzeciwu poddało się żądaniom zbrojnych z tryzubami na czapkach. I niemało im się nie poddało.

Instytut Pamięci Narodowej opracował księgę sprawiedliwych Ukraińców, którzy na południowym wschodzie w latach czterdziestych ratowali polskich sąsiadów przed eksterminacją ze strony OUN-UPA. Z pewnością nie jest to pełna lista – nie wszędzie tam, gdzie pomagano, znaleziono świadków, którzy mogliby o tym zaświadczyć. Ale kto wie – może kiedyś księga zostanie uzupełniona?

Tymczasem warto zapamiętać:

Baligród, powiat Lesko, rok 1944. Polski adwokat Stanisław Śmietana jest na liście proskrypcyjnej UPA. Podczas napadu na miasteczko znajomi Ukraińcy ukrywają go i ratują mu życie.

Krywe, gmina Zatwarnica, rok 1945. UPA zabija Annę i Grzegorza Miśko. Powód: zbyt zażyłe kontakty z Polakami.

Tworyłne, gmina Lutowska, rok 1945. Za ukrywanie Marii Kucharz i jej dwójki dzieci banderowcy zabijają czteroosobową rodzinę Gałuszków. Polka i jej potomstwo też zostają rozstrzelani.

Brusno Nowe, gmina Horyniec, rok 1945. Upowcy wykonują wyrok śmierci na czworgu Ukraińcach za udzielanie pomocy polskim sąsiadom. Gina: Ilko Baran, Stefan Kruczek, jego żona i córka.

Iskań, gmina Dubiecko, rok 1945. Ukraińiec Jan Kaszycki, którego żona jest działaczką OUN, ostrzega rodzinę Jana Furmana przed banderowcami. Za namową Furmana polskie rodziny opuszczają wieś.

Siedliska, gmina Dynów, rok 1946. Bojówka SB-OUN morduje pięcioosobową rodzinę ukraińską za pomaganie Polakom i ostrzeżenie ich przed zbliżającym się napadem UPA.

I tak dalej.

W 1947 roku, podczas deportacji Ukraińców na Ziemie Odzyskane, nieliczni Polacy wstawiali się za unickimi sąsiadami. Nie musieli jednak bać się o życie.

Rozdział II

Okruchy przeszłych dni

Dopiero była dzieckiem – najmłodszym z trojga rodzeństwa i najbardziej doświadczonym. Ojciec dwukrotnie jeździł do Ameryki zarabiać na lepsze życie w zabiedzonych górach, ale zarobek opłacił utratą zdrowia. Podczas pierwszej wojny długie miesiące spędził w okopach i wkrótce zapadł na gruźlicę. Dożył ledwie pięćdziesiątki, a ona, czteroletnia, patrzyła, jak go przysypują gliną. Rok później na tym samym cmentarzu pożegnała matkę.

Sierotę przygarnęła zameężna siostra.

– Miała sześcioro dzieci, lecz gęba więcej do wykarmienia nie robiła różnicy – mówi Katarzyna. Wykrzywia usta na to odległe wspomnienie i dodaje: – Pomiatali mną niby śmieciem, byłam popychadłem. Synowie jak byki, dziewczyny czerstwe i mleczone, a to ja musiałam najwięcej harować w obejściu i w polu. Niech to szlag trafi! Boso, w zdartej sukieneczynie, z poranionymi rękami. I ciągle niedospana; o czwartej nad ranem moje łóżko było już zimne. Krowy wydoić, podwórze ogarnąć. Wynieść, przynieść. Narobiłam się w dzieciństwie jak wół, aż ręce mi się wydłużyły.

W Suchych Rzekach, przysiółku Zatwarnicy, przed wojną stało dziewięćdziesiąt osiem chat. Przeważnie nędznych – połączonych sienią ze stajnią, bez kominów, z dachami pokrytymi słomą. W takiej chyży w 1920 roku przyszła na świat Katarzyna Kowalczyk. I z takiej samej wychodziła lata później, gdy wioskę obstawiło wojsko, a potem pod lufami poprowadziło ludzi w nieznane.

Życie codzienne do wojny:

– Kochaniutki, niech to krew zaleje! Za jedno jajko żydowski karczmarz płacił półtora grosza, a kilogram soli kosztował trzydzieści pięć. Trzeba było dużo jajek, żeby uzbierać na taką wymianę. Jankiel na zapleczu odważał sól, sypał do torby, a po chwili lała się z niej woda. Oburzonym wieśniakom tłumaczył, że w karczmie wilgotno. A on, skurkowy, dolewał wodę do soli, żeby nabrała ciężaru.

Co tu gadać – biednie się żyło. Dzień w dzień ziemniaki, placek owsiany, kapusta. Do ostatniego kłosa zbierało się żyto i jęczmień, żeby nic na zmarnowanie. Ludzie jak wieśniórki robili zapasy, a na przednówku zwykle i tak głodowali. Wtedy szli do sklepu Tobolewskich w Zatwarnicy i brali żywność na borg. Matko moja, co to był za ród kochany. Józek i Władek, pamiętam ich dokładnie, nikomu nie odmawiali pomocy. Czasami zachodzili do nas w gości, ot tak, bez okazji. Przynosili wódkę kupioną w mieście za dolary i razem sobie popijaliśmy. Oni – Polacy, i my – Ukraińcy.

Żeby zarobić na utrzymanie, latem co rano z dwoma wiadrami pędziłam na zrąb. A tam wielkie maliniska i maliny duże jak truskawki, czerwone jak krew. Przeciskałam się między krzakami, raniłam stopy, lecz zawsze wracałam do domu na pełno. Wstawiałam owoce do obory i brałam się do czegoś innego. W międzyczasie na szybko kromka chleba,

łyk mleka i w pole, aż do wieczora. Potem biegłam do Sanu, myłam nogi i szłam na wioskę sprzedawać maliny. To z nich odłożyłam trzydzieści złotych, pierwszą część na upragniony kozuszek. No i chciałam jeszcze mieć oficerki, taka była wtedy moda. W okolicy nie brakowało dobrych szewców, ale mnie brakowało pieniędzy. No to wzięłam się też za grzyby. Błady świt, a ja już w lesie. Najwięcej prawdziwków sprzedawałam żonie komendanta policji w Zatwarnicy. Mieli jedno dziecko i pochodzili ze Lwowa. Ta pani nauczyła mnie suszyć młode grzyby. Kazała odcinać korzonki, na czapeczkę dawać kroplę octu, kłaść na deskę, a następnie do piekarnika. Potem już wszystko sprzedawałam – i poziomki, i borówki, i jeżyny. W ten sposób zarobiłam sześćdziesiąt złotych, więc wreszcie mogłam się ubrać. Miałam w kufrze sześć spódnic, sześć bluzek i parę innych ciuszków. Jak poszłam do cerkwi, to ludziska wytrzeszczali ślepią. Ochy i achy, jaka ta Kasia elegancka, ale nikt mi nigdy nie pomógł.

Jeszcze o Tobolewskich. Polacy, a banderowcy ich nie ruszyli. Katarzyna pamięta, jak pewnego dnia w Zatwarnicy zakwaterował oddział UPA. Jego dowódca osobiście pofatygował się do sklepikarzy i poradził, żeby przeczekali najgorszy czas w innym rejonie. Pojechali do Zawozu, skąd pochodziła żona jednego z braci. Upowski porucznik nie byłby tak wyrozumiały, gdyby wcześniej miejscowi Ukraińcy nie powiedzieli mu, że od Tobolewskich nigdy nie zaznali złego. Oraz że oni, rzymscy katolicy, chodzili też do cerkwi i w niczym nie ustępowali grekokatolikom w znajomości obrządku. Przenosiny do Zawozu być może uratowały polskiej rodzinie życie, a przynajmniej zapewniły czasowy spokój, za to uszczupliły jej majątek. Przed odjazdem Józek zakopał na podwórzu upchnięty w słoiku plik banknotów studolarowych. Kiedy po dłuższym czasie wrócił

i odnalazł skrytkę, z dolarów zostały szerniałe, pokruszone strzępy. Szkło i zakrętki nie uchroniły pieniędzy od krewnych z Ameryki na rozbudowę sklepu.

Kowalczykowie sąsiadowali z Grummerami. Ta żydowska wielodzietna rodzina przez lata stanowiła dla ukraińskiej oparcie. I na odwrót. Katarzyna potrafi wymienić z imienia wszystkich Grummerów: Moszko, Ojka, Sema, Bluma, Majra, Lejba, Chaim, Dawid. Tylu ich było i żaden nie przeżył wojny. Musiałby się zdarzyć cud – jak owej Blumie z Lutowsk, która w krwawą czerwcową noc 1942 roku ocalała jako jedyna spośród sześciuset pięćdziesięciu mojżeszowych.

Zanim Żydzi z Suchych Rzek i Zatwarnicy podzielili los tych z Lutowsk, Niemcy wykorzystali ich do utwardzania wiejskiego traktu. Targali kamienie z Sanu i na rozkaz śpiewali: *Jak panował Szmigiel Hryć, my ne znaty roboty, a jak nastał Hitler złoty, nauczył nas win roboty**. Kilka dni przed śmiercią, jakby w przeczuciu nadchodzącego końca, Sema Grummer ściągnęła ze swoich uszu kolczyki i wręczyła Kasi. A wcześniej podarowała jej kolorowe wstążki, korale i ozdobny grzebień do wpinania we włosy. Taki długi miała ta Żydówka warkocz, że mogła się nim owijać, a gdy siadała – musiała go wyciągać spod pupy. Nie wiadomo dlaczego, ale nie zginęła w Zatwarnicy z innymi miejscowymi Żydami, tylko szwagier Katarzyny, Ferenc mu było, odwiózł ją furmanką do Lutowsk, prawie nad wykopany grób.

– Niemcy? Kochaniutki, niech to szlag trafi! *Raus, komm, schnellen*. I tak w kółko. Miałam dziewiętnaście lat, chudzi-na, kruszyna. A szwagier, ten Ferenc, chłop jak tur, ale leń.

* Słowa są mieszanką potocznego języka polskiego i ukraińskiego.

Jak przyszło nam masło, mleko oddawać do miasta, to się nie ruszył. Sama ładowałam towar w płótno, zakładałam na plecy i taszczyłam dwa dni do Ustrzyk. Mnie, młodą, posyłał między wrogich żołnierzy. To jakby posłać owce między wilki. A potem z powrotem czterdzieści kilometrów, tylko z tobołem napakowanym wódką, bo tym nam Niemcy płacili. Szłam o głodzie, spałam na gołej ziemi i piłam wodę z przydrożnych rowów.

Którejś zimy śnieg w Bieszczadach spadł już w październiku. Nie było złotej jesieni, tylko nagle zrobiło się zimno, a góry przykryła biała, gruba pierzyna. Jakoś wtedy, pamięta, sowiecka partyzantka spaliła most na Sanie, żeby hitlerowcy nie mieli którędy jeździć. Ale mróz ścisnął tak straszny, że rzeka zamarzła i jeździli przez lód. To była bodaj najcięższa zima, ludziom zaczęło brakować jedzenia. Chodzili w pola i wygrzebywali pozostawione tam we wrześniu ziemniaki – resztki, których wtedy nie zdążyli zebrać, nie zauważyli ich albo świadomie pominęli, uznając za zbyt rachityczne.

– Wzięłam koszyk i też pobiegłam, ale nie dałam rady kruszyć skamieniałej ziemi. Dopiero na prośbę siostry szwagier przyszedł ze szpadlem, walił w te grudy, łupał, a ja skostniałymi dłońmi wybierałam kartofle. Były na wagę życia. Zmarznięte płukaliśmy i dawaliśmy krowom; te w lepszym stanie sami jedliśmy, upieczone uprzednio w ognisku. Chodziłam w pole chyba z tydzień, zawsze na bosaka przez lód, bo mi było szkoda jedynych pokrzywionych butów. Któregoś dnia tafla nagle pode mną trzasnęła i w ułamku chwili znalazłam się w wodzie. Poczułam się tak, jakbym wpadła nie w lodowaty nurt, tylko w płomień. Wszystko mnie piekło – od palców u stóp aż po głowę. Ale wtedy nie zmogła mnie żadna choroba. Na przekór wszystkiemu miałam być zdrowa i silna.

Do wsi przychodzili zbrojni – mówili różnymi językami, byli ubrani w różne mundury, lecz wszyscy jednakowo chcieli jeść: jajek, mleka, sera. Kazali zarzynać kury i szlachtować świnie. Niektórzy żądali jeszcze więcej i wtedy młode kobiety musiały uciekać. Niektórym się udało, innym nie. Niech to szlag trafi!

Jeszcze wielokrotnie użyje tego zwrotu jakby na podkreślenie wszystkiego, czego wtedy doświadczyła. Że musiała od świtu do nocy wyciągać kamulce z Sanu, bo Niemcom już nie wystarczyło to, co zrobili dla nich wcześniej Żydzi. Znowu trzeba było drogę w Zatwarnicy utwardzić i poszerzyć. Mundurowi stali z karabinami gotowymi do strzału i zaśmiewali się z tych, którzy tracili równowagę w czasie pracy i upadali na twarz do wody. Mało to ludzi porozbijało głowy o progi skalne?

– Wojna to wojna, a żołnierz dla cywila nie ma litości – oznajmia z grymasem na twarzy i przypomina taką sytuację: – Mieliśmy konika, pięknego robotnego siwka. Trzysta złotych siostra z mężem za niego dali, odłożone ze sprzedaży byków. Była niedziela, ogierek pasł się na łące, a z lasu wyszli ruscy partyzanci. O nic nikogo nie pytali. Zabrali siwka i sprzedali za bimber po słowackiej stronie.

To było niedługo przed tym, kiedy lasy zarościły się od ludzi z tryzubami na czapkach.

Bazyli Buszowiecki przyszedł na świat latem 1930 roku na górze Bukowina. Akurat matka zbierała owies i wtedy ją wzięło. Krzyk kobiety rozdarł powietrze tylko na chwilę – rodziła już trzeci raz, żadna sztuka.

Zapamiętane z dzieciństwa w rodzinnym Jaworcu: chłopcy pasą bydło i podziwiają, jak starsi gospodarze grają na

trombitach. Ho, ho, żeby dać w taką rurę, trzeba było mieć parę w płucach. A jak taki odgłos z trombity się wydobył, płynął hen, aż po ledwie widoczne szczyty. W ten sposób w Karpatach porozumiewali się pasterze strzegący na poloninach wołów i owiec, choć długi, nawet czterometrowy instrument służył też do wygrywania melodii.

Wież do szpiku ukraińska, ale – twierdzi Bazyli – w mowie potocznej używano słowa *łem*, typowo *łemkowskiego*, odpowiednika polskiego „tylko”. *Łemkowie* mieszkali dalej na zachód, w Beskidzie Niskim, a jednak jakoś to *łem* tutaj się przyjęło. Tak samo jak w Zawoju, Łuhu i Kalnicy. A już w Smereku czy w Wetlinie, niedaleko przecież, mówiono nieco inaczej. Tak czy owak, wszyscy się rozumieli i nikt nie łamał sobie głowy nad werbalnymi detalami.

Dom w dom żyli z ziemi. W sklepie u Żyda w Łuhu kupowali jedynie cukier, sól i naftę. Po co mieli wydawać pieniądze na coś, co i tak ofiarowała im natura? No, może niezupełnie ofiarowała, bo jednak w polu trzeba było się narobić. Za to od czerwca do października darmowe zbiory w lesie.

– Z czarnych jagód robiliśmy soki i dżemy, nad kuchnią w chałupie suszyły się nadziane na żyłkę koźlaki, w papierowych torbach rumianek, dziurawiec, szalwia, mięta. Zapas ziół musiał być w każdej chyży, bo najbliższy lekarz aż w Baligrodzie.

Kiedy w wojnę weszli Niemcy, z miejsca zarekwirowali chłopom woły. I nagle połoniny, górskie pastwiska zrobiły się niemal zupełnie puste. Przez wieki tętniły życiem, a teraz zamarły. Nikt wtedy nawet nie śnił, że być może na dziesięciolecie albo jeszcze dłużej. Żołnierze zagnali Ukraińców do pracy przy zrywce drewna i wypałach, uruchomili w Jaworcu sklep. Niewielką budę, w której przymusowi robotnicy mogli

nabyć machorkę, cukier oraz pół litra wódki na święta. Od tego czasu już mało kto chodził po zaopatrzenie do Łuhu, za to jeszcze przez pewien czas żydowskie dzieci z tej wioski, a także z Kałnicy przychodziły do Jaworca bawić się z ukraińskimi rówieśnikami. Wtedy, przed 1942 rokiem, nawet nie hitlerowcy krzywo na to patrzyli, ale wielu starszych Ukraińców.

– Upominali nas, żebyśmy stronili od Żydków, bo oni zabili Jezusa. W złości przeganiali tych chłopaczków ze wsi, a potem niektórzy nawet się cieszyli, gdy hitlerowcy podziurawili ich serią z automatów.

Więcej szczęścia mieli miejscowi Cyganie. Mimo że – nie tylko w okupowanej Polsce – podlegali eksterminacji na równi z Żydami, to uratowała ich muzyka. Buszowiecki pamięta, że kiedy do Jaworca przybył oddział Wehrmachtu, by wywieźć Cyganów, naprzeciw wyszła romska kapela i odegrała hymn niemiecki. Tak dostojnie, bez jednej fałszywej nuty, że dowódca oddziału zostawił rodziny cygańskie w spokoju. Przeżyły wojnę, ale jeszcze przed akcją „Wiśła” ślad po nich zaginął. Czy zginęli z rąk zwykłych bandytów, partyzantów sowieckich, banderowców – nikt już nie powie.

– Do wojny jakoś się żyło. Nie za bogato, lecz wesoło. Więcej było ludzi radosnych, chociaż latami chodzili w jednych lnianych portkach, jednej koszuli i w drewnianych chodakach. Jakaś zgoda panowała, a potem wszystko się powywracało. Zapanowała nienawiść, podejrzliwość i strach. O dzisiaj, o jutro, a nawet o następną godzinę. I kto by się spodziewał, że naprawdę źle zacznie się dopiero po odejściu Niemców? Gdzieś wtedy pierwszy raz usłyszałem skrót UPA. Szeptano, że to armia, która ma przynieść Ukraińcom niepodległe państwo i przegnać Polaków dalej na zachód. Nic z tego nie rozumiałem. Dla mnie Polak nie był wrogiem, znałem

zaledwie kilku, ale też nie słyszałem w wiosce z ust innych, żeby im Polacy przeszkadzali. Mój ojciec przed wojną służył w Wojsku Polskim. Dobrze mówił w tym języku, więc gdy go w czterdziestym piątym roku żołnierze zabrali prosto z pola do aresztu w Baligrodzie, Bóg jeden wie za co – to zrobił wrzenie. Nazajutrz wrócił do domu. Spotkaliśmy się w połowie drogi, gdy szedłem z naszykowanym prowiantem dla niego. Usiedliśmy sobie na trawie i zjedliśmy wszystko na miejscu. Tak się cieszyłem, że co chwilę ścisnąłem tatę za szyję.

– Nasz dom miał numer sto trzydzieści cztery. Stał nad potokiem Zwór i mieszkało w nim osiem osób, w tym czworo dzieci. Dzisiaj w tym miejscu rośnie las, ale kiedyś była słoneczna polana. Czasami mam ją jeszcze przed oczami, lecz nade wszystko widzę mamę, jak spocona pracuje na roli. Obok pracują też inni, tak samo pochyleni i zmęczeni. A jednak śmieją się, żartują. Ktoś przechodzi, goni bydło, ktoś inny pierze bieliznę w bystrym nurcie albo krząta się po podwórzu. Gdaczą kury, beczą owce, pies leży przy budzie. Takie przelatują mi przez głowę obrazki, zwłaszcza kiedy jestem sama i robi się cicho.

Anna, z domu Semczyszyn, urodziła się dwa lata przed wojną. Bereżki były niepoślednim przysiółkiem Stuposian – miały cerkiew, dwa młyny wodne, a dawno temu nawet hutę szkła. Przez wioseczkę do 1930 roku przebiegała trasa kolejki wąskotorowej, którą z Ustrzyk Górnych transportowano drewno do Sokolik Górskich. Mama opowiadała Annie, że na zmianę jeździły dwie ciuchcie. Jedna miała na imię „Zośka”, a druga – „Sokolijka”. Była też z pewnością

jeszcze „Marysia”, uwieczniona przez nieznanego autora na fotografii, a po latach odnaleziona i zamieszczona w albumie o przedwojennych Bieszczadach. Wąskotorówką, siedząc na poskładanych stosach drewna, podróżowali robotnicy leśni, a czasami też inni mieszkańcy, którzy chcieli dotrzeć z jednej wsi do drugiej. Może nie był to transport wygodny, a tym bardziej szybki, bo na licznych zakrętach i wzniesieniach skład sunął w żółtym tempie, ale pozwalał odpocząć zmęczonym często nogom.

Znowu babcia jej opowiadała, że do nieczynnej już huty szkła chodziła z koleżankami zbierać kolorowe szkiełka. Turkusowe, jasnoniebieskie, przezroczyste. Wiejskie dzieci używały takich świecidełek do zabawy, były też dla niektórych substytutem biżuterii. Kiedy miejsce po hucie zarosło krzakami, a później lasem, z wolna zamazało się również w ludzkiej pamięci. Do czasu, aż długo po wojnie pewien osadnik natrafił przypadkowo na szklane bryły pozostałe po wytopie.

Nade wszystko jednak tryskało w Bereżkach lecznicze źródło. Miejscowi mówili: cudowne. Anna wspomina:

– Wy pływało wysoko w lesie spod drzewa. Musiało mieć niezwykle właściwości, bo ludzie jeden po drugim wchodzili na górę i przemywali zimną jak lód wodą chore miejsca na ciele. Zresztą co będę kryć – to źródło uleczyło mojego dziadka. On nie mógł już prawie chodzić, więc mama pojechała po radę do znachora w Procisnem. To był bardzo znany znachor, nawet poza Bieszczadami. Wysłuchał, zamyślił się i poradził, żeby chorego trzy razy o wschodzie słońca zanieść do leśnego źródła nad Bereżkami. Oraz żeby zostawić tam kilka groszy. I tak się stało, a dziadek odzyskał władzę w nogach.

Żeby źródłana woda uleczyła tylko starego Kabłasza. Nie wykłuczone, twierdzi Anna, że pomogła także jej mamie,

którą przy grabieniu siana ukąsiła żmija. Noga jej spuchła, język zesztyniał, wszystko wokół widziała na czerwono.

– Tato pobiegł do szeptuna w Procisnem i oznajmił, w czym rzecz. Ten podobno nic na to nie odparł, tylko wbił oczy w ziemię i przez dłuższą chwilę po cichu odprawiał zaklęcia. A może to nie były zaklęcia, tylko chrześcijańska modlitwa? W każdym razie jak tato wrócił do domu, to mamie było już lepiej, a kilka dni później całkiem doszła do siebie. I wszyscy wierzyli, że pokonała żmijowy jad za sprawą uzdrowiciela.

Chata za chatą prawie sami Ukraińcy, choć – przypomnijmy – częściej mówiono na nich: *Hałyczany*. Do tego Żydzi karczmarze i dwóch głuchoniemych braci Cyganów, wziętych kowali. Tutejsi umieli się z nimi porozumiewać na migi, obcy już nie. Podobno jeśli nie chodziło o podkucie konia, prosili kogoś z gospodarzy, żeby tłumaczył kowalom, co i jak. Kto by w latach trzydziestych przypuszczał, że parę lat później Cyganie nagle znikną ze swojej kuźni nad potokiem tylko za to, że Cyganie. Jeszcze chyba w 1941 roku Niemcy zabili ich razem z Żydami, lecz nie wiadomo, gdzie ich grób. Tego dnia dwie Żydówki zdołały ująć do lasu, a hitlerowcy i policja ukraińska długo nie mogli ich namierzyć. Nocami podchodziły pod domy we wsi, pukały w okna, a ludzie dawali im chleb, śmietanę. Niektórzy nawet nosili jedzenie do lasu, gdzieś w pobliże kryjówek kobiet. Babcia Anny także, choć strasznie się bała i wróciła roztrzęsiona. Ale potem poszła znowu, z wnuczką.

– Z zarośli wyszły dwie poczerńiałe z brudu Żydówki, a my i sąsiadka dałyśmy im strawę schowaną w wiadrach. Potem się dowiedziałam, że w lesie kryły się też dzieci. Ktoregoś dnia wszystkich tych Żydów ktoś wyszedł, doniósł do żandarmów w Stuposianach, a ci ich tego samego dnia wymordowali.

Okupacji rodzina Anny ciężko nie doświadczyła, tak samo jak inni w okolicy. Niemiec kazał iść wypalać drewno, to ludzie szli; kazał oddawać masło i mleko, to ludzie oddawali. Albo bydło.

– Tato pognął do Majdanu koło Cisnej aż dwadzieścia siedem sztuk. Dużo jak na jedno gospodarstwo, ale i tak nam jeszcze trochę zostało. Nie biedowaliśmy, bo oprócz gospodarstwa był u nas też warsztat stolarsko-ciesielski. Dziadek Kabłasz to nie był zwykły stolarz, lecz artysta, budował domy i cerkwie. Nawet fryce się dziwili, skąd u prostego chłopca taki zmysł. A on miał talent i dużo wiedział, ale umiał też korzystać z wiedzy innych. Kupował gazety, w których podpatrywał skomplikowane projekty.

Jeszcze się nie urodziłam, a wystrugał mi kołyskę, w której potem spałam pod powalą. Głęboką, obszerną. To z niej oglądałam kiedyś wesele ciotki. Miałam nieco ponad dwa latka, a wryły mi się w głowę różne szczegóły. Nikt mi nie chciał wierzyć; dopiero jak opowiedziałam mamie, to potwierdziła, że nie zmyślam. I jak to było możliwe u takiego berbecia?

Z dzieciństwa pamięta również zimę – jak od mrozu pękały z hukiem buki. Zdawało się jej, że to wystrzały z pistoletu, dlatego z płaczem uciekała w najdalszy kąt chatupy. Najbezpieczniej czuła się jednak w swojej kołysce zawieszanej na sznurach pod sufitem. W niej znajdowała azyl, kiedy w odwiedziny przychodzili górale z Huculszczyzny. Odziani w długie kozuchy i baranie czapy, z wąsiskami oblepionymi śniegiem, wyglądali niczym groźne postaci z bajek, o których opowiadała jej babcia. Huculi pracowali na co dzień w lesie i mieli w gospodarstwie Semiczyszynów magazyn żywności i sprzętu. Zaprzyjaźnili się z tubylcami, a potem nagle odeszli w swoje góry. Pewnie przez wojnę.

Jakoś w połowie 1944 roku, po ucieczce hitlerowców, w Bereżkach i sąsiednich wioskach pojawili się radzieccy spadochroniarze. Zaraz po nich NKWD, polscy partyzanci, no i UPA. Pierwsze słowa, jakie padały w drzwiach każdej chałupy: jeść! Nikt im nie żałował, przeważnie ze strachu. Czy to wiadomo, kto w istocie był kim? Często przecież celowo taki czy inny oszukiwał, żeby się przekonać, po czyjej stronie jest gospodarz i jego rodzina. Zwykle prosty chłop, przynajmniej zaraz po wojnie, nie był po niczyjej stronie. Jedyne, czego pragnął, to spokojnie żyć. Siać i zbierać.

Ale powietrze gęstniało. Co parę dni dochodziły wieści o nocnych napadach, podpaleniach, zabójstwach. We wsiach, w których mieszkała polska mniejszość, banderowcy stawiali ultimatum: natychmiastowy wyjazd albo śmierć. Coraz śmielej poczynali sobie również tam, gdzie Polacy mieszkali w przewadze. Groźby pod adresem sąsiadów, transparenty z hasłami o niezależnej Ukrainie, głośne przemarsze z pochodniami. Nad rozsądkiem górę brała nienawiść.

– Kilku Ukraińców ze Stuposian zwołało zebranie i zapowiedziało swoim, że mają wziąć w obronę tutejszych Polaków – opowiada Adam Kaczaluba, rocznik 1933. – Ten, który przemawiał, tłumaczył: to są nasi przyjaciele, kumowie, krewni. Włos nie może im spaść z głowy. I rzeczywiście nie spadł. Tylko pewnego wieczoru do domu wpadli banderowcy, przetrząsnęli izby, a że ojciec był leśnikiem i myśliwym, to zabrali mu dwie dubeltówki i sztucer. Poza tym ser zasolony w beczkach, chleb i jakieś ubrania.

Kryty gontem dom Kaczałubów stał nad potokiem Wołosatym, mniej więcej w miejscu, gdzie obecne Stuposiany łączą się z Pszczelinami. Adam miał troje rodzeństwa, więc nigdy mu się nie nudziło. Przez rok chodził do szkoły w Bereżkach, potem zaś w rodzinnej wiosce. Niski budynek z dwiema salkami stał na prawym brzegu potoku, na lekkim wzniesieniu w pobliżu cerkwi. Wtedy zabudowa Stuposian ciągnęła się kilometrami po obu stronach Wołosatego, a wyżej, pod masywem Łysani, leżał przysiółek Połonińskie.

Tych kilka polskich rodzin pracowało na roli, a w niedzielę klęczało przed ikonostasem w cerkwi. Ramię w ramię z Ukraińcami. Zmarłych grekokatolików i ich braci z pnia rzymskiego chowano na tym samym wiejskim cmentarzu. Wielu grobów już nie widać, ale do dziś stoją jeszcze krzyże, pod którymi leżą trzej bracia, wuj i dziadek Adama Kaczałuby.

Za podrostka chodził pod prąd Wołosatego i próbował z kolegami łapać pstrągi w siatki samoróbki. Czasami docierali korytem do Ustrzyk Górnych. A stamtąd mogli już widzieć stada wołów i owiec na połoninach. Rokrocznie wiosną chłopci z bieszczadzkich wsi oddawali je na wypas doświadczonym pasterzom. Mówiono, że to Bojkowie. Aż do jesieni prawie nie schodzili z Caryńskiej, z Wetlińskiej i z innych łysych gór. A gdy przed zimą gnali zwierzęta w doliny, zdawało się, jakby z połonin spływała ogromna biało-brązowa lawina. Wraz z nią w dolinach zatrzymywali się oni – przesiąknięci dymem z ognisk i wiatrem pasterze.

Ustrzyki Górne pamięta też z innego powodu. To tam za okupacji jego stryjowie, ale też inni z pobliskich wsi, ścinali drzewa i ściągali do tartaku w Smolniku. Małymi końmi, huculkami, które tonęły jesienią w przepastnym błocie. Pewnego dnia w drodze do Smolnika żołnierze niemieccy

zatrzymali woźniców i popędzili do pomocy w wytropieniu Żydów. Masa chłopów przeczesywała wtedy las; wyglądało to tak, jakby łowcy gonili wciąż uciekającą, ale już osłabioną zwierzynę. Jak skończyło się to „polowanie”? A jak długo można kluczyć, umykać pogoni? Kilkoro przeciw wielu, bez jedzenia, wytchnienia? Nawet gdyby ci chłopci chcieli im jakąś pomoc, absolutnie nie mogli. Tuż za nimi szli „myśliwi” z odbezpieczonymi karabinami.

Gdy Armia Czerwona pognała hitlerowców i wkrótce sama odeszła na zachód, zrobiło się dużo miejsca dla UPA. Ludzie ani przez chwilę nie nacieszyli się spokojem. Strzały nie milkły, łuny nie gasły, a jutro było tak samo niepewne jak wcześniej. O napadzie banderowców na Baligród nieprędko w Stuposianach usłyszano, ale o rzezi w Mucznej – naza-jutrz. Kaczałuba już nie pomni, co konkretnie opowiadano, jest jednak przekonany, że szeptem. Nie tylko w polskich, także w ukraińskich domach.

– Miałem w dzieciństwie wielu kolegów Ukraińców i może dzięki temu przeżyłem – wzdycha Władysław Wronowski.

Gdy wybuchła wojna, szedł mu piętnasty rok. Cztery miesiące później wyjechał z rodzinnego Zawozu na roboty do Niemiec. Podobno przez dorosłych Ukraińców, którzy chcieli się przypodobać okupantowi.

– Pognano mnie do Baligrodu, a stamtąd w Sudety. Dzieciak byłem, a musiałem harować u bauera za dwóch. On był wredny, ale jego żona – złota kobieta. Nieraz nawet płakała, że taki los mnie spotkał. W tajemnicy przed mężem dawała mi dodatkowe racje chleba ze smalcem, czasem jakiś owoc. I tak przez

prawie pięć lat. Kiedy wróciłem do rodzinnej wsi, tej samej nocy przyszlizli upowcy i nas okradli. Zabrali mi jedyne buty i pasek od spodni. Gęby mi nie obili, nie nakładali kijów na plecy, ale odtąd musiałem wiązać portki sznurkiem. To było moje drugie spotkanie z banderowcami. Pierwsze miało miejsce dzień wcześniej na drodze nieopodal dworu w Górzance. Naszedłem na ich czujkę. Zapytali o nazwisko i dokąd idę. Odpowiedziałem, że wracam z robót w Niemczech do domu w Zawozie. Przyjrzeni mi się, chwilę poszeptali na osobności i puścili.

W wojnę między Polakami i Ukraińcami różnie bywało. Władysław Wronowski pamięta dzień, kiedy wieś opanowali partyzanci UPA, a w świetlicy zorganizowano zebranie.

– To musiało być jeszcze w czterdziestym piątym, może początkiem czterdziestego szóstego roku. Wójt Wasyl Kopczak siedział za stołem między banderowcami, a ci tłukli ludziom do głów, że trzeba się pozbyć Polaków. I wtedy Kopczak, który miał syna w sotni, zaprotestował: *Kak wy majete z nymy robyty poriadok, to zróbte sperszu poriadok z namy** – wykrzyczał. Jego słowa musiały zrobić wrażenie, bo nikt nas, Polaków, nie tknął. Ale od tego dnia ludzie już się bali. Coraz częściej noce spędzali poza domem, kto mógł, wyjeżdżał poza Bieszczady. Sam też, na wszelki wypadek, urządziłem kryjówkę w ziemiance przy potoku i spałem w niej częściej niż w domu.

Śasiadem Wronowskich był Wasyl Dub.

– Parokrotnie ostrzegał nas, że banderowcy szykują wizytę w Zawozie. Służył w UPA, pewnie marzył o tej swojej Ukrainie, ale nie kosztem niewinnych ludzi. W czasie akcji

* Jeśli macie z nimi zrobić porządek, to zróbcie najpierw porządek z nami (ukr.).

„Wisła” przepadł. Pomyślałem, że został schwytyany przez wojsko lub zabity, jak setki innych banderowców. Bodaj cztery lata później dostałem nieoczekiwany list z Austrii. Pisał do mnie Wasyl Dub, który szczęśliwie przeżył, a ja na tę wieść bardzo się ucieszyłem.

Tuż przed wojną w Rakowej na sto dwadzieścia osiem rodzin tylko parę miało po krowie i ogryzku ziemi. Reszta mieszkańców – dużo więcej. Mawiali z dumą, że nędza nie wejdzie w ich progi, a ci biedniejsi po cichu zazdrościli sąsiadom. Wieś ukraińska plus kilkanaście rodzin mieszanych. Podobna do innych w podgórskim regionie, ani lepsza, ani gorsza. Chociaż nie, bo jednak w Rakowej stał dwór, a we dworze mieszkali Żydzi. Jeden zarządzał polami, drugi żywym inwentarzem, trzeci lasami, a czwarty sadami. Żaden nie przeżył okupacji. Nawet nie wiadomo, czy zabito ich na miejscu, czy w obozie, ale miejscowi widzieli, jak Niemcy brali dworskie konie. Podobno było ich czterdzieści, tabun dobrze utrzymanych koni. Niektóre nadawały się pod siodło, inne – być może poprowadzone później na Wschód – skończyły w kotle.

Stefan Wisłocki miał wtedy dziesięć lat. Niemców pamięta najbardziej z tego, że zabili mu najstarszego brata.

– Najpierw, czort wie za co, wywieźli go na Śląsk i zapręgli do katorżniczej pracy. Rychło zapadł na tyfus, a kiedy po wyleczeniu wrócił na urlop do domu, dostał wariacji, dosłownie oszalał. Matka zawiozła go do szpitala w Sano-ku. Cztery tygodnie później wyszedł zdrowy fizycznie, ale w umyśle nadal coś mu szwankowało. Panicznie bał się hitlerowców, nieustannie się ukrywał i tylko nocą przychodził

do wsi, żeby zjeść. Któregoś razu zauważył go sołtys, nasz najbliższy sąsiad. Trzy dni później ukraińscy policjanci i niemiecki żandarm zaczęli się w krzakach za domem i dopadli brata. Trafił do obozu pod Krakowem, a potem do ziemi w nieznanym miejscu.

Człowiek, który był w tym samym łagrze, opowiedział Stefanowi, jak torturowano więźniów. Ładowano takiemu na plecy wór z kamieniami i ganiano po placu, dopóki nie padł. Po wojnie podobny sposób wykańczania ludzi będzie stosowany w Centralnym Obozie Pracy w Jaworznie. Znajdą się w nim tysiące Ukraińców, ale o tym później.

Wiśłocki znał niektórych Polaków z pobliskiej Tyrawy Wołoskiej. Przed wojną przychodzili do Rakowej na zabawy, kilku nawet wzięło za żony Ukrainki. A jednak już u progu lat czterdziestych te relacje się popsuły. Stefan był za młody, żeby zrozumieć dlaczego, ale nawet on widział, jak dotychczasowa ufność ustępuje miejsca nieufności, a wrogość coraz częściej zastępuje przyjaźń. Zrazu skrywana, potem zaś już otwarcie manifestowana. Widowym znakiem rosnących podziałów było postępowanie Ukraińców w czasie polskich świąt kościelnych. Wcześniej, opowiada, jakoś nie uchodziło cokolwiek robić w gospodarstwie, tyle co nakarmić zwierzęta. A potem? Niewielu zostało takich, którzy zwracali na to uwagę. Jedni z przekonania, inni dlatego, że nie chcieli odstawać od reszty. W zasadzie tylko w rodzinach mieszanych, ukraińsko-polskich, przestrzegano jeszcze zasad wzajemnego szacunku, choć i tu zdarzały się niechlubne wyjątki.

Chyba w 1945 roku zaczął się przymusowy zaciąg do UPA. A jednocześnie Ukraińcy byli obywatelami polskimi i również ich, tak samo jak etnicznych Polaków, obowiązywała służba wojskowa.

– Co taki młodzian miał zrobić? – pyta retorycznie Wiśtoci. – Jeśli upowcy wiedzieli, że chłopak podlega poborowi do polskiej armii, to przychodzili w nocy i zabierali go do lasu. Mówili, że jest Ukraińcem i ma się bić o wolną Ukrainę. I że Polska to wróg, tak samo jak Związek Radziecki. Kto twierdzi, że ci chłopcy mogli w porę uciec i nie plamić sobie sumień ludzką krzywdą, nie ma pojęcia o konsekwencjach dla rodzin.

„Bandery” bili, a potem – dla przykładu – podkładali ogień pod chyłę. Albo – w lepszym przypadku – zabierali, co chcieli i kiedy chcieli. Rankiem chłop wchodził do stajni, a po koniu ani śladu. Inny miał trzy krowy, to została jedna. A jak miał jedną, zostawało puste miejsce w oborze. Maciora nigdzie dłużej się nie utrzymała – wywlekali z chlewa i w łeb. Chodziły baby lamentować do sołtysa, a on im odpowiadał, że jemu też zabrali, taka owaka ich mać! W kwestii zaboru żywca, innego pożywienia, wszyscy postępowali jednakowo podle – czy byli z UPA, czy z polskich oddziałów. Nikt się nie bawił w konwenanse. Kiedyś akowcy wpadli do chaty znajomych, pobili kolbami chłopca i gospodynię. Za co? A za to, że Ukraińcy. Za żywota. Dla rozrywki. Dzieci się darły, a ci się śmiali.

W tym samym czasie aktywiści z Polskiej Partii Robotniczej namawiali, żeby wstępować w jej szeregi. Stefan pamięta, jak łazili po wsiach, stawiali gospodarzom piwo, wyciągali informacje i opowiadali, że partia jest jak druga rodzina: przygarnie, przytuli, ogrzeje. Lecz jeśli ktoś z wioski uległ i zapisał się do PPR-u, stawał się dla innych świnia. A ze świnia nikt nie rozmawia, nawet o pogodzie. Bardziej roztropni nie dawali się podejść, głupszy zaś chlapani, co im ślina na język przyniosła. Czasem ze szkodą, innym razem bez, ale taki natychmiast trafiał na czarną listę – prędzej czy

później dostawał kulę od tych z Narodowych Sił Zbrojnych albo od banderowców.

– Mówię jak na spowiedzi – wszystko, co działo się zaraz po wyzwoleniu i nieco później, było po stokroć gorsze niż wojna.

Przyklejona do granicy ze Słowacją Cisna przypominała przed wojną małe miasteczko: sklepy, piekarnie, tartaki, gospody. Zakłady szewskie i krawieckie. Stolarze, kołodziej, kowale. Kościół i cerkiew. Dużo Polaków i Ukraińców, niemało Żydów.

Anna, rocznik 1934:

– Mój tato, Bazyli Hodowaniec, regularnie zaopatrywał Żydów w rozmaite towary, które przywoził furmanką aż z Leska. W jedną stronę tłuł się prawie czterdzieści kilometrów. Ale wszystkim dobrze się żyło przy Żydach i mieliśmy z nimi dobre relacje. Solidnie płacili za wszelkie usługi, choćby drewno ściągane przez Ukraińców z lasu. Miejskowy tartak zatrudniał tutejszych, przybyszów z odległych wsi, a nawet obcych od Węgier. Dzięki tartakowi robotnicy mieli za co żyć, więc chętnie się żenili. I nikomu nie przeszkadzało, że Ukraińcy z Polkami, Polacy z Ukrainkami mieszają krew. Bo wtedy to była jedna krew, chrześcijańska.

Żyję w Cisnej od urodzenia, ale mój pradziadek przyjechał tutaj aż z Wołynia. On i jego dziesięciu synów. Wzięli stamtąd tylko tyle, ile mogli zabrać na plecy, a ojciec mojego ojca miał wtedy pięć lat. Tato po ślubie splodził ośmioro dzieci, z czego sześcioro zmarło. Pamiętam jednego braciszka, Milko mu było. Taki czarniawy z czarnymi oczętami, zupełnie jak mama.

Wszyscyśmy żyli, jak przystało na porządnym ludzi. Jeden stary Żyd, który mieszkał za mostem na Solince, przychodził do naszego domu się modlić. U niego w chałupie było dużo dzieci i tam nie miał spokoju. No to myśmy go zapraszali do izby, a sami wychodziliśmy, żeby mu nie przeszkadzać. Jakiś był wtedy szacunek do religii, nie tylko chrześcijańskiej. Ten Żyd nazywał się Zelman i nosił długą, siwą brodę. A spod tej brody wзираł ciepły uśmiech... Pan wie, on mnie kiedyś wyratował od śmierci, boby mnie konie stratały. Wtedy konie płoszyły się często, nie znały dźwięków auta czy innej maszyny. Pewnego dnia, jak zawsze, stały przy gospodzie żydowskiej, gdzie często chodziłam, bo Żydzi dawali mi cukierki. Podbiegłam akurat w momencie, kiedy konie się spłoszyły. Upadłam, a one dostały wariacji. Rżały, wierzgały, ryły kopytami ziemię. I wtedy jak dobry duch zjawił się Zelman; chwycił mnie za nogi i wyciągnął...

To było jeszcze przed wojną. A w wojnę moja rodzina odważyła się pomagać Żydom. Mieliśmy żarna w piwnicy, więc ukradkiem przychodzili do nas mleć zboże na mąkę. Sami u siebie nie mogli – Niemcy zabrali im żarna.

Pamiętam dzień, w którym ciężarówkami wywożono Żydów w nieznane. Już wcześniej wiedzieli, że ich wywiozą, bo przychodzili do nas się pożegnać. Ukraińcy płakali, Polacy płakali... A mamusia zawsze powtarzała: „Gdy ci się przyśni Żydówka, wiedz, że to Matka Boża”. Pan wie, kiedy ukraińskie dzieci chorowały, to Żydzi starali się pomagać i je leczyć. Z braku lekarstw przynosili miód i z tego miodu zmieszanego ze spirytusem robili dzieciakom okłady. Przynosili też wełnę, bo wełna mocno grzała. Najgorzej, że myśmy nic nie wiedzieli, że oni jadą na śmierć, nie było

takiego przekonania. Oni też raczej tego nie czuli, myśleli, że gdzieś na chwilę. A może czuli, tylko nic nie mówili?

O banderowcach pierwszy raz usłyszałam pewnie w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku. Wcale nie byli jednoznacznie dobrze postrzegani przez ukraińską społeczność. Niektórzy miejscowi wprawdzie żywili jakieś nadzieje na niepodległą Ukrainę, ale większość marzyła o spokoju. Nie zajmowała ich polityka. Wielu Ukraińców w czasie wojny wzięto do sowieckiej armii, co najmniej połowa nie wróciła, dlatego ludzie nie garnęli się masowo do nowego konfliktu. Ale jak musieli pomagać banderowcom, to pomagali. Nasza znajoma robiła na drutach wełniane swetry, rękawice, skarpety. Później przez umyślnego dostarczała do lasu. Spróbowalaby nie dostarczyć...

– Polscy żołnierze chcieli mnie obić kijami, ale im się nie dałam – wspomina Katarzyna Bereżańska. – Nawet gdy zagrozili, że mnie zastrzelą, nie odpuściłam. W tej jednej chwili byłam silna jak nigdy wcześniej. Wrzeszczeli, wyklinali, a potem z tej złości podłożyli pod chatę ogień. Poszłaby z dymem, gdyby stryjek nie ubłagał ich na kolanach, żeby zawczasu ugasili. Bo co myśmy byli winni?

Ktoś jednak doniósł, że mają konszachty z banderowcami. Że ich karmią, ubierają, leczą. A prawda była taka, że karmić, ubierać i leczyć musieli, choć z pewnością byli i tacy, którzy robili to z własnej nieprzymuszonej woli.

Za panny Katarzyna „pisała się” Stołyca, po polsku Stolica. A może nawet nie po polsku, tylko po słowacku, bo stamtąd, z południowej strony Bieszczadów, pochodził

jej ojciec. Po pierwszej wojnie światowej został w Zawoju, a żonę znalazł w pobliskim Żubraczem. Też miała coś wspólnego ze Słowacją – od dziecka wypasła krowy na granicy, знаła prywatnie Słowaków, a nawet chodziła tam na żniwa.

Katarzyna urodziła się w 1928 roku. W zadymionej, kurnej chyży, bo innych w tym czasie we wsi nie było. W wieku kilku lat dowiedziała się, że jest Ukrainką. Nie Rusinką, Bojkinia, ale Ukrainką. I pamięta, że gdy kiedyś pewien obcy nazwał jej ojca Bojkiem, ten chciał go pobić. Dziwne, lecz nigdy później nie próbowała się dowiedzieć, jakie różnice istnieją między tymi terminami – precyzującymi, kto i dlaczego przynależy do konkretnej grupy narodowej czy etnicznej. *Batko** zawsze mawiał, że on, jego żona i ich sześćoro dzieci to Ukraińcy. I tyle wystarczyło.

W Zawoju mieszkali jeszcze Żydzi i Cyganie. Ci ostatni utrzymywali się z muzykowania. Zamawiano ich na wesela również w odległych wsiach, a kiedy już pojechali, długo nie wracali. Wynajmowano ich po drodze także do przygrywania w karczmach.

– Kiedyś przepadli chyba na trzy tygodnie, ale potem urządzili we wsi wielką zabawę z biesiadą, zaprosili mnóstwo ludzi. Żaden gospodarz nigdy nie postawił się tak jak nasi Cyganie.

Do starej Żydówki noszono owczą wełnę. Zamawiano swetry, skarpety, rękawice. Tylko ona umiała w Zawoju dziergać na drutach, reszta kobiet najwyżej szyć. Szyły spódnice, koszule i spodnie, przed zimą także kaftany i kurtki. Z tym ubiorem to ciekawa sprawa, mówi Katarzyna, bo w Zawoju mężczyźni chodzili w koszulach ze stójką i pionowym haftem

* Ojciec (ukr.).

pośrodku klatki piersiowej, a w sąsiednim Jaworcu z kołnierzem i wiązaną pod szyją wstążką. Istniały też różnice w nazewnictwie. W pierwszej wiosce gospodynie zakładały przy kuchni fartuchy, a w drugiej – chusty. Może dlatego, że Jaworzec ciążył do Kalnicy, Smereka i Wetliny, a Zawój do Polanek, Łopienki i Terki. Do tej ostatniej Ukraińcy chodzili odwiedzać znajomych Polaków, z którymi niegdyś służyli w wojsku. Nie tylko żeby pogadać, ale też pomóc w sianokosach.

Kto by pomyślał, choćby przez mgnienie, że cały ten porządek zostanie tak nagle i brutalnie zburzony. Ukraińsko-polski mikroświat istniał od dawna, a ludziom różnych wyznań nie przeszkadzało, że żyją z sobą i przy sobie. Przynajmniej tutaj, na peryferiach.

– Gdy wybuchła wojna, zdawało się, że Niemcy to wspólny wróg – opowiada Bereżańska – tymczasem część Ukraińców szybko zwróciła się przeciwko polskim sąsiadom. Niemcy umieli podjudzać, szcuć na siebie ludzi. Zachęcali moich rodaków do wstępowania w szeregi policji pomocniczej, Ukrainische Hilfspolizei, a ci chętnie tam szli, bo dostawali umundurowanie, lepsze jedzenie, no i broń.

Kto miał broń, czuł się ważniejszy. Także wobec polskiego kuma, z którym niedawno pił wódkę, a teraz mógł go zastrzelić – w imię narastającego przekonania, że Lach nie zasługuje na życie. Niektórzy przywdziali mundury, lecz przed najgorszym jeszcze się hamowali, niekiedy na usilne prośby ojca lub matki. Inni z marszu gotowi byli zabijać. Pomagali esesmanom wyłapywać Żydów i sami pociągali za spust karabinów.

Katarzyna:

– Ojciec jako jedyny we wsi ukrywał Żyda, ale że wtedy każda chata była pod obserwacją, ktoś się zorientował.

Wieczorem przyszedł do nas sołtys i wyszeptał: „Mikołaj, niech twój Żyd idzie do lasu, bo jak Niemcy go zwęszą, wszyscy skończycie w ziemi”. Od tej pory ten człowiek, nie pamiętam jego imienia, za dnia siedział w lesie, a nocą przychodził do naszej chałupy. I tak przez dłuższy czas, dopóki żołnierze go nie wytropili. Mieliśmy też ukrywać moją koleżanką Szmiłę, nawet była mowa o tym, żeby zrobić z niej rodzoną siostrę, no, ale mama miała nas w papierach sześcioro, to skąd nagle, w razie najścia, siódme dziecko? Nawet nie wiem, kiedy i gdzie zginęła. Podobnie jak Herszko, Antek i kilkoro innych żydowskich rówieśników.

Pod koniec wojny wielu młodych ukraińskich policjantów zasili oddziały UPA i podjął walkę o *samostijną** Ukrainę.

– Tato uważał, że ten szaleńczy zryw nic dobrego nie przyniesie. Kiedyś powiedział o tym głośno, a sekundy później miał lufę przy głowie. Chciała go zabić kobieta, bojownicza UPA. Cudem uszedł z życiem.

Terror hitlerowski zastąpił nowy – banderowski.

Czy tylko? Bazyli, młodszy brat Katarzyny, wie jedno – od tej pory należało się bać także polskich partyzantów.

– Cholera wie, kim oni tak naprawdę byli, ale mówili czysto po polsku i wrzeszczeli, że pomagamy tym z tryzubami na czapkach. Kiedyś wpadli, jak mama akurat piekła chleb. Nas było w domu dużo, więc potrzebowaliśmy osiem, dziesięć bochenków. Kiedy je zobaczyli, od razu wyciągnęli broń i dawaj wygrażać, że nas utłuką, bo ten chleb na pewno dla banderowców. Jak się wytłumaczyć, jak ich przekonać, że nie jesteśmy z nikim w zмовіе? Zabrali trochę jedzenia i odeszli, ale potem wracali. Nie raz i nie dwa. Tak samo jak

* Niepodległa (ukr.).

upowcy, którzy oskarżali nas o sprzyjanie polskim żołnierzom i nie żalowali pięści. Doszło do tego, że ludzie we wsi przestali sobie ufać. Jeden drugiemu zaglądał do okien i zaraz biegł z donosem – albo do lasu, albo na posterunek.

Nikt nie był pewny, czy nie zgnije w więzieniu lub nie zawisnie na gałęzi. Za winy popełnione bądź też bez żadnej winy.

Rok przed wojną w Krywem nad Sanem żyły trzy polskie rodziny. I nieco ponad tysiąc ukraińskich. Polacy mieszkali blisko dworu, pracowali w tartaku, a pole pod kartofle użycza im ukraińscy sąsiedzi.

– Tato nikomu w potrzebie nie żałował ziemi – wspomina Ewa Stołyca, z domu Mastyła, rocznik 1934. – Sam obrabiał Polakom kartoflisko, ale nie pod przymusem, tylko z chęci. Cieszyło go, że nic się nie marnuje.

Mastyłowie mieszkali dwie działki powyżej cerkwi, w środku wsi. Przez jakiś czas było ich ośmioro, lecz dwoje malców szybko odeszło. Kiedy przegląda się przedwojenny wykaz zmarłych w Krywem, widać, jak często dzieci kościła śmierć. Zresztą nie tylko tu, także w innych górskich wioskach. Nie umierały z niedożywienia, lecz z chorób, na które nie tylko wiejscy znachorzy, ale i lekarze w miastach zapewne nie znali leku. A jeśli nawet znali, to rzadko kiedy dowożono do nich chorych z odległych wsi.

– Mawiano tu i tam, że ziemia w Bieszczadach nędzna, glina i kamień, a to przecież wierutna bzdura – tłumaczy. – Sialiśmy białą i czerwoną pszenicę, pszenżyto, jęczmień, owies. Sadziliśmy buraki, ziemniaki, cebulę, marchew. Po zbiorach wszystko to z powodzeniem wystarczało do

przednówka, a nawet dłużej. Opowieści o strasznej biedzie wynikały może z tego, że nasze codzienne pożywienie było zbożowo-kapuściane. No, ale tak się wtedy jadło, mięso tylko od święta, choć mieliśmy kury, świnię, krowy.

Jeżeli już o biedzie – widoczna była bardziej w zabudowie. Cerkiew, owszem, niczego sobie, murowana, ale reszta – drewno i słoma. A zamiast podłogi – klepisko. Nie ma się co wstydzić, wzrusza ramionami, tak to wyglądało w większości galicyjskich wiosek, im dalej na południowy wschód – tym gorzej. Jej mąż, Bazyli z Zawoja, potwierdza:

– Naród był ciemny, nieuczony, a wszelkie nowości przyjmowano z rezerwą. Dlatego mój ojciec, mimo że miał kawałek własnego lasu, a w tym lesie piękne drzewa, do śmierci nie zrobił w chacie podłogi.

– Za to mój się przekonał – wtrąca Ewa – przetarł drewno i mogliśmy już żyć nie na ziemi, lecz na deskach. Ale za naszym przykładem poszło niewiele. Podobnie rzecz się miała z kominami. Mało komu przychodziło do głowy, że byłoby lepiej, gdyby dym ulatywał na zewnątrz chyży. Tymczasem ludzie przeważnie mieszkali w chatach kurnych. Dopiero gdy ktoś pojechał dalej w Polskę lub za granicę, wracał przekonany, że można mieszkać wygodniej.

Zdarzały się też jednak przypadki beznadziejne. Jak tego chłopca, który trzy razy jeździł na zarobek do Ameryki, wracał z sakwą dolarów, mieszkał obok tartaku, a ciągle miał w chacie polepę.

Niemcy weszli bez huku. Zabrali ludziom konie, ustanowili na spółkę z Sowietami granicę na Sanie. Żeby się porozumieć z Ukraińcami, wołali do tłumaczenia miejscowych Żydów. Kilku z nich znało niemiecki, chętnie pomagali. Żołnierze

rozlokowali się w szkole, akurat naprzeciw domu Mastylów. Wśród nich pewien nieduży młodzian, może metr sześćdziesiąt, który przynosił Ewie na pastwisko kanapki z konserwą.

– Codziennie pasłam krowy, a on codziennie rano przychodził i wyciągał zza pazuchy te kanapki. Boże, jak ta konserwa pachniała! Pierwszy raz w życiu jadłam coś tak smacznego i nigdy już tego smaku nie zapomniałam. On, ten mikry blondynek, mówił do mnie, żebym z nikim się nie dzieliła, tylko sama jadła, bom taka chudziutka, malutka i bosa.

Dużej krzywdy za okupacji nie doświadczyła. Coś trzeba było oddać, pilnować się, ale zanadto nic więcej. Dopiero w 1944 roku, jak Ruscy szli na zachód, a lasy zaroiły się od wszelkiej maści partyzantów, zrobiło się niebezpiecznie.

– Siedzieliśmy wtedy dla pewności w piwnicy. Przez szparę w drzwiach zobaczyłam krasnoarmiejców. Rozsypali się po wsi, weszli na nasze podwórko. Pierwsze słowa, jakie usłyszałam po rosyjsku, brzmiały: *Job twoju mać!* Potem dochodziły do moich uszu jeszcze wielokrotnie, bo ci żołdaci strasznie przeklinali. Ale na szczęście, jak się już nażarli i napili, odeszli dalej.

Tubylcy myśleli, że będą mieć teraz spokój, tymczasem najgorsze miało dopiero nadejść.

Maksymilian Fanuk miał w Seredniem kuźnię, tartak, młyn oraz dziesięć mórg pola. Był w czołówce najbardziej majątnych gospodarzy. Wszyscy go szanowali, bo oprócz tego, że mu się wiodło, był przyzwoitym człowiekiem. I gajowym w lasach pobliskiego Chocenia. „Nam ptasiego mleka nie brakowało – przyznaje córka Maria. – Mieszkaliśmy

w dużym domu, pokoje były na piętrze, a z nich cacy widok na wzgórze”.

Tuż przed wojną w Seredniem Wielkim naliczono dwieście domów, w tym bodaj pięć żydowskich. Ukraińiec Fanuk nie dzielił ludzi ze względu na przynależność religijną i jakkolwiek inną, dlatego miał dobre relacje i z Żydami, i z Polakami. Jednemu trzymał do chrztu w kościele w Tarnawie trójkę dzieci. Wtedy to nie było nic nadzwyczajnego.

– Niby nic, a jednak Polacy z Ukraińcami nie za bardzo się lubili – twierdzi Maria. – Dochodziło do zatargów na tle majątkowym, że ktoś ma lepiej, a inny gorzej. Lecz naprawdę atmosfera zgęstniała dopiero w połowie okupacji.

Maria, rocznik 1929, pamięta nie tylko złe. Ot, chociażby to, że jej ojciec dawał ludziom w potrzebie pracę i solidnie im płacił. Czasami żywnością, zależało od sytuacji. Nie wszyscy biedowali, ale z wielu chałup nędza wyłaziła z każdego kąta.

– W Choceniu miałam dwie najbliższe koleżanki. Zawsze jadły tylko placki owsiane, chodziły chude, z wytrzeszczonymi oczami. Tak mi ich było żal, że nosiłam im z domu bułki pszenne, żeby choć trochę posmakowały białego pieczywa. Ja z kolei polubiłam ich owsiane placki. Kładłam na nie czosnek i wtedy robiły się jeszcze smaczniejsze.

Do szkoły poszła w Seredniem, ale tu było tylko pięć klas, więc na ostatnie dwa lata przeniosła się do Baligrodu. Mieszkała w internacie nad posterunkiem policji. Zaraz obok stał duży, murowany budynek szkoły. Nie spodziewała się, że przetrwa wszystkie zawieruchy i że lata później stanie przed nim z głową pełną wspomnień. Na razie jednak w sobotę po lekcjach pakowała tobołek i szła do domu. Parę godzin i była na miejscu, zahaczając po drodze o znajome dziewczyny w Choceniu.

– Przeskakiwałam przez góry jak łania, a dzisiaj ludziom nie chce się przejść kilometra – mówi.

W wojnę do okien domu Fanuków pukali nocą tutejsi Żydzi. Odkąd wydano na nich wyrok, koczowali w lasach, ale co kilka dni podkradali się do wsi po jedzenie.

– Nigdy im nie odmówiliśmy i nie opuszczała nas nadzieja, że przeżyją. A jednak się nie udało. Nie zapomnę, jak ukraińscy policjanci prowadzili na egzekucję dwie Żydówki i ich dwie nastoletnie córki. Kazano im wykopać dół przy kopalni ropy, a potem je zastrzelono.

Gorzkie wspomnienia przeplatają się ze słodkimi. Te ostatnie to coroczne odpusty w Mchawie i Kalnicy. Wymarzone zapinki, naszyjniki, kolorowe różańce. W Kalnicy ustawiano nawet karuzelę, ewenement w skali Bieszczadów. I nagle wszystko to zniknęło. Kiedy 6 sierpnia 1944 roku przy cerkwi w Mchawie ludzie odprawiali modły, a straganiarze liczyli zarobek, trzy kilometry dalej, w Baligrodzie, UPA zabijała za kościołem Polaków.

Niebawem zobaczy banderowców w Seredniem. Będą zachodzić też do Łupkowa i Tarnawy, skąd zechcą wygnać polskie rodziny. Pewnego dnia osobiście pozna sotenego „Chrina”. Wysoki blondyn w oficerkach zeskoczy z konia i wejdzie do domu Fanuków. Maria jeszcze o tym opowie.

Gdyby ktoś powiedział M., że jej rodzinna wieś zostanie ledwie miejscem na mapie, uznałaby go za głupka. Bo jak to możliwe, żeby usunąć mrowie ludzi, zrównać z glebą zabudowę i pozostawić wszystko przyrodzie. Podobnie myślano nie tylko w Tworylnem, lecz wszędzie tam, gdzie

od wieków jedni umierali, inni się rodzili, ale nic więcej. Żadnych kataklizmów, klęsk żywiołowych, które mogłyby zmieść taką czy inną osadę z powierzchni i nie dopuścić do jej odrodzenia.

M. to pierwsza litera panińskiego nazwiska. Na więcej się nie godzi i ostrzegawczo kiwa palcem. Było ich sześcioro: Kasia, Marysia, Józek, Wacek, Mikołaj i ona, Anna. Jeśli zna trochę szczegółów, to z opowieści rodziców, bo urodzona dopiero w 1942 roku. Samej coś jej w dziecięcej głowie utkwilo, ale raczej z obejścia domu: studnia, sad, gęsi. Miała też szmacianą lalkę, ulubioną zabawkę, z którą kładła się spać w nogach matki i ojca. Ta pobrudzona, zatłuszczona lalka stanie się kiedyś przyczyną jej ciężkich snów.

K. to inicjał nazwiska Wasyla, późniejszego męża Anny. I niech ta litera wystarczy, mówi, po co komu więcej? Wiosieczki, w której w 1938 roku przyszedł na świat, jego Suchych Rzek, prawie nie można odszukać na mapie, chyba że jest bardzo szczegółowa. Przeszedł więcej niż Anna, ponieważ ukradziono mu matkę i siostrę. Zobaczy je dopiero lata później, ale trudno im będzie rozmawiać. Zrozumieją, że za nadto się oddalili, nie tylko w sensie geograficznym.

W gospodarstwie K. było dziesięć krów, cztery woły i para koni huculskich. Do tego dwadzieścia hektarów ziemi. To już nieprzeciętni gospodarze. Radzili sobie w sześcioro bez niczyjej pomocy i zawsze im wystarczało. Do czasu, aż musieli wyprodukowane w zagrodzie i w polu jedzenie nosić do lasu. Bo to raz czy dwa? W rejonie, w którym mieszkali, już w 1945 roku zakotwiczyła sotnia „Bira”, a niedaleko także inne oddziały podziemia, nie tylko spod znaku Ukraińskiej Powstańczej Armii.

Tak samo w Tworylnem:

– Kobiety spotykały się w jakiejś chacie i razem gotowały dla partyzantów – opowiada Anna. – Potem zostawiały pełne garnki w wyznaczonym miejscu, a nazajutrz zabierały puste.

To wcale nie oznacza, że ukraińscy chłopci, ukraińskie chłopki tłumnie padli banderowcom do nóg. Takie stwierdzenie byłoby nadużyciem.

On Ukrainiec, ona Polka. Dzieci mieszane, a ich prababka z korzeniami niemieckimi. Żadne dziwo – koloniści rodem z Niemiec osadzali się na Podkarpaciu od drugiej połowy osiemnastego wieku. Pewnie przyjechała i ona, a może tu się urodziła. Tego nikt już nie wyjaśni, bo nie został przy życiu nikt, kto wcześniej grzebał w rodzinnej historii. A młodym się nie chce, nie czują potrzeby.

Mniejsza o zamierzchłe czasy i genealogię. Dość jest opowiadania o tym, co się wydarzyło przed kilkudziesięciu laty. Paulina, córka Ukraińca i Polki, mówi, że niemal wszystkich mieszkańców jej rodzinnej wioski określano Rusinami. To znaczy dwadzieścia dziewięć rodzin, bo sześć było polskich. Tyle liczyła wciśnięta między Dźwiniacz a Serednicę Romanowa Wola. Małutka, nawet bez cerkwi, choć sąsiednie tuż za miedzą. Chodziła w dzieciństwie na zmianę – raz do jednej, raz do drugiej. Mogła i do kościoła w Ropience, bo umiała pacierz również po polsku, tylko że miała tam za daleko. A gdy nieco podrosła, było jej wszystko jedno, czy przed ołtarzem przyjmie hostię, czy prosforę.

Paulina urodziła się w 1935 roku. Z trojga rodzeństwa środkowa, po bokach brat i siostra. Stefan Karpecki, głowa

rodziny, gospodarzył na dziesięciu morgach, wypasał dwie krowy, jałówkę i byka.

– Ten byk – mówi ze śmiechem Paulina – był zarodowy. Obsługiwał krowy w kilku wioskach i dzięki niemu mieliśmy pieniądze na czarną godzinę. Tato pieczętowanie odkładał grosz do grosza, a o byka dbał nie gorzej jak o dzieci. Ciężko pracował, lecz zawsze znajdował chwilę, żeby sobie pograć na harmonijce ustnej. Ach, jak on grał! Jeszcze po latach, kiedy się zestarzałam, dźwięczały mi w uszach wydmuchiwane przez niego melodie.

Uczyła się w ukraińskiej szkole w Dźwiniaczu. Ale niedługo, bo w wojnę nauczyciel uciekł, więc z konieczności chodziła na lekcje do znajomego Karpeckich.

– Coś mi tam wciskał do głowy, innym dzieciakom też, jednak dużo więcej dowiedziałam się od mamy.

Miała pewnie dziewięć lat, kiedy wespół z rówieśnikami posmakowała bimbru. Wtedy samogon pędzono w co drugim domu i czasami odważny chłopak wykradł butelkę.

– Wypijaliśmy po łyčku między krowami na pastwisku i śmialiśmy się do rozpuku.

Jakoś wtedy, a może rok później, pierwszy raz zobaczyła banderowców. Byli dla niej zupełnie obcy, ale wkrótce regularnie gościli u Karpeckich. Nikt ich nie zapraszał, przychodzili sami. Nie tylko do nich.

– Kazali rychtować jajecznicę, smażyć placki. Później kładli się na naszych łóżkach, a nam kazali pilnować obejścia, czy aby do wsi nie wchodzi polscy żołnierze albo milicja. Przed świtem wstawali i wracali do lasu. Jednemu młodzikowi z UPA chyba wpadłam w oko, bo ciągle się uśmiechał i powtarzał: „Paulinka, ja nie mogę się na ciebie napatrzeć”. Tylko że mnie to nie bawiło, wstydziłam się, a najbardziej bałam. Bo myśmy

jednak musieli wszystko robić na rozkaz i trzymać gęby na kłódkę. Niedaleko mieszkał znajomy taty. Chodził w konkury do pewnej panny, nosił dla niej miód, a na któreś randce wyrwało mu się, że UPA wywalczy niepodległą Ukrainę, jak mu kaktus na dłoni wyrośnie. Nazajutrz przepadł bez wieści.

Inne zdarzenie:

– Szła Ukrainka z cerkwi ze znajomą, plotkowały o byle czym, ale w końcu zeszło na co innego. I ta pierwsza mówi: „Po jaką cholerę ci banderowcy łażą po wioskach, ludziom żyć nie dają?”. Nocą przyszli do jej chaty, pobili i pognali w brzozowy zagajnik. Dzieci błagały o litość dla matki, lecz chwilę później zawisła na gałęzi.

Chłodny rozum zwiększał szanse na życie. Długi język te szanse drastycznie ograniczał.

W 1945 roku kończył osiemnaście lat. Widział, jak banderowcy przychodzili do Zawadki i zabierali młodych do lasu. Mówili, że jeśli są Ukraińcami, to mają zabijać Lachów. A oni, ci zwykli chłopcy, chcieli żyć: kochać, żenić się, planować przyszłość.

Jan Wolański wspomina:

– We wsi mieszkała wdowa z dwoma synami. Mieli po siedemnaście, osiemnaście lat, utrzymywali gospodarstwo, ale nie zdołali uchronić się przed wcieleniem. Po paru tygodniach nieoczekiwanie wrócili. Matka od razu poszła na posterunek MO w Ropience i zameldowała, że jej chłopcy uciekli z sotni. Dziw, ale ich nie aresztowano. Wkrótce

jeden zatrudnił się w masarni w Lesku, drugi w kopalni ropy w Wańkowej. Jakimś cudem upowcy nie wykonali na nich wyroku za dezercję, lecz dwa lata później dopadło ich UB. Za przynależność do UPA dostali po dwanaście lat więzienia. Sąd nie wziął pod uwagę argumentów, że nie byli w ukraińskiej partyzantce z własnej woli.

Setki Ukraińców przeżyło dramat przymusowej służby, ale jeszcze więcej zwróciło się przeciwko Polakom – w przekonaniu, że biorą udział w szczególnej misji, która ma doprowadzić do uwolnienia narodu ukraińskiego od polskiego ucisku. Wmawiali im to niektórzy księża greckokatolickcy, nauczyciele i działacze Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, którzy przybywali na górskie rubieże ze Lwowa i Stanisławowa.

– Dla nas, zwyczajnych chłopów, to było niezrozumiałe, bo myśmy z Polakami żyli w zgodzie – mówi Wolański. – Na trzysta chałup w Zawadce w pięćdziesięciu mieszkali rzymscy katolicy. Razem z Ukraińcami wydobywali ropę naftową, pracowali w tartakach, a jedyną różnicą było to, że w niedzielę szli do kościoła w Ropience.

Któregoś dnia Janek zobaczył na płotach rozlepione przez OUN-UPA plakaty, że Lachy mają się wynieść z Zawadki. Tej samej nocy spłonął dom polskiej rodziny. Żadne podpalenie, zwyczajnie iskra poszła od pieca. Ukraińscy sąsiedzi zabrali siedmioro pogorzalców do siebie i nie wypuścili do czasu, aż razem odbudowali gospodarstwo.

– Jaką trzeba było mieć odwagę, żeby przeciwstawić się banderowcom!

Bywało i tak jak w pobliskiej Serednicy. Ojciec Ukrainiec, matka Polka, syn w sotni. Przyszedł w nocy do domu razem z innymi leśnymi. Dowódca rzucił:

– Zabij ją albo sam zginiesz.

Kiedy chłopak wyciągnął broń, ojciec nie wytrzymał i zadźgał syna nożem. Chwilę potem zginął, żona także, a chatę puszczono z dymem.

Przyszła na świat w 1929 roku w Morochownicy, przysiółku Mokrego. Była starsza od brata Stefana. Rodzice pracowali na parohektarowej gospodarce, mieli krowy, konie i drób. Mokre było średnią wioską, przed samą wojną sto numerów. Jedni mówili, że leży jeszcze w Bieszczadach, inni – że już w Beskidzie Niskim. Jakby na pograniczu. Na miejscu funkcjonowała czteroklasowa szkoła, do której chodzili Ukraińcy i nieliczni Polacy. W pobliżu wydobywano ropę naftową; charakterystyczny zapach roznosił się po okolicy, a chłopci używali maziugi do impregnacji drewna. Ale większość ropy wywożono autami do rafinerii w Lesku albo i w Ustrzykach Dolnych.

– Od piątej klasy kształciłam się w Sanoku – opowiada Maria Barniak, z domu Perun. – Z rówieśnikami z Mokrego, Morochowa, Wysoczan pokonywałam codziennie pociągiem pięćdziesiąt kilometrów w obydwie strony. Żaden świat drogi, ale to było męczące. Aż pewnego razu, chyba rok później, oddział UPA rozkręcił w Morochowie tory kolejowe i tak skończyła się moja edukacja w mieście. Potem te szyny ktoś wypatrzył w nurcie Oslawy.

Zawsze lubiłam książki, więc postanowiłam doksztalać się samodzielnie. Ukraiński już znałam, polski i niemiecki – poznawałam. Gdy wuj z Sanoka, Polak, zobaczył moją pilność, zaczął mi przywozić polskie bajki i opowiadania. Czytałam je i tak się wprawiałam. A jakie wyrobiłam ładne

pismo! Ho, ho, nie pisałam jak kura pazurem, lecz stawiałam literki równo, łączyłam, jak trzeba, żeby się w zeszytach nie rozsypywały.

W rodzinie trzymali się zasady, że trzeba uczciwie pracować, uczyć się, a to, co złe, w końcu minie. Znaczący się cała ta zawierucha, która od 1945 roku przetaczała się przez południowo-wschodnią Polskę. Ciągłe ktoś kogoś zabijał, mówi Maria, ale to nie było tak, że tylko upowcy mieli za uszami. Polscy żołnierze też, tak samo jak wcześniej Niemcy i Sowieci. Bo to raz przychodziło wojsko do wiosek i rekwirowało, co wpadło w ręce? Bo to raz z tym samym zamiarem przychodzili banderowcy? A biedni ludzie, mówię jak na spowiedzi, mieli ich dość. Nie garnęli się masowo do UPA, kombinowali, jak się przechować, żeby nie trafić pod broń, do zimnego lasu.

Byli też w Mokrem tacy, którzy ochoczo składali przysięgę na wierność Banderze. Aż się rwali, żeby iść na Lachów. Ci z Mokrego, Szczawnego, z innych wsi. Tylko w Płonnej do UPA wstąpiło jednego dnia osiemnastu młodzieńców.

– Mieszkaliśmy w przysiółku Łoży koło Werchraty w powiecie lubaczowskim – opowiada Katarzyna Szul, z domu Gieron. – Tam się urodziłam w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku, chociaż w metryce zapisano, że rok później.

Ich dom stał blisko lasu i to było przekleństwo, bo ciągle ktoś kołatał do drzwi, do okien i czegoś żądał. Ruscy, akowcy, banderowcy. Ci ostatni rodacy, Ukraińcy, ale wcale się z nimi nie cackali. Potrafili być brutalni. A zbrojni z AK? Polacy ich tak wychwalają, a między nimi też byli różni, dobrzy i źli.

– Myśmy ich nazywali a-kury, a-kaczki, bo ciągle nam coś zabierali. I innym ukraińskim rodzinom też. Kiedyś o trzeciej nad ranem narobili rabanu i wzięli wszystko, co im wpadło w ręce, włącznie z garnkami, sztućcami, łachami. Ojciec bronił ostatniego rondla jak skarbu, wydzielali go sobie z polskim żołnierzem, a ten groził, że tatę zastrzeli. Aż tatuś krzyknął: „Strzelaj, zabij! W czym dzieciom zgotuję?!”. I ten wojak odstąpił, a jeszcze na koniec rzucił nam od progu wiaderko. Teraz myślę, że może to byli zwykli bandyci, a nie akowcy, ale kto wtedy rozróżniał?

W przysiółku żyło tylko kilkoro Polaków. Ukraińcy uważali ich za przyjaciół, ale nie zdołali uchronić przed wygnaniem, bo UPA zagroziła im śmiercią.

– Przez banderowców my też przeszliśmy swoje. Mój brat został ranny na froncie i miesiące przeleżał w szpitalu we Lwowie. Kiedy wrócił, wciąż ledwo żywy, zaraz przyszli upowcy, żeby go zabrać do sotni. Młody, mówili, to się wyliże. A on nie chciał, wiedział, jakie tam życie w lesie: wszy, nędza, głód. Przychodziła sanitariuszka, smarowała mu rany maściami, to on je rozdrapywał i paćkał wapnem, żeby mu się nie goiły. Tak strasznie chciał uniknąć służby w UPA. W końcu banderowcy odpuścili, ale za to, że nie poszedł do nich pod broń, kazali mu zbierać w Werchracie kontyngenty.

Tego już nie mógł odmówić, już się nie dało.

Rozdział III

Majątek ukryty w drzewie

Wiosną 1946 roku władze wzmożyły akcję wysiedleńczą Ukraińców do ZSRR. W najbardziej niedostępne rejony Bieszczadów skierowano zwiększone siły wojskowe, między innymi 34. Pułk Piechoty. Dowodził nim podpułkownik Jan Gerhard, późniejszy autor *Łun w Bieszczadach*. Powieść, określana przez niego beletryzowanym dokumentem, zyskała ogromny rozgłos. Stała się nawet lekturą szkolną, ale na dekady zafalszowała historię i pogłębiła przepaść w powojennych stosunkach polsko-ukraińskich.

Do Beniowej żołnierze weszli 1 czerwca po południu. Rozlokowali się w chałupach, a gospodarze poczęstowali ich mlekiem i owczym serem. Nazajutrz przed świtem wojsko wszczęło alarm. Mieszkańcy w godzinę musieli załadować dobytek na wozy i podążyć do Tarnawy, gdzie utworzono punkt zborny dla wysiedlanych z okolicznych miejscowości. Część ludzi, głównie młodych, zdołała uciec i skryć się w lesie za Sanem, by tam przeczekać wywózkę. Po odejściu zbrojnych przez pewien czas chodzili

do spalonej w połowie Beniowej, lecz ostatecznie zostali po stronie sowieckiej. Później nieliczni otrzymali nawet zgodę na osiedlenie się w pobliżu granicy z Polską. Mogli patrzeć na zachodnią stronę wsi, na swoje niedawne podwórza, ale pozbawione już wszelkiej zabudowy. W 1946 roku zdawało się im, że ocaleje chociaż splądrowana przez żołnierzy cerkiew, a jednak i jej nie oszczędzono.

Tego samego dnia wygnano ludzi z Sianek, Tarnawy Niżnej i Wyżnej, Sokolik oraz paru innych wsi w dolinie górnego Sanu. Między spaloną zabudową zostały tylko zwierzęta, bo wydający rozkazy uznał, że nie będą im potrzebne. Podobno odważniejsi chłopci z Beniowej kilka dni po wypędzeniu wrócili i zdołali przegnać przez rzekę bydło, przenieść na rękach mniejsze świny i kury. Zapewne w ten sam sposób postąpili niedawni sąsiedzi, ale i tak większość żywego inwentarza pozostała na pastwę drapieżników. Niektórzy żołnierze Ludowego Wojska Polskiego, wieśniacy z urodzenia, patrzyli na to z bólem. Może i chcieli pomóc, lecz mogli jedynie milczeć.

Kilkadziesiąt kilometrów niżej od wciśniętych w wąską gardziel Sianek leżała Zatwarnica. Katarzyna Kowalczyk chodziła tam z Suchych Rzek na zakupy lub na plotki. Pewnego czerwcowego dnia też spędziła w Zatwarnicy kilka godzin. Akurat była pośrodku wsi, gdy usłyszała za sobą tupot ciężkich butów. Z każdą sekundą był coraz głośniejszy. Chwilę później żołnierze rozsypali się po zagrodach, a ona pomyślała, że przyszli rabować. Nieopodal cerkwi jeden z wojaków wrzasnął w powietrze: „Jeszcze ta ukraińska kurwa stoi?!”. Dосkoczył z innymi, oblali benzyną świątynię i zaraz przemieniła się w słup ognia. Katarzyna bije się

w piersi, że tak właśnie było i ten bandyta, nie żołnierz, tak właśnie powiedział o bożym przybytku: ukraińska kurwa.

– Wtedy spalono prawie całą Zatwarnicę, a ludzi gnano na sowiecką stronę. Dużo mężczyzn, kobiet z dziećmi uciekło do lasu, ale równie wielu zdecydowało się zbyt późno.

Niektórzy wiedzieli, że coś jest na rzeczy. Wtedy nikt już nie mówił, że wyjazdy na Wschód są dobrowolne, tylko że przymusowe. Jakby w przeczuciu nadchodzącego zagrożenia znajomy Ukrainiec poradził młodej Kowalczykowej, żeby na wszelki wypadek ukryła swój dobytek. „Kasiu – powiedział do mnie – zawsze tak ciężko pracowałaś, spakuj najlepsze rzeczy, a ja ci je pomogę przechować”.

– Włożyłam do worka wiśniowy kożuszek, sukienki, trzewiki sznurowane, chustki, wyjściową spódnicę. Przewiązałam pachunek sznurkiem i poszliśmy wieczorem w miejsce, gdzie rosła wielka, wypalona w środku lipa. Komu przyszłoby do głowy, żeby w jej pniu czegośkolwiek szukać? Wcisnęłam głęboko tobolek, sprawdziłam jeszcze, czy nie wypadnie, i wróciłam z sąsiadem do domu. Ale on w pośpiechu został przy tym drzewie torbę z solą. Wrócił i natknął się na polskich żołnierzy. Ci coś zwąchali, zajrzeli do wnętrza lipy, a kiedy rozpakowali worek, od razu starego pobili. Krzyczeli, że te ubrania należą do banderowskiej dziwki, wszystko zabrali, a ja zostałam w jednym zszarganym odzieniu. Niech to szlag trafi!

Było lato, lecz noce spędzane w lesie – ze strachu przed wysiedleniem – odchorowała. Tygodniami trawiła ją gorączka, dopiero później jakoś samo przeszło. Pomieszkiwała w Suchych Rzekach, a do Zatwarnicy chodziła tylko po to, żeby jeszcze raz zobaczyć, jak unicestwiono wieś. I tak dziwne, że ocalało kilka gospodarstw, zajętych naprędce przez

tych, których wojsko nie zdołało dopaść. Ci wyrzuceni do ZSRR trafili w okolice Lwowa. Wczesną wiosną 1947 roku wielu z nich wróci na dziko w rodzinne strony. Od nowa będą się budować, urządzić. Cieszyć się, że przechytrzyli zło. Bez pojęcia, co ich czeka.

Zatwarnicę spalono podobno w odwecie – za to, że wcześniej UPA dwukrotnie napadła na posterunek milicji i zabiła część obsady. Józef Kopczyński był w grupie dwunastu młodych funkcjonariuszy, których w 1946 roku wytypowano do utworzenia nowej placówki MO.

Wspomina:

– Do Baligrodu, gdzie służyłem, nadeszło polecenie z Leska, że mamy w głębokich Bieszczadach utrwalać władzę ludową. Tydzień później wyruszyliśmy pieszo przez góry, z jedną pepeszką i zwykłymi karabinami. Przewodził nam kapral Błachuta, jedyny z doświadczeniem. Po wielu godzinach marszu zatrzymaliśmy się na odpoczynek u chłopca w Rajskim. Zналиśmy go z widzenia, bo niekiedy odwiedzał w Baligrodzie swoją siostrę. Wchodzimy do chałupy, a tam na przyzbie jak w dobrze zaopatrzonym sklepie: leżą chleby, masło, ser, kury oskubane. Gospodyni od razu postawiła na piecu wielki gar z wodą i wrzuciła dwie na rosół. Pojedliśmy, wypiliśmy po szklance wódki, a przed zmierzchem poszliśmy dalej. Dopiero jakiś czas później się dowiedziałem, że gospodarz, który nas ugościł, był *charczowym**; zbierał w wiosce żywność i sprzęt dla banderowców...

Do Zatwarnicy dotarliśmy późnym wieczorem. Zajęliśmy murowany, parterowy budynek, bodaj po szkole czy poczcie. Nie było w nim ani pryczy, ani stołu, tylko goła,

* Kwatermistrzem (ukr.).

brudna podłoga. Po godzinie kapral Błachuta wysłał trzech ludzi do Suchych Rzek, żeby przynieśli stamtąd słomę na posłania. Zabrali tę słomę z pierwszej z brzegu chaty, nie pytając o zgodę jej właściciela, a na odchodnym ukradli barana. Poderżnęli mu gardło, oskórowali, wypatroszyli, ale w czym ugotować? Znowu trzech pobiegło do baraków przy tartaku, gdzie mieszkało kilka polskich rodzin, głównie wdowy z dziećmi. Pożyczyli od nich garnki, w których potem dusili mięso. Śmierdziało jak cholera, a zupa z barana, taki niby-rosół, już po pierwszej łyżce zalepiała gardło niby klej.

Warta wypadła mi pierwszej nocy. Nieopodal płynął potok. Za dnia jego szum był dobrze słyszalny z naszej kwatery, ale po zmroku, kiedy wioskę spowijała zupełna cisza, jeszcze bardziej się wzmacniał. Stałem w pojedynkę, z bronią gotową do strzału, i ciągle myślałem, że oto nadchodzą banderowcy. Nigdy bym nie przypuszczał, że tak bardzo można się bać. Noc była ciepła, lecz mną targały zimne dreszcze. Modliłem się, żeby wreszcie ktoś mnie zmienił. Te dwie godziny wydały mi się wiecznością.

Rankiem zaczęliśmy oporządkować przyszły posterunek. Ukraińscy gospodarze do nas nie przychodzili, a mimo to wyczuwaliśmy, że jesteśmy pod obserwacją. Tylko Polacy z tartaku zaszli zapytać, czy zostaniemy w Zatwarnicy dłużej. Odpowiedzieliśmy, że taki mamy rozkaz, więc się ucieszyli. Dotąd nie zaznali ze strony ukraińskich sąsiadów żadnej krzywdy, nie nękała ich także UPA, a jednak nie byli pewni jutra. Ta nasza grupka nie mogłaby w żaden sposób stawić oporu w razie ataku upowców, ale chodziło o pokazanie, że nie jesteśmy tchórzami. Z drugiej strony gdzie ci nasi przełożeni mieli rozum, gdy wysyłali grupkę gówniarzy w najbardziej naszpikowany „tryzubami” teren?

Piątego dnia przyszedł sołtys z Suchych Rzek. Powiedział, że sotenny „Bir” radzi nam wracać, bo szkoda ginąć w tak młodym wieku. Nazajutrz zabraliśmy Polaków z tartaku i odjechaliśmy na dwóch pożyczonych od tubylców wozach. Po drodze banderowcy za nami strzelali, ale bardziej dla postrachu, niż żeby trafić. Tak się skończyło utrwalanie władzy ludowej w Zatwarnicy.

Wetlinę miano wysiedlić jeszcze w 1945 roku, najpierw w marcu, potem w maju. W *Słowniku historyczno-krajoznawczym Bieszczad – Gmina Cisna* czytamy: „(...) pojawili się agitatorzy namawiający do wyjazdu na Ukrainę, ale nie było chętnych. W końcu czerwca przyjechał do wsi oddział LWP. Żołnierze (...) ogłosili, że następnego dnia o godzinie 9 wszyscy mieszkańcy mają się stawić przy drodze, gdzie podjadą ciężarówki, które wywiozą ludzi na stację kolejową. Wśród powszechnego lamentu rozeszła się wieść, że przesiedlenie oficjalnie nie jest przymusowe. Przez całą noc w pocie czoła mieszkańcy pakowali swój dobytek i zakopywali to, czego nie mogli zabrać. Przed świtem byli już w lesie. Rano wojsko zabrało tylko dziecięć rodzin, u których nocowało. Nie znalazłszy innych mieszkańców, żołnierze demolowali wnętrza opuszczonych domów, rozbijali drzwi i okna. Potem pojechali do sąsiedniego Smereka, gdzie również zastali opuszczoną wieś. Tu wypuścili wcześniej zabrane rodziny”.

I dalej: „Całe lato mieszkańcy Wetliny spędzili w lesie. Na wzgórzu zwanym Szybenycia urządzili punkt obserwacyjny zaopatrzony w dzwon. Było stąd widać Smerek (...), jedyny kierunek, skąd mogło nadjechać wojsko. Gdy panował spokój, młodzi wychodzili z lasu i pracowali na polach.

W razie niebezpieczeństwa dyżurujący przy dzwonie uderzał w niego trzy razy”.

Żyli w ten sposób do późnej jesieni. Gdy wojsko opuściło Wetlinę (od czerwca do listopada nachodziło wieś parokrotnie), mogli wrócić do zdemolowanych gospodarstw. Ostra, śnieżna zima nie sprzyjała wysiedleniom, na dodatek pod koniec lutego władze powiadomiły sołtysa, że akcja nie zostanie powtórzona. Niektórzy uwierzyli, ale bardziej nieufni częściej sypiali w polu niż w domach. 7 czerwca 1946 roku żołnierze LWP otoczyli Wetlinę. Podpalili czterdzieści dwa domy w przysiółku Stare Sioło. „Następnie strzelając i krzycząc: »Zbierajcie się, banderowcy!«, rozbiegli się po całej wsi. Zaskoczeni ludzie (...) w pośpiechu zbierali najpotrzebniejsze rzeczy. Mieszkańców ładowano na ciężarówki. Okazało się, że jest ich za mało, więc żołnierze zrzucaли z samochodów dobytek (...). Wysiedlonych zawieziono do Cisnej. Stąd na piechotę ruszyli na północ. Pierwszą noc spędzili pod gołym niebem w Mchawie. Drugiego dnia dotarli do stacji Lesko-Łukawica, gdzie koczowały tysiące wysiedlonych, oczekując na transport na Ukrainę (...). W nocy żołnierze próbowali odebrać ludziom zachowane jeszcze resztki dobytku. Wśród tumultu został zabity 35-letni Iwan Sycz”.

15 czerwca wetlinianie pojechali wagonami bydłecymi do Związku Sowieckiego. We wsi pozostało zaledwie czternaście rodzin – tych, które akurat pracowały na roli i miały blisko do lasu. Potem musiały pomagać wojsku w żniwach i wykopkach, ale niemal wszystkie zbiory przetransportowano do Baligrodu lub dalej. Jeszcze latem ubyło dwóch Ukraińców – zastrzelił ich oficer LWP za odmowę pracy w niedzielę. Na koniec, przed odjazdem, żołnierze podpalili zgromadzone w cerkwi siano, na którym wcześniej spali.

Spłonęło wnętrze świątyni, lecz pozostał dach, ściany i kupała. Znikną cztery lata później, wysadzone w powietrze przez Wojska Ochrony Pogranicza.

Może polskie oddziały nie byłyby takie pewne siebie, gdyby rok wcześniej operującą w rejonie Wetliny sotnię „We-sełego” nie rozłożył tyfus płamisty, a reszty partyzantów nie wybiły prawie do nogi siły NKWD.

W maju 1946 roku zniszczono Bereżki. Anna Semczyszyn miała wtedy dziewięć lat i widziała brutalność żołnierzy. Polskich i sowieckich. Ci pierwsi pochodzili w dużej mierze z Wołynia; chcieli się mścić za rodaków wyróżnionych trzy lata wcześniej przez banderowców oraz podburzonych przez nich ukraińskich chłopów. I mścili się, choć nie zabijali, a przynajmniej nie ma kogoś, kto by potwierdził takie przypadki. Oddziałem LWP, w którego składzie znaleźli się także żołnierze radzieccy, dowodził wspomniany już podpułkownik Jan Gerhard. Jeszcze nie raz zaznaczy swoją obecność w Bieszczadach i zostanie zapamiętany jako zapiekły wróg Ukraińców.

Anna relacjonuje:

– Wojsko przyszło z Ustrzyk Górnych. Nasza rodzina i cztery inne zdołały w porę opuścić domy i uciec. Las był blisko, ale baliśmy się, że mundurowi nas znajdą i wywiozą w nieznane. Albo zamkną w więzieniu. Nikt nie mógł sobie wyobrazić, że moglibyśmy stąd odejść, zostawić gospodarstwa. Po paru dniach zeszliśmy do wioski. Była zupełnie pusta. Tato zabrał krowy i znowu, dla pewności, wróciliśmy do lasu. Mężczyźni sklecili szałas i tak koczowaliśmy chyba z miesiąc. Wiem jeszcze, bo mi starsi potem opowiadali, jak

rozniosła się wiadomość, że wojsko będzie wywozić z gór tylko do piętnastego maja. Ale żołnierze przychodzili do Bereżek i Stuposian jeszcze trzykrotnie, robili obławy na uciekinierów. Któregoś dnia zabrali mojego tatę prosto z pola. Pojechał daleko, aż do Stalińskiej *obłasti**. Dowiedziałam się o tym parę lat później, kiedy dostaliśmy list. Tato prosił, żebyśmy do niego przyjechali, bo on przyjechać do Polski nie może. Już nigdy go nie zobaczyłam...

Wtedy, w maju i czerwcu, wojacy ukradli nam dużo rzeczy i wszystkie kożuchy. W sierpniu poprowadzili nas i jeszcze cztery rodziny z Bereżek do Ustrzyk Górnych. Na odchodnym podłożyli pod domy ogień, spalili także cerkiew. Szczęśliwie ocalał krzyż i tabernakulum; leżały potem na cmentarzu przy jakimś grobie... Zamieszkaliśmy w zadymionej chyży, podobnie jak inni wysiedleni. Softys powiedział, że byle przeżyć zimę, a potem już będzie lepiej. Tylko że bez kożuchów strasznie marzliśmy. Wtedy w Górnych tylko w dziesięciu chatach toczyło się życie. Reszta ludzi była już w ZSRR. Z wiosną przyszła nadzieja. Chodziłam z dziadkiem Kabłaszem do Bereżek patrzeć na nasze pola. Zboże nie było pomłócone, to wytargał z lasu schowane deski, zbił prowizoryczny podest i na nim młócił, żeby nic się nie zmarnowało. Ale na zgłiszcza po naszym domu nie mogłam patrzeć. Był kryty gontem, wyróżniał się architekturą spośród innych. Po wysiedleniach usłyszałam, że najlepiej było takiemu, który żył w kurnej chacie. Nie miał czego żałować.

W jaki sposób dowodzeni przez Gerharda żołnierze traktowali ukraiński majątek, świadczy raport kapitana Szalapaty z 14. Pułku Piechoty. Píše w nim między innymi:

* Obwodu (ukr.). W latach 1938–1961 taką nazwę nosił obwód doniecki.

„Z przemarszem oddziałów 34. pp pojawił się wzdłuż jego trasy cały szereg pożarów. (...) Boczne ubezpieczenia (...) paliły po drodze wszystko, co nawinęło im się pod rękę, nie wyłączając kop siana mogących przy panującym tutaj braku dowozu w przyszłości bardzo się przydać. Żołnierze zapytywani przez nas, w jakim celu tak bezwzględnie palą, odpowiadali, że taki był rozkaz ich dowódcy pułku. U wszystkich tych żołnierzy dało się jednak zauważyć wyraźne rozwydrzenie i całkiem bezinteresowną chęć niszczenia dla niszczenia”.

– Gdy w Jaworcu zapłonęły pierwsze chyże, ludzie siedzieli w zaroślach powyżej wioski – wspomina Bazyli Buszowiecki. – Wieść o tym, że wojsko wywozi Ukraińców na Wschód, szła od gromady do gromady, a całe rodziny spędzały noce poza domem. Moja rodzina też zdążyła uciec. Tato z macochą i małym synkiem ukryli się w zagajniku za oborą, a ja wlałem na strych. Gdy zobaczyłem ogień w sąsiednich gospodarstwach, zeskoczyłem i przez potok dałem dyla w krzaki. Byłem zwinny, to mi się udało. Żołnierze dostali rozkaz, że jak w chatach nikogo nie zastaną, mają podkładać ogień. Pod naszą też podłożyli.

Miałem szesnaście lat, a nie mogłem się powstrzymać od płaczu. Najbardziej było mi żal ciotki i stryja, którzy z własnej głupoty dali się wywieźć. Nie wierzyli, że do tego dojdzie, zresztą nie tylko oni. Mówili, że wojacy przyjdą, popyskują, coś zabiorą i odejdą. Bo to raz tak robili? Wtedy, nie pomnę, którego czerwca, spalono dużo zagród, ale nie ruszono cerkwi. Jakby żołnierze się bali, że taki czyn obróci się przeciwko nim. Tyle że wygnano razem z innymi naszego księdza i nie miał kto odprawiać mszy dla tych, którzy

zostali. W identycznej sytuacji znaleźli się uciekinierzy z Zawoja i Łuhu. Ten sam ksiądz posługiwał w trzech wioskach.

Z leśnej kryjówki Buszowieccy nie mieli do czego wracać. Poszli do przysiółka Kobylskie, skąd wysiedlono wszystkich mieszkańców. Tam jakimś cudem ocalało dwadzieścia chat i teraz, już niczyje, dały ludziom z Jaworca dach nad głową. Ale część rodzin zdecydowała się zostać na swoim. W nie-spalonych chyzach albo w skleconych z resztek materiału kuczkach.

– Zaraz po czerwcowych wywózkach ktoś rozpuścił plotkę, że kolejnych nie będzie.

– Wojsko Polskie weszło do Suchych Rzek od Połoniny Wetlińskiej. Rzuciliśmy się do ucieczki, tak samo pozostali mieszkańcy. Części rodzin udało się dopaść zarośli i potem pójść głębiej w gęsty bór, innym nie. Żołnierze zawrócili ich do wioski. Niektórych widziałem wtedy po raz ostatni.

Kiedy K. opowiada o tamtym czerwcowym dniu 1946 roku, patrzy w podłogę. Powoli buduje zdania, czasami zaczyna i nie kończy. Jakby mu słowa nie mogły przejść przez gardło. Poci się, ociera czoło, stuka palcami w stół. Oparta o kredens żona nie wytrzymuje:

– Wykrztuś wreszcie, jak się pogubiła twoja rodzina.

Zatem tak:

– Wojsko szło od Wetlińskiej, a myśmy uciekali w przeciwnym kierunku. Każdy chwycił tylko to, co miał pod ręką. Mama i siostra Krysia biegły na samym końcu, dlatego już nie zdążyły się ukryć. Ale o tym nie mieliśmy wtedy pojęcia.

Jak wielu pojechały przymusowo do ZSRR, ponad tysiąc kilometrów od Polski. K. zobaczy je dopiero w 1962 roku, ale będzie żałował. Powtórzy parokrotnie, że to spotkanie

jedynie rozdrapało stare rany. Przez jakiś czas będą jeszcze pisać listy, ale wkrótce i ten kontakt się urwie.

– W ciągu szesnastu lat od wysiedlenia całkiem się zmieniły, jakby je przemaglowano – tłumaczy. – Były bliskie, a zarazem obce. Tato strasznie nad tym bolał, ale rozumiał, że do Polski ich nie ściągnie, a sam też nie pojedzie do Sowie-
tów. Później ożenił się drugi raz.

Żołnierze pognali ludzi do stacji kolejowej w Łukawicy, aż pod Lesko. My po paru dniach wróciliśmy do pustej wsi. Po domach zostały zgłiszcza, a między nimi pętały się kury. Ocalały może ze trzy gospodarstwa, chociaż nie w całości. Po naszej chacie został komin i trochę drewna, więc zabraliśmy uratowane rzeczy, krowę i odeszliśmy do Hulskiego. Ja, tato, brat Sławek i siostra Maria zamieszkaliśmy w chałupie gospodarza, który też, jak setki pechowców, nie zdążył uciec. Dziwne, ale w Hulskim nie spalono zabudowy. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego żołnierze jedną wioskę puszczają z dy-
mem, a drugiej darują.

Hulskie zaraz po wojnie liczyło trzystu sześćdziesięciu mieszkańców. W ciągu jednego letniego dnia 1946 roku zostało siedem rodzin.

Gdy wywożono ludzi z Tworylnego, M. miała ledwie cztery latka. Kiwa głową, że i tak dużo pamięta, zwłaszcza ogień. Cała dolina zamieniła się w jedno wielkie ognisko, a ludzie krzyczeli, jakby ich obdzierano ze skóry.

– Kto się zanadto opierał, dostawał kolbą przez łeb – mówi. – Wtedy zniszczono część gospodarstw i cerkiew. Później starsi opowiadali, że zbrojni strzelali do świętych obrazów, choć nie wiem, czy dawać temu wiarę. Ale powstała legenda, że jak ikona Matki Bożej spadła ze ściany, to wojacy

jej długo szukali i nie mogli znaleźć. Podobno powtarzali: „Gdzie jest ta ukraińska matka? No, gdzie się schowała?”.

Na pewno ukryło się trochę rodzin – tych, które w chwili wejścia polskich oddziałów pracowały na gruntach blisko lasu lub przebywały poza wsią. Nie wiedziały, że za niespełna rok podzielą wygnańczy los sąsiadów. M. jeszcze o tym opowie, bo i ona uchowala się wtedy w Tworylnem.

– Ktoregoś dnia polscy żołnierze znowu zrobili obławę na mieszkańców, ale tym razem nikogo nie wywieźli. Za to – jak mi w dorosłości opowiadali krewni – pobili czternastoletniego Janka Olejnika. Akurat orał pole pługiem zaprzężonym do konia. Mundurowi zapytali, skąd go wziął, skoro rodzina nie miała własnego. Gdy przyznał, że pożyczył od banderowców, to go zmasakrowali. Baby ze wsi przybiegły błagać o litość, bo chłopak, sierota z szczęciorgiem rodzeństwa, niczemu niewinny, ale nie było zmiłuj. Musiał ponieść karę za to, że chciał zapracować na chleb. Przeżył, lecz doświadczył takich tortur, że musiano mu zrobić trepanację czaszki. Niedługo potem zmarł.

Z Tworylnego wypędzono w czerwcu 1946 roku pięćdziesiąt pięć osób. Niewiele, jeśli wziąć pod uwagę blisko ośmiuset mieszkańców, ale dużo, jeśli zważyć, że nagle musieli zerwać wszelkie dotychczasowe relacje. S. trafili pod Lwów, przeszli sowietyzację i uwierzyli w wielkość Stalina. W latach pięćdziesiątych do Polski wróciła ze Stanów Zjednoczonych ich siostra. Od lat nie miała kontaktu z najbliższą rodziną, bo jakoś nie chcieli do niej napisać z Sojuza. Dopiero z górą dekadę później dowiedziała się, gdzie mieszkają jej krewni, ale dawnych więzi nie udało się odtworzyć. Żyli w dwóch diametralnie różnych światach, bliskich sobie geograficznie, lecz odległych mentalnie.

– Żeby jakoś przetrwać, ludzie kopali jamy w ziemi, sklecali szałas i tak żyli do czasu, aż uznali, że mogą wrócić do wsi – wspomina Ewa Stołyca, z domu Mastyła. – Bo to nie było tak, że wojsko przyszło tylko raz i dało sobie spokój. Polscy żołnierze wracali do Krywego parokrotnie, przeczesywali zarośla, piwnice, ziemianki. W obawie przed UPA głębiej w las się nie zapuszczali, ale jeśli tylko gdzieś na obrzeżach zauważyli dym z ogniska, nie wahali się najść obozu uciekinierów. Wtedy już tacy nie mieli szansy wywinąć się od wywózki na Wschód. Ale wcześniej też dawali się nam we znaki.

Kiedyś zobaczyliśmy ich z daleka. Mama krzyknęła, że-
bym zabrała z łąki jałówkę i pobiegła do zaprzyjaźnionego gospodarza w Hulskiem. Całą noc razem z bratem siedzieliśmy w zaroślach. Kiedy ja spałam, on stał na warcie, potem na odwrót. Było mi bardzo zimno, ale przynajmniej mogłam się przytulić do naszej krowiny. Rano mama znalazła nas śpiących pod jodłami. Wojsko odeszło, więc wróciliśmy do domu. Jakiś czas później znowu znienacka wpadli do wsi i wtedy już nie uchroniliśmy jałówki przed kradzieżą.

Józef Wajda, rocznik 1938:

– Uciekliśmy z domu w Krywem razem z kilkoma innymi rodzinami na wzgórze Diłok. Tam zaszyliśmy się w gęstwinie, lecz nie uszło to uwadze wojskowych. Zostaliśmy okrążeni i pod eskortą poprowadzeni na skraj wioski. Dzieci płakały, kobiety w rozgorączkowaniu próbowały błagać żołnierzy, żeby nas zostawili, ale oni wtedy przeklinali i krzyczeli. A jeśli ktoś się ociągał, to go bili kolbami po grzbiecie. Ciągnąłem na powrozie krowę. Wiedziałem, że za nic w świecie nie mogę jej zostawić, dlatego obwiązałem sznur kilka razy

wokół dłoni, żeby mi nie uciekła. Najgorsze jednak, że jakiś żołnierz chciał mi ją odebrać. Próbował zerwać z moich rąk powróż, ale tak mocno trzymałem, że mu się nie udało. Kiedy w tej szamotaninie upadłem, inny wojak doskoczył i nakrzyczał na kolegę. Tak doszedłem z krową do stacji kolejowej w Ustrzykach Dolnych*, a oprócz mnie jeszcze kilkanaście innych osób. Miałem osiem lat i nie rozumiałem, że na zawsze opuszczam rodzinne strony.

To były podłe dni. Słabsi chorowali na tyfus i – pamięta Ewa Stołyca – padali jak muchy. W wypędzaniu mieszkańców Krywego oddziałowi LWP pomagali żołdaci sowieccy. Ci byli nawet bardziej zapiekli, zdecydowanie gorliwiej wykonywali rozkazy przełożonych. Przekonywali wysiedlanych, że w Związku Radzieckim dostaną więcej ziemi, zwierząt, będą wreszcie szanowani. Tymczasem większość trafiała do kolchozów i sowchozów, by tam – nieraz niewolniczo – pracować dla Kraju Rad. W Polsce pozbawiono ich majątku, a w ZSRR nie dostali w zamian nic. Najbardziej niepokornych oraz podejrzanych o współpracę z UPA deportowano na Syberię. Niektórzy nigdy nie pogodzili się z wygnaniem: popadali w pijaństwo, odbierali sobie życie. Silniejsi próbowali na dziko wracać w swoje strony i to się niekiedy udawało, ale potem, w czasie operacji „Wisła”, w dwójnasób przeżywali tragedię wygnania.

Anna Wajda, rocznik 1935:

– Wojsko polskie przychodziło do Krywego kilkakrotnie. Żołnierze wchodzili do chat, ale gdy widzieli, że są tylko kobiety i dzieci, to szli dalej. Nasi ojcowie, mężowie i bracia

* Ustrzyki Dolne od lipca 1944 roku znajdowały się w granicach ZSRR.

siedzieli wtedy w lesie. Taki był nasz sposób na uniknięcie wysiedlenia. Gdy żołnierze zbliżali się do wioski, to myśmy już o tym wiedzieli, więc mężczyźni mogli się ukryć.

Tamtego czerwcowego dnia miało być podobnie. Gdy zbrojni z orzełkami na czapkach szli od Zatwarnicy, czujki ukraińskich cywilów rozgłaszały mieszkańcom, że trzeba uchodzić w zieloną gęstwinę, między świerki i buki. Bez matek i dzieci, bo tych wojskowi nie ruszą. Przecież nie odważyliby się stanąć przeciw słabym, bezbronnym.

– Jakże się pomyliliśmy – opowiada Anna. – Wyganiaли nas z domów niczym bydło, a kto się opierał, tego bito po twarzy, głowie i plecach. Nie zważano na starców ani matki; ich lament niósł się po całej dolinie, a żołnierze krzyczeli, że muszą nas wywieźć, bo wszyscy jesteśmy banderowcami. Gdy jedni wojacy wyrzucali ludzi z chałup na podwórza, inni przeszukiwali zarośla nad Sanem i brzegi lasów. Większość naszych udało im się zlokalizować i razem z bydłem spędzić do wioski. Wszystko to przypominało zabawę w chowanego, tylko że nikomu nie było do śmiechu.

Pamięta brutalność i bezwzględność żołnierzy. Jakby im serca skamieniały. No bo czy można zobojętnieć na widok młodej kobiety, która przed chwilą – na skutek silnego stresu – przedwcześnie urodziła, a teraz, na wpół przytomna, ma wstać i z niemowlęciem maszerować kilometry w kolumnie wysiedleńców? Pewnie można, skoro tak właśnie się stało.

– Miała na imię Katarzyna – mówi dalej Anna. – Ledwo szła, a wojskowi wciąż poganiali, żeby szybciej. W pewnej chwili jakiś szeregowiec nie wytrzymał i poprosił starszego stopniem, który jechał na wozie, żeby się zlitował nad kobietą z noworodkiem. Tłumaczył mu, że nie zdoła w takim stanie maszerować dalej, że w końcu upadnie, wykrwawi się,

a dziecko może umrzeć. I wtedy tamten wycedził: „Niech się wlecze, kurwa ukraińska”.

Doszli do brzegu Sanu nieopodal Dwernika. Było późne popołudnie, gdy żołnierze otworzyli ogień. Ludzie wpadli w panikę; myśleli, że zostaną rozstrzelani i zakopani w bezimiennym dole.

– Ale Polacy strzelali w górę i gnali nas do rzeki – opowiada Anna. – Po drugiej stronie był już Związek Radziecki. Tak oto w ciągu paru godzin od wygnania znaleźliśmy się w stalinowskim „raju” i odtąd prowadzili nas już krasnoarmiejcy. Pod Dwernikiem pozwolili nam wejść do opuszczonych domów, z których kilka dni wcześniej NKWD wypędziło Ukraińców. Mielśmy poszukać czegoś do zjedzenia. Obraz był ponury; nie zastaliśmy ani jednego człowieka, chałupy były ograbione, po podwórzach biegały pozostawione w pośpiechu koty i psy. W tym samym czasie do Krywego wracali ci, którzy dobrze ukryli się przed wojskiem. Zastawiali puste gospodarstwa i dopiero wtedy uświadamiali sobie, że rozdzielono ich z bliskimi. Mój tato, dziadek i wuj nie mogli postąpić inaczej, jak tylko zabrać jeszcze trochę dobytku i wyruszyć za nami. Na poniewierkę, do przeklętego Sojuza, ale przynajmniej razem. W starej chyży znalazłam trochę kartofli, inni podobnie, ale niektórzy nie znaleźli nic i musieli dalej iść na głodno. Człowiek tydzień przeżyje bez jedzenia, ale jak przeżyć śmierć dziecka? Synek Kasi nie wytrzymał, pochowaliśmy go przy drodze w wykopanym gołymi rękami grobie. Po zmroku Katarzyna uciekła przez rzekę z powrotem do Krywego, gdzie zostali jej krewni. Wtedy widziałam ją ostatni raz.

Być może udało się jej przetrwać i rok później osiadła gdzieś na Ziemiach Odzyskanych, jak tysiące jej ukraińskich

rodaków. Być może ta ucieczka po stracie dziecka była najlepszym rozwiązaniem z możliwych, ponieważ – mimo wszystko – dawała szansę na lepsze życie niż w ZSRR. Być może tak, być może nie. Takich jak ona było niewielu, a każda dostrzeżona przez żołnierzy próba ucieczki kończyła się najczęściej śmiercią.

Na stacji kolejowej w Ustrzykach Dolnych Wajdowie koczowali sześć dni. Byli zbyt blisko domu, by pozwolono im tu zostać, choć nie stracili nadziei aż do chwili, gdy wsiedli do wagonów, a strażnicy zatrzasnęli drzwi od zewnętrznej strony.

23 czerwca 1946 roku osiemnaście rodzin odjechało w głąb Kraju Rad. Inni zdołali przetrwać w lesie lub zmyślnych kryjówkach we wsi. Wasyl Mastyla wlaźł do gnojownika; siedział tam trzy doby, mając przed sobą jedynie wąski lufcik, przez który docierało powietrze. Nocami wtajemniczeni dostarczali mu jedzenie. Kiedy już nie mógł wytrzymać, podczołgał się do cerkwi, a potem wspiał po stromych schodach aż do jej kopuły. Tam dołączył do ojca. Ewa donosiła im ukradkiem pożywienie i zabierała wiadro z fekaliami. Najbardziej bała się, że wpadnie z bliskimi w łapy wojska, gdy otwierała wielkie drzwi cerkwi. Przeróżliwie skrzypiały w zawiasach, a zdradliwy dźwięk niósł się nocą po całej nadsańskiej dolinie.

Potem mówili, że czuwała nad nimi święta Paraskewa, patronka świątyni.

„Chrin” wszedł do domu Fanuków, aby odpocząć, chociaż nie miał w zwyczaju przesiadywania po chatach. Tu, w Seredniem Wielkim, znał wszystkich z imienia i nazwiska, także nielicznych Polaków. Tego dnia wraz z podwładnymi

chciał się zabawić. Maria miała siedemnaście lat i bała się, że upowcom przyjdzie ochota na coś więcej niż tańce. Mimo że Ukrainka, nie mogła być pewna, czy ją uszanują.

Opowiada:

– Stał u progu i powiedział, że dzisiaj we wsi hulanka. Rozkazał, żebym koniecznie przyszła, a ja odpowiedziałam, że nie bardzo mam ochotę, bo w gospodarstwie dużo pracy. Przeszł mi wzrokiem i oznajmił, że jeśli odmówię, każe mi ogolić do łysa głowę. Tak samo zresztą zapowiedział innym dziewczętom we wsi. Co miałam robić? Musiałam z banderowcami tańczyć i jeszcze się uśmiechać.

Pamięta „Chrina”, jak jeździł po wiosce na koniu i z jego grzbietu wydawał polecenia bojowcom. Nie raz i nie dwa kwaterował w Seredniem bądź w Choceniu, ściągając dla sotni żywność i odzież. Raz pewien upowski partyzant rzucił Marii swoje dziurawe skarpety i nakazał, żeby zacerowała. Brzydziła się, bo śmierdziały, ale tak na nią popatrzył, jakby chciał zabić. Tego dnia był u niej w odwiedzinach sąsiad Janowski, Polak. To on przekonał Marię, żeby wzięła igłę i nici.

Gdyby była tylko jedna taka sytuacja, pewnie by zapomniała. Ale podobne zdarzały się częściej. Za ten przymus, zastraszanie, ciągłą niepewność nie lubiła tych z UPA. Nie lubiła też polskich partyzantów, żołnierzy, ponieważ postępowali identycznie. Potrafili złożyć skórę chłopu, który opierał się przed oddaniem ostatniego zapasu jedzenia. Nie patrzyli, że miał w domu dzieci do wykarmienia. A ojciec Marii swojej postawy o mało nie przypłacił życiem.

– Banderowcy przy każdej okazji zabierali młodych Ukraińców do lasu, nieustannie wzmacniali szeregi. Kiedyś przyszedli do Seredniego, wywlekli ojca z chałupy i za to, że nie oddał syna do sotni, obili go batogiem. Potem ksiądz się

nad nim modlił, bo leżał prawie bez ducha. Całe plecy miał w ranach, mięso z niego wylażyło, ale szczęśliwie się wylizał.

W styczniu 1946 roku banderowcy rozprawili się z operującym na tym terenie oddziałem LWP. „Chrin” we wspomnieniach *Zimą w bunkrze* tak opisuje zdarzenie: „Zebrała się na Jordana ludność wsi Średnie Wielkie i Choceń na Łemkowszczyźnie. W tym czasie w obrzędzie brała też udział sotnia dowódcy »Bira«. Właśnie tego dnia jeden oddział Wojska Polskiego (...) przyszedł uderzyć na wioskę. Na prośbę ludności »Bir« uderzył na Polaków z dwóch stron i rozbił ich. Na polu walki zostało trzydziestu zabitych wrogów. Resztę niedobitków buńczuczny »Stach« gnał aż do Baligrodu. Tam ostrzelała ich jeszcze raz druga grupa WP, która szła na pomoc pierwszej. Było przy tym jeszcze kilku zabitych. Ośmiu polskich jeńców powstańcy ubrali w najgorsze łachmany, przypasali słomianym powrósem. Tak puścili ich (...) i kazali powiedzieć: »To za Wodochreszcza«. Ludzie z radości kropili strzelców święconą wodą i mówili: »Bóg zesłał karę na Polaków«. Po naszej stronie nie było nawet jednego zabitego”.

Maria:

– W Seredniem opowiadano, że żołnierze chcieli się zemścić na UPA za sierpień tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku w Baligrodzie, ale się przeliczyli. W czasie strzelaniny byłam akurat w cerkwi na nabożeństwie. Potem ludzie wracali do domów, a banderowcy chodzili rozpromienieni po wsi i wznosili radosne okrzyki. Spotkał mnie mój kolega, który służył w oddziale „Chrina”, i powiedział, że ukraińscy bojownicy przepędzili Lachów na cztery wiatry. Nieco dalej zobaczyłam pozabijanych żołnierzy. Potokiem płynęła krew...

Siedem miesięcy później, 24 sierpnia 1946 roku, w Choceniu wojsko robi obławę na sotnię „Chrina”. On sam ujdzie z życiem, ale straci dwudziestu czterech partyzantów, a dwóch rannych dostanie się do niewoli. Będzie to jego pierwsza tak dotkliwa porażka w potyczkach z oddziałami polskimi w Bieszczadach.

– Tego dnia przerażeni wieśniacy uciekali aż do Kułasznego – mówi Maria. – Potem wyszło na jaw, że miejsce obozowania sotni zdradził pojmany wcześniej sołtys Średniej Wsi.

Ukraińcy wysiedlani z Seredniego Wielkiego odjeżdżali do ZSRR ze stacji kolejowej w Zagórze. Spędzano tam ludzi także z innych pobliskich wsi.

Maria opowiada:

– Na własnej furmance dotarliśmy do Tarnawy. Była wyładowana tobołami, jakimś sprzętem, wszystkim, co zdołaliśmy zabrać i w czym nie przeszkodzili nam żołnierze. Na drodze zobaczył nas wójt, polski znajomy naszej rodziny. „Fanuk, a gdzie ty się wybierasz?” – zapytał ojca. Ten odparł, że tam, gdzie wszyscy, do Związku Radzieckiego. „A po co, dlaczego?”. „Bo tutaj już żyć się nie da, ciągłe napady, zabójstwa, łzy”. Wójt aż się za głowę złapał. Oznajmił, że nigdy na to nie pozwoli, ponieważ na Wschodzie jest jeszcze gorzej. Kazał nam wjechać furą na jego posesję i tam, u wójta w domu, przeczekaliśmy najgorsze.

Znajomi z naszej wioski prawie dwa tygodnie koczowali na stacji w Zagórze. Pod gołym niebem, bez zapasu żywności, jedynie z bochenkiem chleba, który dał im ktoś z miejscowych. Nawet myśleli, że może ich nie wywiozą,

tylko zawrócą do gospodarstw, ale potem nagle podstawiono wagony towarowe.

W Seredniem Wielkim zostało szesnaście rodzin.

Tym, którzy z własnej woli odjeżdżali do ZSRR, zdawało się, że oto wybierają podróż do krainy szczęśliwości. Przyjmowali za dobrą monetę zapewnienia cywilnych i wojskowych władz PRL, że tam, w państwie wielkim i zasobnym, czeka ich lepsza przyszłość. Paulina Smarkucka z Romanowej Woli, za panny Karpecka, opowiada, że zachowanie niektórych było wręcz irracjonalne. Jak choćby stryja matki, niejakiego Brzezińskiego, który bezzwłocznie zgłosił się do wyjazdu.

– Krewni i sąsiedzi przekonywali go, żeby został, lecz on się uparł. Tłumaczył, że Związek Radziecki to najlepszy kraj na świecie, i denerwował się, kiedy ktoś temu zaprzeczał. Spakował dobytek, z całą rodziną pojechał na stację kolejową, ale że każdemu dokładnie sprawdzano dokumenty, to wyszło, że żadni z nich Ukraińcy, tylko Polacy. A jeśli tak, to nie mają czego szukać w Sojusie.

Brzezińscy trzy razy próbowali wyjechać i trzy razy wyrzucano ich z wagonu.

– Nawet wtedy nie odpuścili. Ten stryjek mamy miał w ZSRR rodzonych braci, którzy w czasie wojny trafili do obozu pracy przymusowej. Powtarzał, że skoro oni cierpią niedostatek, to on też solidarnie z nimi będzie cierpiał. W końcu dopiął swego i nigdy do Polski nie wrócił.

– To było początkiem maja – zaczyna Adam Kaczałuba. – Żołnierze przyszli z Ustrzyk Górnych, obstawili wieś i zaczęli wypędzać ludzi na podwórza. Część mieszkańców

już wcześniej słyszała o prowadzonych w Bieszczadach wysiedleniach, jednak nie wszyscy spośród nich wierzyli, że to masowa, zorganizowana akcja i że nikomu z Ukraińców nie będzie przysługiwać taryfa ulgowa.

W Stuposianach w 1946 roku żyło kilkunastu Polaków. Nie zapomnieli, że Ukraińcy stawali w ich obronie przed terrorem ze strony UPA, dlatego teraz pomagali im ładować na wozy sprzęty, narzędzia, kufry i przewozić wszystko do lasu. Zresztą tak samo poradzili im banderowcy.

– Panowało przekonanie, że polskie oddziały nie będą sprawdzać dokładnie okolicznych masywów. Ale moja rodzina – tak na wszelki wypadek i wzorem ukraińskich znajomych – przyszykowała szałas. Siedzieliśmy w jamie pod ogromną zwaloną jodłą. Mimo że to maj, nocami marziliśmy. Leżeliśmy jeden przy drugim na gałęziach i staraliśmy się jak najmocniej w siebie wtulać.

Wojsko nie odpuściło. Podpułkownik Jan Gerhard, dowódca jednostki, która odpowiadała za wysiedlenia ze Stuposian, nakazał żołnierzom przeczesać każdy metr kwadratowy porośniętych gęsto wzgórz. Uciekinierów szukano również w kryjówkach skleconych sprytnie w zabudowaniach gospodarczych. Pod ziemią i nad ziemią. Pomysłowość ludzi, którzy za wszelką cenę pragnęli zostać na swoim, była niewyczerpana.

– Nasi żołnierze wspomagani przez sowieckich prowadzili nieustanne oblawy i ostatecznie udało im się wyłapać chyba wszystkich uciekinierów. Gnali ich z powrotem do wioski, a potem ustawiali w kolumny i gnali w kierunku granicy z ZSRR. Nie pozwolili im zabrać nic oprócz tego, co mogli unieść w rękach. Nas też znaleziono, ale jako Polaków odesłano z dwiema innymi rodzinami do Ustrzyk Górnych.

Tam spędziliśmy prawie dwa miesiące, a później trafiliśmy do Baligrodu i Leska.

Pamięta, że jeszcze przez co najmniej kilka dni po odejściu ze Stuposian widział wieczorami łuny od palonych wsi. Ogień podkładali żołnierze z orzelkami i żołnierze z tryzubami. Pierwsi po to, żeby nie mógł tu zamieszkać żaden Ukraińiec; drudzy – żeby poukraińskich domów nie zasiedlili Polacy. W Stuposianach, wsi ciągnącej się na przestrzeni paru kilometrów, nie ocalała nawet jedna chata. Gdyby chociaż została cerkiew, mogłaby kluć w oczy jak wyrzut sumienia. Ale i ją obrócono w zgliszcza.

Wysiedlanie kolejnych wsi miało najczęściej podobny scenariusz, lecz zdarzały się sytuacje nieprzewidziane. Tak było w Caryńskim. Dowódca plutonu z 34. Pułku Piechoty po wejściu do wsi zorientował się, że jego oddział jest otoczony. Nie chciał narażać podwładnych na bezsensowną śmierć, dlatego za pośrednictwem sołtysa dogadał się z sotennym „Birem”. W książce *Płonące wzgórza* Ryszard Sawicki przytacza słowa plutonowego: „Widzicie, sołtysie, kazano mi zabezpieczyć wasz wyjazd z Polski. Ale że człowiek ma to miękkie serce, nie chcę ponaglać was do wyjazdu. I wiecie, co wymyśliłem? Powiadomcie mieszkańców, żeby wyszli z dobytkiem do lasu, a ja zamelduję swym przełożonym, że rozkaz został wykonany. Wieczorem wróćcie do wsi i po krzyku”.

Nie wiadomo, jak długo polski dowódca rozmawiał z „Birem”, ale sotnia odstępiała, a pluton wrócił do miejsca stacjonowania. To niejedyny przypadek, gdy upowcy nie zabijali polskich żołnierzy, a pozwalali im odejść wolno, niekiedy po rozbrojeniu. O takich zdarzeniach wojskowi i milicjanci

w raportach najczęściej nie pisali. Upowiec w ich oczach był tępy, żadnym krwi zwyrodnialcem, a sam termin banderowiec wielu Polaków wywodziło od słowa bandyta, nie zaś od Stepana Bandery, przywódcy frakcji OUN (B)*.

Deportacjom Ukraińców towarzyszyły grabieże i niszczenie zabudowy, a czasami również gwałty. Szczególnie złą sławą okrył się pułkownik Kiryluk ze stacjonującego w Lesku 36. Pułku Piechoty. Tak mocno dał się we znaki ludności, że 2 stycznia 1946 roku starosta leski Tadeusz Pawlusiewicz złożył na niego skargę do wojewody rzeszowskiego: „W związku ze stacjonowaniem w tutejszym powiecie 36 pułku 8 Dywizji, na czele którego stoi Dowódca Pułkownik Kiryluk, relacjonuję następująco: od 15 września 1945 r. rozpoczął wyżej wymieniony Pułk akcję oczyszczającą od band banderowskich, w rezultacie której band tych nie pomniejszono z tego powodu, że grupowały się po lasach, do których wojsko wcale nie dochodziło. Spalono jedynie kilka gromad ukraińskich, za co banderowcy spalili polskie i wymordowali kilkanaście osób polskich.

Wysiedlanie ludności ukraińskiej za pomocą wyżej wymienionego Pułku nie dało również prawie żadnych rezultatów. Miały jedynie miejsce całe szeregi grabieży inwentarza, ubrań i sprzętu od ludności, która nie chcąc wyjeżdżać na Wschód, opuszczała wioski i kryła się do lasu. Grabiono nawet przy tym i ludność polską, która przebywała w domach.

Pułk ten rozkwaterował się głównie w Lesku (...). Obywatel Kiryluk rozkazuje swoim podwładnym przyprowadzać sobie na kwatery przymusowo dziewczęta miejscowe celem

* Banderowskiej.

rozputy. Aresztowane kobiety każe sobie przyprowadzać (niby celem przesłuchania), a zmusza je pod groźbą rewolweru do spółkowania ze sobą.

Ob. Kiryluk w dzień targowy na rynku robi masowe łapanki na ludzi, aresztuje ich pod pretekstem banderowców, rozbija tym sposobem targi, trzyma ich w więzieniu, a następnie zwalnia za okupem. Ostatnio pobrał 25 000 zł z gromady Postolów (...).

Podpałił osobiście ostatnie gospodarstwo w gromadzie Glinne, z którego uciekał przed nim jakiś człowiek. Okazało się, że również niewinny, a poczytał go Pułkownik za banderowca i dlatego zniszczył warsztat pracy (...).

Ostatnio w czasie spalenia gromady Mchawa w gminie Baligród za zabicie dwóch żołnierzy polskich przez banderowców – spalono około 40 gospodarstw ukraińskich, ale za co spalono przy tym 14 gospodarstw polskich i zabito pięciu Polaków, skoro Polacy byli zupełnie niewinni i stale przez banderowców prześladowani.

(...) przytoczone fakty wywołują ogromne rozgoryczenie wśród ogółu, podkopują autorytet Wojska Polskiego, stwarzają nieufność ludzi do Wojska i nienawiść, budują reakcję i mnożą bandy.

Padają dzielni, niewinni i zasłużeni żołnierze polscy, którzy przeszli walkę z najeźdźcą germańskim, bo bandy nietykane po lasach mszczą się na nich za czyny Pułkownika (...). Do tutejszego starostwa zgłosił się Soltys gromady Nowosiółki Stanisław Leicht, Polak, ze swoją kilkunastoletnią córką z (...) zażaleniem na Pułkownika Kiryluka. Do domu wyżej wymienionego wpadł Pułkownik z rewolwerem w rękę i zaczął gwałcić jego córkę. Dziewczyna, broniąc się, została uderzona przez napastnika w głowę. Wyrwawszy mu

się jednak z rąk, wybiegła na podwórze, gdzie ją dopędził i dalej włóczył po dziedzińcu. Wyrwawszy się powtórnie, zdołała uciec. Następnie Pułkownik wrócił do mieszkania i zrabował sołtysowi kwotę 1300 zł.

W drugim przypadku dzwonił (...) z Baligrodu do tutejszego Starostwa lekarz Kuźmak o ratowanie jego córki, którą porwał Pułkownik Kiryluk z jego domu w kierunku Leska.

W trzecim wypadku (...) Pułkownik przywiózł jakąś panią z Rymanowa, którą gwałcąc u siebie na kwaterze, spowodował uszkodzenia ciała”.

Podobnych szaleńców, na których – przeważnie ze strachu – nikt nie złożył skargi, stacjonowało w tym czasie w Bieszczadach więcej. Gwałcili, bili i grabili bez konsekwencji.

Rozdział IV

Szli, a za nimi śmierć

W książce *W kręgu „Łun w Bieszczadach”* Grzegorz Motyka przytacza relację Jana Pulandy z Polan Surowicznych, zmobilizowanego w marcu 1946 roku do sotni „Chrina”. Oprócz niego wzięto wtedy siłą z domów jeszcze czternastu młodych mężczyzn. Podobne werbunki UPA przeprowadzała w tym czasie również w innych wsiach Beskidu Niskiego i Bieszczadów. Ale młodzi Łemkowie – jak zaznacza we wspomnieniach „Chrin” – niechętnie szli pod broń. Wielu z nich nie uważało się za Ukraińców i nie chciało walczyć o niepodległą Ukrainę.

Pulanda: „Powiedzieli nam [banderowcy – KP]*, że zabierają z rozkazu Bandery (...). W rozmowie między sobą, jak byliśmy sami bez starszych, to mówiliśmy, że niedobrze z nami. Chłopcy z Puław oświadczyli, że nie mają gdzie uciekać. Jednak z innych wiosek kilkunastu uciekło. Z tych złapano tylko jednego, Chomyszczak Stefana z Surowicy

* Tu i wszędzie dalej przypisy w nawiasach kwadratowych pochodzą od autora.

i w Jaworniku rozstrzelano. Strzelał jeden z rozkazu »Hrynia« [»Chrina«] z pistoletu w tył głowy. Dlatego nas później pilnowano”. Sam Pulanda porzucił karabin po jednej z potyczek z wojskiem polskim i zbiegł. Ukrył się u znajomych, a później poddał żołnierzom.

Takich jak on było więcej – łemkowskich i bojkowskich mężczyzn, nierzadko analfabetów, którzy pragnęli jedynie uprawiać swoją ziemię. Ale Ukraińska Powstańcza Armia miała wobec nich inne plany. Wcielani do oddziałów mężczyźni przechodzili przyspieszone kursy czytania, pisania oraz uświadczenia politycznego. „Chrin”, widząc niegasnący opór Łemków przed wojaczką, tłumaczył poborowym, że UPA powstała po to, by bronić zamieszkiwanych przez nich wsi. Z czasem wielu wcielonych do sotni w te słowa uwierzyło, zwłaszcza podczas zmasowanej akcji wysiedleńczej do ZSRR, kiedy Polacy wypędzali ich najbliższych. Mimo to nigdy nie przekonali się do działań banderowców na tyle, by do końca wiernie im służyć. Po zakończeniu wywózek cywilów uznali, że zbrojna walka przeciwko Polsce może jeszcze pogorszyć ich sytuację. Rzecz jasna nie wszyscy, ale duża część nasto- i dwudziestolatków, dla których najważniejsze było to, żeby przeżyć i – być może – połączyć się z wygnanymi krewniakami. Dezerterowali, choć mieli przy tym świadomość, że w razie wpadki nie ujdą egzekucji z rąk upowskiej bezpieki.

W nocy z 11 na 12 stycznia 1946 roku sotnia „Bira” i dwie czoty z sotni „Chrina” zaatakowały posterunek milicji w Cisnej. Była to pierwsza z dużych akcji przeciwko placówkom MO i WOP na południowo-wschodnim cyplu. Załoga ze wzgórza Kamionka (inna nazwa: Betlejemka) przetrwała zmasowany atak kilkuset upowców, lecz rankiem z braku

amunicji i tak musiała się wycofać do Baligrodu. Gdyby *strilci** o tym wiedzieli, nie opuściliby swoich pozycji, mimo że w boju stracili – włącznie z rannymi – dwudziestu siedmiu partyzantów. Kiedy następnego wieczoru zaatakowali ponownie, nie napotkali już oporu. Spalili budynek, zniszczyli umocnienia na wzgórzu, a ściętymi drzewami zatarasowali drogę do Baligrodu. Milicjanci wrócili do Cisnej dopiero po dwóch tygodniach.

Równie słabo uzbrojone były w tym czasie inne placówki WOP i MO. W książce *Strzały pod Cisną* Stanisław Myśliński cytuje fragmenty milicyjnych meldunków zgromadzonych w archiwach KPMO w Lesku.

2 stycznia 1946 roku na odprawie komendanci referowali:

„Posterunek MO Baligród: stan 7, z tego jeden chory. Sytuacja ciężka (...). W gromadach: Jabłonki, Kołonicze, Rabe, Huczvice przebywają stale banderowcy (...). Wyżywienie całkiem złe. Brak chleba i mięsa. Wyszkożenia nie przeprowadza się – stan pogotowia”.

„Posterunek MO Lesko: stan 7, sytuacja w terenie: w dniu 28 grudnia (1945) między gromadą Monasterzec a Załuż patrol konny WP został rozbity przez UPA. Zostało pięciu zabitych żołnierzy i cztery konie. Bandy krążą po gromadach: Monasterzec, Bezmiechowa Górna, Jankowce (...). Brak chleba, tłuszczu, mięsa. Patrole chodzą do każdej gromady”.

„Posterunek MO Cisna: stan 6, z tego jeden chory. W ostatnich dniach banderowcy ostrzelali samą gromadę Cisna. W dniu 28 grudnia (1945) banderowcy przeprowadzili badanie kobiet chorych wenerycznie (...). Dnia 29 grudnia oddział UPA w sile około 250 przeszedł przez Żubracze w kierunku

* Strzelcy (ukr.).

Wołkowi. Banderowcy odgrają się, że muszą rozbroić posterunek MO w Cisnej z powodu strat, jakie ponieśli podczas pierwszego napadu. Wyżywienie złe. Brak chleba. Wyszkołowanie nie odbywa się z powodu ciągłego czuwania”.

„Posterunek MO Stuposiany: stan 7, sytuacja w terenie bardzo ciężka. W dniu 31 grudnia 1945 roku zostały przez banderowców spalone: budynek gminy, dworskie zabudowania, posterunek MO (...)”.

I tak dalej.

Z czasem niektóre posterunki dozbrojono, zwiększono również stan załóg, ale nie przeszkodziło to upowcom w odnoszeniu sukcesów. Józef Kopczyński, który służył w plutonie operacyjnym MO w Lesku, wspomina takie zdarzenie:

– Ktoregoś dnia na naradę komendantów przyjechał do Leska Józef Pawłusiewicz. To nie był byle kto, zanim zaczął dowodzić milicją w Wołkowi, wojował z Niemcami, stworzył oddział samoobrony, a potem ściśle współpracował z oddziałem Mikołaja Kunickiego „Muchy”. Po kilkugodzinnym pobycie wyruszył w drogę powrotną. Było już ciemno, gdy w Bereźce otoczyli go banderowcy. Wsiedli na jego furę i razem z nim dojechali pod siedzibę MO w Wołkowi. Co mógł sam zrobić, kiedy miał lufę przystawioną do pleców? No więc dojechali, a strażnik przy bramie i żołnierze na wieży kościoła nie dostrzegali nic nadzwyczajnego. Ukraińcy otoczyli po cichu budynek, a kilku weszło z komendantem do środka. Była noc, oprócz strażnika, którego szybko uciszono, wszyscy spali. Wtedy w Wołkowi służył także mój przyszły szwagier, Michał Podkalicki. Ze snu wyrwało go polecenie: *Wstawaj! No, szwydko!**. Wkurzył się, że ktoś go budzi, więc półprzytomny

* Wstawaj! No, szybko! (ukr.).

odpart: „A ty co, zapomniałeś polskiego?”. I dopiero jak tamten szturchnął go automatem, zrozumiał, że stoi nad nim partyzant UPA. Rzucił krótkie: *Pid stinu!** – i zarówno Michał, jak i pozostali stanęli z rękami w górze. W samych kalesonach. W czasie gdy jedni upowcy pilnowali milicjantów, inni ładowali na wóz karabiny, granaty, drobną amunicję. A potem tak samo niezauważeni przez strażników na wieży kościoła, odjechali z łupem do lasu. Nikogo nie zabili ani nawet nie pobili. Upokorzyli naszych i osiągnęli to, co umyślili.

Nazajutrz do Leska wjechały cztery furmanki, a na nich milicjanci z Wołkowyi. Bez broni, zawstydzeni, ale żądni odwetu. Później Podkalicki przeniesie się do Baligrodu, ożeni z siostrą Kopczyńskiego i będzie zaciekle ścigał banderowców aż do akcji „Wisła”.

W tym samym 1946 roku bojowcy UPA napadli na posterunek w Hoczwi. Zanim zaalarmowani milicjanci z Leska dotarli z pomocą, na miejscu nie było już nikogo. Ukraińcy zabrali broń i uprowadzili załogę, w tym sekretarkę. Świadkowie widzieli, jak kolumna szła w kierunku Średniej Wsi. Zaplanowano pościg, ale wcześniej do Hoczwi przybiegł goniec z listem od upowców.

– To była propozycja – opowiada Kopczyński. – W zamian za wypuszczenie ich ludzi z aresztu UB w Lesku my mogliśmy liczyć na zwolnienie jeńców porwanych z hoczewskiego posterunku. I co w takiej sytuacji można było zrobić? Powiedzieć, że nie będziemy się z bandytami układać? Że nie pozwala nam na to honor? A gdzie życie ludzi, jak je wycenić, wyważyć? Dziwnie się czuliśmy, jednak ostatecznie szef leskiej komendy MO przekonał UB, że warto pójść na

* Pod ścianę! (ukr.).

ugodę. Nazajutrz banderowcy przywieźli w umówione miejsce uprowadzonych Polaków, a my zwolnionych z więzienia *stritciów*. W milczeniu, bez jednego wystrzału, jedni i drudzy przeszli na swoją stronę.

Od Zawadki płynął dym. W Mokrem ludzie wychodzili przed chaty i spoglądali z niepokojem w niebo. Ojciec Marii już wiedział – ktoś podpalił Zawadkę. Może przyjdzie palić też Morochów i Mokre?

– Zabierajcie ubrania, zboże i ładujcie na wóz – krzyknął do dzieci i pobiegł wyprowadzać ze stajni konie. W styczniowym mrozie z ich pysków buchała para, obok ryczały zdezorientowane krowy. Maria z bratem wynosili sprzęty, manele, matka pakowała jedzenie. Ojciec zaprzęgał wóz, żeby jak najszybciej uciec z dobytkiem do lasu – zanim ogień dojdzie do ich domu i zamieni go w zgłiszczca.

Niektórzy gospodarze z Morochownicy i Mokrego poszli za ich przykładem, inni wciąż stali i obserwowali nadpływający dym. Czarny i gęsty, podobny do tego, jaki starsi widzieli w ostatnich latach niejednokrotnie i który nigdy nie zwiastował dobrej nowiny.

– Stałam z mamą na podwórzu – wzdycha ciężko Maria Barniak, rocznik 1929. – Po półgodzinie dym zawisł nad wioską, a od Morochowa nadeszli żołnierze. Gnali bydło, konie, wieźli coś na furach. Razem z wojskiem szli chłopci, Polacy od Niebieszczan i Poraża. Niektórych z nich moi rodzice znali z widzenia, może nawet na „dzień dobry”, ale o tym dowiedziałam się później. Byli takimi samymi gospodarzami jak my i przez lata nikt dla nikogo nie był zawadą.

No więc ciągnęli długą kolumną przez zaśnieżoną drogę, a miejscowi spoglądali na nich w milczeniu. Jeszcze nic nie

wiedzieli, nie mogli wiedzieć, co się stało parę kilometrów dalej, w niewielkiej Zawadce Morochowskiej, dokąd chodzili odwiedzać krewnych i przyjaciół. Mogli się jedynie domyślać, lecz na pewno nie tego, co później zobaczyli.

Wcześniej Maria dostrzegła na żołnierskich mundurach i białych kombinezonach krew. Miała siedemnaście lat, widziała już krew świńską, bydłącą, ale ta zdawała się inna. W letnim słońcu jej zapach byłby mocno słodki, nawet mdławym, jednak teraz, zimą, przy kilkunastostopniowym mrozie, charakterystyczna woń straciła na intensywności.

– Mijali obojścia obojętnie, zmęczeni i skrwawieni. Zatrzymali się na chwilę tylko przy kilku domach. Także przy naszym. Kiedy żołnierze naprędce przerzucali złożone na wozie rzeczy, jeden odszedł na bok i poprosił mamusię o kubek wody. Po chwili pił łapczywie, a potem zapytał, czy mamy kogoś bliskiego w Zawadce. Bo tam, powiedział, leży dużo rannych. I się rozplakał...

Narzuciłam płaszcz i poszłam drogą wydeptaną wojskowymi buciorami do Zawadki. Zaraz na początku wsi ujrzałam moją chrześną. Trzymała ręce w górze i krzyczała tak, jakby ją przypalano ogniem. Że obie moje ciotki zabite, znajomi, kobiety, dzieci. Pomyślałam, że zwariowała, ale po chwili, obok przydrożnego krzyża, natknęłam się na ciała pięciu mężczyzn. Byli poprzebijani i postrzelani. Wtedy po raz pierwszy w życiu oglądałam trupy. Dalej zastygli inni – pod drzewami, w rowach, koło chat. Chciałam odnaleźć mojego kuzyna, ale natrafiałam na kolejnych zabitych. Przy starym baraku po czerwonoarmistach leżała dźgnięta bagnetem ciotka Anastazja i trzymała w rękach swego półrocznego synka. Miał dziurę w skroni i oderżnięty kawałek buzi razem z językiem. A gdzie druga ciotka i jej czteroletni synek? Co

z nimi się stało? Zdążyli uciec, schować się w jakiejś dziurze czy dosięgły ich kule albo sztylety?

Czteroletni Stefan siedział w kucki w niewykończonym murowanym budynku, cały i zdrowy, tylko przemarznięty. A obok niego dogorywał miejscowy kowal. Jak Stefek się tam znalazł? Podobno ci, którzy zdążyli uciec do lasu i potem wrócili do wioski, znaleźli chłopca na podwórzu i przynieśli do ocalonego domu. Prawie wszystkie inne spłonęły...

– Chwyciłam go w ramiona, ale on nie umiał nic powiedzieć, nie umiał wytłumaczyć, co się tu stało i gdzie są jego rodzice. Był ubrany tylko po domowemu, więc okryłam mu głowę swoim szalem i polami, ponad cztery kilometry, poniosłam do Mokrego. Zanim opuściłam Zawadkę, natknęłam się jeszcze na kilkumiesięczne dziecko. Leżało w śniegu i strasznie płakało, ale nie miałam go jak wziąć. Obok broczący krwią mężczyzna patrzył w niebo i błagał, żeby go dobić. Wokół dopalały się chaty; w jednej z okna wystawały nogi. To były nogi młode, dziewczęce, ale dopiero z bliska dostrzegłam na nich kolorowe skarpetki. Ręcznie robione. Takie skarpetki nosiła moja koleżanka Hania, do której często przychodziłam się bawić. Oprawcy zarżnęli ją, a potem wrzucili do płonącej chyży...

Dwóch gospodarzy zwisало na kłodach drewna, które przerzynali akurat wtedy, gdy dosięgły ich kule. Kilka trupów pływało w studni. Ktoś wyzionął ducha na zagonie kartofli, ktoś inny w stodole, w sadzie, przy potoku. Zginęli podziurawieni pociskami, zakłuci bagnetami. Z połamanymi nogami i rękami. Z roztrzaskanymi czaszkami, rozprutymi brzuchami. Z wydłubanymi oczami, uciętymi nosami.

Tylko niektórym się udało. Jak Stefankowi albo ośmiomiesięcznemu Mikołajowi Biłasowi, który przeżył tylko dlatego, że kiedy matka upadała do rowu rażona kulami, przykryła

swoim martwym ciałem jego żywe ciało. Stało się niewi-
doczne dla bandytów w mundurach, a potem miejscowi,
którzy wrócili z lasu, wygrzebali je spod nieboszczki. Udało
się również niemowlęciu, którego nie mogła zabrać Maria,
ponieważ zabrała już inne dziecko.

– Gdy doszłam do Morochownicy, poczułam, że palą mnie
uszy. Tak się robi gorąco, kiedy człowiek coś sobie odmrozi.
Przestraszyłam się, ale jeszcze bardziej zmartwiłam się siny-
mi z zimna rączkami malucha. Przy drodze zobaczyła mnie
sąsiadka i zapytała, co niosę na plecach. No to odparłam,
że mojego kuzyna, który ocalał z napadu polskich wojaków
i że tam, w Zawadce, zostały inne dzieci. Poszła i przyniosła
dzieciątka do Mokrego, i wychowała jak swoje, a potem po-
słała do szkół. Po latach młodzieniec wyjechał do krewnych
we Francji, skończył studia i został księdzem. A swoim dobro-
czyńcom przysyłał paczki i pieniądze. Nigdy nie zapomniał.

W wojskowym sprawozdaniu, zamieszczonym przez
Grzegorza Motykę w książce *W kręgu „Łun w Bieszczada-
dach”*, napisano: „Zawadka Morochowska była siedzibą
sztabu banderowskiego. W związku z tym zostały zorga-
nizowane trzy współdziałające ze sobą Grupy Operacyjne
w sile 290 ludzi, które rozpoczęły akcję [25 stycznia] o godzi-
nie 9 rano. Stwierdzono, że banderowcy, których spotkano
w dniu wczorajszym (...) wycofali się w kierunku południo-
wym (...). W czasie tej akcji Grupa Operacyjna Poraż 36.
Komendatury Ochrony Pogranicza została ostrzelana przez
uzbrojoną ludność cywilną w m. Zawadka Morochowska.
W wyniku walki powstał pożar, podczas którego dało się
słyszeć silne i częste detonacje, co świadczyło, że we wsi
była magazynowana broń banderowców”.

Dalej Motyka pisze: „Meldunek został tak skonstruowany, by ukryć niewygodną prawdę: nie znalazłszy w wiosce UPA, wojsko dokonało masakry ludności cywilnej”.

Tamtego dnia Mikołaj Biłas był za mały, by cokolwiek zapamiętać. Prawdę o 25 stycznia 1946 roku przekazali mu starsi świadkowie, którzy uniknęli losu sąsiadów. Czterdzieści lat później Biłas opublikował w paryskiej „Kulturze” wspomnieniowy list: „Moi rodzice, jak większość mieszkańców wsi, o tej porze byli w domu. Ojciec rąbał drzewo przed domem, matka była w chacie ze mną i siostrą, siedmioletnią Zofią. Starszy, trzynastoletni brat Władysław z wujkiem (...) pojechali po drzewo do lasu. 40-letniego ojca zastrzelili [żołnierze polscy] podczas rąbania drewna (...). Matkę, 32-letnią, wygnali w mroźny ranek styczniowy ze mną na rękach i siostrą 7-letnią przed dom, gdzie dokonali strasznego mordu! Siostrze połamali nogi i rozcięli brzuch. Matce wycięli język, połamali prawą rękę i rozcięli brzuch czterema pchnięciami bagnetu. Pocięli nogi. Ja, cudem ocalały, żyłem pod zwłokami matki. Po tej masakrze wrócili z lasu mój 13-letni brat z wujkiem. Wujkowi zamordowali całą rodzinę (żonę i dwie córki 15 i 16 lat). Memu bratu zostałem ja – 8-miesięczne dziecko, karmione do tej pory tylko piersią matki, z odmrożonymi kończynami i pośladkami. Obu nas przygarnął obcy człowiek z sąsiedniej wsi – Józef Płatosz. U niego wychowywaliśmy się do pełnoletności”.

W reportażu *Pochówek dla rezuna* Paweł Smoleński przytacza relacje tych, którzy albo byli naoczными świadkami mordu, albo usłyszeli o krwawych wydarzeniach od swoich bliskich i znajomych.

„Rankiem 24 stycznia 1946 roku oddział Wojska Polskiego w sile stu dwudziestu ludzi, uzbrojonych w dwanaście karabinów maszynowych i dwa moździerze, wszedł do Zawadki Morochowskiej. Mężczyźni uciekli do lasu, we wsi zostały tylko kobiety i dzieci.

– Wojsko niby szukało banderowców, ale po prawdzie to plądrowali chałupy, brali co było lepszego, kładli na furmanki, jeśli kto bronił dobytku, to strzelali i jechali dalej – wspomina Józef Żurat. – Wzięli Mokre, Morochów, poszli na Zawadkę. Nie wiedzieli, że w lesie bukowskim powyżej wsi stoi sotnia »Hrynia«^{*}.

Porucznik »Chrin« meldował dowódcy kurenia majorowi »Renowi«: »Kiedy do oddziału doleciał płacz i jęk katowanych kobiet, starców i dzieci, dowódca sotni, mimo przewagi liczebnej wroga, postanowił przyjść wsi z pomocą (...). Bój zakończył się o godzinie 14 naszym zwycięstwem, a wróg wycofał się w kierunku wsi Niebieszczany. Straty wroga: 5 zabitych i 9 rannych. Straty własne: 1 zabity«.

– »Hryń« rozegrał bojów – opowiada Żurat. – Ludzie z Mokrego, z Morochowa poszli na Zawadkę i odebrali, co swoje. To się wojsko zemściło.

Trzy dni później sotenny »Chrin« pisał: »Bandyci polscy po haniebnej dla nich porażce w dniu 24 I 1946 r., zebrawszy około 5 kompanii Wojska Polskiego, 2 auta NKWD, kompanię Lachów z Niebieszczan i Poraża, zaatakowali Zawadkę Morochowską 25 I 1946 r. o godz. 8 rano. Od strony lasu (wystawiono) silne posterunki, po czym żołnierze z szumowinami z Niebieszczan zaatakowali Zawadkę Morochowską tak nagle i bez jednego strzału, że w ciągu 10–20 minut

* Błędna pisownia. Powinno być: »Chrina«.

wyróżnili, dosłownie wyróżnili 68 kobiet, dzieci i starców (...). Widok przerażający. Czegoś podobnego nie widziałem nigdy w życiu. Okrucieństwo gorsze niż w czasach Nerona albo Hunów (...). Nikt nie zdążył powiadomić nas o napadzie, gdyż został przeprowadzony po cichu. Moi żołnierze są oburzeni. Chociaż mam ich niewielu, byłem gotów pójść bić się do końca (...). Świadomy element domaga się odwetu».

– Śniegu tamtego stycznia troszkę spadło – wspomina Maria Kirylejza z Mokrego – ale nie tak jak zawsze. Byliśmy w domu: mamusia, brat, ja, babcia stara (...). Tak siedzimy wokół stołu, a tu drzwi się otwierają, wchodzą żołnierze w białych kombinezonach, ubroczonych jak po sali operacyjnej. Jaj nanieśli, kazali smażyć, jeszcze ukroić chleba i dać herbaty. Nic nie mówili, tylko jedli i jedli zakrwawionymi rękoma, a jak pojedli, to poszli. My cicho siedzieli, bo wojska nie trzeba było pytać ani się niczemu opierać. Aż przyszedł ktoś tutejszy i powiedział, co się stało”.

W Zawadce Morochowskiej, wsi istniejącej już tylko z nazwy, stoi zwieńczony krzyżem pomnik. Wypisano na nim imiona i nazwiska siedemdziesięciu trzech osób zabitych przez Wojsko Polskie 25 stycznia 1946 roku. Najmłodsza zidentyfikowana ofiara miała zaledwie rok. Przy trzydziestu zamiast liczby przeżytych lat widnieje pozioma kreska. Nikt nie zdołał ustalić wieku ofiar w chwili śmierci.

Kiedy przechodzień czyta ten tragiczny spis, zapewne zadaje sobie pytanie, dlaczego żołnierze 2. Batalionu 34. Pułku Piechoty i jego dowódca podpułkownik Stanisław Pluto zamordowali ukraińskich gospodarzy. Podobno dlatego, że udzielali wsparcia banderowcom. Ale nawet gdyby, to jak można uznać za współpracowników UPA niemowlęta i kilkuletnie dzieci i tak samo jak dorosłych zakłuć bagnetami?

Niektóre ofiary wcześniej torturowano. Co zwykłym żołnierzom, takim samym jak Ukraińcy ojcom i synom, każało dźgać, okaleczać, wyrzywać? Byli pijani? Przez kogoś podburzeni? W ślepej zemście za Wołyń – jak często potem próbowano ich tłumaczyć – stracili zmysły?

Maria Barniak:

– W marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku Wojsko Polskie znowu weszło do Zawadki. Tym razem zabiło dwunastu młodych mężczyzn. Oni nocowali w domach, ale świtem szli do lasu i tam spędzali czas aż do zmierzchu. Siedzieli przy ogniu, piekli kartofle. Bali się zostawać we wsi, bo wydarzenia ze stycznia wciąż były zbyt świeże, a żołnierze zapowiedzieli, że to nie koniec męki Zawadki. Długo nikt nic nie wiedział, ale któregoś dnia ktoś ich wytropił. Zbrojni otoczyli las i potem zabijali każdego, kto próbował wydostać się z okrażeń. Wszyscy padli od kul, a jednego chłopaka mundurowi złapali koło szkoły, połamali mu kości i na koniec zastrzelili.

Przyjęło się, że Zawadkę Morochowską pacyfikowano trzy razy, ale tak naprawdę to cztery. Pierwszy raz jeszcze za okupacji.

– Niemcy spalili wieś przez sowieckich partyzantów – nędzarzy, którzy przyszli poprosić o jedzenie... Zawadka była biedną wsią, ale ludzie się dzielili. I dali tym młodzieńcom jeść, a ci w zamian pomagali chłopom w polu. Któregoś dnia ze sztabu niemieckiego w Bukowsku wracał konno niemiecki żołnierz. Partyzanci zatrzymali go i zabili, bo podejrzewali, że ich wyśledził i dał znać swoim. Koń wrócił bez jeźdźcy, więc Niemcy wszczęli poszukiwania. A że ciało było zakopane płytko, nogi wystawały z ziemi, szybko znaleźli trupa.

I wtedy zapadł wyrok na Zawadkę. Za karę – gdyż wydało się, że chłopci pomagali partyzantom – wszyscy mieli ponieść śmierć. Hitlerowcy zgonili ludzi na łąkę; dzieci i kobiety ustawili osobno, mężczyzn – osobno. Przygotowali już broń do strzelania, lecz w ostatniej chwili przerwali egzekucję. Umyślny ze sztabu w Bukowsku przywiózł wiadomość, że mieszkańcy Zawadki zachowają życie, ale stracą gospodarstwa. Potem – szczęśliwi, że żyją – patrzyli, jak ogień trawi ich dobytek. Zostali na zgłiszczach z niczym i musieli od początku budować chaty, stodoły, obory.

Maria mówi, że na Zawadkę padło przekleństwo. Tak opowiadali przez pokolenia starsi od niej, a później ci, którzy zapamiętali tę historię. Żył w tej wiosce człowiek biedny, lecz nadzwyczaj pobożny. Miał żonę, sześcioro dzieci i nigdy nie narzekał na los. W Wielką Sobotę starym zwyczajem ludzie święcili wodę, a potem kropili nią swoje pola. Nie inaczej robił Michał, więc owego świątecznego dnia wybrał się z garnkiem wypełnionym wodą na swój kawałek ziemi. Chciał pokropić zboże, żeby wyrosło dorodne, ale zanim to zrobił, na swej ścieżce spotkał nieznajomego. Człowiek ów był stary, brodaty, pokryty siwizną i siedział na pniu ściętego drzewa. Kiedy Michał pozdrowił go słowami *Chrystos Woskres*^{*}, starzec przywołał go do siebie. A potem opowiedział biedaczynie z Zawadki, że wioskę czeka pasmo nieszczęść. I że wszystko za ludzkie grzechy – za pijaństwo, hulanki, zdrady. Nakazał mu wypowiadać się za wszystkich mieszkańców. Gdy Michał wrócił do swojej chyży, padł na kolana przed ikoną Jezusa Ukrzyżowanego i długo żarliwie się modlił. Nazajutrz poszedł do cerkwi

^{*} Chrystus Zmartwychwstał (ukr.).

w Morochowie i wszystko wyznał księdzu. Miał przykazane od dziada spod lasu, żeby pop wygłosił dla wiernych kazanie o pokucie i opamiętaniu. Jedni w te słowa uwierzyli, inni się śmiali. Pokazywali Michała palcami i mówili, że idzie ten, co widział Boga. Tak mu dokuczali, że wstydy; aż kiedyś rodziciele Marii i jej brata ostrzegli ich, by nigdy z Michała nie drwili, ponieważ to wielki grzech.

– Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego, jak wielu innych, wywieziono go przymusowo do ZSRR – mówi Maria. – Wszyscy już o nim w Polsce zapomnieli, ale w latach siedemdziesiątych pojechałam do kuzynostwa na Wschodzie. I tam przypadkiem się okazało, że nędzarz z Zawadki mieszka w tej samej miejscowości. Gdy mu przekazano, że w odwiedzinach u krewnych jest ktoś z jego rodzinnych stron, przyszedł i spotkał się ze mną. Pamiętał mnie jako małą dziewczynkę... Przekazał mi dokładnie, co Bóg mu powiedział – że z Zawadki zostaną kamienie i woda. I tak się stało, nie inaczej.

Michał wykształcił wszystkie swoje dzieci i żył sto dwa lata. Był najbiedniejszy, lecz spotkał go może najlepszy los.

Zawadka Morochowska jest przykładem zwyrodnialstwa części oddziałów LWP. Takiego samego zwyrodnialstwa, jakie towarzyszyło upowcom mordującym w wymyślny sposób polskich cywilów w Mucznej oraz w kilku innych wsiach Bieszczadów i Beskidu Niskiego. Przyszywana latami banderowcom etykieta rezunów pasuje także jak ulał do niektórych żołnierzy z orzełkami na czapkach.

20 marca 1946 roku połączone sotnie „Chrina”, „Myrona” i „Didyka” zaatakowały strażnicę WOP w Jasielu. W zasadzkę wpadła załoga oraz wopiści i milicjanci z innych strażnic,

którzy dzień wcześniej przybyli do wsi, by pomóc ewakuować słabo obsadzoną placówkę. Banderowcy zaatakowali w chwili, gdy załoga opuściła budynek. Po krótkiej wymianie ognia (wopistom szybko skończyła się amunicja) partyzanci UPA wzięli do niewoli – według ukraińskich danych – siedemdziesięciu dziewięciu jeńców, a według polskich – dziewięćdziesięciu czterech. Bezpośrednio w walce zginęło jedynie dwóch żołnierzy, kilkunastu zostało rannych, a jeden oficer i dwóch szeregowców zdołało przedrzeć się do Czechosłowacji. Reszta musiała się poddać. Oficerów i milicjantów natychmiast rozstrzelano, innych zaś poddano śledztwu. Ci, którym udowodniono, że aktywnie walczyli przeciwko UPA, mieli komunistyczne zapatrywania lub radzieckie odznaczenia – skazano na śmierć. Wolno puszczano dwudziestu żołnierzy, choć wcześniej zdarto z nich mundury i pobito.

Jednym z przeznaczonych na śmierć, lecz cudem ocalałym, był szeregowy Paweł Sudnik. Wspominał: „Wszystkim kazali się położyć twarzą do śniegu (...). Pierwszego żołnierza wtrącili na dno wykopu i któryś z nich strzałem w tył głowy pozbawił go życia. Potem mnie pchnęli na krawędź wykopu. Nie upadłem jednak, lecz odbiłem się mocno i znalazłem po drugiej stronie. W tym momencie padł strzał. Poczulem piekący ból w łydce. Mimo rany zacząłem uciekać zaśnieżonym zboczem w głąb lasu”.

Ten właśnie motyw wykorzystał Jan Gerhard w powieści *Łuny w Bieszczadach*, a na ekran przenieśli w 1961 roku Ewa i Czesław Petelscy. W filmie *Ogniomistrz Kaleń* w rolę ocalonego z egzekucji polskiego żołnierza wcielił się Wiesław Gołas. On i inni żołnierze stoją boso na śniegu w blasku trzymanyh przez *strilciw* pochodni. Mają związane z tyłu ręce. Banderowcy podprowadzają pojmanyh kolejno do

pniaka i ścinają im toporem głowy. Taki rytualny mord nie miał miejsca, ale w filmie posłużył do pokazania partyzantów UPA jako zwyrodnialców. Przez lata ów obraz na tyle utrwalił się w głowach czytelników beletrystyki i kinomanów, że nawet dzisiaj trudno im uwierzyć w zafalszowanie literacko-filmowego przekazu.

Fragment protokołu z ekshumacji zwłok pomordowanych przez upowców wopistów i milicjantów: „15 czerwca 1946 roku o godz. 12.15 (...) przybyliśmy na miejsce, które znajdowało się w górzystym, niedużym świerkowo-sosnowym lasku, oddalonym o kilometr od ostatniego domu wsi Wisłok zamieszkałym przez ludność ukraińską. Po przejściu 500 metrów znaleźliśmy się w małej kotlinie, którą dzielił od drogi olbrzymi parów, i tutaj żołnierz prowadzący wskazał miejsce, gdzie mają się znajdować ciała pomordowanych. Odkopaliśmy łopatkami jamę o średnicy 75 cm i natrafiiliśmy na ręce i klatkę jednego z pomordowanych. Ręce te były skrępowane powrozem (...). Zrobiliśmy zdjęcie (...), po czym przykrywszy i zamaskowawszy, jak było poprzednio, tj. mchem i opadłymi liśćmi, odeszliśmy (...). Podczas trzech dni przygotowywaliśmy skrzynie, wozy, samochody i wyruszyliśmy w środę o godz. 7 rano po zwłoki. Miejsce ubezpieczyliśmy 100 żołnierzami, po czym przystąpiliśmy do wydobywania zwłok. 30 cm od powierzchni znajdowała się pierwsza warstwa zwłok. Połowa drugiej warstwy miała powiązane ręce i nogi, niektórzy nawet drutem, natomiast druga połowa miała skrępowane tylko ręce, skąd wyciągnęliśmy wniosek, że z chwilą ucieczki strz. Sudnika banderowcy poczęli krępować nogi, żeby zapobiec wypadkom ucieczki. W trzeciej warstwie znajdowały się 3 ciała, które miały na szyjach paski, lecz lekarz stwierdził, że powieszeni nie byli,

natomiast byli niemożliwie zmasakrowani. Niektóre zwłoki nie miały oczu i nosów. Po załadowaniu zwłok po trzech do jednej skrzyni przewieźliśmy je furmankami, później samochodami do Nowego Zagórza, gdzie przełożyliśmy zwłoki do trumien. (...) 20 czerwca 1946 roku o godz. 15 (...) ks. proboszcz odprawił ceremonię pogrzebową (...). Z 36 wydobytych ciał dwa zostały rozpoznane przez rodzinę i zabrane. Byli to milicjanci z Komańczy”.

Gdzie leżą pozostali mundurowi z Komańczy, Radoszyc, Łupkowa, Woli Michowej i Jasiela, którzy 20 marca 1946 roku wspólnie wyszli ze strażnicy w tej ostatniej miejscowości – nie wiadomo. Jeśli policzyć dwudziestu wypuszczonych wolno przez UPA, brakuje jeszcze drugie tyle.

„Zniszczenie ekspedycji wysłanej do Jasiela – pisze Grzegorz Motyka – zmusiło WOP do ewakuowania osłabionych załóg strażnic (...) do Łupkowa, skąd pod naciskiem UPA przeszły one na stronę czechosłowacką (...). Po zajęciu Komańczy upowcy spalili budynki zajmowane przez wojsko. Zamierzano także podpalić miejscowy klasztor [siostr nazaretanek], ale w ostatniej chwili odstąpiono od tego pomysłu, gdyż siostry wcześniej nie odmawiały pomocy rannym partyzantom UPA”.

Na pomoc strażnikom wyruszyło z Zagórza stu siedemdziesięciu wopistów i żołnierzy z 34. Pułku Piechoty. Nieopodal Kożusznego grupa wpadła w zasadzkę urządzoną przez sotnie „Chrina” i „Myrona”. W walce zginęło ponad trzydziestu żołnierzy, dziewięciu dostało się do niewoli. Nie darowano im życia. Banderowcy wyszli z potyczki bez szwanku.

W Terce polscy żołnierze jednego dnia zamordowali trzydziestu mieszkańców wsi.

– Osmalone trupy sąsiadów śnią mi się po nocach – opowiada Jarosław Wajda. 8 lipca 1946 roku był świadkiem mordowania Ukraińców przez Wojska Ochrony Pogranicza. Patrzył na masakrę oczami dziesięciolatka. W drewnianej chałupie zginęli jego matka, brat i siostra. Oprócz nich wopięści zabili tam jeszcze – według różnych źródeł – od dziewiętnastu do dwudziestu jeden osób. Głównie kobiety i dzieci.

Trzy dni wcześniej banderowska bojówka SB uprowadziła trzech mieszkańców Terki, wśród nich jednego Polaka. Podejrzewano ich o współpracę z MO. Na wieść o tym kapitan Lucjan Zubert, zastępca dowódcy stacjonującej w Wołkowiej jednostki WOP, wziął kilkudziesięciu ukraińskich zakładników. Ogłosił, że jeśli w ciągu doby porwani przez upowców wrócą do wioski, on także wypuści uwięzionych.

Franciszek Gankiewicz z Terki w tekście *Przeżyłem kawał historii* pisze, że dwóch z nich przyprowadzono nocą do wioski i powieszono na jabłoni. Byli to Jan Gankiewicz i Michał Łoszyn. Co stało się z niepełnosprawnym synem tego ostatniego, nie wiadomo. Najpewniej zabito go podczas przesłuchania w leśnym bunkrze, bo UPA zwykle nie darowała donosicielom, nawet tym domniemanym. W odwecie wojsko rozstrzelało i spaliło grupę Ukraińców.

Jarosław Wajda:

– Siódmego lipca we wsi była oblawa. Żołnierze pogнали schwytyanych do odległej o pięć kilometrów Wołkowiej. Wśród nich znalazłem się i ja, a także moje siostry, bracia oraz mama. Dwa dni około czterdziestu osób koczowało na placu w pobliżu kościoła pod strażą wojską.

O aresztowaniu Wajdów dowiedział się Franciszek Bogacki, Polak z Terki i krewny Jarosława.

– Wybłagał u żołnierzy, by wypuścili mnie i rodzinę. Za-
wdzięczam mu życie. Pewnie wszyscy byśmy się uratowali,
ale mama z moją młodszą siostrą i bratem już z drogi wrócili
do Wołkowyi prosić wojskowych, by oddali naszą krowę.
Więcej ich nie zobaczyłem.

Dziesięcioletni Jarosław przedarł się z najstarszym bra-
tem do Terki. Stamtąd pod opieką ojca uciekli do lasu. 8 lipca
młody Wajda widział z zarośli, jak płonie chata w górnym
końcu wsi. Wtedy jeszcze nie rozumiał, co się stało.

W liście do przyjaciela Jarosław Kopczak z Zawozu, na-
oczny świadek mordu, donosi: „Żołnierze zagnali cywilów do
chałupy Michała Drozda i zaczęli do nich strzelać. Następnie
oblali dom benzyną i wrzucili do środka granat”.

Kopczak był jednym z tych, którzy na polecenie wopistów
przenieśli potem osiem ciał do piwnicy na kartofle i przysy-
pali ziemią oraz popiołem.

– Tyle się zmieściło, dlatego pozostałych zabitych załado-
waliśmy z Włodzimierzem Jurochem na fury i zawieźliśmy
na cmentarz przy cerkwi.

Z masakry ocalał jedynie czternastoletni Wasyl Soniak.
Tuż przed egzekucją wsunął się we wnękę pod piecem, a gdy
chałupa stanęła w ogniu, wyskoczył przez okno. Kule go
nie dosięgły.

Żołnierze odjechali do Wołkowyi, ale wcześniej zabili
koło cmentarza jeszcze dwóch mężczyzn. Następnego dnia
młody Wajda przekradł się do spalonej chaty.

– Była ze mną ciotka, chodziliśmy po zgłiszczach, a ona
wznosiła ręce do nieba i wołała: „Boże, Boże, co oni zrobi-
li!”. Zaglądała też do innych domów, ja nie miałem odwagi.
W jednym znalazła zastrzelonego Michała Lipkiewicza, mój
dziadek Dymitr leżał zabity za kuźnią.

W pacyfikacji Terki nie brali udziału miejscowi Polacy. Niektórzy próbowali ochronić Ukraińców przed śmiercią, lecz wojsko było nieubłagane.

Na tamtejszym cmentarzu, nieopodal ruin cerkiewnej dzwonnicy, istnieje zbiorowy grób pomordowanych 8 lipca 1946 roku. Podobno leżą w nim jednak szczątki tylko części ofiar. Jarosław Kopczak twierdzi, że ośmiu ciał wrzuconych do piwnicy nie odkopano i nie przeniesiono na cmentarz.

15 lipca UPA wzięła odwet za śmierć rodaków. Sotnia „Didyka” (dowodzona już faktycznie przez „Brodyacza”) i miejscowa bojówka SB zaatakowały garnizon WOP w Wołkowyi. Zginęło dwóch żołnierzy, czterech odniosło rany. Według różnych źródeł upowcy zabili jedenastu lub czter-nastu cywilów, w tym kilkuletnią dziewczynkę. W Terce na gospodarstwo Franciszka Gankiewicza. „Ograbili mnie doszczętnie, a zabudowania spalili. Porwali moją córkę Annę, już mężatkę, która osierociła dwoje nieletnich dzieci. Uprawdzili ją z kuchni tylko w bluzeczce. Nigdy już nie dowiedziałem się od nikogo, gdzie zamordowali nieszczęsną”.

Wstawał zimny jesienny dzień, gdy milicjanci z Leska, Olszanicy i Ropienki, wspomagani przez WOP, wyruszyli na akcję przeczesywania pobliskich miejscowości. Nie była to pierwsza ani ostatnia taka akcja. Chodziło o „wykurzenie” banderowców z wiosek i ostrzeżenie cywilów, że pomoc dla UPA będzie surowo karana.

– Nikt z nas nie miał wątpliwości, że im bliżej zimy, tym częściej upowcy będą kwaterować w rozsianych między gór-ami siołach – wspomina Józef Kopczyński. – Tamtego dnia dowodził nami sowiecki oficer, przysłany nagle nie wiadomo skąd. Może komendant w Lesku wiedział, ale nie my, niżsi

rangą funkcjonariusze. Dowódca wyznaczał po trzech do przeszukania jednego gospodarstwa z nakazem, że mamy to robić dokładnie, a w razie najmniejszego zagrożenia – strzelać.

Weszliśmy do Serednicy; chaty stały gęsto przy drodze, ale też na wzniesieniach. W pierwszej z brzegu zapytałem, czy nie ma tu banderowców. Chłop i baba odparli, że nie i że nigdy ich tutaj nie widzieli. Zacząłem przeszukiwać stodołę, a w tym czasie Bronek, mój kolega z Baligrodu, wchodził po drabinie na strych domu. Ledwo otworzył klapę, gdy zaturkotały karabiny. Bronek runął bez ducha na polepę i zaczęło się piekło. Na pomoc przybiegli inni milicjanci, pruli na oślep z automatów, a upowcy strzelali spod uniesionej strzechy. Kule świsnęły między głowami, ktoś z naszych spadł, ale inny rzucił granat i w okamgnieniu chałupa stanęła w ogniu. Z wnętrza dochodził wrzask ludzi, jednak naprawdę się przeraziłem, kiedy usłyszałem płacz dzieci. Uznałem, że trzeba je ratować, lecz w tej samej chwili dwóch naszych podbiegło pod chatę i przez wybite okna puściło kilka serii. Wszyscy w środku zginęli od pocisków lub się spalili. Tego samego dnia podobne rzeczy działy się też w paru innych obojętnościach, w których kwaterowali *stritci* UPA, choć nie wiem, czy zginęły tam kobiety i dzieci. W drodze powrotnej do Leska zabraliśmy sześćdziesiąt krów. Taki był rozkaz sowieckiego dowódcy. Powtarzał, że musimy działać bez litości i nie dzielić wroga na dorosłych i małoletnich.

Rozdział V

Bez przebaczenia

W lipcu 1946 roku zakończono wysiedlenia do ZSRR. Według oficjalnych danych z powiatu sanockiego wysiedlono blisko sześćdziesiąt jeden tysięcy osób, a z leskiego – prawie czterdzieści tysięcy. UPA nie została zupełnie pozbawiona wsparcia wciąż mieszkających w licznych wioskach ukraińskich cywilów, ale jej możliwości aprowizacyjne mocno się skurczyły. Z tego powodu we wrześniu odeszła na zachodnią Łemkowszczyznę sotnia „Brodycza”. Miała tam przeczekać najtrudniejszy czas, a potem wrócić w Bieszczady.

Jesienią nasiliły się dezercje z szeregów UPA. Inni partyzanci zapadali na choroby, pojawiły się trudności z wyżywieniem oddziałów. Na początku października żołnierze 34. i 32. Pułku Piechoty wykryli i zdobyli obozowisko sotni „Chrina” w masywie Chryszczatej, zabijając kilku upowców. W odwecie oddziały „Chrina” i „Stacha” napadły na Prusiek. Spaliły sześćdziesiąt sześć domów i trzy stodoły, zabiły od sześciu do dwunastu osób, zrabowały dwanaście krów, cztery konie, trzy świnie i kozę. W obliczu nadchodzącej zimy taki łup był nie do przecenienia. Podobne akcje, choć na mniejszą

ską, banderowcy przeprowadzali również w innych wioskach. Jednocześnie masowo niszczyli słupy telegraficzne, by uniemożliwić wojsku i milicji szybki kontakt. Pod koniec 1946 roku wycięto w Bieszczadach paręset takich słupów.

Świadkiem akcji sabotażowej w rejonie Jabłonek i Kotonic była Polka Michalina Mochnał. Mieszkała w kilkurodzinnym parterowym budynku nieopodal tartaku. Pewnej nocy do jej ciasnej izby wpadli banderowcy.

– Mąż już nie żył, zginął na wojnie, więc byłam w domu sama z trójką małych dzieci – opowiada. – Nie pytali mnie o narodowość, tylko zabronili wychodzić i wzięli spod kuchni do wiadra rozżarzone polana. Po pewnym czasie przyszedli jeszcze raz po to samo, a jeden na dłużej usiadł i kazał dać sobie jeść. To chyba nie był oficer, ale miał jakieś znaczenie, bo tamci go słuchali. Był strasznie zarośnięty i brudny, powiedział, że wycinają słupy telegraficzne. Potem znienacka wziął moją ośmioletnią córkę na kolana i zaczął huśtać. Hanna się rozplakała, a ten wtedy do mnie, żeby się nie bać, bo on i jego kompani nie są z tych, szczo rizajut^{*}. Zrozumiałam, że wiedział, iż jesteśmy Polakami, mimo że mój ukraiński nie odbiegał znajomością od polskiego. Jak u większości ludzi, którzy od kolebki chowali się w mieszanej społeczności.

Zimą sotnie zaszyły się głęboko w lasach i tylko z rzadka decydowały się na konfrontację z wojskiem. Ich dowódcy liczyli, że z wiosną, po wyleczeniu chorób i ran, na nowo podejmą walkę. Tymczasem na Ukraińską Powstańczą Armię spadł kolejny cios. 22 stycznia 1947 roku grupa manewrowa WOP z Cisnej natrafiła na podziemny szpital UPA na stoku

^{*} Którzy różną (ukr.).

Kraglicy w masywie Chryszczatej. Okoliczności wykrycia szpitala, śmierci przebywających tam strzelców, ochrony i obsługi nawet po latach budzą emocje. Nie brakuje też różnych wersji wydarzeń – dotyczących chociażby kwestii, czy część załogi popełniła samobójstwo, zginęła od kul współtowarzyszy czy też od wybuchu wrzuconych do wnętrza przez żołnierzy granatów. W bunkrze zginęło szesnastu upowców, w tym dwie lub trzy sanitariuszki.

Być może wopięci jeszcze długo nie wytropiliby dobrze zamaskowanej podziemnej lecznicy, gdyby nie – jak twierdzi Grzegorz Motyka – zdrada. „Nocą z 15 na 16 listopada 1946 r. w Łukowem grupa operacyjna por. Ciesielskiego schwytała dwóch upowców: Józefa Kowalewicza »Hirnego« oraz Michała Zubenkę »Lejkę«. Dzięki ich zeznaniom schwytano w domu Józefa Szczudlika w Zahutyniu rejonowego prowidnyka OUN Michała Dżimana »Lewkę« (...). To on najpewniej wydał wojsku podziemny szpital UPA”.

A tak przebieg zniszczenia szpitala na Kraglicy ukazuje meldunek Rzeszowskiego Oddziału WOP nr 8: „22 stycznia 1947 r. Grupa Manewrowa nr 4 wzmocniona plutonem 37. KO wyruszyła w rejon m. Kołonicze celem zlikwidowania szpitala banderowskiego. Wiadomości o miejscu rozlokowania (...) zdobyto od przetrzymywanych banderowców w akcjach poprzednich. Po przybyciu na miejsce otoczono bunkier, zamykając wszystkie możliwe wyjścia. Banderowcy nie zauważyli żołnierzy WOP, tak że wychodzący jeden (...) po drzewo został schwytany bez strzału. Schwytanego wysłano do bunkra, aby namówił współtowarzyszy do poddania się (...). Banderowcy na propozycję odpowiedzieli ogniem. Żołnierze zarzucili otwory i okna granatami, raniąc i zabijając banderowców. Wszelkie usiłowania

przedostania się do wnętrza bunkra zostały udaremnione przez ogień pistoletów maszynowych. Dowódca Grupy Manewrowej postanowił wykurzyć dymem znajdujących się jeszcze przy życiu (...). Rozpalony ogień w otworach i oknach przedostał się do nafty znajdującej się wewnątrz bunkra. Powstał pożar i wybuch amunicji, który zniszczył całkowicie bunkier (...). Znajdujący się w nim ponieśli śmierć (...). Zatrzymanego (...) Sołtysa Jana, pseudo »Peń«, przekazano do 34. pp”.

Istnieje też druga wersja zniszczenia polowej lecznicy. Przedstawił ją porucznik Żywień, szef II Wydziału 8. Dywizji Piechoty. Swój raport opracował na podstawie meldunku zwiadowczego 34. Pułku Piechoty z 25 stycznia 1947 roku: „Dnia 22 I 1947 r. oddział 4 Grupy Manewrowej natrafił na ślad bandy UPA w rejonie [wsi] Maniów, który naprowadził grupę do (...) bunkra. Oddział otoczył bunkier i zaalarmował o pomoc, ponieważ banderowcy silnie ostrzeliwali się (...). Na alarm dowódca 34 pp dnia 22 I 1947 r. w godzinach popołudniowych wydzielił grupę operacyjną w sile 60 ludzi. Okrążenie bunkra trwało niecałą dobę. Rano grupa manewrowa wraz z grupą operacyjną, widząc, że banderowcy nie poddają się i ostrzeliwują się nadal – przynieśli słomę i podpalili bunkier. Z zaczynającego się palić bunkra wyskoczył jeden banderowiec pseudo »Peń«, który został schwytany. Ujęty zeznał, że w bunkrze tym znajdowało się 16 osób, a mianowicie: 4 lekarzy (...), 3 sanitariuszki (...), ranni (...). Lekarze zastrzelili sanitariuszki, potem zaczęli strzelać rannych”.

Jedyny ocalały ukraiński świadek likwidacji szpitala został w kwietniu 1947 roku skazany przez Wojskowy Sąd Okręgowy w Rzeszowie na śmierć. Wyrok wykonano.

Wiosną 1947 roku Wojsko Polskie zlikwiduje również inne punkty sanitarne UPA, między innymi w Rakowej oraz w Aksmanicach koło Przemyśla. W pierwszej miejscowości zginie w bunkrze około dwudziestu osób, w drugiej – dwadzieścia pięć. Partyzanci wybiorą śmierć zamiast poddania się. Czy jednak wszyscy? Niewykluczone, że niektórzy chcieli przeżyć, zapewne za cenę długoletniego więzienia, ale współtowarzysze nie dali im tej możliwości.

Sotnie traciły składy z jedzeniem, bronią i lekarstwami. W zamienionym w gruzы podziemnym szpitalu na Chryszczatej ogień strawił wprawdzie tylko dziesięć kilogramów masła, ale aż dwieście kilogramów mięsa i pół tony mąki. W Aksmanicach przepadły zapasy leków i żywności, które wystarczyłyby na sześć miesięcy, spłonął ponadto sprzęt medyczny i narzędzia chirurgiczne.

Żołnierze coraz częściej natrafiali też (głównie dzięki zeznaniom złapanych upowców i cywilów współpracujących z UPA) na inne składy żywnościowe w lasach, we wsiach i przysiółkach. W lutym i marcu 1947 roku głód, brud i brak odzieży doświadczy boleśnie wszystkie sotnie podległe kureniami „Rena”, jak również sotnie kurenia „Bajdy” działające na Pogórzu Przemyskim. Także „Brodycz”, przerzucony kilka miesięcy wcześniej ze swoimi podwładnymi w Beskid Niski, poczuje się osamotniony. Tamtejsi Łemkowie konsekwentnie nieufnie będą patrzeć na UPA i w zdecydowanej większości nie okażą się chętni do wspierania banderowskich dążeń.

Spadało morale upowców. Zwłaszcza wśród szeregowych, nierzadko zapędzonych do lasu pod przymusem, którzy nie do końca rozumieli, o co walczą. Mimo organizowanych dla nich regularnych pogadań polityczno-wychowawczych i wciskania im do głów wrogości wobec Polaków w głębi

serc niejednokrotnie marzyli jedynie o tym, by cało wrócić do domu. Jeśli nie dziś, to jutro, pod swoją strzechę lub gont w bieszczadzkiej czy beskidzkiej wsi. W sotniach służyło wielu młodzieńców z południowo-wschodnich regionów Podkarpacia, ale byli w nich również mężczyźni z obszarów położonych dalej na wschód, gdzieś spod Sambora, Lwowa i Stryja.

Tadeusz A. Olszański w tekście *Konflikt polsko-ukraiński 1943–1947* pisze, że UPA wyraźnie słabła już na jesieni 1946 roku: „Zapasy broni i amunicji zaczynały się wyczerpywać, zaś perspektywy III wojny światowej rozwiewały się coraz wyraźniej”.

Mimo to przed akcją „Wisła” wojsku nie udało się rozbić ani jednej sotni. „Do końca 1946 r. głównym przeciwnikiem władz komunistycznych było polskie podziemie, a przeciw UPA skierowano siły dalece niewystarczające (...). Aż do śmierci generała Świerczewskiego głównym przeciwnikiem UPA pozostawały WOP i KBW. Ale nie umiały walczyć z partyzantką” – dodaje Olszański.

Przez długi czas dezercje z oddziałów banderowskich zdarzały się sporadycznie. Jednak od początku 1947 roku *strілci* uciekali i porzucali broń częściej, bo coraz dotkliwiej cierpieli głód i niedostatek. Niektórym się udawało, docierali do rodzin lub kryli się w pobliżu wiosek, dokąd zaufani dostarczali im jedzenie. Inni wpadali w łapy bojówek SB i kończyli z dziurą w głowie lub na gałęzi. Czasami schwytanego dezercera rozstrzeliwał osobiście dowódca sotni – przed swoimi bojowcami, żeby wiedzieli, jaki los czeka nieposłusznych.

Bywało jednak i tak, że skruszony upowiec przechytrzał, zdawałoby się, przypieczętowany już los i przystawał na służbę do Polaków.

– W Stańkowej był ukraiński partyzant „Świstak” – opowiada Jan Wołański z sąsiedniej Zawadki. – Miał dużo na sumieniu, zabijał cywilów i ani powieka mu nie zadrżała. Ale gdy się banderowcom zaczął palić grunt pod nogami, zdezerterował i zgłosił się do wojska. Polakom taki ktoś był potrzebny: znał lokalizację bunkrów, szałasów, magazynów i wiedział, kto jest kim w lokalnych strukturach UPA. Wydał niejednego kolegę z lasu... Potem z żołnierzami chodził po wsiach, rekwirował żywność, przesłuchiwał. Strasznie go Ukraińcy znienawidzili, ale nikt nie miał na tyle odwagi, żeby mu skrócić życie. Za to on sobie nie żałował. Bił rodaków, wymuszał zeznania. Kiedyś wpadł z wojakami do jednej chałupy. W kuchni stała starsza kobieta i trzymała na rękach niemowlę. „Gdzie twój syn?” – zapytał niedawny upowiec. Ona mu na to w gniewie: „To ty nie wiesz, gdzie mój syn?! Przecież był razem z tobą w sotni!”. Z wściekłości pistoletem rąbnął ją tak, że upadła zalana krwią, a dzieciakiem trzasnął o ziemię... Później gdzieś zniknął. Ludzie w okolicy powiadali, że wojsko się go pozbyło, bo nie chciało być kojarzone z bandziorem.

Gdyby część ukraińskich partyzantów chciała się ujawnić dobrowolnie – nic by nie zyskali. Ogłoszona 22 lutego 1947 roku przez Sejm RP amnestia objęła całość działającego w Polsce podziemia, ale z wyłączeniem OUN-UPA. „Dla członków podziemia ukraińskiego wyłączenie ich spod amnestii [miała obowiązywać od 25 lutego do 25 kwietnia] oznaczało jedno: walkę do samego końca, do ostatniego naboju – podkreśla Eugeniusz Misilo w książce *Akcja „Wisła” 1947*. – Alternatywą były tortury i śmierć, w najlepszym wypadku wyrok wieloletniego więzienia. Mogła być też

zdrada. Ale wśród Ukraińców, dowódców i szeregowych żołnierzy (...) była ona czymś wyjątkowym (...). Pojawia się oczywiście pytanie, czy podziemie ukraińskie skorzystałoby z amnestii? Jeśli chodzi o stanowisko kierownictwa OUN »Zakerzońskiego Kraju«^{*}, to było ono w tej kwestii jednoznacznie negatywne”.

Z kolei Tadeusz A. Olszański pisze: „Amnestia 1947 r., podobnie jak poprzednia, nie objęła OUN i UPA, uznanych za sojuszników hitlerowskich Niemiec, przy czym UPA, podobnie jak dywizja SS-Galizien, uznana była za organizację przestępczą – sama przynależność do niej podlegała karze. Wyłączenie to miało ostrze jednoznacznie nacjonalistyczne – Ukraińcy zostali w ten sposób wykluczeni ze społeczności obywatelskiej państwa polskiego oraz z ówczesnego »pojednania narodowego«. Amnestia ta przyniosła praktyczną likwidację polskiego podziemia, czyniąc zarazem z ukraińskiej partyzantki problem numer jeden bezpieczeństwa kraju. Rząd polski nie chciał jednak rozwiązać go metodami politycznymi. Mamy dość powodów, by sądzić, że znaczna część żołnierzy UPA (zwłaszcza nowobrańcy i członkowie samoobron) skorzystałaby z amnestii. W lesie pozostałaby garść nieprzejednanych”.

W marcu 1947 roku dowódcy UPA w Bieszczadach przeprowadzili kolejny pobór. Z informacji Wydziału Operacyjnego Oddziału II Sztabu Generalnego WP: „(...) bandy UPA (...) przeżywają obecnie kryzys ideologiczny i organizacyjny,

* Publicystyczna nazwa nadana przez część ukraińskich historyków i publicystów ziemiom leżącym na zachód od linii Curzona – na Łemkowszczyźnie, Nadsaniu oraz części Lubaczowszczyzny, Rawszczyzny, Sokalszczyzny, Chełmszczyzny i Podlasia.

co w znacznej mierze wpływa na osłabienie ich politycznej i terrorystycznej działalności. Zniechęcenie wywołane trudnymi warunkami bytowymi, ciągła czujność oraz brak pokrycia ideologicznego ze strony aparatu polityczno-wychowawczego w bandach wywołuje wśród »dołów« częste objawy dezercji, które opanowywane są wyłącznie terrorem stosowanym przez dowódców. Przechwyceni przez grupy operacyjne banderowcy są przeważnie wycieńczeni fizycznie i zaważeni (...). Kureń »Hrynia« przeprowadził pobór młodzieży ukraińskiej. Pobór był przymusowy, przy czym młodzież próbowała skryć się na wioskach polskich. Obecnie UPA dokonuje częstych napadów na wioski okoliczne w celu zdobycia żywności, odzieży i obuwia».

– Wpadli do nas w nocy, byli prawie całkiem obdarci – opowiada Bogdan W., dawny mieszkaniec Hulskiego. – Od progu rzucili się wybierać odzienie z naszego kufra. Myśmśmy sami prawie nic nie mieli, ale baliśmśmy się protestować. Potem pomyślałem, że to nie mogli być partyzanci UPA. Nasi chłopcy nie okradaliby rodaków.

W sąsiedniej Zatwarnicy, podobno na rozkaz „Bira”, ludzie musieli przygotować spodnie, swetry, płaszcze i buty, a następnie przekazać pakunki banderowcom. Rozkaz dotyczył każdej rodziny, ale nie wszystkie bez oporów poddały się przymusowi. Katarzyna Konwicka pamięta, że niektórym gospodarzom upowcy musieli wyrywać ubrania siłą i nie żałowali przy tym pięści. *Za waszu swobodu i naszą Ukrainu borjusja, suczyj synu! Dawaj, szczo każu!** – wrzeszczeli.

* Za waszą wolność i naszą Ukrainę walczę, sukinsynu. Dawaj, co każe! (ukr.).

– Na przednówku 1947 roku do Romanowej Woli parokrotnie zakradali się różni leśni – opowiada Paulina Smarkucka. – Przypominali bardziej zjawy niż ludzi, tacy byli czarni od brudu i wyniszczeni. Rzucali się na garnki i wyjadali z nich wszystko do dna. Niektórzy mieli na nogach ledwo trzymające się trzewiki, inni jakieś łapcie owinięte szmatami i przewiązane wokół drutem. Przychodzili nagle i równie nagle znikali.

Z takich samych powodów, z chęci zdobycia ubrań i jedzenia, sotenny „Chrin” postanowił zaatakować kolumnę wojskową jadącą z Baligrodu do Cisnej. Gdyby nie nędza i głód panujące w oddziale, nie zaryzykowałby napadu. Przynajmniej nie w czasie, gdy jego siły były nadwerężone.

Rozdział VI

Dwie kule dla generała

28 marca 1947 roku w Baligrodzie od wczesnego ranka panuje wzmożony ruch. W zlokalizowanej w willi lekarza Włodzimierza Kuźmaka siedzibie 2. Batalionu 34. Pułku Piechoty oficerowie i żołnierze uwijają się jak w ukropie: omawiany jest szczegółowy plan dnia, sprzątane pomieszczenia i podwórze, przygotowywany poczęstunek. Nieopodal, w szkole podstawowej dyrekcja i nauczyciele układają bukiet kwiatów i wyznaczają dzieci do jego wręczenia. Inne mają deklamować wiersze. W urzędzie gminy władze ustalają treść przemówienia powitalnego. Ma być krótkie, ale chwytające za serce. Baligród chce pokazać, że wizyta generała jest najważniejszą od miesięcy, a może nawet lat.

Z notatki w kronice szkolnej: „26 marzec 1947 [tak w oryginale]. W dniu dzisiejszym w Baligrodzie duży ruch i przygotowanie na przyjęcie gen. Świerczewskiego. W związku z tym w przeddzień odbyły się pogadanki o życiu generała i przygotowano uczniów do wygłoszenia przywitania. Cały Baligród udekorowano flagami. W tym dniu w godzinach popołudniowych przyjechał generał na inspekcję oddziałów

wojskowych. Po uroczystych przywitaniach ze strony młodzieży i miejscowego społeczeństwa generał udał się do koszar WOP-u. W dniu jutrzejszym (...) ma udać się do Cisny na dalszą inspekcję. Miejscowe społeczeństwo i oficerowie ostrzegają przed grożącym niebezpieczeństwem ze strony banderowców UPA, lecz generał postanawia jechać dalej. Nie pomogły ostrzeżenia, cmentarz poległych żołnierzy ani też przywiezienie w tym dniu zabitych i rannych żołnierzy”.

Autor bądź autorka wpisu w kronice pomylili datę czy w istocie „Walter” przybył do Baligrodu wcześniej, niż powszechnie wiadomo? Pod datą 27 marca to samo czytelne i wyrobione pismo: „Generał Świerczewski odjeżdża w kierunku Cisny. Młodzież szkolna zebrana przed koszarami żegna generała, który cały czas jest uśmiechnięty, ściska dzieci, które wręczają mu skromne kwiaty (...). Wsiada do gazika, a za nim jadą żołnierze w osobnych autach”.

Dzień 27 marca, czwartek, podaje również kilku baligrodzian, choć w literaturze poświęconej Świerczewskiemu oraz w dokumentacji wojskowej jest napisane, że był to 28 marca. Identyczna data widnieje w dokumentach wojskowych i przewija się w zeznaniach osób towarzyszących „Walterowi” w inspekcji.

– W mojej pamięci zakodowałaś czwartek, a nie piątek – skupia myśl mieszkanka Baligrodu – bo byłam wśród dzieci, które witały Świerczewskiego. Rozdawał nam cukierki, ale wydał mi się dziwny. Stał w niezadaszonym samochodzie, między podwładnymi, i jakby się lekko chwiało. Dopiero jak dorosłam, zrozumiałam, że musiał być na rauszu. Wypił zapewne w miejscowym sztabie, na rozgrzewkę albo dla odwagi. Już wtedy wielu wiedziało, że nie stronił od alkoholu, ale nikt głośno nie śmiał o tym mówić.

Kilkanaście godzin wcześniej Świerczewski śpi w najlepszej w gościnnej kwaterze, a w bunkrze na Chryszczatej „Chrin” przygotowuje się do drogi. Tej nocy podobno nie zmruży oka; omówi plan wyjścia z sotennym „Stachem”, zrobi odprawę bojowców, wyda rozkazy i ogłosi dokładną godzinę wymarszu w kierunku drogi Baligród–Cisna. Jest jeszcze ciemno, a marcowa plucha nie nastraja do opuszczenia obozowiska. Partyzanci są przemęczeni i zniechęceni, trawia ich przeziębienia, infekcje skórne, a zapasy żywnościowe i papierosy się kończą. „Chrin” nie ma wyjścia – musi zaryzykować wypad, by zdobyć prowiant, może także lekarstwa i broń. Połączone sotnie wyruszają w zwartym szyku przez ciemny las. Panuje zupełna cisza, o tej porze drzemie nawet ptactwo. Niektórzy strzelcy też jeszcze całkiem się nie obudzili; co chwilę potykają się o wystające spod topniejącego śniegu konary drzew i kamienie. W obozie zostają tylko ranni, ciężko chorzy i kucharze, którzy z resztek kartofli i kaszy mają ugotować zupę.

W pewnym momencie na rozkaz dowódcy banderowcy przyspieszają kroku. Są wprawieni w długich przemarszach przez góry, wykroty i potoki, ale pięciogodzinna droga bez odpoczynku wszystkim daje się we znaki. Około dziewiątej trzydzieści partyzanci zajmują stanowiska na porośniętym krzakami wzgórzu na wysokości Jabłonek – tuż przed pojawieniem się kolumny jadących z Baligrodu wozów wojskowych. Ale dlaczego akurat tam? Skąd banderowcy wiedzą, że szosą ma przejeżdżać wojsko?

Dzień wcześniej, 27 marca, w rejonie Sukowatego spotykają się wszystkie czoty (plutony) z sotni „Chrina”. Koncentracja służy omówieniu najważniejszych spraw i zorganizowaniu akcji bojowej. Banderowcy mają informacje, że trasą

do Cisnej ma przejeżdżać transport wojskowy, być może z żywnością, a ta jest teraz dla upowców najważniejsza. Nie wiedzą – a przynajmniej nie potwierdzają tego zeznania schwytanych później *strilciw* – że w zmotoryzowanej kolumnie wojskowej będą wysocy rangą oficerowie. Partyzantom nie chodzi o zmasakrowanie żołnierzy, lecz o łup, który pozwoli przetrwać najtrudniejszy czas. A z wiosną, po uzupełnieniu braków kadrowych i amunicji – na nowo ruszyć do walki. Tak myślą dowódcy – wciąż liczą na wybuch trzeciej wojny i wywalczenie niepodległej Ukrainy, w której granicach miałyby się znaleźć tereny od Beskidu Niskiego przez Bieszczady po Pogórze Przemyskie.

Pokryte śniegiem wzgórze nad drogą, sześć, siedem kilometrów od Baligrodu, zajmuje kilkudziesięciu zbrojnych, którzy najszybciej docierają na miejsce zasadzki. Z drogi są zupełnie niewidoczni, sami zaś mają przed sobą otwartą przestrzeń. Gdy po chwili nadjeżdża polska kolumna, na odcinku kilkuset metrów mają żołnierzy jak na patelni. Padają pierwsze strzały, Polacy wyskakują z samochodów i próbują się bronić. Także generał Świerczewski, drugi wiceminister obrony narodowej, wyciąga pistolet i strzela na ślepo w kierunku wroga. Dowodzi obroną, wydaje rozkazy. Żołnierzy jest zaledwie trzydziestu trzech, w dodatku nie wszyscy od początku mogą uczestniczyć w boju, bo chwilę po wyjeździe z Baligrodu psuje się samochód z ochroną. Dalej jedzie tylko niezadaszony dogde, w którym siedzi „Walter” i inni oficerowie – oraz ciężarowy zis z resztą mundurowych.

Ten brakujący element ma duże znaczenie – w tym czasie od banderowskich kul ginie dwóch żołnierzy, a kilku zostaje rannych. Pociski dosięgają też Świerczewskiego – najpierw otrzymuje postrzał w brzuch, później zaś, podczas

wycofywania się w bardziej bezpieczny teren – w dolną część pleców. Gdy wreszcie po mniej więcej dwudziestu minutach nadjeżdża zreperowany samochód eskorty, Ukraińcy bez strat wycofują się do lasu, a „Walter” umiera nad potokiem poniżej szosy.

Według części świadków walka trwa pół godziny, według innych – blisko dwie. Mieszkańcy Baligrodu dowiadują się o śmierci wiceministra obrony około jedenastej. W szkole nauczyciele przerywają lekcje, ludzie wychodzą na ulice i z przejęciem przekazują kolejnym przechodniom hiobową wieść.

– To było coś niewiarygodnego – mówi cytowana już wyżej kobieta. – Wprawdzie ostrzegano generała, by dalej za Baligród nie jechał, ale nikt z nas nie dopuszczał myśli, że może mu się stać coś złego. W końcu podróżował z obstawą osobistą i w otoczeniu uzbrojonych żołnierzy. Nie jakimś osamotnionym pojazdem, lecz w kolumnie wojskowych aut.

Z zapisu w kronice szkolnej: „Jego [generała] ciało przywieziono do Baligrodu. Ludzie i młodzież szkolna idą popatrzeć ostatni raz na tego człowieka, którego przed niespełna dwoma godzinami żegnano. Widać nawet u mężczyzn (...) łzy w oczach, żołnierze płaczą, płacze i młodzież (...). W Baligrodzie ogólne przygnębienie, cisza złowroga krąży po całym miasteczku, ludzie chodzą z opuszczonymi głowami, nawet ludność ukraińska jakaś wystraszona, w ogóle z domów się nie pokazuje (...). Wieczorem ludność patrzy zaniepokojona na okolice i wydaje się, jakby jakaś siła przybliżała się, aby dokonać zniszczenia całego miasteczka. Ludzie uciekają i kryją się w kryjówkach, gdyż każdemu się wydaje, że banderowcy lada chwila uderzą na słabą placówkę WOP-u

[powinno być: 2. Batalionu 34. PP] i dokonają zniszczenia i mordów. Ukraińcy między sobą mówią, że to będzie źle, że (...). *Lachy nam toho ne darujut**. Jednak noc minęła spokojnie”.

Aniela H. mieszkała pół kilometra od miejsca zasadzki na „Waltera”. Z przerwami, bo niekiedy – w obawie przed napadami – musiała ukrywać się w lesie. Spała wtedy z potomstwem w pogłębionej gołymi rękami borsuczej jamie – mniej widocznej dla oka niż zewnętrzny szałas. O tym, że banderowcy zabili Świerczewskiego, dowiedziała się tego samego dnia.

– Od lata 1946 roku coraz częściej przebywałam u krewnych w Baligrodzie, bo w Kołonicach i Jabłonkach już nikt nie został i strach było siedzieć samej z dziećmi. Rano wybrałam się ze znajomą do opuszczonych wsi, żeby w piwnicach poszukać żywności. W jednej z chałup znalazłyśmy ziemniaki, nawet w dobrym stanie. Kiedy ładowałyśmy je do worków, z oddali dobiegł nas odgłos strzelaniny. Uciekłyśmy z powrotem do Baligrodu, a kilka godzin później gruchnęła wieść o śmierci „Waltera”. Jeden przez drugiego lamentował, że skoro bandery porwały się na generała, to gotowi są już na wszystko. Zapanował strach, ale wkrótce nadciągnęły większe siły wojskowe i ludzie poczuli się bezpiecznie.

Tak na łamach „Nowin Rzeszowskich” wspomina ostatnią wizytę „Waltera” Eugeniusz Pilszak, po wojnie sekretarz komitetu gminnego PZPR w Baligrodzie: „Pamiętnego dnia (...) 28 marca 1947 roku w godzinach rannych, przyjechał

* Polacy nam tego nie darują (ukr.).

(...) towarzysz generał Karol Świerczewski. Byłem wówczas już przeniesiony służbowo do Baligrodu i widziałem, jak nasz ukochany gen. (...) wysiadł z auta, poszedł na placówkę WOP-u. Tam dłuższą chwilę rozmawiał z dowództwem i żołnierzami (...). Następnie z towarzyszącymi mu oficerami udał się do Zarządu Gminy w Baligrodzie, gdzie rozmawiał z ówczesnym wójtem, ob. Stanisławem Krzyśniowskim [Trześniowskim]. Gen. (...) wypytywał wójta i obecnych tam ludzi o bezpieczeństwo okolicy oraz wysłuchał opowieści o mordach i napadach band UPA. Zwracał się on równocześnie z apelem, by cała ludność wzięła udział w akcji tępienia band (...). Z gminy gen. Świerczewski powrócił do placówki WOP, skąd koło godziny 11 (...) udał się w asyście dwóch aut w stronę Cisnej na inspekcję tamtejszego posterunku WOP. Przed wyjazdem oficerowie (...) z Baligrodu radzili generałowi, by do Cisnej jechał autem opancerzonym ze względu na bardzo niebezpieczny teren (...), odmówił jednak tej rady, twierdząc, że w wolnej Polsce będzie jeździł tylko w zwyczajnym aucie”.

A tak śmierć Karola Świerczewskiego pamięta Józef Kopyński:

– Służyłem wówczas w plutonie operacyjnym MO w Lesku. My, szeregowi funkcjonariusze, nic nie wiedzieliśmy o wizycie „Waltera” w Bieszczadach. Po południu w mieście zrobił się nagle ruch. Siedziba MO mieściła się naprzeciwko budynku komitetu powiatowego partii. Na plac zajechał samochód z odkrytą platformą przystrojoną jedliną. Leżało na niej ciało tysego mężczyzny w generalskim mundurze. Wtedy ja i koledzy dowiedzieliśmy się, że to Karol Świerczewski. Po bokach auta stali żołnierze i nie dopuszczali nikogo zbyt

blisko. Potem kolumna odjechała do Rzeszowa, skąd ciało przetransportowano samolotem do stolicy.

Nazajutrz po zasadzce kapral Józef Kopczyński wraz z milicjantami i żołnierzami wziął udział w wizji lokalnej pod Jabłonkami.

– Najbardziej uderzyła mnie cisza, taka pusta i głucha. Zza chmur przebijało się słońce, topniał śnieg, a my laziłszy wokół i szukaliśmy śladów wczorajszego boju. Mieliśmy ich zabezpieczyć jak najwięcej, tyle że nic oprócz zrytej ziemi i połamanych gałęzi nie znaleźliśmy. Oficerowie i osoby z ekipy śledczej sporządzili dokładny plan miejsca zasadzki: narysowali drogę, która biegła zupełnie inaczej niż obecnie, i mostek na potoku. Oznaczyli też punkty, w których zatrzymały się samochody po ataku banderowców. Uświadomiłem sobie, że nasi żołnierze i tak mieli dużo szczęścia. W tym miejscu nie mieli gdzie się ukryć, bo to otwarta przestrzeń, wielki plac tartaczny do składania dłużyc i nic więcej. Upowcy mogli ich wystrzelać jak kaczki. W trakcie wizji lokalnej przywieziono z Baligrodu sześć młodych kobiet. Pomogliśmy im nałamać gałęzi jodeł, by na miejscu uplotły wieńce na pogrzeb generała. Taki był rozkaz. Jedna z tych dziewcząt została później moją żoną.

Dwa dni po śmierci „Waltera” na miejsce przyleciał kukuźnikiem warszawski reporter Jerzy Ros. Wrażenia z pobytu w Bieszczadach opublikował w jednej ze stołecznych gazet, a dwadzieścia lat później w tygodniku „Dokoła Świata”:

„Sanok, niewielka, schludna miejscina, przywitał mnie klasycznym obrazkiem wojskowym: oddziały żołnierzy w hełmach przeciągały przez miasto w pełnym rynsztunku. Żołnierze byli zmęczeni, szarzy od pyłu – tak się wygląda w akcji, a nie w trybie koszarowego życia. Ulicami toczyły

się ciężarówki wojskowe i wozy pancerne – łącznicy na motocyklach wymijali furmanki i snuł się przyfrontowy, biednie odziany tłum cywilów: baby zakutane w chuściny, chłopcy w kozuchach i samodziałowych burkach, w baranicach i butach z cholewami. Środkiem jezdni, pod silną eskortą, kroczyło trzech banderowskich jeńców, dźwigając swoją broń. Twarze pokrywała im skorupa dawno już nie golonego zarostu i brudu, włosy mieli zmierzwiłone, usta zacięte. Cały ich wygląd przypominał owych Mickiewiczowskich zbójców, o których poeta pisał, że »wzrok ich dziki, suknia plugawa«.

W asyście żołnierzy pojechał do Baligrodu: „Im dalej od Sanoka (...), tym krajobraz stawał się dzikszyszy i surowszy. Gęstwina lasów pokrywała stoki gór wznoszących się kopias-to tuż od skraju szosy (...). Ciche, przydrożne cmentarze, samotne groby i popalone wsie, nad którymi sterczą tylko kikuty kominów (...). Chevrolet zatrzymuje się w Jabłonce przy mostku. Także pozostałe samochody doszlusowują. Generał Mossor wysiada i wzywa do siebie dowódcę eskorty. »Wszyscy z maszyn! W dwuszeregu zbiórka! (...). W tym miejscu poległ przedwczoraj generał Świerczewski-Walter. Bacność! Prezentuj broń! (...)«. Polny kamień zaznacza miejsce, w którym kula dosięgła Świerczewskiego. Kiedyś stanie tutaj zapewne obelisk”.

Wróćmy do piątkowego popołudnia 28 marca 1947 roku. Ze wspomnień „Ducha” z upowskiej bojówki SB: „(...) żadnych informacji na temat przyjazdu generała Świerczewskiego »Chrin« nie miał (...). Nasz łącznik z Baligrodu powiadomił nas, że w tej zasadzce zginęła jakaś ważna osoba. Ale o tym, że to był generał Karol Świerczewski, dowiedzieliśmy się z polskiej prasy (...). Sama zasadzka zdarzyła się

na szybko (...). W tej akcji brała udział tylko jedna czota »Hrania« z sotni »Chrina«. On z resztą swojej sotni nawet nie doszedł na stanowiska”.

Oddziały wracają do obozu, ale „Chrin” nie jest zadowolony z przebiegu akcji. Nie osiągnął tego, co wcześniej zamierzył. W polskich autach jego podwładni nie znaleźli jedzenia i lekarstw, nie udało się też zdobyć broni ani spalić samochodów. W złości oskarża niektórych partyzantów, że dali z siebie za mało. Nikt nie śmie protestować – za niesubordynację sotenny umie surowo karać. Potem się uspokaja, lecz pierwszy uśmiech pojawia się na jego twarzy dopiero trzy dni po zasadzce, gdy do bunkra w masywie Chryszczatej dociera wieść o śmierci generała Świerczewskiego.

Zrazu nie wierzy, jednak gdy widzi gazety z nekrologami i zdjęciami „Waltera”, jest bliski radosnego szaleństwa. Gratuluje sobie, „Stachowi” i podkomendnym, zarządza uroczystą zbiórkę i wychwala wyróżniających się strzelców. Po miesiącach nieustannych ucieczek, ukrywania się, kłuczenia po lasach przed nieustępliwym wrogiem – wreszcie odnosi sukces na dużą skalę. Wieść o zastrzeleniu wiceministra obrony narodowej dociera do oddziałów UPA także poza Bieszczadami, a dowódcy ślą raporty wychwalające sprawców. Niektóre ich fragmenty są wyraźnie przesadzone, jak choćby zapis o rozebraniu Świerczewskiego do kalesonów i przywdzianiu generalskiego płaszcza przez „Chrina”. Banderowcy powiększają też polskie straty; piszą, że spalili trzy wojskowe auta i ranili ciężko Jana Gerharda, który rękoma zmarł w szpitalu. Dodatkowo upowcy zwiększają mu w opisie rangę – z podpułkownika na generała.

31 marca duża grupa banderowców wchodzi do Zawozu. Miejscowy Polak Władysław Wronowski tak pamięta tamte chwile:

– Zastanowiło mnie i zaniepokoiło, skąd nagle takie zgromowienie we wsi. Moi polscy sąsiedzi uznali, że Ukraińcy nas wymordują, ale nie chciałem w to wierzyć. Przeskoczyłem z domu na drugi koniec wioski. Na drodze zobaczyłem znajome Ukrainki, które rozmawiały z dwoma upowcami. Inni stali w pewnym oddaleniu. Ci dwaj, jak sądziłem, oficerowie, mieli broń krótką; nie byli ubrani w kompletne mundury, a na nogach mieli oficerki. Jak wyglądali? Jeden wysoki i szczupły blondyn, drugi niższy, z ciemniejszymi włosami. Nie mogłem się wycofać, byłoby to podejrzane, dlatego, przechodząc, powiedziałem: *Stawa Isusu Chrystu*, a oni wszyscy odpowiedzieli: *Na wiki wikiw*. W tej samej chwili ten wyższy zapytał kobiety: *Szczo za odyń?**. Odparły, że tutejszy Polak, ale dobry, bo kiedy przychodzi wojsko, to zawsze broni ukraińskich sąsiadów przed atakami żołnierzy. Odruchowo się zatrzymałem, a wtedy ten upowiec zmierzył mnie wzrokiem i wyszeptał: *Dobre, idy...*** . Zanim odszedłem, usłyszałem strzęp rozmowy: *My pid Jabłunkamy złowyły wetyku polsku rybu****. Zrozumiałem, o czym mówią, bo już wiedziałem o zabiciu Świerczewskiego. A potem te Ukrainki mi zdradziły, że spotkałem na drodze „Chrina” i „Bira”. Nie śmiałem jednak dopytać, po co tu przyszli i dokąd odeszli. Zresztą same zapewne nie miały takich informacji.

* Co za jeden? (ukr.).

** W porządku, idź (ukr.).

*** Pod Jabłonkami złowiliśmy wielką polską rybę (ukr.).

Jeszcze nie opadną emocje związane z zastrzeleniem „Waltera”, a upowcy odniosą kolejny „sukces”. 1 kwietnia 1947 roku sotnia „Bira” rozbija między Kołonicami a Rabem trzydziestojednoosobowy oddział żołnierzy WOP z Cisnej, z którym podróżował do Baligrodu ciśnieński komendant MO. Z zasadzki wyjdzie bez szwanku tylko jeden żołnierz, dwóch rannych ocali życie dzięki temu, że udadzą martwych. Inni polegą na miejscu bądź zostaną uprowadzeni i zabici później. „Bir” ogłosi krwawą akcję jako odwet za zniszczenie w styczniu przez wopistów szpitala UPA na stoku Kraglicy i śmierć szesnastu banderowców.

6 kwietnia 1947 roku w Baligrodzie oficer Informacji Wojskowej przesłuchuje kapitana Janusza Antoszlaka, dowódcę 4. Grupy Manewrowej WOP w Cisnej. Pięć dni po zasadzce UPA kapitan musi być jeszcze we wstrząsie. Mimo to jasno i dość precyzyjnie odpowiada na pytania śledczego. Dowodzona przez niego grupa manewrowa ma być rozwiązana, a wopiści mają odjechać do macierzystej jednostki w Koszalinie z końcem marca bądź w pierwszych dniach kwietnia. Ustalenia padają na odprawie w Przemyślu. Zostają zamówione wagony, rozpoczynają się przygotowania do opuszczenia ciśnieńskiej placówki. Pada w końcu data odjazdu ze stacji kolejowej [w Zagórze lub Sanoku] – 5 kwietnia 1947 roku. Żeby zmieścić bagaże, sprzęt wojskowy, żywność i broń, dowódca zamawia na 2 kwietnia u chłopów w Cisnej i okolicy dwadzieścia osiem furmanek.

30 marca kapitan Antoszlak urządza w Cisnej pożegnalny obiad i zabawę. Zaprasza: żołnierzy, wójta, sołtysa, leśniczego, dwóch gajowych, zawiadowcę stacji, dowódcę i dwóch wopistów z miejscowej strażnicy oraz ukraińskiego księdza z Dołżycy wraz z żoną. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że

żołnierze opuszczają Cisnę: „Wojsko nie było skoszarowane, a mieszkało po cywilnych kwaterach, stykało się na każdym kroku z ludnością cywilną, co spowodowało rozkonspirowanie” – zeznaje kapitan.

„Bir” musi wiedzieć, kiedy 4. Grupa Manewrowa będzie przejeżdżać drogą w kierunku Baligrodu. Nie idzie tam przypadkiem, lecz z pełną świadomością, na kogo się zasadza. Nie może przepuścić takiej okazji – gorycz po likwidacji szpitala UPA na Chryszczatej jest zbyt dokuczliwa. Banderowcy chcą się zemścić za atak wopistów na punkt sanitarny. Listy i meldunki UPA z tego okresu pełne są fraz o konieczności odegrania się na polskich żołnierzach. Być może gdyby nie spalenie podziemnej lecznicy, nie byłoby też owej zasadzki pod Baligrodem. Być może.

Śledczy Informacji Wojskowej przesłuchuje także Włodzimierza Wieruszewskiego, dowódcę kompanii strzeleckiej 4. Grupy Manewrowej WOP. Zeznaje on, że 1 kwietnia 1947 roku z Cisnej do Baligrodu wyjechało samochodem siedmiu oficerów i dwudziestu czterech żołnierzy jako ochrona. Grupa była uzbrojona w erkaemy, pepesze, karabiny, pistolety oraz granaty. Według Wieruszewskiego oficerowie musieli udać się do Baligrodu, by załatwić pilne sprawy przed wyjazdem całej grupy WOP do Koszalina. „(...) Kpt. Antoszlak uprzedził oficerów, aby szli piechotą od Góry Jabłońskiej aż za kapliczkę [w Kołonicach], tj. przez miejsce najbardziej niebezpieczne (...). Ok. godziny 13 poszedłem do kpt. Antoszlaka i dzwoniłszy do Baligrodu z zapytaniem, czy wysłany samochód z Cisny przyszedł do Baligrodu. Odpowiedzi były różne, raz, że przyszedł, drugi raz, że pojechali do Leska, aż w końcu otrzymaliśmy odpowiedź, że stał się wypadek z naszym samochodem (...). Zarządziliśmy alarm,

zabraliśmy 50-ciu żołnierzy i przyjechaliśmy na miejsce wypadku (...). Miał miejsce mniej więcej (...) gdzie zginął generał Świerczewski (...), widzieliśmy ślady krwi (...), postrzeloną czapkę szofera i porozrzucane owijacze. Ciał ludzkich nigdzie nie widzieliśmy”.

Dwa ciosy w Polaków w ciągu zaledwie czterech dni, w dodatku pod nosem stacjonującego w Baligródzie 2. Batalionu 34. Pułku Piechoty, posterunków MO oraz półtora tysiąca żołnierzy przerzuconych w tej rejon Bieszczadów z Rzeszowa dzień przed akcją zorganizowaną przez „Bira” i jego podkomendnych. Żołnierze ci otrzymują jedno zadanie: wysledzić, dopaść i zlikwidować sotnię dowodzoną przez „Chrina”. Żadnej innej nie uważa się za groźniejszą, bardziej podstępna i znenawidzoną.

Tymczasem „Chrin” odbiera pochwały:

„Do Druha Komandyna! Gratulacje za »spucowanie« gen. Świerczewskiego. Przekażcie gratulacje tym, co tego dokonali, i przyslijcie szczegółowy protokół w tej sprawie. To Wasza robota! Ona poruszyła opinię całego świata. Wykonawcy powyższego zasłużyli się odpowiednio, dlatego proszę ich podać do góry. Gdzieś tam 200 zaciera ręce z zadowolenia (...). San-punkt p. Arpada pomoszczono godnie. A przy tym jeszcze i propaganda! Wiecie, że nie mogą się nacieszyć w całym świecie z tego wypadku. Dobrze, że (...) stał się na naszym terenie” (list bez daty i podpisu).

O działaniach UPA i zabiciu generała „Waltera” rozpisuje się także prasa zagraniczna. W wydaniu z 16–17 kwietnia 1947 roku dziennik „Corriere Lombardo” publikuje tekst na podstawie rozmowy z „jednym z przywódców

partyzanckiej armii ukraińskiej”. Fragmenty: „Udało mi się spotkać w miejscowości granicznej grupę członków tajnego wojska UPA, które, jak wiadomo, nic nie ma wspólnego z partyzantami polskimi – zgodni są tylko na punkcie zwalczania rządu warszawskiego. Członkowie UPA są to Ukraińcy, fanatyczni nacjonaści, zdecydowani utworzyć republikę ukraińską niezależną od Rosji i od Polski. Nieznane są dokładnie siły operujące nad granicami, lecz wiadomo, że działają, zapuszczając się głęboko na terytorium sowieckie (...). Członkowie UPA uzbrojeni są doskonale, zorganizowani na system sowiecki, opierający się na żelaznej dyscyplinie i o najwyższym duchu ofiarności. Są to fanatycy, jakimi tylko potrafią być Słowianie, i sprawiają wiele kłopotów nie tylko Polakom, ale również Rosjanom (...). Partyzanci UPA mają poparcie większej części ludności, która dostarcza im żywność, ukrywa przed policją i zawiadamia o ruchach wojsk użytych do represji. W małej miejscowości granicznej, w chacie, do której zaprowadziła mnie przychylna osoba, zastałem 7-miu mężczyzn uzbrojonych w karabiny maszynowe. Chętnie udzielili mi wywiadu. Przywódca tych 7-miu, który włada dużym obszarem, potwierdził [że] pod swoimi rozkazami ma tysiące ochotników i chwilowo nie zamierza powiększać ich liczby. (...) Nie podał swego nazwiska, lecz słyszałem, jak towarzysze nazywali go czeskim imieniem Jan. Postać dumna, pewna siebie, mówi z przerwami, nerwowo”.

„Zabiliśmy gen. Świerczewskiego dlatego, że był jednym z najzaciętszych naszych prześladowców. Uprowadziliśmy go. Tyle razy zabijał i rozstrzeliwał naszych towarzyszy i prócz tego, że był naszym wrogiem, był nadto zależny od wskazówek Moskwy. Myśmy chwycili za broń nie tylko przeciwko

Polsce, my walczymy i walczyć będziemy przeciwko Rosji, Polsce i tym wszystkim, którzy nas ciemiężą”.

„Spytałem też o szczegóły egzekucji generała. Jan powiedział: »Była to dzika bestia, ale los jego został przypieczętowany. Wystaliśmy wybranych stu ludzi tam, gdzie wiedzieliśmy na pewno, że przejedzie (...), prócz tego inne możliwe przejścia były także obserwowane. Zaskoczenie się udało (...). General był pierwszym, za nim pójdzie wielu, wielu innych. Ich okrucieństwu odpowiemy takim samym okrucieństwem, póki nie osiągniemy swego celu«”.

Ale poparcie dla banderowców spada, co irytuje dowódców UPA. Stąd akty przemocy wobec rodaków: pobicia, grabieże, przymusowe wcielenia do poszczególnych sotni. By uniknąć służby, młodzi Ukraińcy, nierzadko szesnasto-, siedemnastoletni, uciekają z domów, a niekiedy muszą szukać pomocy u Polaków. Pójście do lasu pod broń, gdy wszędzie regularne wojsko, oznacza zgubę. Jeśli nie śmierć, to ciężkie więzienie. A w nim tortury.

Stefan Wislocki z Rakowej miał w 1947 roku osiemnaście lat i musiał się liczyć z tym, że pewnego dnia przyjdą również po niego. Każą mu zabrać tylko tobolek i popędzą w nieznane.

– Od początku tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego spałem przeważnie poza domem. Pierwszy raz wkrótce po świętach Bożego Narodzenia, kiedy we wsi zaczęto szeptać o przymusowym poborze młodzieży. Potem już coraz częściej spędzałem noce w kryjówce pod stodołą. Dwóch moich kolegów, mniej więcej w tym samym wieku, nie uniknęło wcielenia do UPA. Nigdy ich już nie zobaczyłem.

Ukraińscy chłopci, ich żony i dzieci chcieli przede wszystkim żyć. Początkowo w większości życzliwie nastawieni do UPA, modlili się teraz tylko o to, by wojsko jak najszybciej poradziło sobie z leśnymi. Nie dostrzegali już sensu wojowania o niepodległą Ukrainę i nie wierzyli w obietnice upowskich dowódców, którzy nieustannie mieli nadzieję na rychłą zmianę porządku politycznego w Europie.

Podpułkownik Jan Gerhard, który ocalał życie pod Jabłonkami, ocenił sytuację rdzennej ludności jako tragiczną. Grzegorz Motyka w książce *W kręgu „Łun w Bieszczadach”* przytacza fragment raportu dowódcy 34. Pułku Piechoty: „Ludność na terenie woj. rzeszowskiego jest to odłam ukraiński tzw. Łemków, którzy nigdy nie mieli wiele wspólnego z szowinizmem ukraińskim. Ludność ta w chwili obecnej jest najbardziej nieszczęśliwą (...). Nękana w równej mierze przez bandy jak przez wojsko nie znajduje (...) wyjścia w swoim nieszczęściu. Wsie płoną, podpalane przez bandytów z zemsty, a przez wojsko w czasie walki, bydło zabierają bandy na kontyngent, a wojsko karze za to ludzi, którzy żyją pod ciągłą grozą karabinu jednej czy drugiej strony. Nastawienia politycznego ta ludność nie ma. Są oni (...) zmęczeni i pragną tylko jednego: spokoju”.

Pisał to człowiek, który w 1946 roku rozkazywał palić zabudowę wysiedlanych wiosek i będzie to robił także w czasie operacji „Wisła”. A jednocześnie – w tym samym raporcie – zamartwiał się codziennością mieszkańców: że żyją oni nieomal w „jaskiniowych” warunkach, bez prądu, mydła, soli czy cukru. Miał mimo to tyle odwagi, by przyznać, że wsparcie udzielane UPA było i jest nie tylko wynikiem stosowanego ze strony banderowców terroru, ale też fatalnego zachowania się polskich żołnierzy, którzy poprzez grabieże,

pobicia i zastraszanie wzbudzają wśród Ukraińców niechęć, a nawet otwartą wrogość.

W tym samym czasie w stolicy zapadały decyzje w sprawie deportacji Ukraińców na Ziemie Odzyskane. Władze planowały akcję od dawna, ale śmierć Świerczewskiego ją przyspieszyła.

Rozdział VII

Domy płonęły jak pochodnie

Kilka dni przed rozpoczęciem operacji „Wisła” Ministerstwo Obrony Narodowej prosi władze ZSRR i Czechosłowacji o zablokowanie granic z Polską. Tym sposobem chce odciąć banderowcom drogi ucieczek. Uda się to jednak tylko w pewnym stopniu – zarówno na wschód, jak i na południe przedostają się grupy upowców z kilku przeredzonych oddziałów. Trudniejsze zadanie mają partyzanci, którzy przedzierają się do Związku Radzieckiego. NKWD tropi ich zaciekle i dużymi siłami. Również żołnierze czechosłowaccy wyłapują bądź zabijają ukraińskich bojowców, ale zdarzają się przypadki, że unikają starć, a nawet udają, że nie wiedzą o obecności Ukraińców. Niekiedy Czechosłowacy podejmują walkę tylko wtedy, gdy bezpośrednio współdziałają z jednostkami polskimi. Zdarza się także, że przechodzą w pobliżu banderowców z nienaładowaną bronią, manifestując w ten sposób swoją neutralność.

W kwietniu 1947 roku państwo rzuca przeciwko UPA dwadzieścia sześć tysięcy żołnierzy, funkcjonariuszy KBW,

UB, MO i ORMO. Dobrze uzbrojoną masę przeciwko może dwóm tysiącom głodnych, obdartych żołnierzy UPA. Ale trudnych do unicestwienia. Jak nikt inny znają każdy krzak, potok, wąwóz. Nadto gotowi są bić się do ostatniego naboju. Sami już z rzadka atakują (zgodnie z rozkazem dowódcy UPA na Zakerzoński Kraj mają unikać starć z wojskiem), lecz stawiają zacięty opór w każdej potyczce z polskimi siłami. Jednocześnie po rozpoczęciu wysiedleń rodaków otrzymują od przełożonych zadanie.

W zawierającej dwanaście punktów tajnej instrukcji zaleca się między innymi:

- „– Zabierać wszystkie świnie w terenie.
- Postarać się o kilka par koni z wozami.
- Gromadzić przybory szewskie, krawieckie, szklarskie, kowalskie, garbarskie itd. Oraz kosy, sierpy, siekiery, piły, żarna, garnki, wiadra, łyżki, beczki, a przede wszystkim wszelkiego rodzaju zapasy żywności (...). Wszystko to dobrze zabezpieczyć (...), mięso marynować znanymi sposobami i magazynować.
- Skupować (...) papier, przedmioty kancelaryjne, mieć igły i inne przemysłowe towary (...). Porobić zapasy nafty, benzyny, soli, oliwy itp.
- Każdy ośrodek, każdy oddział czy grupa ludzi muszą być samowystarczalne na jak najdłuższy czas pod względem wszystkich niezbędnych rzeczy do życia, pracy i walki”.

Jak pisze Grzegorz Motyka, zalecenia instrukcji były już jednak nie do spełnienia. Partyzantom UPA nagminnie brakowało żywności, a nierzadko jedynym posiłkiem była garść ugotowanego zboża. Ciągłe ucieczki sprawiły, że wielu strzelców do reszty pozdzierało i tak nędzne obuwie.

Zdarzało się, że zupełnie go pozbawieni – dla ochrony nacierali stopy żywicą.

Również w kwietniu 1947 roku w Sanoku na sesji wyjazdowej rozpoczyna urzędowanie sąd wojskowy. Wobec schwytanych Ukraińców zapadają wyroki śmierci – nie tylko za udział w walce zbrojnej. Za roznoszenie meldunków i zbieranie ziół na lekarstwa dla UPA idzie na rozstrzelanie Rozalia Minko. Ten sam los za podobne przewinienia spotyka jeszcze dwadzieścia jeden osób. Na początku czerwca sąd przenosi się do Rzeszowa, gdzie wydaje dalsze aż sto pięćdziesiąt cztery wyroki śmierci.

Wcześniej na sanockim rynku zawisa trzech schwytanych banderowców.

– Za to, że strzelali do generała Świerczewskiego – mówi Jan Kułacki, świadek egzekucji. – Odczytano im wyroki i doprowadzono na szubienicę.

28 kwietnia 1947 roku o czwartej nad ranem polskie formacje rozpoczynają wypędzanie Ukraińców z Bieszczadów i przyległych terenów. Jednocześnie w koszarach w całej Polsce żołnierze wciąż komentują zamach na „Waltera”. Niektórzy potajemnie robią z tych rozmów notatki i przekazują przełożonym.

„Jeżeli to prawda, że zabili go [Świerczewskiego] bandyci z UPA, to choćbym miał jeszcze rok w wojsku służyć, zgłosiłbym się ochotniczo, aby jechać na wschodnie granice i pomścić”.

„Szkoda jest takiego człowieka, który walczył o wyzwolenie Polski i wolność obcych narodów. Chciałbym zemścić się nad bandytami”.

„[Rząd] powinien zebrać wszystkie siły i chociaż będzie to kosztować trochę krwi, wyniszczyć (...) bandy”.

Zdarzają się też wypowiedzi nieprawomyślne:

„Gdyby gen. Świerczewski był dobrym Polakiem, toby go nie zabili, ale był komunistą, więc został sprzątnięty”.

„Dobrze, że gen. Świerczewskiego zabili, teraz powinni jeszcze zabić Bolesława Bieruta i marszałka Żymierskiego, to wówczas dopiero może w Polsce byłoby lepiej”.

„(...) Mogli go zgładzić sami enkawudziści, gdyż im się nie podobał”.

„Nam wszystkich najlepszych generałów wyniszczą. Gen. Świerczewskiego to tak samo jak Sikorskiego zabili Rosjanie, a winę zwalają na bandy”.

„(...) Nie żadna banda go zabiła, a polskie gestapo, bo im stał na drodze”.

Podobnych przykładów są w tym i innych raportach dziesiątki.

Trzysta pięćdziesiąt dwa tysiące – tyle ulotek rozrzucono z samolotów „do obalamuconych członków band UPA”.

„Dziś jesteście głodni i obdarci. Wskutek ciągłego pościgu żyjecie jak dzikie zwierzęta, w brudzie, o chłódzie. Gryzą was wszy. Nie możecie spocząć ani się umyć, bo nawet mydła nie macie. Tęsknicie za waszymi krewnymi i bliskimi, a oni za wami. Ale wasi przywódcy – aby utrzymać was w lesie i na drodze zbrodni – opowiadają wam bzdury o trzeciej wojnie, która ma jakby wkrótce wybuchnąć, a o której nikt w świecie poważnie nie myśli (...). Rzućcie drogę występku i zbrodni. (...) Kto zgłosi się dobrowolnie z bronią w rękę, ten będzie żył”.

Sto trzydzieści tysięcy – tyle ulotek zleciało „do miejscowej ludności”.

„Ludność polska (...), żyjąca pod ciągłym terrorem i strachem przed grabieżą, gwałtem, mordem czy spaleniem, nie była w stanie przystąpić do spokojnej pracy nad odbudową kraju (...). Bandyci spod znaku UPA w przeważającej części znajdowali poparcie ludności ukraińskiej, co dotychczas (...) utrudniało z nimi skuteczną walkę. Ludność ukraińska nie zawsze dobrowolnie, często pod terrorem współpracowała z bandami. W ten sposób wsie ukraińskie stały się naturalnymi bazami dla siejących mord i pożogę bandytów. Taki stan dłużej trwać nie może! (...) Rząd Rzeczypospolitej postanowił (...) przesiedlić ludność ukraińską z terenów objętych bandytyzmem (...). Jest to zarządzenie dotkliwe, ale konieczne (...). Ci, którzy nie podporządkują się temu zarządzeniu i zostaną w okolicach objętych akcją przesiedleńczą, będą traktowani jako bandyci UPA”.

– Baligród tonął w papierach – wspominają starsi mieszkańcy. – Ludzie czytali te odezwy i żywo dyskutowali, a wiatr przenosił propagandę z miejsca na miejsce. Fruwała jak jesienne liście, chociaż mieliśmy wiosnę. To był już czas przesiedleń, z wozami odeszło dużo ukraińskich znajomych. Zrazu niektórych żalowaliśmy, jednak z ulotek wynikało, że jadą na lepsze ziemie, do lepszych gospodarstw. Ale ci z okolicy, których jeszcze nie wywieziono, niezupełnie w to wierzyli. Wypełniał ich lęk przed nieznanym. Do tego dochodziła obawa, jak się odnajdą z bliskimi, którzy zostali w lesie. Gdzieś w masywie Chryszczatej czy głębiej. Bo niektórzy zostali.

– Naszym władzom się zdawało, że jak rozrzucać propagandę, to banderowcy nagle wyjdą z lasu i grzecznie się

poddadzą – mówi Józef Kopczyński. – Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Poza nielicznymi w gruncie rzeczy dezerterami wszyscy inni, mimo fatalnej sytuacji, nadal chcieli walczyć. Nie mieli już nic do stracenia; wiedzieli, że nawet jeśli się ujawnią, trafią na długie lata za kraty, a najpewniej na stryczek. Dlatego część partyzantów postanowiła później przedrzeć się na wschód i na południe. Ci, którzy się rozproszyli i pogubili, musieli przeczekać najgorsze w leśnych kryjówkach. Często w chorobie i w głodzie.

Żołnierze polscy mieli znienawidzić powstańców banderowców, lecz jednocześnie dostali rozkaz, by Ukraińców przesiedlanych na Ziemię Zachodnie traktować humanitarnie.

3 maja 1947 roku, Grąziowa na Pogórzu Przemyskim. Z rozkazu podpułkownika Narcyza Rudzińskiego dla dowódców pododdziałów w sprawie organizacji przesiedlenia ludności. „W czasie akcji (...) nie należy robić krzywdy, umożliwić zabranie dobytku (...), dzieci, starców, chorych otaczać opieką i zachowywać się, jak przystało na żołnierzy Wojska Polskiego”.

I często tak było, choć – jak zawsze przy masowych deportacjach – zdarzały się postawy podłe i niegodne. W stosunku do cywilów, ale też na przykład duchownych. Oto fragment doniesienia majora Woźniaka do pułkownika Grzegorza Korczyńskiego z wysiedlenia mieszkańców Rajskiego: „Meldujemy, że wbrew rozkazowi grupa z Baonu »Gdańsk« wysiedliła ludność oraz klasztor (...). Kiedy na polecenie ppłk. Szymury, który nakazał zawiadomić wysiedlonych, że mogą wrócić do swoich mieszkań (...), ludność nie chciała się zgodzić, wobec czego została odkomenderowana na punkt zborny. Według »niesprawdzonych« przez nas danych

żołnierze w stosunku do zakonnic zachowali się bardzo arogancko (...), w dodatku zakonnice wypędzili do lasu, a sami na noc zakwaterowali w klasztorze”.

Jedni słuźbiście stosowali się do wytycznych, inni przeciwnie – wykorzystywali okazje do zemsty za zabitych przez UPA Polaków. To wtedy zbitka słowna Ukrainiec-rezun zyskała na popularności, a kilka lat później, po opublikowaniu przez Jana Gerharda *Łuny w Bieszczadach*, przybrała na sile. Polacy zaczytywali się w jego powieści i utrwalali negatywny wizerunek Ukraińca. Inteligentny dorosły mógł czytać niektóre opisy z niedowierzaniem lub przymrużeniem oka, jednakże nastoletni uczeń nie był zdolny do najmniejszego choćby krytycyzmu. Przyjmował każde zdanie jak prawdę objawioną i budował w sobie niechęć do ukraińskich rówieśników. Ukrainiec kojarzył się wyłącznie negatywnie; nie miał żadnych dobrych cech, był pozbawiony przymiotów, ponieważ jego dziadek i ojciec – niekiedy też matka – byli „bandytami”. *Łuny w Bieszczadach* stały w centralnym miejscu domowych biblioteczek. Czytano je rodzinnie, częstokroć na głos. W latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wielu uznawało tę powieść za pozycję kultową i wcale nie odbierało w kategoriach beletrystyki, lecz dokumentu. Gerhard umiał pisać, więc jego sugestywny przekaz uwiódł tysiące odbiorców.

– Kiedy zimą z bratem chorowaliśmy, tato siadał przy łóżku i czytał nam *Łuny w Bieszczadach* – wspomina czterdziestosześcioletnia kobieta. – Bardzo nas ta historia ciekawiła, ale chwilami chowaliśmy głowy pod pierzynę. Potem długie lata bałam się Ukraińców.

Bały się też dzieci, którym ową książkę czytali dawni żołnierze – ci, którzy wcześniej wysiedlali górskie sioła

i przeczesywali lasy w poszukiwaniu banderowców. Ukraińscy partyzanci stali się wyłącznie antybohaterami masowej wyobraźni. A porucznik „Chrin” urósł do rangi hiperbandyty, choć zdarzało się, że tępił poczynania swoich podwładnych wobec cywilów. Gdy w Cisnej upowcy pobili Polaka i ukradli mu oficerki, ten przy najbliższej okazji poskarżył się sotennemu. „Chrin” nakazał oddać chłopu buty, a złodziei ukarał chłostą.

– Umiał być bezwzględny na polu walki – mówią ci, którzy go poznali – ale potrafił też postępować honorowo, jak przystało na oficera.

Myśleli, że skoro rok wcześniej udało im się zostać, to już żadnych wysiedleń nie będzie. Jakże się pomylili.

Stefan Wiślocki:

– W majowy poranek tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku wojsko znowu otoczyło wieś i nakazało opuszczenie gospodarstw. W jednej chwili zrobił się raban: wrzask, płacz, panika. W dwie godziny nie sposób załadować na wozy cały dobytek. Pośpiech powodował, że często zabierano rzeczy niepotrzebne, a zostawiano te niezbędne do codziennego funkcjonowania. Niektórzy zupełnie tracili rozum i nie wiedzieli, co robić. W efekcie po godzinie konie czy krowy nie były zaprzężone do wozów, a sprzęty i toboły rozbebeszone po podwórzu. Tymczasem żołnierze ponaglali, jakby wioskę trawił ogień i wszyscy musieli przed nim uciekać.

Najgorzej mieli najbiedniejsi. Mogli zabrać z sobą jedynie to, co zdolali unieść, chyba że zlitował się nad nimi ktoś z sąsiadów i pozwolił załadować rzeczy na swoją furę. Ale to były rzadkie przypadki – w zamieszaniu i strachu każdy myślał głównie o sobie.

Polskie oddziały szczelnie obstawiły Rakową. Nikt nie miał szans na ucieczkę, jak to się działo w czterdziestym szóstym roku. Po dwóch, może trzech godzinach pognano nas do Tyrawy Wołoskiej, ale chałup nie podpalono. Pamiętam, że wysiedlani, w tym moja rodzina, nie wzięli z sobą nawet połowy tego, czym dysponowali. Wszystko to potem rozgrabili Polacy albo poszło z dymem.

W Tyrawie koczowaliśmy tydzień, do ogłoszenia, że na stacji kolejowej w Załużu podstawiono wagony. Kiedy doszliśmy do Załuża, okazało się, że wagonów jest za mało i pociąg na razie nie odjedzie. Ruszył trzy dni później i dopiero wtedy zaczął się lament. Nie wiedzieliśmy, dokąd jesteśmy wiezieni. Niektórzy podejrzewali, że do obozów.

Paulina Smarkucka (z domu Karpecka):

– W niedzielę rano osiemnastego maja poszłam z mamą i rodzeństwem na mszę do cerkwi w Serebnicy. Po drodze nic dziwnego nie zauważyliśmy, ale na miejscu okazało się, że nie ma naszego księdza. Kiedy wierni wracali do domów, pobliskie wioski okrążało wojsko. W mojej Romanowej Woli żołnierze stali na każdym podwórzu, na wzgórzach, pod lasem. Przypominało to oblęgę za banderowcami. Ktoś ze znajomych krzyknął, że zbrojni plądrują chałupy. Wbiegłam za próg, a tam pobojuwisko. Pocięte pierzyny, przewrócony kredens. Przepadł taty płaszcz, mój kozuch, trochę innych ubrań. Ludzie biegali jak w amoku, żeby ratować majątek,

a żołnierze się śmiali i krzyczeli, że i tak za dużo nie będzie nam potrzebne. Nie rozumiałam, co te słowa miały znaczyć, ale budziły lęk.

Miałam dwanaście lat, więc za mną nikt się nie uganiał, ale starsze dziewczyny wojskowi zaganiali do stodół i tam się z nimi zabawiali. Ładniejsze szły dla oficerów, brzydsze dla szeregowców. Były za słabe, żeby fizycznie przeciwstawić się mężczyznom, dlatego tylko krzyczały i płakały. Niektóre zgwałcono, inne nie, ale wszystkie upokorzono. Moja starsza o kilka lat znajoma zaszła wtedy w ciążę... W naszej stajni ją dopadli... Kiedy jakiś czas później zrozumiała, że nosi pod sercem dziecko, chciała odebrać sobie życie.

Tatę wojacy zabrali z podwórza pędzić bydło do stacji w Olszanicy. Masę bydła. Krzyknął na odchodnym, że za cztery godziny do nas wróci, a wrócił za osiem miesięcy.

Przed wyruszeniem na dworzec zdążyłam z siostrą zmieścić trochę zboża na żarnach. Mama naprędce uszyła z prześcieradła worek i tam wsypałyśmy mąkę. Do podobnych worków zapakowałyśmy wszystko, co dało się unieść, bo nasza rodzina nie miała konia. Ale miała wóz. Przywiązałam do dyszla toboły i razem ze starszą siostrą, młodszym bratem i mamą ruszyliśmy w drogę. Ciągnęliśmy ten wóz, jak ciągną konie, aż zobaczył to pewien porucznik. Pamiętam, bo miał na pagonach dwie gwiazdki. Powiedział, że dzieci nie mogą się tak męczyć, i nakazał pierwszemu z brzegu chłopu, by przywiązał naszą furmankę do swojej. To był nasz dobry znajomy, ale z własnej woli nie okazał pomocy.

Romanowej Woli od razu nie spalono. Ludzie ze stacji w Olszanicy jeszcze po dwa, trzy razy wracali i zabierali dobytek. Zanim pojechaliśmy na północ, minęło parę dni.

Wszyscy siedzieli na ogromnym placu naprzeciwko torów i czekali, kiedy kolejarzy podstawiają wagony. Obok chodzili miejscowi Polacy, niektórzy z nami rozmawiali, inni tylko się przyglądali albo mówili, że ta wywózka to kara za UPA. Jakaś kobieta podeszła do nas i powiedziała, że upiecze nam chleb. Wzięła mąkę, a potem przyniosła pachnący razowiec. Nie widziała w nas bandytów, tylko skrzywdzonych ludzi.

Wagony podstawiono wczesnym rankiem. Było ich tak dużo, że nie mogłam policzyć i nie widziałam ostatniego. Ale najbardziej zapadł mi w pamięć gwizd lokomotywy. Wtedy zrozumiałam, że nie ma odwrotu.

Katarzyna Konwicka (Kowalczyk):

– Budziłam się ze słońcem. Zostało mi to z dzieciństwa, kiedy osierocona wypędzałam świtem krowy na pastwisko i sprzątałam oborę. Teraz, w dorosłości, było podobnie. Myłam się w miednicy, zaplatałam włosy w warkocz i wychodziłam do zajęć. W maju słońce wstaje wcześniej, ptaki drą się wniebogłosy, drzewa tryskają zielenią. Zawsze lubiłam maj, marzyłam, że wtedy zakocham się w jakimś kawalerze. W Suchych Rzekach nie miałam za bardzo w kim przebierać, ale w sąsiednich wioskach – jak najbardziej. Tylko że to nie był dobry czas na miłość: ciągle jak nie banderowcy, to wojsko, życie w strachu i niepewności.

Tego dnia, nie pomnę daty, jak zwykle wdziałam w sieni stajenne chodaki i wyszłam na podwórze. Z naprzeciwka szli żołnierze i coś pokrzykiwali, ale byli zbyt daleko, żebym dosłyszała. Dopiero gdy się zbliżyli, pojęłam, o czym mówią. Od lat codziennie wykonywałam w gospodarstwie te same czynności, a w tej jednej chwili wszystko się zmieniło. Już nie było sensu wyrzucać obornika spod krów, gnać bydło

na polanę pod lasem. Rozkaz brzmiał krótko i precyzyjnie: wymarsz za trzy godziny.

Jak o tym opowiedzieć? Jak namalować słowami obraz tamtych wydarzeń? Może tak, że były to trzy najbardziej gorączkowe godziny w moim dotychczasowym życiu. Niech to szlag trafi! Co z sobą zabrać, a co zostawić? Bo żeby wziąć wszystko i opuścić goły dom – niepodobieństwo.

Jeszcze nie wyszliśmy kolumną całkiem poza wieś, gdy zapłonęły chaty i stodoły. Czarny dym wystrzelił w górę i zasłonił nad nami niebo. Jak się podniósł lament, to Boże zmiłuj. Żołnierze musieli chłopom grozić bronią, bo ci chcieli ratować majątek.

Przez Zatwarnicę i Krywe poszliśmy do Rajskiego. Moja rodzina nie miała koni, ale wóz ciągnęły krowy. Był po brzegi wypełniony sprzętami, worami ze zbożem, pierzynami i drobnym inwentarzem. Nasze krasule szybko osłabły; żeby ich nie zameczyć, szwagier musiał wyrzucić część maneli i dwa worki z pszenicą. Nie wiem, czy ktoś je wziął, czy zostały na zmarnowanie. Niech to krew zaleje!

W Rajskim po raz pierwszy dopadł nas głód. Niby nie tak daleko od Suchych Rzek, ale w pośpiechu nie wzięliśmy z domu jedzenia, tak samo jak wielu innych gospodarzy. Dużo kartofli zostało w piwnicach... Wstydziłam się, lecz poszłam do jakiejś chaty i poprosiłam starszą kobietę o kawałek chleba. Nie miała, jednak nie odmówiła pomocy i wcisnęła mi kilka ziemniaków.

Dwa dni później dotarliśmy do stacji w Łukawicy. Na majdanie koczowało już mnóstwo ludzi z innych wiosek, a ryk bydła i rzenie koni mieszały się z gwarem rozmów. Co chwilę padały komendy wydawane przez żołnierzy, kolejarze biegali tam i z powrotem. Wszystko sprawiało wrażenie wielkiego chaosu, nad którym nikt nie umie zapanować.

Anna Kucyj (Semczyszyn):

– Miałam dopiero dziesięć lat, ale krzywdę rozumiałam jak dorosła. Żołnierze opletli Bereżki tak szczelnie, że nawet pies by nie uciekł. Zrobili zebranie i nakazali, żeby pozbyć się skrzynie. Ludzie się przestraszyli, bo pomyśleli, że na trumny. Te skrzynie miały nam posłużyć do transportu ziarna i rzeczy. Każda musiała być podpisana imieniem i nazwiskiem. Nasypałyśmy z mamą zboża, a brat przed zabiciem paki gwoździami włożył do niej gipsową figurę Matki Bożej. Ta figura, obok zegara ściennego, była naszym największym skarbem.

Krów już nie mieliśmy, zabrano nam w czterdziestym szóstym. Wzięliśmy kury, trochę narzędzi rolniczych, toboły z odzieżą. To się odbyło raz-dwa. W niespełna dwie godziny żołnierze ustawili nas trójkami i nakazali marsz na Wetlinę. Na odchodnym podlali chałupy benzyną, ale nie podpali-li. W ostatniej chwili nadszedł na koniu radziecki oficer i zakazał podkładania ognia. Wtedy ostatni raz widziałam zabudowę Bereżek.

W Wetlinie czekaliśmy trzy lub cztery dni. Była już wyludniona, bo miejscowych wysiedlono wcześniej. Niektóre zagrody wojsko spaliło, inne wciąż trwały, a po podwórzach snuły się psy i koty. Nikt z nas nie wiedział, co będzie dalej, bo żołnierze nie udzielali informacji. Kazali spokojnie czekać na wymarsz. Nie rozdzielano między nas jedzenia. Kto zdołał zabrać z domu – ten się posilił. Kto zapomniał lub nie zdążył – musiał obejść się smakiem. Dobrze, że chociaż wody dla ludzi i zwierząt nie brakło, studnie stały niemal przy każdej chałupie, a przez wieś płynęła rzeka.

W końcu poszliśmy do Łukawicy pod Leskiem, kilkadziesiąt kilometrów. To był nasz końcowy przystanek przed

wyjazdem. Strasznie mnie to ciekawiło, bo pierwszy raz w życiu miałam jechać pociągiem. Zanim wyruszyliśmy, minął blisko tydzień. Były tory, lokomotywa, nieprzebrany tłum, lecz tylko parę wagonów. Kiedy wreszcie dostarczono kolejne, nakazano ładować dobytek. Do jednego wagonu przydzielano nawet po trzy rodziny. Zajęliśmy swój mały rewir w kącie, na brudnej blaszanej podłodze wyścielanej słomą.

Bazyli Buszowiecki:

– Do przysiółka Kobylskie, dokąd uciekliśmy z Jaworca rok wcześniej, wojsko wkroczyło w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Ludzie dopiero się budzili, żeby wyprowadzić bydło na pastwiska, ale tego dnia nikt już tego nie zrobił. Żołnierze otoczyli zabudowania i nakazali, byśmy w godzinę byli gotowi do wyjścia.

W Kobylskim mieszkali chłopci z pobliskich wiosek, którym w czterdziestym szóstym udało się uniknąć wywózki do ZSRR. Teraz pomyśleli, że na nich też przyszła pora i wkrótce dołączą do swatów i rodzin na Wschodzie. Ale była przy tym wielka obawa. Mijał prawie rok od wysiedleń, a od wywiezionych nie nadszedł ani jeden list. Pojechali i kamień w wodę.

Przy chyżach stały furmanki konne i kilka ciężarówek. W pośpiechu, który przypominał pracę w pszczelim ulu, ludzie biegali tam i z powrotem. Beładnie rzucali na wozy wszystko, co uznawali za konieczne do zabrania. Niekiedy żołnierze pomagali nosić ciężkie sprzęty, a tym, którzy nie mieli swoich wozów, kazali ładować rzeczy na ciężarówki. Potem spędzono ludzi na jeden plac; na środek wyszedł oficer i zakomunikował, że pojedziemy na Ziemię Odzyskane. Ta nazwa nikomu nic nie mówiła, więc zrobił się szum.

Wtedy oficer wyciągnął mapę i zakreślił na niej palcem teren. Powiedział, że tam jest bardzo ładnie, dużo jezior, płasko i cieplej niż w górach. I że jeszcze będziemy za te przenosiny dziękować.

Poszliśmy przez Łuh i Zawój do Polanek. Na łąkach siedzieli już wysiedleni świtem z Zawoja. Potem docierali mieszkańcy innych miejscowości. Tak przeczekaliśmy noc. Była ciepła i pachnąca. Leżałem w trawie, zastanawiając się, co nas czeka na tych obcych ziemiach i czy to już na zawsze. W mojej siedemnastoletniej głowie kotłowały się dziesiątki myśli, lecz na żadną nie znajdowałem odpowiedzi. Gdzieś w oddali na niebie rozbłysła luna. Pojąłem, że palą się opuszczone chałupy.

Rankiem długa kolumna wyruszyła w stronę Łukawicy. Byłem pewien, że z pobliskich lasów obserwują nas partyzanci UPA, jednak w tym czasie byli już zbyt słabi, by próbować zetrzeć się z dobrze uzbrojoną masą wojska. Zresztą co by to dało? W strzelaninie zapewne zginęliby cywile, a i tak nie uniknęlibyśmy wygnania.

Jan Wolański:

– Gdyby moja rodzina się uparła, mogła zostać w Bieszczadach. Starszy brat pracował w kopalni ropy naftowej, a naftowców potrzebowano. Nawet Ukraińców. Ale komendant MO z Ropienki powiedział do ojca: „Wolański, bierz rodzinę i jedź na zachód, bo jak nie zginiesz od Polaków, to zginiesz od banderowców”.

Nie wiem, czy ktoś specjalnie patrzył tego ranka na zegarek, lecz potem powtarzano, że żołnierze polscy otoczyli wioskę o czwartej. Zamknęli ją pierścieniem, żeby nikt do lasu się nie prześlizgnął, ale mnie się udało. Miałem dość

sprytu, by prysnąć niezauważony między drzewa. Znałem tu każdy krzak, wiedziałem, jak się przedrzeć. Wojsko szło od chaty do chaty, zganiało ludzi na podwórza, a bydło w jeden koniec wsi. W pewnym momencie od strony lasu padły strzały. To niespodziewanie zaatakowali upowcy. Żołnierze zajęli pozycje, zaczęli pruć z automatów na oślep, a ludzie padali na ziemię i kryli się, żeby nie dostać przypadkowej kuli. Ostatecznie wojsko wycofało się do Ropienki. Wróciło po trzech godzinach, razem z grupą milicjantów. Patrzyłem, jak popędzają ludzi, a ci ładują klamoty na fury i wojskowe auta. Czekałem, kiedy partyzanci znowu zaatakują, jednak nic takiego już się nie stało. Dotarło do mnie, że nikt tutaj się nie utrzyma, więc wyszedłem z zarośli i dołączyłem do rodziny.

Wszystkich eskortowano do stacji przeładunkowej w Olzaniczy. Ludzie szli, a żołnierze kolejno podpalali chałupy. Z dymem puścili czterdzieści gospodarstw. Oszczędzili cerkiew, chociaż później Polacy ją rozebrali. Już na stacji ktoś powiedział, że w czasie tej strzelaniny podobno zginęło dwanaście osób. Nigdy się nie dowiedziałem, czy to prawda.

Anna Suchan (Hodowaniec):

– W czasie wysiedleń miałam trzynaście lat. Nie przeżywałam szczególnie wygnania z Cisnej, ale rodzice płakali. Nie wszystko mogliśmy zabrać i tato był okropnie zły. Cały się telepał, jak w febrze. Pamiętam, że w stodole naprędce nasypywał zboża do worków. Chciałam mu pomóc, to z nerwów o mało mnie nie uderzył, aż mama musiała interweniować.

Ludzie mieli na spakowanie chwilę, dlatego tak strasznie buzowały emocje. My też powrzucałismy na furę rzeczy na łapu-capu, a potem odeszliśmy przez Baligród i Lesko do Łukawicy. Po drodze dołączali do nas eskortowani przez

mundurowych inni wysiedlani, chyba z ościennych wsi. Kiedy z ciekawości odeszłam nieco na bok i spojrzałam do tyłu, nie zobaczyłam końca kawalkady.

Trzy dni siedzieliśmy przy torach i patrzyliśmy w niebo. Później przyszli żołnierze i zapędzili bydło i konie do jednych wagonów, a ludzi do drugich. Nie powiedzieli, dokąd jedziemy. Po chwili gwizdnęła lokomotywa, buchnęła para, i koła poszły w ruch.

Katarzyna Bereżańska (Stołyca):

– Jak do Zawoja wpadło wojsko, nasi zaczęli wariować. Nie wierzyli, że ktoś ich zmusi do wyjazdu. Skoro w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym udało się im zostać, to pewnie i teraz się uda. Ale to już była inna akcja, dużo większa i lepiej zorganizowana, choć nie wierzę, że w odwecie za śmierć Świerczewskiego. Należę do tych, którzy uważają, że jego zabili Sowieci. Nie pasował im, to go zabili, a potem winę zrzucili na UPA.

O tym, że Polacy będą wysiedlać, niektórzy we wsi wiedzieli. Doszły już informacje o wywózkach z innych wiosek. Bardziej zapobiegliwi w pośpiechu zakopywali część majątku: beczki, dyszle, plugi, kieraty. Moja mamusia zakopała za domem dwa święte obrazy. Owinęła je w szmaty, tak samo jak parę mniejszych pamiątek. Nie pamiętam, dlaczego wpadła na taki pomysł. Lepiej było je zabrać z sobą, no, ale zostały w ziemi. A tato ukrył w gnojowniku drewniany wóz. Jego śladem poszło więcej chłopów z Zawoja. Jakies narzędzia, gary, kartofle i trochę zboża zostały też w piwnicach i ziemiankach. Po to, żeby po powrocie mieć od czego zacząć. Mało kto sądził, że odjeżdża na zawsze.

Wojacy kazali nasypywać zboże do worków i ładować na samochody. Mówili, że fury są już przeciążone i że oni

zawiozą ziarno do stacji w Łukawicy. A potem się okazało, że połowy z tych worków nie ma. W taki sposób przepadło mnóstwo naszej żywności. Zboże nam ukradziono i nikt z mundurowych nie zamierzał się z tego tłumaczyć.

Gdy opuszczaliśmy wioskę, zapłonęły chyże i stodoły. Żołnierze krzyczeli, że nie mogą zostawić domów dla banderowców. Wprawdzie nie bili nas, nie gwałcili, a nawet niekiedy pomagali i okazywali współczucie, lecz jednocześnie niszczyli nasze dotychczasowe życie. Chaty, w których rodziły się i dorastały kolejne pokolenia. Niszczyli nasze wspomnienia i marzenia.

W drodze, gdy wielu lamentowało, podszedł do nas pewien młody żołnierz. Pocieszał, że tam, dokąd pojedziemy, zaczniemy dobre, spokojne życie. „Tutaj jedliście czarny chleb, tam będziecie jeść biały”. Nie wiem, czy ktoś mu uwierzył. W tej samej kolumnie szli Cyganie z Zawoja. Przeżyli wojnę dzięki muzyce. Tak pięknie grali, że oszczędzili ich hitlerowcy, a potem banderowcy.

Nigdy nie liczyłam, dopiero po latach się dowiedziałam, że z naszej wioski podczas akcji „Wisła” wygnano czterdzieści osiem rodzin. W każdej były co najmniej cztery osoby. Z sąsiedniego Jaworca wywieziono jeszcze więcej, coś koło pół tysiąca ludzi.

Wojskowi pilnowali, żeby nikt się nie schował, a jednak Tymkowi się udało. Tymko był trochę stuknięty, ale lubiany. Ludzie brali go za drużbanta na wesela. Umiał rozbawić towarzystwo, znał dużo piosenek. Zimą chodził na bosaka i opowiadał, że to dla zdrowia. Taki miejscowy dziwak, który nikomu nie szkodził. Jak wysiedlali Zawój, uciekł do lasu i tam przeczekał. Po powrocie wlaźł do jakiejś niedopalonej chatupy. Myślał, że żołnierze już tu nie przyjdą, tymczasem

któregoś dnia jeszcze raz przetrząsali wieś. Kiedy ich zobaczył, rzucił się do ucieczki. Ci uznali, że to upowiec, i puścili za nim serię. Tak przynajmniej opowiadali ci, którzy usłyszeli o losie Tymka od żołnierzy. A cała jego rodzina pojechała na Pomorze.

W Łukawicy czekaliśmy na transport pięć dni. Ale najgorsze miało dopiero nadejść.

Maria Piekutowska (Fanuk):

– U nas wojsko nie miało za dużo do roboty. Te szesnaście rodzin, którym rok wcześniej udało się zostać, teraz w ciągu godziny odprawiono na stację w Zagórzcu. Polski oddział wysiedlający Serednie pomagał nam pakować dobytek na podwozy i ciężarówki. To się odbyło nad wyraz spokojnie, bez jednego sprzeciwu. Wszyscy rozumieli, że żaden opór nic nie da. Pewnie, że ludziom było smutno, że się bali, ale ja na to wygnanie się ucieszyłam. Jak Boga kocham. Tu nawet w wojnę było bezpieczniej niż później, gdy Ukraińcy chwycili się za łby z Polakami. I już nie dało się normalnie żyć.

To dlatego pojechaliśmy na nowe ziemie z niczym. Prawie wszystko ukradli nam wcześniej leśni. Z początkiem czterdziestego siódmego roku nadszedł taki czas, że gospodarze ze strachu chowali jedzenie w dołach wykopanych w ziemi. Żeby chociaż zostało dla dzieci. Kto tylko z lasu zakradł się do wioski, zaraz buszował po chatach i brał, co mu wpadło w łapy.

Maria Barniak (Perun):

– O planowanych przez rząd wysiedleniach Ukraińców nikt nie wiedział do ostatniego dnia, ostatnich godzin. Wiem dobrze, bo wiosną dostaliśmy list ze Związku Radzieckiego.

Nasi bliscy, którzy trafili tam w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku, pisali, że wkrótce będą wracać do Polski. Prosił mojego tatę, żeby im posiał trochę zboża na polu w Zawadce Morochowskiej, a potem oni nam oddadzą. Tato nie wierzył, że Sowieci otworzą im granicę, lecz mimo to wziął dwa worki owsa i pojechał końmi do Zawadki. Kiedy się, do Mokrego przyszło wojsko. Dało dwie godziny na wyprowadzkę, ale bez krzyku. Brat pobiegł do ojca i powiedział, że nas wypędzają, że już nikt nie zostanie. Po co miał dalej siał? Wysypał owies na pole, byle jak, żeby tylko zabrać worki. Wkrótce odeszliśmy sprzed naszej chałupy – z końmi, krowami i garścią rzeczy z domu, bo nie było czasu na myślenie, co najbardziej się przyda. W pośpiechu, rozgardiaszu nie wzięliśmy też jedzenia. Nie tylko nam zaćmiło głowy.

M.:

– Miałam ledwie pięć lat, a tyle szczegółów wbiło mi się w pamięć. Siódmy maja w moim rodzinnym Tworylnem. Datę powiedziała mi mama, lecz całą resztę sama sobie utrwaliłam. Dziecko chłonie podwójnie, nasiąka obrazami, które po latach nabierają ostrości.

Jeszcze spałam, gdy starszy brat wyciągnął mnie z łóżka. Nie rozumiałam dlaczego. Zdyszany, jakby długo biegł, wytłumaczył, że musimy się zbierać. Próbowałam dopytywać, ale on nic już nie mówił, tylko pomagał mi się ubrać. Było jasno, pewnie koło piątej, gdy zobaczyłam polskich żołnierzy. Wcześniej czasami zachodzili do wsi, ale nie aż tylu. Bałam się ich, bo mieli karabiny. Tak samo bałam się banderowców, którzy często gościli w Tworylnem.

Kiedy dorosłam, starsi opowiedzieli mi, co wtedy myśleli – że wojsko przyszło szukać upowców, więc musiało

przetrzęsnać każdą chatę. Ludzie temu się poddali, bo uznali, że po paru godzinach żołnierze odejdą. Popyskują, może nawet komuś wleją, ale odejdą. A przecież już dochodziły sygnały, że z Bieszczadów wypędzają Ukraińców. Tworylnego nie przeznaczono na pierwszy rzut, wywózki trwały od dziesięciu dni.

Nas w domu było sześcioro: ja, siostry Kasia i Marysia, bracia Józek, Wacek i Mikołaj. Oraz rodzice: Stefan i Pelagia. Oprócz dwuletniego Mikołajka i mnie wszyscy pozostali ładowali w gorączce nasze klamoty na wóz. Przy sąsiednich domach panował taki sam niepojęty dla mnie bałagan, ze wsząd dochodziły krzyki, zawodzenie, ktoś z kimś straszliwie się kłócił. Jeszcze nie zdążyliśmy do końca wszystkiego wynieść na majdan, kiedy żołnierze zakazali wracać po następną turę. W ostatniej chwili tato poszedł do stodoły i wyprowadził z niej rocznego żrebaka. A Józek z Wackiem pobiegli po króliki. Trzymaliśmy je w klatkach w stodole. Bardzo je lubiłam i często karmiłam. Chłopcy chcieli zabrać te króle, ale już im nie pozwolono. No to nasypali im chociaż owsa, żeby nie padły z głodu.

Miałam ulubioną szmacianą lalkę. Nie nadałam jej imienia, była po prostu moją laleczką. Spałam z nią, bawiłam się, ale przed odejściem pomyślałam, że może mi ją w drodze ktoś ukradnie. Rozgrzebałam rękami ziemię na podwórku i tam ją zakopałam. Pod gruszą. Tłumaczyłam sobie w pięcioletniej głowie, że gdy niedługo wrócę, to ją odnajdę i znowu będziemy przyjaciółkami.

Nie uszliśmy od naszej zagrody na pięćdziesiąt metrów, a już chata i stodoła stanęły w ogniu. Zbrojni oblali wszystko benzyną, nawet przydomowe drzewa owocowe. Dla dziecka to był straszny widok, w tej jednej chwili gotowa byłam

wydrapać żołnierzom oczy. Taka malizna, a poczułam do nich nienawiść. Spalił się dom, nasze sprzęty, stodoła z królikami. Spalił się mój mały świat, który był dla mnie całym światem. Buch, buch – płonęła chyża za chyżą. I nikt nie mógł nic zrobić.

Mikołaj jechał na wozie, na stosie tobołów, a ja ze starszym rodzeństwem i rodzicami szliśmy obok. Najbardziej baliśmy się o krowę – mieliśmy tylko tę jedną, za to mleczną. W całym zamieszaniu mogła gdzieś przepaść, dlatego tato przewiązał jej sznurem rogi, a drugi koniec oplótł sobie wokół dłoni. I nie wypuścił aż do załadunku na stacji w Łukawicy. Nigdy wcześniej nie widziałam naraz tylu ludzi. Mama prosiła, żeby nigdzie od niej nie odchodzić, bo się potem nie znajdziemy. Zawsze byłam krnąbrna, nie do upilnowania, lecz w tej jednej chwili postanowiłam być posłuszna.

K.:

– Od lata czterdziestego szóstego roku, kiedy mamę i siostrę wywieziono za San, do ZSRR, mieszkałam z bratem, drugą siostrą i ojcem w Hulskim. Nasz rodzinny dom w Suchych Rzekach spłonął, nie było do czego wracać. Zanim na nowym jako tako się urządziliśmy, nadeszła sroga zima. Do wioski przychodzili nocami banderowcy, szukali jedzenia i odzienia. Byli obdarci, głodni i brudni. Zjawiali się nagle i równie nagle odchodzili. Przypominali przemykające cienie.

Z wiosną ruszyliśmy na pola. Tato mówił, że nadchodzi koniec ukraińsko-polskiej wojny i że wreszcie można będzie normalnie żyć. Któregoś majowego dnia już nie wyszliśmy w pole, tylko za próg. Nie wiem dlaczego, ale zamazały mi się w głowie szczegóły.

Pamiętam wielkie zamieszanie, pośpiech, lecz żadnych detali. Jedynie to, że szliśmy w dużej grupie, po drodze wojsko dołączało do nas innych wygnańców i tak aż do stacji przeładunkowej. Mieliśmy słabowitego konika. Nie mógł uciągnąć ciężkiego wozu, więc ojciec zdecydował, żeby część rzeczy wyrzucić. Zostały w trawie, tak samo jak worki ze zbożem. Potem często się zastanawiałem, kto je wziął.

Władysław Szul:

– Hroszówka poszła w akcji „Wisła” na pierwszy rzut, dwudziestego ósmego kwietnia. Miałem dziewiętnaście lat i dużo planów, które tego ranka wzięły w łeb. Wioski wysiedlane na początku akcji „Wisła” były najbardziej doświadczane. Żołnierze nieprzemęczeni, nadgorliwi i nieskorzy do zrozumienia ludzi przeznaczonych do deportacji. Bo to była właśnie deportacja, trzeba nazywać rzeczy po imieniu.

Wieś po wywózkach sprzed roku, napadach, grabieżach – już się nie odrodziła. Ze stu dwudziestu gospodarstw zostały w całości nieliczne. I tylko jeden koń, pan uwierzy? Ludzie koczowali w ziemiankach, stodołach, szalasach. Jak zwierzęta.

Polacy w Hroszówce mieszkali zaledwie w kilku domach. O dziwo, ich też spędzono na plac i potem poprowadzono na stację w Sanoku razem z Ukraińcami. Maszerowaliśmy dwa dni – przez Dynów, Siedliska, Dydnię i Grabownicę. A że nie było koni, to ludzie sami ciągnęli wozy albo wiązali do nich bydło. Potem jeszcze cztery dni na dworcu, bo na czas nie dostarczono wagonów towarowych.

Ktoś rozpuścił plotkę, że powiozą nas do Sowietów. Wystarczyło, żeby wybuchła panika. Wojsko szybko zaprowadziło porządek, a potem zatrzasnęły się za nami żelazne wrota.

Poczułem się tak, jakbym jechał do obozu koncentracyjnego. Bo te wagony nie różniły się niczym od tych, którymi transportowano więźniów podczas wojny do Oświęcimia czy Sobiboru.

Katarzyna Szul (Gieroń):

– Skoro świt poszłam z koleżankami na borówki. Wtedy był duży wysyp czarnej jagody, a ta miała swoją wartość. Mogłam sprzedać w Werchracie na bazarku i mieć dla siebie parę groszy. Ale robiliśmy z borówek soki i dżemy. W zimie taki dżem dawało się do placzków...

No więc zbierałam te jagody, gdy nagle usłyszałam strzały. Dochodziły od strony wioski. Od razu pobiegłam z innymi dziewczętami do domu. A w Werchracie pełno wojska, szum, jakieś zebranie, komunikaty. Ludzie nie wierzyli, że muszą zostawić swoje i się wynieść. Niektórzy rozmawiali z oficerami, coś tłumaczyli, pokazywali papiery, a ci tylko, żeby nie tracić czasu, bo trzeba szybko opuścić gospodarstwa.

Jak wróciłam do domu, mama akurat rozczylniała ciasto na chleb. Piekliśmy dwa razy w tygodniu, czasami częściej. Weszli żołnierze i dali rozkaz, żeby natychmiast ładować się na wozy. Mama się strasznie zdenerwowała; odparła, że najpierw musi upiec chleb i nakarmić dzieci. Żeby wojaków uspokoić, wyciągnęła z szafki flaszkę samogonu. Wzięli i odeszli.

Mamusia miała metrykę chrztu z kościoła w Siedliskach. Pobiegła i pokazała polskiemu porucznikowi, który chyba odpowiadał za wysiedlenie z Werchraty. Liczyła, że skoro ochrzczona w kościele, to ją z rodziną zostawią. Ale nie zostawili.

Biełał już owies, kwitły podgarnięte kartofle, a my zbieraliśmy się do drogi. Odprowadzono nas z innymi, co do jednego mieszkańca, aż do Bełżca. Bełżec źle się kojarzył. Od samej nazwy wiało śmiercią.

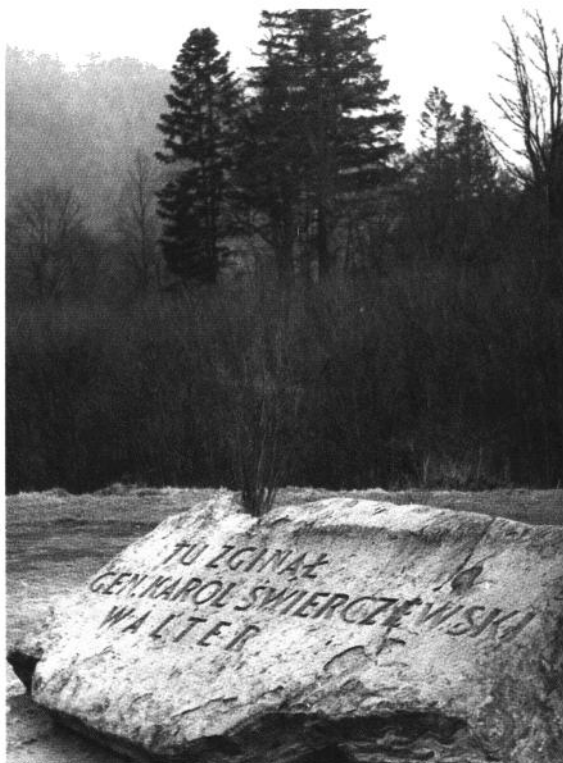
Jarosław Andruch:

– Był trzynasty lipca, a ja miałem trzynaście lat. Żołnierze weszli do Ropienki, gdy ludzie jeszcze spali. To było zupełne zaskoczenie, bo niemal wszystkich Ukraińców wysiedlono na zachód jeszcze w maju. Oprócz pracowników kopalni ropy. Bez nich wydobywanie, cały cykl produkcyjny zostałby zaburzony albo i przerwany.

W czerwcu aresztowano mojego ojca. Pracował w kopalnianej przepompowni. Najpierw wzięto go na milicję w Ropience, a później zawieziono do aresztu UB w Lesku. Wymyśliłem, że pójdę tam i wszystkiego się dowiem. Matka odradzała, bała się o mnie, ale w końcu zawiązała paczkę z jedzeniem.

Dla ostrożności nie podchodziłem od razu pod budynek, tylko obserwowałem z daleka. Potem się odważyłem i już spacerowałem chodnikiem wzdłuż kamienicy, kukając od czasu do czasu w piwniczne okienka. W pewnej chwili dojrzał mnie ojciec. Podbiegłem do wartowników i poprosiłem, czy mógłbym podać tacie prowiant. Nie zgodzili się. Obiecali jednak, że przekażą pakunek.

Również w czerwcu milicja przyszła po szwagra, kowala z kopalni. Od tej pory to ja musiałem się opiekować dwiętnastoletnią siostrą. Pomagałem pasać krowy, oporządkować gospodarstwo. Któregoś dnia ludzie z bezpieki zabrali też siostrę. Siedziała w piwnicy UB w Lesku, lecz po trzech dniach ją zwolniono. Kiedy przez następne tygodnie nikt



Kamień
upamiętniający
miejsce śmierci
gen. Karola
Świerczewskiego
w Jabłonkach, 1978
rok.
fot. Franciszek
Adamczyk



Kobieta w ruinach spalonego domu w Bukowsku.
fot. Zbiory Muzeum Historycznego w Sanoku



Zatwarnica, lato 1947 roku. Tuż po wygnaniu ludzi wojsko podpaliło zabudowę.
fot. Jan Gerhard/
archiwum Jerzego Tomaszewskiego



Pozostałości cerkwi w Rajskim, wysadzonej w powietrze na polecenie Służby Bezpieczeństwa w 1980 roku.
fot. Eta Zaręba



Ujęci banderowcy w otoczeniu żołnierzy polskich, maj 1947 roku.
fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej



W czasie operacji „Wisła” spłonęły setki chyz. Te w Komańczy nad potokiem Barbarka szczęśliwie ocalały. Stan z 1970 roku.
fot. Zbigniew Śmiałkowski

Karta przesiedleńcza Nr. 111117

Ob. Boruch Kotoryn urodz. w roku 1897
(imię i nazwisko, imię ojca)
 mieszkaniec miasta Tomaszów powiat Tomaszów Nr. d. 53
 inne miejsce zamieszkania. Wraz z nim przesiedlają się następujący członkowie jego rodziny.

Lp.	Imię i nazwisko	Rok ur.	Stosunek pokr. do głowy rodziny	Uwaga
1.	<u>Boruch Kotoryn</u>	<u>1897</u>	<u>głowa</u>	
2.	<u>— " — Olga</u>	<u>1934</u>	<u>— " —</u>	
3.				
4.				
5.				
6.				
7.				
8.				

Przesiedlający się:

- a) zabiera ze sobą: koni —, krów —, trzody chlewnej —,
 kóz —, owiec —, oraz następujący inwentarz martwy —
- b) pozostawił ziemi ogółem 4 ha.
 w tym użytku rolnych 3 ha.
 dom mieszkalny (jak) drewn. kry. dachem
 stodoła drewn. słomą obora drewn. słomą
 szopa — chlew drewn. słomą

Podpis przesiedleńcy

¹⁾ Niepotrzebne skreślić.



Nowosielce koło Sanoka, 1946 rok. Ukraińcy ze zgromadzonym dobytkiem czekają na wyjazd do ZSRR.

fot. Zbiory Muzeum Historycznego w Sanoku



Pod ziemią do dziś przetrwały przedmioty domowego użytku i narzędzia. Wieś Horodek została całkowicie wysiedlona i zniszczona. Następnie jej część pochłonęły wody Zalewu Solińskiego.

fot. Anna Kubiak



Krzyż na cmentarzu w Wołosatem, zdeformowany pod wpływem wysokiej temperatury. Cerkiew spłonęła, pozostała po niej jedynie podmurówka.
fot. Anna Kubiak



Stanisław Jaskółka, wygnaniec z Bieszczadów, całuje krzyż na grobie matki
w Krywym nad Sanem.
fot. Krzysztof Sysko

nas nie nachodził, pomyśleliśmy, że już po kłopotach. No, ale nadszedł trzynasty lipca...

Wzięliśmy trochę rzeczy, ubrań i żywności. Razem z nami na stację w Olszanicy szli inni Ukraińcy z kopalni. Szeptali między sobą, że Polacy biorą ich może tylko do sprawdzenia, łudzili się nadzieją na pozostanie. Dziwnie myśleli, bo przecież żołnierze kazali zabierać z sobą, co się da. Skoro tak, to przecież nie na pogawędkę.

W Olszanicy siedzieliśmy na placu za drutami prawie trzy doby. Potem podstawiono pociąg. Wiedzieliśmy, że jedziemy na tereny poniemieckie. I nic więcej.

Ewa Stołyca (Mastyła):

– Był zielony maj, a od mundurów zrobiło się jeszcze bardziej zielono. Tylko że to nie była przyjazna zieleń. Usłyszeliśmy, że to nasz ostatni dzień w Krywem. I żeby się nie opierać, bo opór będzie karany. Co to miało znaczyć? Że nas będą bić, zabijać?

Zaczęli wysiedlać od górnego końca. My mieszkaliśmy pośrodku, więc mieliśmy trochę więcej czasu na spakowanie. Kobiety w całej wsi rzuciły się miesić ciasto i piec chleb na drogę. Albo chociaż placki owsiane. Mężczyźni wywlekali z obór zwierzęta i sprzęty rolnicze, czasami pomagali im w tym żołnierze. Z nieustannym ponagleniem: szybciej, szybciej! A my, kobiety, nosiłyśmy beczki z kapustą, worki ze zbożem, mąkę, groch, cebulę. Mogliśmy z własnej woli zostawić jakieś graty, ale nie żywność. Za dużo przeszliśmy w ostatnich latach, żeby ją marnować.

Gdy już rodzina stała na zewnątrz, a to, co wyniesiono z domu i stodoły, leżało na wozach – padał rozkaz palenia gospodarstwa. Wszystko się działo tak błyskawicznie, że

w krótkim czasie Krywe zamieniło się w morze ognia. Naraz płonęło kilkaset domów, obór, stajni, drewnitni. Dla mnie to była zbrodnia.

Jeszcze jeden obrazek. Tato miał elegancki garnitur. Żeby go kupić, długo odkładał pieniądze. Trzymał ubranie w szafie, ale odkąd do Krywego zaczęli często na zmianę przychodzić żołnierze lub banderowcy, włożył garnitur do skrzyni i zakopał w ziemi. Mieliśmy już prawie odchodzić ze wsi, gdy ojciec sobie o nim przypomniawszy. Razem z siostrą odkopali kufer, wyjęli odzienie z półbutami i położyli na ławce przed chałupą. Jeszcze mama coś wyniosła z domu, tato owinął coś w serwetę, a potem konie ruszyły drogą na Hulskie. Na wzgórzu nad Krywem *batko** krzyknął, że zostawił garnitur. Poprosił żołnierzy, aby mu pozwolili wrócić tylko po tę jedną paczkę. I oni pewnie by się nie sprzeciwili, gdyby nie to, że chałupa stała już w ogniu.

Obok wozu dreptała nasza krowa. Nie napasła się tego ranka, więc brat rzucił jej kawałek ciasta, z którego nie zdążyliśmy upiec placka. Zjadła i spuchła. Ryczała z bólu do samej Łukawicy.

Anna Sokołowska:

– Nie mieliśmy konia, tylko jałówkę, i to ją tato przywiązał do wozu. Ja, niespełna ośmioletnia, nazywałam się wtedy Jaskółka i strasznie się bałam. Najmłodsza siostra miała dwa latka i płakała. Płakali też starsi, ale to był inny płacz, bardziej z żalu niż ze strachu. Pamiętam ogień, dużo ognia. Nie widziałam, jak płonie nasza chata, ale potem ludzie mówili, że nic oprócz murowanej cerkwi nie ocalało. Mam jeszcze

* Ojciec (ukr.).

w oczach takie wspomnienie: na sznurach między drzewami przy Sanie suszą się białe płótna. Wieje wiatr i one trzepocą, ale nikt tam nie idzie i ich nie ściąga. Pewnie tak zostały...

Za wozem szedł ojciec, a za nim my, jego córki i synowie. Mamusi już z nami nie było, umarła w czterdziestym piątym. Wiem, że najstarszy brat zdążył ukryć w stercie kamieni maszynę do szycia. Na czarnym singerze ojciec szył ubrania dla Ukraińców i Polaków. Myślał, że w drodze ktoś mu ją zabierze, to kazał schować. Wierzył też, że kiedyś po nią wróci.

Oprócz ubrań, kilku mebli i sprzętu rolniczego nie wzięliśmy nic więcej. Za mało czasu, za duży rozgardiasz. Mnóstwo rzeczy zostało w chacie, a ta zamieniła się w zgłiszcza. Maszerowaliśmy do Łukawicy eskortowani przez żołnierzy. Nie byli dla nas źli, pomagali słabszym, dzieciom dawali suchary i słodycze. Na postoju koło Leska wyszłam na łąkę z naszymi kozami. W Krywem często je pasalam, więc teraz też chciałam, żeby sobie poskubały trawę. Miały na karkach związane sznurki, których końce trzymałam w dłoniach, ale przez nieuwagę wypuściłam, a one się zaplątały. Kolumna ruszyła dalej, ja zaś w tych trawach zostałam z kozami. Dopiero jakiś żołnierz przybiegł i mi pomógł.

Dostaliśmy wagon na dwie rodziny. Zwierzęta upchano w innych wagonach, podobnie jak zdemontowane wozy i inne duże sprzęty. Pytałam tatę, dokąd jedziemy, a on nie umiał mi odpowiedzieć. Pamiętam powtarzane przez niektórych słowo Oświęcim. I to, że ludzie zakrywali rękami twarze.

Polak August Pałasz, rocznik 1930, mieszkał w Uhercach Mineralnych, pięć kilometrów od stacji przeładunkowej w Olszanicy. Codziennie z tejże stacji dojeżdżał pociągiem

do szkoły średniej w Sanoku. Olszanica w maju 1947 roku stała się miejscem największej zbiórki osób wysiedlanych na Ziemię Odzyskane.

- Na placu przy torach i dalej, po drugiej stronie drogi kłębił się tłum zdezorientowanych cywilów, a wokół nich żołnierze. Próbowałem w tej masie wyłowić wzrokiem znanych z Uherzec i w pewnym momencie rzeczywiście ich dostrzegłem, choć za blisko nie podchodziłem. Ludzie siedzieli, stali, niektórzy leżeli na betach rozłożonych wprost na ziemi. Tu i ówdzie skupiali się w grupki, rozmawiali, poili zwierzęta i sami coś pichcili na małych paleniskach. Razem ze mną kręcili się w pobliżu inni Polacy. Mieliśmy mieszane odczucia. Z jednej strony żalowaliśmy naszych sąsiadów, znajomych, kolegów i koleżanki, z którymi znałiśmy się od dziecka, a z drugiej rozumieliśmy, że muszą wyjechać, bo dzięki temu zapanuje spokój. Przynajmniej tak się wtedy wszędzie mówiło – że dopóki w Bieszczadach będą Ukraińcy, dopóty będzie też UPA. Taki stereotyp, który zrównywał zwykłego Ukraińca z banderowcem. Poprzez czarny wizerunek UPA wszyscy Ukraińcy stawali się automatycznie podejrzani.

Ale byli odważni Polacy, którzy przynosili na stację chleb, upieczone kartofle, zupę. Rozdawali Ukraińcom, nie bali się z nimi rozmawiać. Kto był mądrzejszy, to wiedział, że nie można wszystkich winić za banderowskie napady. Ci biedni ludzie koczowali pod gołym niebem po kilka dni. Kiedy jedni odjeżdżali, Olszanica wypełniała się innymi wygnańcami. I znowu scenariusz się powtarzał – oczekiwanie na skład, ładowanie i w drogę. Do parowozów podczepiano po dwadzieścia, trzydzieści wagonów. Zwykłych „towarniaków” oraz otwartych platform, na których transportowano głównie

furmanki i podobnie duże sprzęty. Piętrzyły się stosami, a ja się zastanawiałem, jak później ich właściciele rozpoznają swoją własność.

Niewiele brakowało, a wywózki jeszcze bardziej by się opóźniły. Krótco przed wysiedleniem okolicznych wsi banderowcy zaatakowali Olszanicę. Nadeszli nocą dużym oddziałem od strony Wańkowej. Chcieli podpalić budynek stacji i rozkręcić tory, ale mniejsza liczebnie obsada Służby Ochrony Kolei odparła atak. Gdy trwała wymiana ognia, na pomoc sokistom przybyła pancierka z działkiem. Wtedy już upowcy musieli się wycofać. Parę dni wcześniej napadli jednak z powodzeniem na stację w Załużu. I tam, żeby odprawić ludzi na północny zachód, musiano najpierw naprawić torowisko.

Przypominam sobie jeszcze sytuację z końca kwietnia lub maja czterdziestego siódmego roku. Obudził mnie łomot do drzwi. Gdy ojciec otworzył, zobaczył w progu ukraińskich partyzantów. Nakazali mu się ubrać i iść z nimi. Przeczuliśmy najgorsze, jednak po dwóch godzinach tato wrócił. Tej nocy zabrano więcej mężczyzn z Olszanicy. Kazano im nosić słomę na drewniany most pod Uhercami. Później go podpalono. Podobnych akcji banderowcy przeprowadzali więcej. Chcieli w ten sposób odciąć wysiedlanym drogę do punktów zbornych.

W Uhercach Mineralnych mieszkał też Adam Kaczaluba, przesiedlony tu rok wcześniej ze spalonych Stuposian. Jeszcze nie zapomniał o rodzinnej wsi, ale nie rozpaczał. Za to jego matka – bezustannie. Ojciec prędzej przywykł, może dlatego, że las w rejonie Zawadki i Stańkowej przypominał mu tamten ze Stuposian. Znowu był gajowym, wabił jelenie,

choć częściej natrafiał na partyzantów. Do śmierci nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że nigdy go nie skrzywdzili. Jego, Polaka, który nosił na czapce polskiego orzelka. Był przez ten symbol niemal taki sam jak milicjant, a tych banderowcy nie oszczędzali. Choć – przypomnijmy – darowali im kiedyś w Zatwarnicy i darowali w Wołkowie. A w paru innych miejscach – nie.

Z kilku polskich rodzin wygnanych wcześniej ze Stuposian w Bieszczadach zostali tylko Kaczatubowie. Inni pewnego dnia ze stacji w Olszanicy odjechali na nowe – razem z Ukraińcami. Nie musieli, a pojechali. Podobno po lepsze życie.

Olszanica była największą stacją załadunkową, a plac, na którym koczowali ludzie – ogrodzony drutami. Przybywali tu wygnańcy nawet spod odległej o sześćdziesiąt kilometrów Birczy, lecz przede wszystkim z gęsto zaludnionych wsi niemałej części powiatu leskiego. Jan Kułacki był w tym czasie funkcjonariuszem Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego. Chodził najczęściej po cywilnemu, dużo wiedział i własnoręcznym podpisem decydował o tym, kiedy zostanie odprawiony pociąg z wysiedleńcami.

– Wraz z rozpoczęciem operacji „Wisła” jeździliśmy grupami po wsiach i organizowaliśmy spotkania w świetlicach. Ogłaszaliśmy, że decyzją władz państwowych Ukraińcy muszą opuścić południowo-wschodnie ziemie. I że nie ma od tej decyzji odwrotu. Byli tacy, którzy próbowali się stawiać, jednak większość Ukraińców w milczeniu przyjęła wieść o przymusowej wywóźce. Przynajmniej w momencie ogłaszania komunikatu, bo później, podczas samej akcji, bywało różnie. Wtedy już grały emocje i my się temu nie

dziwiliśmy. Mieliśmy do wykonania zadanie, a sentymenty i żale musieliśmy odrzucić.

Mnie się nie raz serce kroilo, kiedy widziałem przestraszone dzieci, ale tłumaczyłem sobie, że ta przeprowadzka na drugi koniec Polski to dla ich dobra. Bo co ich tutaj czekało, w nieustannej obawie o jutro? Może ci ludzie wprost tego nie mówili, z lęku, że inni doniosą na nich do UPA, lecz oni naprawdę mieli już dość udręki. Nie marzyli o niepodległej Ukrainie, lecz o tym, że zasieją, zbiorą i nikt im nie przystawi lufy do potylicy.

Ja wiem, że ktoś może się obrazić, ale w bieszczadzkich wioskach więcej było nędzy niż dobrobytu. W co drugiej polepa zamiast podłogi, w co trzeciej brak komina. Niejednokrotnie w tych wioskach ludzie mieszkali w chatach razem ze zwierzętami. I nie że one przebywały za ścianą, tylko w tym samym pomieszczeniu. Kiedyś patrolowałem Paszową. Wchodzimy z kolegą do jakiejś chyży, na łóżku siedzi chłop, a pod łóżkiem leży świnia. Pewnie, że to nie była norma, ale też nie mój wymysł.

W punkcie zbornym w Olszanicy był weterynarz, lekarz, kuchnia polowa. Wszystko, jak trzeba. Bo myśmy w większości nie traktowali wysiedleńców jak bandytów, tylko nie-szczęśliwych ludzi. Zdarzało się, że musieliśmy użyć siły, jednakże tylko wobec najbardziej opornych, ewidentnych banderowców. Oni pryskali z lasu i próbowali się kryć w wioskach, gdzie mieli krewnych, kumów, chociażby z *kuszczowych widditów**.

W Serednicy przesłuchiwałem człowieka podejrzanego o współpracę z UPA. Nie chciał się przyznać, a ja swoje

* Wiejskich, cywilnych oddziałów pomocniczych UPA (ukr.).

wiedziałem. Starszy już był, więc mu mówię: „Pokaż, kórędy idzie przejście do bunkra, to nic ci nie zrobię. Nie chcę cię bić, boś już siwy”. Popatrzył na mnie i dalej nic, no to wtedy musiałem rozkazać podwładnym, żeby go zmusili do gadania. W końcu wskazał wejście do piwnicy, a dalej tunel, który prowadził do innego budynku i bunkra. Nakryliśmy tam wtedy siedmiu banderowców.

Inni, z różnych części regionu, zdołali wtopić się w tłum przesiedleńców. A wśród zwykłych ludzi byli tacy, którzy nie odmawiali pomocy upowcom. Z przekonania lub ze strachu. Banderowcy kryli się w stertach siana wiezionego na wozach, w skrzyniach z dobytkiem. Liczyli na to, że te wozy i skrzynie nie będą przez wojsko sprawdzane. Ale myśmy mieli, zwłaszcza Informacja Wojskowa, kategoriyczny nakaz przeszukiwania wszystkich dużych bagaży – takich, w których mógłby się zmieścić człowiek. Raz otwieramy pakę, wysypujemy ziarno, a niżej już tylko ubrania, pod którymi leży w kucki chłopak, może osiemnastoletni. Ledwo żywy, bo już mu brakowało powietrza. W deskach były nawiercone otwory, ale zbyt małe, żeby długo w takich warunkach przetrwać. No, a skoro się ktoś chował, to już mieliśmy podejrzenie, że banderowiec. Taki od razu trafiał do obozu w Jaworznie.

Zwykle pociąg z wysiedleńcami eskortowało w drodze na północ dziesięciu żołnierzy i pięciu milicjantów. Przynajmniej tak ustalano w Olszanicy. Przez głośniki padał komunikat: jeśli ktoś podejmie ucieczkę, żołnierze zaczną strzelać. Takie informacje wywiesiliśmy też na wagonach. Osobiście dwukrotnie prowadziłem transport w Koszalińskie. Pierwszym razem podróż przebiegła spokojnie, jednak później za Krakowem z wagonu wyskoczyło dwóch mężczyzn i musieliśmy otworzyć ogień. Nie przeżyli.

Może nie mieli nic na sumieniu, ale się bali? Obozu, więzienia, tortur?

Plus minus osiemset kilometrów drogi. Z paroma przystankami, na których musiano poić zwierzęta, wyrzucić gnój, uzyskać poradę lekarza, ugotować, opróżnić wiadra z fekaliami. Czasem taki postój trwał dzień, innym razem nawet cztery doby. Najgorszy, wspominają Ukraińcy, był ten w Oświęcimiu. Oświęcim odbierał nadzieję lub znaczył tyle, co śmierć. Czy można dziwić się podróżnym, że pęczył w nich strach albo że wyli, jakby ich zarzynano? A kto by zachował zimną krew, gdyby go wyczytano z nazwiska i kazano iść przodem? A potem poprowadzono do budynku przy stacji i zamknięto za nim drzwi? Jak się takie drzwi za kimś zatrzaśkiwały, już nie wracał na peron.

Tak rozłączano rodziny. Ojców od dzieci, mężów od żon. Czasami na odwrót – bo aresztowano również kobiety. Ktoś jechał w dalekie, lecz w miarę bezpieczne nieznane, a ktoś całkiem blisko – do obozowego piekła.

Na każdej stacji załadunkowej wysiedlani musieli czekać swoje, lecz nigdzie tak długo jak w Łukawicy. Z dokumentów i relacji świadków wynika, że nawet po pięć, siedem dni, podczas gdy gdzie indziej – zwykle dobę. Co w tym niepewnym czasie działo się na placu wypełnionym tysiącami kobiet, mężczyzn i dzieci?

Józef Kopczyński, ówczesny komendant tamtejszego posterunku MO, wspomina:

– Budynek milicji mieścił się tuż przy stacji. Codziennie teren wzdłuż torów wypełniał się kolejnymi przesiedleńcami, którzy zjeżdżali do wsi na furach i wojskowych

ciężarówkach. Wielu docierało piechotą. Po kilkunastu lub kilkudziesięciu kilometrach marszu siadali zmęczeni na ziemi i rozglądali się niepewnie wokół siebie. Szukali wzrokiem krewnych i znajomych z innych wsi. Między nimi kłębiło się bydło, kozy, owce, konie. Było ciepło, więc nad placem wisiał zwielokrotniony zapach spoconych ludzkich ciał, wyziewów i odchodów zwierząt. Któregoś dnia zerwały się czyjeś konie i przewróciły kilka uli. Pszczoły latały jak opętane i wściekle żądliły ludzi, a ci w panice próbowali się od nich opędzać, co jeszcze bardziej rozdrażniało owady. Na gwałt szukano lekarza, bo ktoś zaczął się dusić. W końcu przybiegła sanitariuszka i podała starszemu mężczyźnie leki. Potem się dowiedziałem, że na Łukawicę oddelegowano tylko pielęgniarki.

Na placu stał wojskowy namiot. Tam pacjentów smarowano maściami i posypywano azotoksem. Tym samym środkiem dezynfekowano wagony. Był mocno toksyczny, ale kto wtedy o tym wiedział?

W książce *Akcja „Wista”: przyczyny, przebieg, konsekwencje* Bogusław Bobusia pisze: „Stan zdrowotny i higieniczny przesiedlanej ludności był zły. Mimo to lekarze podkreślali, że ludność przesiedlana z terenów wschodnich woj. rzeszowskiego, tj. z powiatów jarosławskiego, lubaczowskiego, przemyskiego, była w znacznie lepszej kondycji zdrowotnej od ludności z terenów południowych Łemkowszczyzny – powiaty Sanok, Lesko, Gorlice i Jasło. Wśród ludności z terenów południowych masowo występowały wszawica i świerzby oraz owrzodzenia skórne”.

Zdarzały się też poważniejsze choroby. Obrazują je dane zamieszczone w tej samej publikacji. Wśród wysiedleńców z Rzeszowszczyzny trzy osoby zapadły na tyfus, trzy na

malarię, sześć na czerwonkę, szesnaście na dyfterię. U pięćdziesięciu pięciu stwierdzono gruźlicę, u jedenastu odrę, u siedemdziesięciu jeden – jaglicę. Wściekłą było zarażonych siedem osób (pokąsani przez psy), a pięć odwieziono do szpitali psychiatrycznych w wyniku „ostrego ataku szału”.

Jan Pisuliński w publikacji *Akcja specjalna „Wiśła”* tak opisuje stacje załadowcze: „Najsprawniej funkcjonowały punkty w Kulasznie (maksymalny czas oczekiwania to doba), Olszanicy i Zagórze (czekano najwyżej dzień), najgorzej w Łukawicy (nawet sześć dni) i Sanoku (...). W Olszanicy, Uhercach i Załużu dochodziło do gwałtów na dziewczętach i młodych kobietach”.

I dalej: „W (...) Załużu, gdzie wysiedleni m.in. z Dobrej Szlacheckiej pod gołym niebem czekali nawet dwa tygodnie na transport (...), panowały również trudne warunki. Ze spalonej stacji pozostał tylko jeden budynek, przesiedleńców umieszczono na odrutowanym obszarze zaledwie 1 ha, gdzie do ich dyspozycji oddano jedynie cztery duże namioty. Brakowało jedzenia i latryn, za »potrzebą« chodzono nad San. Przesłuchiwani byli brutalnie bici. Wybranych miano zabierać nocą pod »prysznic«, kobiety przy tym rozbierano i gwałcono. Broniących się kierowano do obozu w Jaworznie”.

„Przesiedleni wielokrotnie wspominali o wrogich okrzykach, wyzwiskach kierowanych do nich, gdy przechodzili przez tereny zamieszkałe przez Polaków. Zdarzały się też przeciwne postawy, odnotowane m.in. przez ukraińskie podziemie. Polscy sąsiedzi na różny sposób okazywali współczucie przesiedlanym. Sołtysi w Jarosławskim pomagali wyjeżdżającym, chronili pozostawione mienie. Polacy z podprzemyskich wsi skarżyli się na brutalność akcji, wyrzucanie

nocą z domów nawet kobiet i dzieci i trzymanie ich na zimnie, a także rabunki i rozbijanie domów przez wojsko”.

A jak wyglądało zaopatrzenie w żywność? Oficjalnie, według założeń Państwowego Urzędu Repatriacyjnego (PUR), wysiedlani mieli otrzymywać trzy posiłki dziennie, w tym jeden gorący. Na stacjach organizowano kuchnie polowe, a tam, gdzie się to nie udało – rozdawano suchy prowiant.

– Z domu nie zabraliśmy prawie nic, dlatego musieliśmy liczyć na pomoc wojskowych – opowiada kobieta z Krywego. – Zanim odjechalśmy z Łukawicy na Pomorze, trzy razy rozdali nam zupę. Na drogę zaopatrzyli w chleb i śledzie. Dostaliśmy też herbatę i wodę.

– Miła pani w białym fartuchu nalała mi do blaszanej miski moją ulubioną jarzynową – wspomina Pelagia rodem z Brelikowa. – Nie znalazłam w niej za wiele warzyw, ale smakowała dobrze. Wyruszyliśmy ze stacji w Olszanicy dopiero czwartego dnia od chwili opuszczenia domu. Przed odjazdem żołnierze jeszcze raz rozdzielili jedzenie, tym razem już zwykły prowiant.

– Wojskowi rozdali nam konserwy mięsne, ale zjedliśmy je dopiero w podróży – zaznacza Władysław z Nowosiółek. – Wcześniej nakarmiono nas ciepłą strawą ugotowaną w wielkich kotłach przy stacji kolejowej. Ludzie ustawiali się w rzędzie i dostawali swoją porcję. I to była dobra, treściwa zupa, nie jakaś cienka lura.

Czarny parowóz, za nim długi sznur wagonów. Brzydkich, spryskanych od wewnątrz środkiem chemicznym DDT. Pośrodku wagon dla żołnierzy konwojentów. I dla dowódcy zaopatrzonego w dwie zalakowane koperty. W ich wnętrzu przeznaczenie. Ta zaadresowana do punktu kierunkowego

w Lublinie lub Oświęcimiu zawierała informację, do jakiego miejsca rozdzielczego skierować dalej transport. Ta druga – skierowana do stacji w Olsztynie i Szczecinku – mieściła wytyczne w sprawie grupowego bądź też rozproszonego osiedlenia ludzi – każda rodzina w innej wsi.

Dużo zależało od tego, jak wcześniej oceniono wywożonych. Bezpieka i wojsko przesłuchiwały wszystkich podejrzewanych o przynależność do OUN-UPA lub o współpracę z nacjonalistycznym podziemiem. Mężczyzn, kobiety, nastolatków. Każdy mógł się okazać zapięklonym wrogiem Polski.

W wagonie średnio po dwie rodziny plus żywy inwentarz. Czasami niecały, bo się nie mieścił. Część dobytku jechała na platformach w tylnej części. Pasza, wozy, pługi, uprząże. Krowy, konie, świnie. Cyfry, liczby, procenty. Każde zwierzę policzono i wpisano w odpowiednią rubrykę. Od 28 kwietnia do 31 lipca 1947 roku z południowo-wschodniej Polski wywieziono na północny zachód: 18 716 koni, 40 623 krowy, 32 298 kóz i owiec. Nie przeliczono dokładnie drobiu, świń, źrebiąt, jałówek i cieląt, ale wiadomo, że były ich tysiące. Nie wszystkie zwierzęta dotarły do stacji docelowych. Padły od chorób, wypadków, kradzieży. Lub zostały przehandlowane przez strażników na postojach okolicznym chłopom.

Razem z Ukraińcami jechali na obce Polacy. Nieliczni, ale czym zawinili? Najczęściej tym, że mieli żonę Ukrainkę albo męża Ukraińca. W bieszczadzkich wioskach dominowały małżeństwa czysto ukraińskie, lecz zdarzały się też mieszane. W miasteczkach – takich jak Lesko, Zagórz czy Baligród – tych drugich było znacznie więcej.

M. z Baligrodu:

Ona Polka z Cisnej, on Ukrainiec. Ratowali polskie rodziny w czasie napadu UPA na Baligród w sierpniu 1944 roku. Lubiani, szanowani. Uczciwi. Niespełna trzy lata później ta zasłużona rodzina pojedzie na Ziemię Odzyskane, choć wstawią się za nią polscy mieszkańcy na czele z wójtem. To on, Stanisław Kopczyński, uprosi władze wojskowe, żeby zostawić M. w Baligrodzie. I władze się zgodzą. A potem leśnik z Jabłonek, dobry znajomy M., pójdzie do mundurów na skargę i przekona ich, że wprowadzić kobieta jest Polką, ale skoro żyje z Ukraińcem, to tę polskość zdradziła. Drugi raz wójt Kopczyński władz już nie przekona.

Tymciowie ze Studennego:

– Moja mama była z domu Barzycka, lecz zakochała się w Ukraińcu Tymciu – mówi syn Antoni. – Jak się zaczęły wysiedlenia, ktoś podpowiedział mamie, że może się od tego wybronić. Pokazać metrykę chrztu, inne papiery. Tylko że ona nawet nie podjęła starań. Z początkiem roku wojsko zabrało ojca z domu do aresztu, a potem do więzienia. Nie wiem, co przeskrobał i czy w ogóle coś.

Skoro ojciec siedział, tym bardziej by nas nie zostawiono na swoim. Byliśmy w kategorii podejrzanych, niegodnych zaufania. Pewnego ranka zapakowaliśmy na wóz trochę be-tów, kartofli, uwiązaliśmy krowę, byka, no i taki był nasz koniec w Studennem – mój, siostry, braci i matki. Zabudowa wioski stanęła w płomieniach. Potem z Terki widzieliśmy pod niebem kłęby czarnego, gęstego dymu. Nie podpalono tylko cerkwi. Ale długo nie przetrwała.

W Bieszczadach, w Bukowcu, została tylko moja polska babcia.

Dulińscy z Kostrynia:

Ona Polka, on – chyba Ukrainiec. Córka Zofia sama dokładnie nie wie, ale pamięta, że podobno nie musieli wyjeżdżać. Skoro jednak wyjeżdżali wszyscy sąsiedzi – to oni też. A może jednak musieli, tylko Zofii wtedy o tym nie powiedziano, a później rodziców nie zapytała?

– Jak już trafiliśmy na niziny, nikt nie zatrzymał sobie głowy takimi dociekaniem. Dopiero po latach zadałam sobie pytanie: jeśli chodziliśmy całą rodziną do kościoła, a nie do cerkwi, to chyba mogliśmy zostać.

Mogli, nie mogli. Co by było gdyby. Może tak, może nie. Setki podobnych pytań bez odpowiedzi, które po latach dręczyły wywiezionych na Ziemię Odzyskaną.

Tymczasem był rok 1947.

Rozdział VIII

Długa podróż w nieznane

Stuk-stuk, stuk-stuk. Powoli, jednostajnie. Pociąg za pociągiem – w jedną stronę. I tak przez trzy miesiące. Żeby wywieźć sto czterdzieści tysięcy ludzi, tysiące zwierząt i niezliczoną ilość dobytku, państwo nie pożalowało wagonów. Wysiedlenie, wygnanie, wypędzenie, deportacja. Różni autorzy zamiennie używają tych terminów. Ukraińscy – z naciskiem na deportację. Denerwują się, jeżeli ktoś zaprzecza, że akcja „Wisła” była deportacją. A niektórzy polscy historycy i publicyści irytują się, gdy ich ukraińscy koledzy nadużywają tego słowa.

Według *Słownika języka polskiego* deportacja to „przymusowe przesiedlenie, zesłanie skazanego do odległego, izolowanego miejsca, połączone z częściowym lub całkowitym ograniczeniem wolności”. I jeszcze zapis w *Słowniku wyrazów obcych*: „Deportować – przenosić, wygnąć z kraju, np. za naruszenie prawa lub ze względów politycznych, albo przymusowo przesiedlać”.

Tak czy inaczej – wyrzuceni. Setki kilometrów poza własną wieś, miasto, osadę. Poza miejsce urodzenia i region

geograficzny. Pozbawieni źródła. Ale – mimo wszystko – osadzeni w granicach państwa, które było mniej opresyjne niż ZSRR. Zatem nie tak gorzko doświadczeni jak ich krewni i sąsiedzi wywiezieni wcześniej na Wschód. Rychło zsowietyzowani, zaprzęgnięci do niemal niewolniczej pracy w kołchozach i sowchozach.

Wszystkich z operacji „Wisła” łączy wysiedleńczy los, lecz każda rodzina to indywidualna historia. Niekiedy skrywana, czasami opowiadana wrywkowo, innym razem pospieszna – jakby ktoś chciał za jednym razem wyrzucić z siebie nagromadzone przez lata emocje. Ale też historia opowiadana szczegółowo, z próbą wyważenia proporcji winy i kary.

Pierwszy transport z akcji „Wisła” wyruszył 29 kwietnia 1947 roku o godzinie 12.30 ze stacji kolejowej w Szczawnem-Kulasznie. Do parowozu podpięto dwadzieścia sześć krytych wagonów towarowych i pięć platform. Na północ Polski odjeżdżało dwustu sześćdziesięciu ośmiu wygnańców, między innymi z Dołżycy, Przybyszowa i Karlikowa. Eskortowało ich siedemnastu żołnierzy. Wysiedlanych zaopatrzone w chleb, konserwy i śledzie. Po sześciu dniach podróży, z przerwą na dłuższe postoje w Oświęcimiu i Szczecinku, skład dotarł do stacji docelowej w Słupsku.

Od 30 kwietnia wypędzano Ukraińców z kolejnych wsi położonych wokół Komańczy, Sanoka i Leska. Nie zapomniano także o tragicznie doświadczonej Zawadce Morochowskiej. W nocy grupa ormowców poprowadziła do stacji kolejowej ostatnich siedemnastu mieszkańców, którzy czowali w piwnicach i ruinach zniszczonych domów.

Stuk-stuk po torach. Przez kilka dni, tydzień albo dłużej. W smrodzie odchodów zwierzęcych, własnych i azotoksu. Tylko dokąd i po co?

Katarzyna Bereżańska:

– Już na początku wpadliśmy w tarapaty. Przez zamieszanie nasza rodzina się pogubiła. Tato i część rodzeństwa pojechali składem do Pasłęka, a ja ze szwagrem i sąsiadami innym pociągiem w inną stronę. Nie wiem, dlaczego tak się porobiło. Ludzie opowiadali, że przy załadunku wojskowym pomyliły się konie. Miały jechać z ich właścicielami w jednym wagonie, a pojechały w dwóch, różnymi pociągami. Coś pokręcono w papierach. A może to było celowe?

Przez ten bałagan prawie nie miałam nic przy sobie, ciucha na zmianę, jedzenia. Inni też. Dopiero na postojach żołnierze rozdawali żywność. Wtedy też wszyscy wysiadali z wagonów i biegli rwać trawę dla zwierząt. Wiozłam z sobą żrebaka, miał ledwie cztery dni. Bałam się, że nie przetrwa podróży, taki był słabowity. Dorosłe konie jakoś się trzymały, choć i dla nich wybieraliśmy z ich łajna niestrawione resztki i na powrót dawaliśmy im do jedzenia. Jak wreszcie dotarliśmy do końcowej stacji, żrebaczek ledwo dychał. Sam nie zdołał wyjść, to go wynieśliśmy. Potem jakoś odżył. Parę lat później dostałam go w posagu.

Trafiłam do Słuchowa niedaleko Pucka. Miałam dwiętnaście lat, ale dziewczyna nieobyta, po dwóch klasach szkoły podstawowej; nienawykła do tego, by sama o sobie decydować. Zakwaterowano nas, tę grupkę z Zawoja, w baraku po więźniach. W oknach były kraty. Znalazłam jakieś garnki i wiadra, ale wszystkie dziurawe. Jak w nich ugotować? I co? Poszliśmy do PUR-u po przydział żywności. Dali

bochenek chleba i kazali przyjść za dwa dni. Jak myśmy mieli się podzielić tym bochenkiem w siedem osób? Tak go jedliśmy jak komunię świętą w cerkwi – po kawałeczku. Jeszcze nam urzędnicy doradzili, że możemy sprzedać konie, a za pieniądze kupić dużo jedzenia i się doposażyć. Myśleli, że trafili na durniów. A czym obrabiać pole, czym pojechać po sprawunki?

Wtedy nie mieliśmy jeszcze choćby ogryzka ziemi. Kiedy głód wyzierał z kątów w baraku, chłopcy uradziły, żeby pójść na żebry. Kto miał pójść jak nie dziewczyna, najmłodsza ze wszystkich? Mówili, że nad dziewczyną ludzie się zlitują i zawsze coś odstąpią. Strasznie się wstydziłam, ale poszłam. Od domu do domu, od furtki do furtki. I nie powiem, gospodarze dawali: ziemniaki, buraki, chleb, czasem coś lepszego. Jakaś kobieta wyniosła mi na podwórze miskę zupy. Patrzyła, jak jem, i w milczeniu kiwała głową.

Niektórzy mnie odganiaли od zagród. Kiedy słyszeli ukraiński pomieszany z kalekim polskim – zatraskiwali drzwi albo złorzeczyli. Chrześcijanie. I co z tego, że Pan Bóg powiedział, żeby się dzielić z bliźnim. Zależy kto dla kogo bliźni. Z ludźmi jak z lasem – bywa prosty i krzywy. Co poradzić.

Raz pewien chłop nakrzyczał na mnie, bo Ukraińcy zabili generała Świerczewskiego. Poczułam się tak, jakbym sama do niego strzelała. Innym razem zapukałam do domku z ładnym ogrodem. Otworzyła pani w średnim wieku. Kiedy poprosiłam o jedzenie, kazała mi się wynosić. I wtedy w progu stanął jej mąż. Popatrzył na mnie i zaprosił do środka. Wskazał krzesło przy stole w pokoju. Akurat szykowali się do obiadu. Nalała mu barszczu do talerza, a mnie już nie. To on jej nakazał, żeby napelniła drugi talerz. Kiedy tak stała

jak słup soli, to on podsunął mi swoją zupę. Ale nie mogłam już jeść, wybiegłam z płaczem na zewnątrz i zaraz po tym usłyszałam, jak on ją bije.

Nigdy więcej na żebry nie poszłam.

Nasi polutowali szerniałe, dziurawe gary. Wyszorowałam je i dzięki temu mogłam już sama coś upichcić. Jak jest kartofel, marchewka, coś jeszcze – to już jest zupa. Jeszcze nie na kości, nie tak smaczna, ale gorąca. Gdy człowiek długo nie je zupy, to potem każdy jej łyk rozchodzi się po wnętrzu niczym dobroczynny balsam. Rozgrzewa od środka i poprawia nastrój.

Szwagier uradził, że pójdziemy do pegeeru. Mamy swoje konie, zapracujemy na jedzenie. Ale tam dawali tylko zacierkę na mleku, przynajmniej na początku. Po paru dniach zabraliśmy się z powrotem. Chodziliśmy za pracą w Stuchowie i okolicy, lecz jakoś się nie szczęściło. Kochaliśmy ziemię, z ziemi wyszliśmy, tylko że władza dzieliła grunty mozolnie, jakby nie dostrzegała, że ludzie dziadują. Nie mieliśmy gdzie pasać koni i krów. Zanim wreszcie nadzielono nam pole, jeszcze się pomęczyliśmy. Kto by się przejmował Ukraińcami? Kim my wtedy byliśmy dla władzy?

W tym baraku z kratami było okropnie. Jedna duża izba, więc musiałam spać między mężczyznami. Ani się jak rozebrać do snu, ani umyć. Wody w budynku zresztą nie było, tak samo jak studni na podwórzu. Niedaleko wypatrzyłam staw. Poszłam tam się ochlapać, przeprać swoją bieliznę i szwagra koszulę. Nazajutrz rzuciły się na nas wszy. Drapałam się do krwi, a włosy wypadały mi garściami. Prawie wyłysiałam, jakbym się wykąpała w jakiejś chemii. Nigdy się nie dowiedziałam, co tak paskudnego było w tym stawie.

Długo chodziłam w chustce na głowie, aż ludzie w Słuchowie szepotali, że taka ładna dziewczyna, a nie pokazuje włosów. Dlaczego i dlaczego? No to im w końcu pokazałam moją czaszkę. Wtedy pewna Polka kupiła mi za swoje pieniądze maść i kazała smarować głowę. Później włosy mi odrosły, ale już nie tak gęste, jak miałam.

Bardzo tęskniłam za bliskimi. Pewnej nocy przyśnił mi się ojciec, siostra i nasza sąsiadka z Zawoja. Było tak: stoję przy kuchni, gotuję żur, potem sięgam po drewnianą łyżkę. W tej samej chwili słyszę, że ktoś przechodzi pod oknami. Patrzę, a to mój tato, siostra i ta znajoma. Z radości zaczęłam się śmiać, na cały głos. Któryś z mężczyzn podszedł do mnie i obudził. „Kasiu, co ci jest?”. A ja mu na to, że dzisiaj, gdy będę podawać kolację, wróci do mnie moja rodzina. Przytaknął, ale pomyślał, że zwariowałam.

Wieczorem przyrządzam jedzenie na prowizorycznej kuchence, jest już ciemno, aż tu nagle słyszę kroki pod drzwiami. Po chwili w progu staje tato, siostra i ciężarna sąsiadka z Zawoja. Odtąd wszyscy mówili, że jestem wróżka i umiem przepowiadać przyszłość. Głuptaki. Ale szybko się to po wsi rozeszło. Zaczęli do mnie przychodzić inni przesiedleńcy i dopytywać, kiedy wrócą w Bieszczady. I co ja im miałam powiedzieć?

Z mojej wsi osiadło w Słuchowie tylko parę rodzin. Byli też Ukraińcy z innych miejscowości, ale nie stanowiliśmy dużej grupy. My nie znaliśmy dobrze polskiego albo i w ogóle, dlatego z początku kontakty z Polakami były trudne. Może dlatego zorganizowano dla Ukraińców kursy języka polskiego. Ludzie zbierali się w świetlicy i uczyli nowego alfabetu. To było dziwne, bo nasze bukwy to zupełnie co innego. U nas cyrylica, u Polaków – łacinka. Młodzi szybko

chwyłali, bo poszli do szkół, jednak starzy – prawie w ząb. Nauczyli się mówić, ale nie pisać. Najwyżej tyle, żeby złożyć koślawy podpis na dokumencie.

Cerkwi nigdzie w pobliżu nie było. Z konieczności chodziliśmy w niedzielę do kościoła. Z początku niewiele rozumieliśmy, bo jednak obrządek nieco inny od greckokatolickiego, jednak z czasem każdy pojął, kiedy klękać, a kiedy stać. A potem to już nawet śluby nasi brali w kościele.

Ojciec poszedł do pracy w pegeerze, a ja wyszłam za mąż za chłopaka z Jaworca, też przesiedlonego. Dostaliśmy kawałek gruntu, zamieszkaliśmy w izbie z kuchnią. Dach był kryty blachą, ale i tak zatęskniłam za strzechą. Zdała mi się bardziej przytulna. Lecz najbardziej brakowało mi pieca – takiego, jaki stał w naszym domu w Zawoju. Dużego, z miejscem do spania na górze. Takich pieców na Pomorzu nie stawiano.

Stefan Wiślocki:

– Jak pociąg ruszył z Załuża, ktoś rozpuścił plotkę, że powiozą nas do Sojuza. Ludzie zaczęli wariować. Jeszcze gorsza panika wybuchła na stacji w Oświęcimiu. A potem ktoś znowu nagadał, że jedziemy nad morze, gdzie Polacy będą nas topić. Ostatecznie dotarliśmy do Świdwina, a stamtąd ciężarówkami do odległego o dziesięć kilometrów Ciechnowa. Na miejscu byli już przesiedleńcy zza Buga i trzy rodziny z Kieleckiego. Pierwsze wrażenie – nie najgorsze. Domy dość ładne, gospodarstwa zadbane, tylko że wokół płasko. Patrzysz przed siebie i końca nie widzisz. Było nas siedem rodzin ukraińskich, niewiele, lecz wystarczająco dużo, by Zabuzanie zaczęli się nas bać. Patrzyli z ukosa, nie odpowiadali na dzień dobry, a między sobą nazywali

nas banderowcami. Dużo czasu minęło, zanim skruszał mur niechęci.

Mnie z matką zakwaterowano w parterowym budynku z czerwoną dachówką. Połowę zajmował polski osadnik z ukraińską żoną, którą poznał na robotach w Niemczech, a połowę my, Wiśłoccy. Stuknęło mi osiemnaście lat, musiałem się rozejrzeć za robotą. Razem z kolegą z Rakowej najeliśmy się do koni w dużym gospodarstwie rolnym. To nie był pegeer, tylko farma prywatna. Prowadził ją dawny oficer Wojska Polskiego, podobno przeszedł cały szlak bojowy aż do Berlina. Z kilku zdezelowanych rowerów, które znaleźliśmy w szopach, poskładaliśmy dwa i tak dojeżdżaliśmy codziennie do pracy. Oprócz czyszczenia i karmienia koni obrabialiśmy buraki, ziemniaki, zbieraliśmy zboże. Normalna harówka na hektarach, dla nas nie pierwszyczna.

Nie mieliśmy źle, właściciel był wymagający, ale sprawiedliwy. Nie jak w pegeerze, gdzie ludzi oszukiwano, a kierownictwo ciągle się zmieniało, bo każdy kolejny szef tego pił. Polepszyło się dopiero, gdy dyrektorem pegeeru mianowano naszego pracodawcę. Zaprowadził porządek i później nas tam zatrudnił.

W tym pegeerze poznałem luksusiewiczynę, swoją przyszłą żonę. Jej ojciec był brygadzystą, widział, że dobrze pracuję, to nie miał nic przeciwko naszym zalotom. Pochodzili z Muczne-go w wysokich Bieszczadach. Katarzyna była ode mnie o kilka lat starsza, ale to nam nie przeszkadzało. W sobotnie wieczory chodziliśmy na zabawy. Ech, jak ona tańczyła! W tańcu frunęła... A jaką miała figurę! Cacy kobietka, niejeden mi jej zazdrościł. Ale swoje zaraz po wojnie przeszła.

Ona, moja Kasia, została łączniczką UPA. A w zasadzie chyba nawet nie łączniczką, bo nosiła banderowcom

jedzenie, nie meldunki i listy. Nosiła, bo musiała. Jak w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku zaczęli wysiedlać Muczne, przekradła się z ojcem i bratem do wujostwa w Dydiowej. Tam się ukrywali parę dni, dopóki jakiś, za przeproszeniem, skurwysyn nie dał znać na UB. Przed obławą zdążyli uciec wyżej w góry. Zbudowali szałas i w nim kocowali do czasu, aż znaleźli ich tam banderowcy. Poradzili, żeby odeszli do Bereżek, gdzie po wywózkach miejscowej ludności zostało parę chałup. Wkrótce osiedli w pustej wsi i tak dotrwali aż do wiosny czterdziestego siódmego roku.

Przed wysiedleniem na Ziemie Odzyskane bezpieka i wojsko dokładnie sprawdzały, kto jest kim. Zdziwiło ich, że w Bereżkach jeszcze ktokolwiek mieszka, no, a potem ktoś z „życzliwych” Ukraińców doniósł, że Kaśka to banderówka. Zabrali ją na przesłuchanie, tak samo brata i ojca. Tłumaczyła, że jej kontakty z UPA były wymuszone, ale kto tego słuchał? Razili ją prądem, tłukli po głowie, ciągaliby włosy po podłodze. Lata później opowiadała, że po tych przesłuchaniach wyglądała jak beczka – taka spuchnięta. Ale wytrzymała i nawet nie trafiła do więzienia. Przyjechała z rodziną do Sławoborza, trzy kilometry od Ciechnowa. Urzędnik wskazał im dom-ruinę i poszedł. Dom bez okien i drzwi, kompletnie rozszabrowany. Lecz i to przetrwali, a potem dyrektor pegeeru, ten polski oficer, załatwił im lepsze lokum.

Ci z UB wszystkich traktowali jak bandziorów. Nie zastanawiali się, czy ktoś współpracował z UPA z własnej woli, czy musiał, bo mu grozono. Tego nie umieli wyważyć i wielu skrzywdzili. Bo jeszcze trzeba by wziąć pod uwagę, czy ktoś strzelał, może nawet zabił, czy tylko dostarczał żywność i nikogo nie miał na sumieniu.

Bazyli Buszowiecki:

– Pociąg stanął, a żołnierze powiedzieli, że możemy narwać trawy i napoić zwierzęta. Przy torach dymiła kuchnia polowa; wojacy gotowali, pachniało przyjemnie grochówką. Potem każdy, kto chciał, podchodził z miską i wojak nalewał chochlę zupy. Drugi rozdawał pajdy chleba. Zaskoczyło mnie, że jesteśmy tak dobrze traktowani. Ludzie siedzieli wzdłuż torów i zjadali obiad. Niedaleko stał inny pociąg. Byli w nim radzieccy żołnierze. Jechali do siebie i mówili, że powinniśmy jechać z nimi, bo tam jest nasze miejsce. Że Rosjanin czy Ukrainiec to jedno i to samo. A dla nas, przynajmniej dla mnie, ojczyzną wciąż była Polska. Byłem obywatelem polskim i w pełni się nim czułem, choć z urodzenia Ukrainiec.

Postoje zarządzano parokrotnie. Wtedy robił się straszny tumult, bo ludzie biegali tam i z powrotem z wiadrami po wodę, opróżniali nieczystości, rwali trawę dla bydła. Dano mi pod opiekę dwie krowy, więc musiałem się mocno starać, żeby miały pod dostatkiem pożywienia. Ale jazda w wagonach była dla zwierząt udręką. Może większą niż dla ludzi. Nieustannie przeciągle ryczały, jakby je coś bolało. Na większych stacjach niektórzy szukali weterynarzy, ale nie wiem, czy znaleźli.

No i Oświęcim. Ze składu, którym podróżowałem, żołnierze zabrali kilka osób. Stali z gotową listą, wyczytując z imienia i nazwiska. Wywołani wychodzili na peron i gdzieś po chwili szli. Już nie wracali. Dopiero wtedy zaczęły się domysły. Po co ich wzięto, z jakiego powodu? Niby wszyscy wiedzieli, że zabierano podejrzanych o przynależność do UPA, niedawnych *stritciów*, którzy szczęśliwie nie zginęli w lesie od polskiej kuli, ale i tak pytano: dlaczego, za co?

Wtedy jeszcze nikt z nas, przesiedlanych, nie wiedział o Jaworznie. Jaworzno zaistniało w naszej świadomości znacznie później.

Czy myśmy w drodze rozmawiali, próbowali zrozumieć, co się dzieje? Różnie z tym było, jednak u wszystkich wy-czuwało się silną obawę o jutro. Wciąż nie znaliśmy swojego miejsca przeznaczenia, wielu nawet nie miało orientacji, jakie są granice Polski. Gdzie jest ten zachód czy północ. Bo tak nam przeważnie oszczędnie mówiono – o jakimś zachodzie, północy, o Ziemiach Odzyskanych. Ale to dla nas była abstrakcja. Dotychczasowy świat większości wy-siedleńców z Bojkowszczyzny i Łemkowszczyzny ograniczał się do paru wsi, ewentualnie najbliższego miasteczka. Dalej istniało obce i nieznane.

Któregoś ranka zobaczyłem na szarym budynku duży napis. Przeliterowałem: P A S Ł Ę K. Pasłęk. Przy dworcu stały furmanki i parę ciężarówek. Żołnierze kazali wysiadać i wyładowywać z wagonów, co swoje. Sami też pomagali – wyprowadzali bydło, konie, owce. Znosili z platform wozy, pługi, skrzynie. Dziesiątki, setki sprzętów. Skrzynie były pod-pisane nazwiskami właścicieli, ale i tak zrobił się straszliwy bajzel. Każdy chciał zabrać swoje i każdy jak najszybciej. Ludzie tłoczyli się wzdłuż pociągu, który nadal sapał jak zmęczony długim biegiem człowiek. To już była stacja koń-cowa, pośpiech nie był konieczny, a jednak niemal wszyscy uwijali się tak, jakby ten skład miał za parę minut odjechać razem z ludzkim dobytkiem.

Po półgodzinie furmanek zabrakło. Natychmiast załat-wiono inne i również my odjechaliśmy ze stacji do miejsca osiedlenia. Wieś nazywała się Młynary; mieszkali w niej Kre-sowiacy, rodziny z innych regionów kraju, a także nieliczni

już Niemcy. Przydzielono nam dom na tak zwanej kolonii, bez szyb w oknach. To był duży budynek, mieszkały w nim dwie Niemki. Przyjechał sołtys z pomocnikiem. Pokazali nam, które pomieszczenia mamy zająć, i powiedzieli, że niedługo będą dzielić ziemię.

W okolicy funkcjonował pegeer, niektórzy Ukraińcy od razu się tam zatrudnili, ale myśmy woleli gospodarzyć na swoim, jak w Jaworcu. Zostawiliśmy tam osiemnaście mórg pola. Po tygodniu czy dwóch zaczęli dzielić grunty. Dostaliśmy skrawek, takie byle co, dopiero z czasem otrzymaliśmy więcej. Ostatecznie w latach pięćdziesiątych mieliśmy do dyspozycji dwanaście hektarów. Nie mogliśmy narzekać, ale i nie oszczędzaliśmy się w pracy. Mieliśmy konie, krowy, zaczęło się układać. Życie znowu nabierało sensu.

Pamiętam pierwszą zimę. Łagodniejszą niż w górach i krótszą. To też miało znaczenie. Zwłaszcza że nie wszyscy od razu dobrze trafili. Nasi znajomi dostali okropną rudę i długo dziadowali. Z kawałka ziemi nie mogli się wyżywić, więc ojciec rodziny zatrudnił się w pegeerze. Pracował sumiennie, jednak chałupy nie remontował. Mawiał, że to nie jego; że jego zostało w Bieszczadach. Sąsiedzi go namawiali, bo jak długo można siedzieć pod dziurawym dachem, lecz on się uparł. Cierpiała przez to żona, cierpiali dzieci. W końcu z pomocą krewnych połatali ten dom, ale nie stał się przez to dla nich prawdziwym domem. Nigdy go nie polubili. Czuli się w nim jak w obcej, tymczasowej kwaterze.

Czy nas, Ukraińców, szykanowano? Osobiście nikt mi nie napluł w twarz, chociaż szczekania się nasłuchiwałem. Nierzadko ktoś wieczorem podchodził pod chałupę i szczekał jak pies. W ten sposób chciano Ukraińców poniżyć. Albo rzucano kamieniami w okna.

Parę lat po przesiedleniu ożeniłem się z dziewczyną z Zawoja. Upatrzyłem sobie Helenę i nie pożałowałem. Poszedłem mieszkać na swoje, przyjąłem się do pegeeru i tak mi na traktorze przeleciało dziesięć lat.

Maria Piekutowska:

– Złego słowa nie powiem. Pewnie, że szkoda zostawiać rodzinny dom, sad i ziemię, ale jak mus, to mus. Zresztą ta nasza wioska, Serednie Wielkie, to już był tylko strzép. I ja nie oskarżam, że spalone gospodarstwa to вина Polaków. Banderowcy też się przyczynili do tej ruiny.

W podróży zadziwiła mnie opieka ze strony wojska. Ludzie szeptali, że Lachy będą się nad nami pastwić, tymczasem nic takiego nie miało miejsca. Żołnierze za dużo z nami nie rozmawiali, jednak gdy ktoś poprosił o pomoc w jakiejś sprawie – nie pozostawali obojętni. Na stacjach przystankowych nalewano kartoflanke. Gęstą i pachnącą. Siedzieliśmy w wagonie na rozłożonej słomie z jeszcze jedną rodziną. W rogu nasze zwierzęta. Było ciepło, nawet duszno, ale co jakiś czas pociąg stawał i wtedy można było posprzątać wagon, wyjść dłużej na powietrze.

Nigdy wcześniej tak daleko nie jechałam. Mijaliśmy dziesiątki wsi; z oddali dostrzegałam ludzi, którzy zapewne nie byli świadomi, kto podróżuje tym długim na kilkadziesiąt wagonów składem. Chociaż może się domyślali, sama nie wiem. Gazety chyba informowały o akcji „Wisła”, o tym, że rząd przeznaczył dla rodzimych Ukraińców tereny poniemieckie. A te, na których dotąd mieszkali Ukraińcy – dla nowych polskich osadników. Przechodziło mi przez głowę, kto osiadzie w Seredniem na naszym gruncie; czy będzie to rolnik, czy może rzemieślnik? Spodoba mu się poukraiński

dom czy przerobi go wedle własnego uznania? Było mi smutno, a jednocześnie dojrzewała we mnie nadzieja, że tam, na nowym, znajdę swoje miejsce i je polubię.

W Kobylnicy pod Słupskiem dostaliśmy kwaterunek w budynku wielorodzinnym. Oprócz nas, Fanuków, zamieszkały w nim jeszcze cztery rodziny z innych stron Polski. Całkiem ludzi wymieszano, ale trafiliśmy dobrze. Ci nasi sąsiedzi nigdy mnie ani nikogo z moich bliskich nie urazili. I od pierwszego dnia nawzajem zaczęliśmy się wspierać. Jak później opowiadałam to znajomym Ukraińcom z innych wiosek, nie chcieli wierzyć. Bo rzeczywiście niektórzy byli obrażani, wyzywano ich od najgorszych, zdarzały się pobicia.

Jednak w Kobylnicy, gdzie osiedlono jeszcze parę rodzin ukraińskich, takich zatargów nie było. Tato znalazł pracę w młynie; znał się na młynarstwie, miał poważanie i dobre zarobki. Brata też bez kłopotów zatrudniono, nie musiał iść do roboty w pegeerze. Obydwaj powtarzali, że gdyby nawet ich do tego przymuszano, toby się nie zgodzili.

Dostaliśmy trochę ziemi, mniej niż w Seredniem, ale też nie spłacheć. No, a przede wszystkim w tym naszym gospodarstwie zostały po Niemcach maszyny: sieczkarnie, grabiarki, młockarnie. Ojciec oglądał je ze wszystkich stron i nie mógł się nadziwić, że takie zadbane. Tylko wziąć i ruszać w pole. A kiedy zobaczyłam kurnik, to mnie zatkało. Przestronny, z siedziskami dla kur. Salon w porównaniu do kurnika, jaki mieliśmy w Bieszczadach. Tak samo chlew. Nigdy bym nie pomyślała, że w chlewie może być tak czysto.

Na Pomorzu poznałam Polaka z Lubelszczyzny. Nie zastanawiałam się, że skoro ja Ukrainka, to będzie dziwnie, ale niewielu decydowało się na podobne związki. Pamięć o UPA,

wysiedleniach była zbyt świeża. Tylko że na miłość nie poradzisz. Wzięliśmy ślub w kościele, a potem nasze dzieci długo nie miały pojęcia, że są zmieszane polsko-ukraińską krwią.

Pierworodnego rodziłam w Słupsku. Nie mogłam własnymi siłami, to mnie rozcięli. Kiedy po tygodniu wyszłam ze szpitala, wszyscy witali mnie jak królową. Ukraińcy i Polacy, nasi sąsiedzi. Stali przed domem i czekali, żeby mnie z dzieckiem uroczyście wprowadzić do domu. Jak oni o mnie dbali, obcy ludzie! Przynosili chude mięso, czekolady, ciasta pychoty. Dogadzali mi. Od pewnego Polaka bardzo długo brałam wodę ze studni, bo miał lepszą, krystaliczną. Jego żona uczyła mnie opieki nad niemowlęciem: jak przewijać, karmić, ubierać w taką lub inną pogodę. W wolnych chwilach, kiedy maluch spał, piekłyśmy pierniki... Takie chwile sprawiały, że złe wspomnienia zamazywały się i coraz bardziej odchodziły w przeszłość.

Ale człowiek to istota skomplikowana – po dniach radosnych nadchodziły niekiedy duszne noce, podczas których śniła mi się wojna, pożary, ucieczki. Śnili mi się banderowcy i wojsko polskie. Śniła mi się krew.

Anna Kucyj:

– Upchano nas jak śledzie w beczce. Ktoś z konwojentów powiedział, że dojedziemy do celu za dwa dni, a dojechalśmy za dwa tygodnie. Im bardziej podróż się wydłużała, tym większa była podejrzliwość wysiedleńców. Mama siedziała pod ścianą i trzymała na kolanach nasz duży, ścienny zegar. Kufry z rzeczami i skrzynie ze zbożem załadowano w Łukawicy do innego wagonu, więc nie mieliśmy do nich dostępu. Leżały wśród setek innych podobnych bagaży. Cały

czas myśleliśmy o gipsowej Matce Bożej, która podróżowała w zbożu. Żeby szczęśliwie dotarła na miejsce.

Na stacji w Sławoborzu czekały już podwozy. Rozwożono nimi ludzi do kilku pobliskich miejscowości. Nam – Semczy-szynom, dziadkowi Kabłaszowi i kolejnym dwóm rodzinom z Bereżek – wyznaczono Powalice. W Bieszczadach mieliśmy drewniany dom, tutaj – murowany, dzielony z innymi nasiedlonymi. Nie najgorszy, tylko że z dziurą w suficie. Załataliśmy ją, ale wkrótce przyszli urzędnicy i przenieśli nas do innego budynku. Nawet lepiej, bo nie musieliśmy się tłoczyć.

W Powalicach po wojnie nie został chyba nikt z miejscowych. Wioska zaludniła się samymi obcymi. Jedni spoglądali na drugich z zaciekawieniem, ale też pewną obawą albo niechęcią. Mama mówiła, żebyśmy zbytnio nie ufali Polakom, a Polacy szeptali, żeby nie ufać Ukraińcom. Ta wzajemna podejrzliwość, nawet lęk były dużym obciążeniem psychicznym.

Nie przywieźliśmy prawie w ogóle żywności, tylko trochę żyta, a najmłodszy brat miał tylko trzy latka. No to z braku czego innego przez jakiś czas gotowaliśmy to żyto i wtrysnęliśmy rano, w południe, wieczorem. Rosło mi w buzi jak gula, lecz gdybym nie jadła, co by ze mnie zostało?

Pewnego razu przyszła do nas kobieta, polska wdowa z dwójką dzieci, i zapytała, czy pomożemy jej oporządzić ogród. Był zachwaszczony, a ona zamierzała na tym kawałku posadzić warzywa. Do pracy poszło wtedy kilka naszych kobiet, bo chciały zarobić i kupić coś w sklepie, ale ta Polka nie miała im z czego zapłacić. Sama biedowała, więc w zamian za całodzienną pomoc dała trzydzieści kartofli. Wiem dokładnie, bo potem dwie rodziny, nasza i organisty,

podzieliły się po połowie. Piętnaście kartofli... Co można z nich zrobić? Jak się ma głowę na karku, to całkiem dużo. Mamusia miała. Potem kupiła kozę, jałówkę, kilka kur.

Mieszkaliśmy koło szkoły, ale do niej nie poszłam, jeszcze nie wtedy. Gdy trwały lekcje, wychodziliśmy na podwórkę, na drogę i tam się bawiliśmy. Jednak jak tylko usłyszeliśmy dzwonek na przerwę, od razu uciekaliśmy do domu. Dlaczego? Bo już wiedzieliśmy, że kto nie zdąży uciec, oberwie grudką ziemi albo kamieniem od polskich dzieciaków. Zachowywały się gorzej niż dorośli. Z czasem to minęło, wszyscy staliśmy się dla siebie prawdziwymi sąsiadami, znajomymi, niektórzy przyjaciółmi. Dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, że ci zza Bugu nocami trzymali warty koło swoich obejść, bo się bali, że Ukraińcy zrobią im krzywdę. Po cichu uważano nas za ludzi złych, niebezpiecznych. Stawiano znak równości między Ukraińcem i banderowcem. To było niesprawiedliwe, również dla wielu partyzantów UPA. Wśród nich też byli ludzie skrzywdzeni, straszliwie doświadczeni. Tylko kto z Polaków chciał to przyznać?

Powiem jeszcze o figurze Matki Bożej. Jechała sobie w tym ziarnie, ale przepadła. Razem ze skrzynią.

Katarzyna Konwicka:

– Wysiedliśmy pod koniec maja w Kołobrzegu. Ja, siostra z mężem i ich sześcioro dzieci. Tego samego dnia wojskowi powieźli nas do wsi Ołużna. Domy były w większości zamieszkałe, a te, które jeszcze stały puste – rozszabrowane. To się widziało już z daleka, bo brakowało szyb w oknach i drzwi wejściowych. Ktoś te budynki zaczął rozbierać dla własnych potrzeb i nie przejmował się, że kradnie innym. Wewnątrz naszego nowego domu było kilka pomieszczeń,

ale w żadnym nie stała kuchnia, w której można by napalić i na niej ugotować. To najbardziej w pierwszych dniach nas zasmuciło. Obok znajdowały się szopa i stajnia, nawet dość duże, więc nasze zwierzęta bez problemu się pomieściły. Wkrótce udało się nam załatwić i wstawić kuchnię z żeliwną płytą, ale przez parę dni gotowaliśmy na ognisku.

Lubiłam przyrodę, wychowałam się wśród lasów, lecz las nizinny w niczym nie przypominał górskiego. Był rzadszy, przeważnie sosnowy, choć trafiała się brzezina i coś jeszcze, czego nie umiałam rozpoznać. W Bieszczadach inaczej – tam lasy bardziej gęste, mieszane, dużo jaworów, buków i jodeł. Zrobiło mi się żal; pomyślałam, że teraz, w nowym miejscu, nie będę już mogła chodzić na borówki i maliny, które od dziecka znosiłam w łubiankach spod Połoniny Wetlińskiej do Suchych Rzek. Zbieranie jagód było nieodzownym elementem mojego młodego życia. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym nie pójść do lasu choćby ze słókiem. I potem, kiedy już wiedziałam, że w nizinnym lesie też rosną jagody, gnałam po nie, gdy tylko dojrzewały.

Pracy się nie bałam, nawykłam od dziewczęctwa, ale te pierwsze tygodnie, miesiące dały nam w kość. Remontowaliśmy dom i jeszcze trzeba było zarobić na chleb. Przywieźliśmy z gór mało zboża, nie na długo wystarczyło, a dziewięć osób do wykarmienia. Niech to krew zaleje, jak myśmy biedowali! Przy domu stała studnia, ale nie mogliśmy z niej korzystać. Przyszedł raz Polak nasiedlony z Tarnopola i mówi: „Nie pijcie tej wody, bo tu Niemcy wrzucili ciała pomordowanych”. Musieliśmy prosić o wodę sąsiadów. Jeden z nich pochodził znad Buga i od początku nas nie lubił. Jak poszliśmy kiedyś z wiadrami do niego, to zasunął drewnianą kłapę studni, obwiązał łańcuchem i zamknął na kłódkę. Powiedział nam won,

to poszliśmy. Ale inny Polak, też zza Buga, pozwolił nam brać wodę do woli. Tyle że chodziliśmy trochę dalej. A mieszkali w pobliżu też tacy, błogosław ich, Boże, którzy sami przynosili nam buraki, kiszoną kapustę, kartofle.

Byłam wtedy dziewczyną do wzięcia, dwadzieścia siedem lat. Wszyscy mówili, że ho, ho, niczego sobie, zgrabna, ładna i takie tam. A ja się wstydziłam, nigdzie nie chodziłam, bo nie miałam się w co ubrać. Jedna sukieneczyna, nic więcej. Któregoś dnia we wsi organizowano zabawę. Na płotach przyklejono ogłoszenia, mężczyźni chodzili po domach i zapraszali kobiety. Tak bardzo chciałam pójść na potańcówkę, ale znowu – w czym? Wieczorem wyprałam sukienkę, powiesiłam do wysuszenia. Nie nabrała od tego nowości, ale chociaż była czysta. Tego dnia, w sobotę, założyłam najgorsze łąchy, żeby tylko jakoś przetrwać do popołudnia. Bardziej byłam podobna do baby niż młodej kobiety.

Ledwo wyszłam na dwór, przybiegła polska sąsiadka: „Kasiu, przyszlabyś mi pomoc przy burakach?”. „A czemu nie, pewnie, że przyjdę”. „Zapłacę ci, Kasiu, nie będziesz robić za darmo”, powiedziała i potem, na koniec roboty, wręczyła mi sto złotych. Tak się ucieszyłam, że z radości zaczęłam podskakiwać. Poprosiłam tę Zabuzankę, Sałapata się pisała, aby za te pieniądze zamówiła w niedzielę mszę w mojej intencji. Żeby mi wreszcie zaczęło się układać w życiu. Bo jak już sobie kupię nowe ubrania, to też pójdę do kościoła, chociaż grekokatoliczka. No, ale jak nie ma cerkwi, to każda świątynia tak samo dobra. Do tej pory krępowalam się przestępować kościelny próg; nie wypadało klęczeć przed ołtarzem w obdartym odzieniu.

Popatrzyła na mnie, a potem się rozplakała: „Kasieńko, schowaj sobie pieniądze. Mańka, moja córka, ma tyle bluzek,

spódnic i sweterków, że ci pożyczę". Tylko że byłam uparta. Powiedziałam, że w pożyczonym chodzić nie będę. W końcu zamówiła tę mszę za moje powodzenie i w miesiąc wszystko na lepsze się odwróciło. Kupiłam elegancką sukienkę, sandały i jak się zobaczyłam w lustrze, to sama sobie się spodobałam. Teraz mogłam już bez wstydu iść na zabawę. Tamtą sobie odpuściłam.

Na jakiejś pohulance poznałam Michała. Był stelmachem i pochodził z Hulskiego, niedaleko moich Suchych Rzek. On był trochę starszy ode mnie i wdowiec. Żona umarła mu jeszcze w wojnę. Szła do niego z pakunkiem jedzenia, do wioski, w której stacjonował z wojskiem. Służył w polskiej armii, bo polski obywatel. No więc ona do niego szła, lecz na miejsce nie dotarła. Potem ktoś ją znalazł bez ducha na brzegu Sanu. Nie miała rany postrzałowej, a ludzie opowiadali, że stanęło jej serce. Michał przeżył wojnę, choć był ranny na froncie. Miał dziurę w nodze i ciągle go ta noga bolała.

Tańczyliśmy. Grała orkiestra, obok w kiosku sprzedawano piwo i oranżadę. Spodobał mi się, ale nawet po miesiącach nie byłam zdecydowana, czy chcę z nim być. A on już chciał się żenić. Potem nieoczekiwanie przyczepił się do mnie pewien wojskowy. Też na wiejskiej zabawie. Poprosił mnie do tańca, nie odmówiłam. Michała wtedy nie było, jednak zaraz ktoś dał mu znać, że mu wojskowy narzeczoną odbija. Od razu przybiegł i już mnie pilnował, choć przecież nie byliśmy po słowie. Ten mundurowy, przystojniak, gdy ze mną kręcił piruety, to nagle mnie pocałował. Nie w usta, ale w czoło. I powiedział: „Ty musisz być moja”. Później, gdy już wróciłam z Michałem do domu, podobno mnie szukał.

Po paru dniach do Ołużnej przyszła Cyganka. Ona i inni Cyganie chodzili po okolicy, wróżyli ludziom za

pieniądze. Ta kobieta, starsza już, lecz ciągle czarniawa, bez siwizny, koniecznie chciała mi powróżyć, a ja nie miałam czym zapłacić. W końcu machnęła ręką i odparła, że postawi dla mnie karty za darmo. No i wyłożyła talię na stół, wszystkie figury, potem zaś rzekła: „Tyś wysoko latała, aleś spadła jak śliwka w gówno. Czegoś nie poszła za wojskowym, co? On by cię pieścił, szanował, a teraz ciebie czeka życie jak orka na ugorze”. Tak mi powiedziała. Niech to szlag trafi!

Wysłałam za mąż za Michała. Życie jak życie: krowy, świnie, ziemia. Normalnie. Po paru latach mężowi ta rana z wojny tak zaczęła doskwierać, że ledwo chodził. Zrobiła się czerwona, jakby poparzona. Paliła go niby ogień, a on siedział i jęczał. W końcu dał się uprosić i poszedł do lekarza. Chirurg w mieście popatrzył, przepisał lekarstwa, ale zaznaczył, że to tylko na chwilę. I że jak Michał chce uratować nogę, musi zmienić klimat na mniej wilgotny.

Od tej pory już nie miał spokojnej głowy. Ciągle zaprzętała ją myśl o wyjeździe.

Anna Suchan:

– Trafiliśmy do Kochanówki koło Lidzbarka Warmińskiego. Zamiast domu dostaliśmy ruinę bez okien i drzwi. Żeby jakoś zamieszkać, chodziłam z tatą po okolicy w poszukiwaniu drewna i szyb. Nikt nie miał, a jeśli miał, to nie mógł się podzielić, bo sam dziadował. Po paru dniach jakoś w końcu załatwiliśmy te dziury, jednak całość przypominała opuszczoną ruderę. Natomiast, o dziwo, dostaliśmy do użytku nową stajnię.

W Kochanówce posłałam do polskiej szkoły. Niektóre ukraińskie dzieci się bały, kryły po kątach, ale ja nie miałam

problemów. Może dlatego, że dobrze znałam język polski. W Cisnej tuż obok nas mieszkał Polak, Wierzbicki. Był rzeźnikiem, przyjaźnił się z moją rodziną i często przychodził w odwiedziny.

W nowej wsi sołtys przydzielił nam pole. Trzyście hektarów, z czego aż jedenaście to było żwirowisko. Prawie nie tam nie rosło, ale podatek płaciliśmy identyczny za całość. Tato mówił coś o niesprawiedliwości, a mama w milczeniu potakiwała.

Ledwie trzyście lat mi stuknęło, a już musiałam chodzić z tatą do lasu, żeby zapracować na utrzymanie. Pomagałam ścinać drzewa, rżnęłam je ręczną piłą na kawałki, targałam gałęzie do spalenia. Czasami pomagała mi młodsza siostra, ale ona była słabowita, trochę ułomna.

Przez pięć lat musieliśmy oddawać większość zbiorów do skupu. Taki kontyngent, jak za okupacji. Później się dowiedziałam, że robiliśmy dla tych, którzy odbudowywali Warszawę. Oddawaliśmy wełnę, mleko, mięso, zboże. Nie dziwota, że biedowaliśmy, i dopiero w połowie lat pięćdziesiątych powiał dla nas bardziej pomyślny wiatr.

W Kochanówce ludzie nawet się lubili; nikt nie wypominał Ukraińcom UPA, żyliśmy w zgodzie z Polakami i nielicznymi Niemcami. Znowu, jak dawniej, różne kultury zaczęły się przenikać i uzupełniać. Gdy Ukraińcy zbierali się wieczorami, żeby pośpiewać, przychodzili też chętnie Polacy i uczyli się naszych piosenek. Chwalili, że takie melodyjne, chwytające za serce.

Władysław Szul:

– Wyruszyliśmy transportem z Sanoka pierwszego maja. W robotnicze święto na dworcu grała orkiestra. Polacy się

cieszyli, Ukraińcy – smucili. Dziesiątego maja dotarliśmy do miasteczka Susz niedaleko Ilawy. Tam już czekali wójtowie, sołtysi z pobliskich miejscowości. Wyczytywali nazwiska wysiedleńców z gór, a potem furmanki i auta rozwoziły ludzi z dobytkiem pod wskazane adresy.

Rozdzielali nas tak, żebyśmy nie stanowili większej grupy. Po jednej, dwie, najwyżej do trzech rodzin w danej wiosce. I kilka w samym Suszu. Miasto nie było duże, ale miało kościół, nieczynną synagogę oraz pozostałości gotyckich murów miejskich. W czasie wojny w Suszu istniała filia obozu koncentracyjnego Stutthof.

Trafiliśmy do Różnowa, niewielkiej wioseczki. Przydzielono nam ruinę, nie dom. Moje ciotki się załamały. W środku walały się śmieci, a gnój sięgał kolan. Nie było szyb ani pieca. Jak mieszkać, spać, gotować? Kiedy nas wyganiano z ojcowizny, kreślono przed nami świetlaną przyszłość; opowiadano, że dostaniemy piękne gospodarstwa, bo Niemcy, cokolwiek by o nich powiedzieć, umieli dbać o swoje. Tylko że potem, kiedy już Niemców nie było, ktoś te domy zdewastował, splądrował. Nie twierdzę, że wszyscy dostali zniszczone budynki, do remontu od podstaw. Wiem, że trafiały się naprawdę dobre, nawet piętrowe, no, ale nam się nie poszczęściło. Poszedłem do wójta i poskarżyłem się, że w takiej budzie to nawet pies by nie zamieszkał, a on mi na to: „Aaa... dziękujcie, że wam, aaa... polski rząd... aaa... życie darował”. Tak powiedział, jakbyśmy byli bandytami. On się jękał, dlatego to „aaa”.

Byłem jedynym mężczyzną w rodzinie, musiałem na siebie wziąć całą odpowiedzialność za naprawy, załatwienie budulca, wymurowanie pieca. Dziewiętnastolatek to niby już mężczyzna, a jednak nie w pełni. Brakuje takiemu

doświadczenia, nie wie, jak gadać z władzą, jak zakombinować, które drzwi otworzyć. Ale szybko się nauczyłem.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku była parcelacja ziemi. Dostaliśmy splachęć, tylko że nie mieliśmy narzędzi, sprzętu. Pożyczaliśmy od sąsiadów, także od osadzonej we wsi polskiej rodziny rodem spod Przemyśla, z którą szybko połączyła nas nieomal przyjaźń. Zapewne przez to, że pochodziliśmy z południowego wschodu i mieliśmy podobne doświadczenia z konfliktu ukraińsko-polskiego.

Za nami, Ukraińcami, ubecy długo chodzili jak cienie. Tak samo ormowcy. Sprawdzali, co robimy, dokąd jeździmy, z kim się spotykamy. Bo wtedy wszędzie, na całym Pomorzu, na Warmii i Dolnym Śląsku, w kręgach władzy opowiadano, że Ukraińcy zechcą na tych terenach tworzyć nielegalne organizacje. To znaczy nacjonalistyczne, wrogie Polsce Ludowej i Polakom. Może i takie środowiska były, jednak większość Ukraińców, zwykłych obywateli, chciała tylko spokoju.

Katarzyna Szul:

– W Bełżcu załadowano do wagonów po trzy, cztery rodziny. Jechałam z mamą i tatą razem z krowami, a w innym wagonie mój brat i koń. Na końcowej stacji okazało się, że po drodze część wagonów odczepiono i dołączono do innego parowozu. Z tego powodu brat dotarł do nas dwa tygodnie później.

Na dworcu w Ilawie jakiś cywil wyczytał głośno, że Gieronowie pojedą do wsi Gontyn Majątek. To słowo: majątek, wydało mi się takie charakterystyczne, skojarzyłam je z czymś bogatym. Że pojedziemy do majątku i niczego nam tam nie zabraknie. Miałam dwanaście lat.

Zobaczyłam pałac. Tato powiedział, że ponemiecki. Nie wyglądał zbyt okazale, był zapuszczony, ale wokół rozciągał się ładny park czy coś podobnego. Do pałacu razem z nami przydzielono również inne rodziny. Wszystkie ukraińskie, z tym że dwie prawosławne i dwie greckokatolickie, w tym nasza znajoma z Werchraty. Mogło nam się zdarzyć gorzej, a tak – mieliśmy obok kogoś od dawna znanego, zaufanego. Taki ktoś na nowym terenie był bezcenny. Można było w ciemno przyjść, porozmawiać, pożyczyć szklankę cukru.

Z dawnego wyposażenia w pałacu nie zostało nic. W przestronnych pokojach leżał gnój, tak na pół metra w górę. Zaschnięty i twardy, więc żeby go usunąć, mężczyźni cięli to łajno na kawałki i dopiero wtedy wynosili. Tego świństwa nie zostawili Niemcy, tylko Rosjanie. Podobno jak pędzili zrabowane Niemcom bydło, to w pałacu urządzili tymczasową oborę. W tym i w wielu innych majątkach. Zabrali też albo spalili meble. A resztki, jakąś stolarkę, wzięli zasiedleni w pobliżu Polacy.

Z początku, aby zarobić na utrzymanie, musieliśmy się u nich najmować do pracy na gospodarce. Bo my prawie nic nie mieliśmy, dużo dobra zostało w Werchracie. Żeby zrobić szafki do kuchni, tato rąbał drewno u Polaka. Potem to drewno gdzieś przecierał i sam zbijał deseczkę do deseczki. Ale w izbie pokojowej jeszcze długo mieliśmy tylko podłogę.

Żywiliśmy się dzięki krowom. Pasałam je na pobliskich łąkach, a obok pasał Jurek od zasiedlonych tu Polaków. Był młodszy ode mnie, przedrzeźniał się, ja zaś nie dałam sobie w kaszę napluć. Kiedyś mówię: „Jurek, poleć i nawróć na pastwisko moje krowy. Dam ci za to kanapkę”. Bo on był zawsze głodny, choćby zjadł cztery pajdy chleba. Innym razem mówię: „Jerzyk, dam ci fajną kanapkę z masłem i serem, ale

musisz coś dla mnie zrobić”. „A co, a co?”. „Musisz zjeść upieczoną w ogniu żabę”. Wtedy się wkurzył i nawrzeszczał na mnie: „Nasz polski rząd robi dla Ukraińców drogę do morza. Wszystkich was popędzi i potopi!”.

Lecz tak w ogóle od lat pięćdziesiątych żyliśmy z Polakami poprawnie. Może nie w miłości, bo jednak pamięć o bratobójczej walce z głów nie uleciała, ale też nie w nieustannej złości. Jakbyśmy wszyscy pojęli, że czas zacząć patrzeć do przodu.

M.:

– Najbardziej, jak mi opowiadała mama, ludzie bali się tego, że wojsko wywiezie ich do Związku Radzieckiego. Ja sama, pięcioletka, nic nie rozumiałam, ale pamiętam, że bardzo długo jechaliśmy. Pociąg stawał parę razy i kiedy go oglądałam z najbliższego rowu, gdzie odpoczywaliśmy, wydawał mi się ogromnie długi. Przypominał wielkiego węża z czarną głową.

Na postojach żołnierze rozdawali dzieciom cukierki. Były takie słodkiutkie, że chciałam jak najdłużej zatrzymać w ustach ich smak. A kolorowe papierki po nich schowałam sobie do kieszeni. Wojskowi rozdzielali też zupę. W zupie pływało czerwone mięso. Nigdy wcześniej takiego nie jadłam i dopiero później się dowiedziałam, że to konina. Jedne konie, żywe i osiodłane, stały obok, a drugie, martwe, pływały w kotle. U nas takiego mięsa się nie jadło, konie były kimś najbliższym.

W wagonach śmierdziało. Jak miało nie śmierdzieć, kiedy pełno ludzi i zwierząt? Wszyscy musieli się załatwiać. Do tego wszy. Tak te wszy nas żarły, że drapałiśmy się do krwi. Na stacji w pewnym miasteczku przyszły sanitariuszki w białych

kitlach. Sprawdzały podróżnym głowy i posypywały proszkiem z pudełek, w których wydrążone były dziurki. Potem kazały owinać głowy płótnem. Wyglądaliśmy w tych turbanach jak muzułmanie, choć wtedy nie znałam tego słowa.

Na innym przystanku wojacy powiedzieli, żeby wygnąć bydło na łąkę, bo musi się najeść. Staliśmy wtedy chyba trzy dni. Na tej łące naszą mleczną krasulę użarła żmija, przynajmniej tak powiedział ktoś, kto się na tym znał. Musiała ta żmija wstrzyknąć dużo jadu, bo krowa marniała w oczach. Oddaliśmy ją na rzeź. Potem, niedaleko stacji końcowej, do składu podeszła kobieta. Coś mówiła po niemiecku, kroїła chleb, smarowała masłem i rozdawała. Ja też dostałam kromkę.

Do Kobieli przywiozła nas ciężarówka. Żołnierze pomogli nam wyładować skrzynie, wóz i zaraz się zabrali. Patrzyliśmy na nasz nowy dom – większy od tego w Tworylnem, murowany, ale zrujnowany. W środku gołe ściany, wszędzie ślady szabru. Nawet deski w podłodze wyłamane. Starsi mówili, że kiedy Niemcy uciekali za Odrę, to Polacy od razu plądrowali ich domy. Tak samo Rosjanie, czerwonoarmiści. Wszyscy szukali cennych rzeczy zakopanych na podwórzach i w piwnicach. Porcelany, maszyn do szycia, kosztowności. Tubylcy myśleli, że tu wrócą, więc zakopywali. Nie inaczej niż my, Ukraińcy, w górach. Chociaż Niemcy byli bogatsi, żyli na lepszym poziomie. Nasi ludzie chowali w ziemi głównie sprzęt gospodarski. Kto u nas miał porcelanę?

Dostaliśmy z gminy siedem hektarów pola, zboże pod zasiew, ziemniaki do sadzenia. Na początek. Tej ziemi było dla nas trochę mało, dlatego później rodzice dokupili jeszcze kilka hektarów. Dwa lata po przesiedleniu przekroczyłam próg polskiej szkoły. Nie było mi łatwo mówić po polsku, bo w domu rozmawiano w ukraińskim, ale i tak, jak mi się

zdaje, szybko chwyciłam ten język. Chwilami przypominał ukraiński, niektóre słowa były podobne. Byliśmy Ukraińcami, wciąż w domu przed ikonami żegnaliśmy się wpierw na prawe ramię, lecz coraz mocniej wiązaliśmy się także z tym, co polskie.

K.:

– Mnie, rodzeństwo i tatę osiedlono w Przecminie pod Kołobrzegiem. Po jakimś czasie pierwszy raz w życiu zobaczyłem morze i stałem jak zauroczony. Ale martwiłem się, że nad morzem nie ma gór. Jakoś dziwnie chodziło mi się po płaskim.

I ten klimat – zupełnie odbiegał od tego, w którym dorastałem. Jak zaczęło kiedyś wiać, to myślałem, że domy poprzewraca. Nasze stare chaty stały w dolinach, a góry chroniły je przed wichrami. Z początku nie mogłem spać, bo tam dzień był dłuższy niż w Bieszczadach. Ciemność zapadała później.

Miałem dziewięć lat, chciałem się zakolegować z polskimi chłopakami, lecz oni nie chcieli. Dla nich byłem obcy i podejrzany. Gorszy. Nigdy od żadnego nie oberwałem, ale wyzywali mnie od małych banderowców. Inne ukraińskie dzieci też. Tato mi wytłumaczył, że same tego nie wymyśliły, tylko usłyszały w domu, od swoich rodziców. Chciałem się bronić, zaciskałem pięści, jednak starsi Ukraińcy radzili: „Schodź im z drogi, pokrzyczą i znudzi im się”.

Dużo by gadać, tylko po co? Zamierzchłe czasy. Może o szkole. Nie mogłem za cholerę nauczyć się alfabetu łacińskiego. Znałem jedynie trochę cyrylicę, a polskie litery nie były podobne do ukraińskich. W końcu ten alfabet przyswoiłem, ale żeby na piątkę, to nie.

Dom? W Suchych Rzekach mieszkaliśmy pod strzechą i w Przecminie pod strzechą.

Gospodarka? Ojcu dano siedem hektarów. Cóż to było naprzeciw naszych dwudziestu?

Jan Wolański:

– Kiedy słyszę, że wszyscy Ukraińcy na przesiedleniach ucierpieli, aż mnie trzęsie. To są sprawy, które trzeba umieć wyważyć. Dla części osób wywózki stały się osobistą tragedią, ale dla innych – błogosławieństwem. Bo co takiego na swoim mieli? Jak to życie na co dzień wyglądało? Ludzie pamiętają to, co dobre, a wolą nie pamiętać złego. Dlatego idealizują dzieciństwo na ojcowiznie. A tu nędza wyzierała z co drugiej chyży, mnożyły się choroby. Ile niemowląt umierało? Kto policzy?

Jeszcze na stacji początkowej w Olszanicy żołnierze nam mówili, że będziemy chwalić nowe. Nikt nie wierzył, bo gdzie może być lepiej niż u siebie? Kiedy transport ruszył w trasę, jedni zaczęli wyć, a drudzy zapadli się w sobie. Zamilkli i znieruchomieli, jakby ich dopadł paraliż. Jechaliśmy w pierwszej części składu, na końcu zaś sunęły wagony z wozami, sianem, zbożem. Był taki wagon, na którym leżały wyłącznie wozy. Jeden na drugim, piętrowo. Potem się okazało, że dużo z tych rzeczy na północ nie dotarło. Przepadły, a ludzie mówili, że wojskowi zrobili na nich interes.

Gdy pociąg zatrzymał się w Oświęcimiu, wielu prawie oszalało. Wzdłuż torów chodzili mundurowi z kajetem i wyczytywali osoby, którym następnie kazali wysiąść. Ci wysiadali, a ich bliscy płakali i błagali żołnierzy, żeby nie zabierać im mężów, synów. Byłem ciekawski, więc wszystko

widziałem. Dokładnie nie liczyłem, ale tego dnia wywołano kilkadziesiąt osób. Odjechaliśmy już bez nich.

Zamieszkaliśmy w Natolewicach koło Gryfina. Łącznie dziesięć rodzin z Zawadki. Mogliśmy być zadowoleni, bo rzadko osiedlano ludzi z jednej wsi w takiej ilości. To nam pozwoliło od początku poczuć się pewniej w stosunku do innych zasiedlonych. Ale problem stanowiliśmy jedynie dla tych zza Bugu, którzy otwarcie przyznawali, że nas nie lubią. Minie ładnych parę lat, zanim te relacje się ułożą.

Natolewice miały głównie murowaną zabudowę. Większość z akcji „Wisła” nigdy nie miałyby możliwości zamieszkać w takich domach na opuszczonych terenach. Niemcy inaczej budowali, domy kryli dachówką, byli w tym względzie daleko przed nami. I chociaż my, Wolańscy, mieliśmy w Zawadce dom pod blachą, dwadzieścia cztery morgi ziemi, dwa konie i pięć krów, to nie żałowaliśmy przenosin na drugi kraniec Polski. Dostaliśmy sporo pola, ojciec uruchomił zakład stolarski i ciesielski. Terminowałem u niego, wyuczyłem się stolarstwa, bednarstwa, kołodziejstwa. A na dokładkę jeszcze szewstwa.

Dużo naszych poszło pracować do pegeeru. Pegeer był prężny, bogaty, więc nikt nie narzekał. Niektórzy stali się przodownikami pracy, dostawali nagrody i medale. Zaakceptowali nowe życie i tylko w zaciszu domów, w swoim gronie tęsknili za utraconym. Wtedy nikt nawet nie pomyślał, że się spakuje i wróci na południe. Władza powiedziała wyraźnie: żadnych ukraińskich powrotów.

Maria Barniak:

– Kiedy w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku ze stacji kolejowej w Szczawnem odjeżdżaliśmy na

Ziemie Odzyskane, zabraliśmy też Stefanka. Nikt nie pytał o jego personalia ani skąd pochodzi, więc podaliśmy, że nazywa się Stefan Perun. Było nas w domu czworo Perunów, to dlaczego nie piąty?

Staliśmy przy torach. Za kilka godzin mieli podstawić wagony. W tym samym czasie moja ciotka, rodzona siostra ojca, prosiła swego męża, by wyreklamował nas od przesiedlenia. Mąż ciotki, Stanisław Lisowski, był Polakiem i burmistrzem Sanoka, wyjątkowo dobrym człowiekiem. Przyjechał za nami do Szczawnego i chciał nas ratować. Wyjaśnił wojskowym, że jesteśmy jego rodziną i nie mamy nic wspólnego z banderowcami. Odparli, że jest nakaz wysiedlać wszystkich, ale jeśli chcemy koniecznie wrócić do Morochownicy, dadzą auto i pomogą w odwiezieniu dobytku. Tylko jak wracać, skoro inni na stacji? Co sami zrobimy na odludziu, co inni Ukraińcy o nas pomyślą?

Tato się wahał, lecz ostatecznie zdecydował, że jedziemy na północ. Solidarnie ze wszystkimi, których wygnano. Skoro tak, to urzędnicy zapewnili wuja, że załatwią nam dobre gospodarstwo, żebyśmy nie musieli niczego remontować, i że dostaniemy pola, ile dusza zapagnie. Ale kto w to uwierzył?

Tyle słyszałam o złych polskich żołnierzach, ciągle miałam w oczach pomordowanych w Zawadce Morochowskiej, tymczasem przy wysiedleniu zachowywali się z kulturą. Pewnie, że nie ci, co mieli na rękach krew moich sąsiadów, ale jednak żołnierze, którym Ukraińcy nie ufali. Wojskowi pomagali cywilom ładować sprzęty na wozy, a na stacji rozdawali żywność. Ciągłe pytali, czy czegoś nie potrzebujemy, a ja i inni nie rozumieliśmy, dlaczego oni są tacy dobrzy. Przecież wypędzali nas z rodzinnej ziemi, na nieznaną teren. Mówili: „Nie bójcie się, jedziecie tam, gdzie życie będzie lżejsze”.

Bo nasi, zwłaszcza starsi gospodarze, ich żony myśleli, że zostaniemy wyrzuceni na zupełnym pustkowiu, gdzie dopiero będziemy musieli budować domy.

W każdym wagonie stał uzbrojony żołnierz. Ten „nasz” ciągle z nami rozmawiał i dopytywał, czy jesteśmy głodni. Przynosił konserwy, herbatę, inne rzeczy. Miałam wrażenie, wszyscy w wagonie takie mieliśmy, że jest naszym przyjacielem. Pociąg jechał powoli i długo, często się zatrzymywał i wtedy staliśmy nawet dobrą. W przeciwnym kierunku sunęły inne składy i należało je przepuścić. Były ważniejsze, bo wiozły sowieckich żołdatów.

Na postojach ludzie rwali trawę dla zwierząt, uzupełniali zapasy wody. Żołnierze sprawdzali, czy kto nie chory, a jeśli taki był – wzywali lekarza. Na którymś dłuższym przystanku wszyscy się porozchodzili, a potem nagle musieli szybko wsiadać. Skład ruszył, lecz wkrótce znowu stanął. Okazało się, że w polu została jedna dziewczynka. Miała na imię Kasia; nie znałam jej bliżej, ale pamiętam, jak matka strasznie płakała i krzyczała, że Kasia przepadła. Parowóz nie mógł wycofać, za to żołnierze pobiegli torami i po pewnym czasie wrócili z zagubioną dziewczynką. Mogliśmy jechać dalej.

Do Giżycka dotarliśmy po tygodniu. Na stacji czekały duże auta i furmanki, a między nimi kręciło się mnóstwo ludzi po cywilnemu i w mundurach. Sprawdzano przyjezdnych i przydzielano im do zasiedlenia dom w konkretnej wsi. Nam powiedziano, że zamieszkamy w Kutach koło Węgorzewa. A cóż to takiego? Wcześniej wiedzieliśmy tylko, że istnieje Gdańsk, Szczecin, Kołobrzeg, inne miasta, ale nic o mniejszych miejscowościach. To był drugi kraniec Polski, całkiem obcy i niepewny. Poniemiecki.

Gdy ciężarówka podjechała pod nasze nowe gospodarstwo, wybaluszyłam oczy. Tak samo mój brat, ojciec i matka. Patrzyliśmy i nie mogliśmy uwierzyć – przed nami stał piękny, murowany budynek mieszkalny, a obok stajnia i stodoła. Wokół rosły drzewa, rozciągała się łąka, dalej zaś pola uprawne. Zrozumieliśmy, że ci, którzy w Szczawnem obiecali nam dobre gospodarstwo, dotrzyмали słowa. Pomyślałam wtedy z wdzięcznością o taty szwagrze, burmistrzu Sanoka.

Dom miał sześć pokoi, kuchnię, spiżarnię, piwnicę. I to wszystko było dla nas, ukraińskich wygnańców z gór. W dodatku przyjechaliśmy do Kut ostatnim transportem. Niemal wszystkie domy były już zajęte, a ten czekał specjalnie na Perunów. Jak się w nim odnaleźć, skoro wcześniej mieszkaliśmy w ciasnej, niskiej chacie?

Wszystko w tym wielkim domu było na swoim miejscu: drzwi, okna, piece. Aż dziw, bo przecież i w Kutach, i w innych wioskach dużo gospodarstw po wysiedleniu Niemców zrujnowano i splądrowano. Nowi osadnicy musieli zakasywać rękawy i ciężko pracować, żeby jakoś się urządzić, a my nie musieliśmy nic. Może tylko posprzątać piwnicę, w której leżały zbędne klamoty, panował ogólny bałagan. Przy porządkowaniu natrafiliśmy na ponemieckie skarby. Może przesadzam, ale jednak rzeczy, których wcześniej nie mieliśmy. Pod cienką warstwą ziemi i desek leżała opakowana w papier i folię zastawa stołowa. Prawdziwa porcelana: talerze, talerzyki, półmiski, filiżanki. Ci Niemcy myśleli zapewne, że jeszcze tu wrócą, i schowali to, czego nie mogli lub nie zdążyli zabrać za Odrę.

Byliśmy w Kutach jedyni z Mokrego i Morochownicy. Kilkanaście kilometrów dalej zamieszkały bodaj dwie znajome

rodziny. Innych powieziono gdzie indziej, zgodnie z zasadą rozpraszania Ukraińców. Dostaliśmy jedenaście hektarów ziemi. Nie jakiś poszatowany grunt, porozrzucany w różnych miejscach, ale w jednym kawałku! I jeszcze blisko szosy, że nie musieliśmy jeździć przez bezdroża. Czy mogło nam się trafić lepiej? Czy ktoś, kto otrzymał więcej, niż sądził w najśmielszych domysłach, mógł na cokolwiek narzekać? Przeklinać wysiedleńczy los, płakać za górami, zabranym gospodarstwem?

W Kutach rządził sołtys rodem z Suwałk, mieszkali osadzeni tu Zabuzanie, my i kilka rodzin niemieckich, które miały wkrótce wyjechać w nieznane. Tymczasem Niemcy gospodarzyli długi czas i tak, jakby mieli zostać. Niby żyli ze świadomością, że podobnie jak ich rodacy będą musieli opuścić rodzinne strony, a jednak ani na chwilę nie przedstawiali solidnie pracować. To byli bardzo porządni ludzie. Kiedy myśmy z początku nic nie mieli, dawali nam kartofle, marchew, inne warzywa, cokolwiek. Przychodzili i pytali, czego potrzebujemy. Obcy, znienawidzeni przez wszystkich Niemcy. W jakimś sensie byli podobni do nas, Ukraińców, którym kłamliwa propaganda co do jednego przyszyła łatę z napisem banderowcy, a im – hitlerowcy. Jednak w Kutach nikt nikogo nie wyzywał, nie opluwał, nie wybijał szyb. Dosłownie nikt.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku kończyłam osiemnaście lat. Ojciec musiał napisać do gminy podanie w jakiejś sprawie, ale że nie umiał po polsku, to poprosił mnie. Nauczyłam się pisać i czytać w języku polskim jeszcze w dzieciństwie. Wujek przywoził mi z Sanoka polskie bajki, opowiadania. Mówił, żebym czytała, bo kiedyś ta umiejętność mi się przyda.

Jak tato przyniósł do urzędu ten papier, to wszyscy zrobili wielkie oczy i zaczęli dopytywać, kto tak ładnie pisze. Wasza córka? Ukrainka? Zdziwili się, ale zaproponowali, żebym odpłatnie pomagała przyjmować meldunki w urzędzie. To było dla mnie wyróżnienie i parę groszy do domu. Wszystko mi pokazali – w której rubryce co mam wpisywać, w jakim porządku. I tak robiłam, choć długo tam nie pracowałam.

Któregoś razu do gminy przyjechał z Giżycka nauczyciel. Poprosił sekretarza, żeby ogłosił zebranie rodziców w sprawie obowiązku szkolnego dzieci. Dodał przy tym, że w liceum w Giżycku wielkie pustki i trzeba uczniów oraz że będą egzaminy, bo – mimo wszystko – muszą sprawdzić wiedzę młodzieży. Przechodząc obok mnie, zatrzymał się i zapytał, co tu robię, a potem przyjrzał się wypełnianym przeze mnie rubrykom w księdze meldunkowej. Kiedy się dowiedział, że jestem Ukrainką z akcji „Wisła”, uśmiechnął się i oznajmił, że szkoła jest dla wszystkich, czy Polaków, czy Ukraińców. Dla wszystkich. To był starszy, elegancki pan. Musiał przenocować w Kutach, ale że u Niemców było niezręcznie, a ci zza Bugu się krępowali, to ostatecznie zanocował u nas. Przygotowaliśmy mu pośłanie na zbitym z desek łóżku wyściełanym słomą. Tak mu się spodobało, że podczas każdej delegacji spał w naszym domu i chwalił robiony przez mamę swojski ser.

Na egzamin pojechałam z koleżanką rodem z Bezmiechowej koło Leska. Po przesiedleniu mieszkała parę kilometrów od nas, w sąsiedniej wsi. Nie miała ukończonej szóstej klasy, lecz kiedy komisja sprawdziła jej wiadomości, uznała, że zasługuje na promocję. Musiałyśmy nadrobić materiał z siódmej klasy, a potem poszłyśmy razem do giżyckiego

liceum. Zamieszkałyśmy w internacie i tylko na niedzielę wracałyśmy do domów.

Żeby nie odstawać od innych, uczyłam się po nocach. Szło mi całkiem nieźle. W małym palcu miałam polski i ukraiński, a niemiecki poznałam trochę jeszcze w Sanoku. Zdałam maturę jak z nut i od ręki dostałam pracę w szkole. W najmłodszych oddziałach. Miałam pod sobą dwadzieścioro pięcioro dzieci, które musiałam nauczyć wszystkiego od podstaw. Nie przełękałam się – znałam swoją wartość, choć kuratorium narzuciło mi do nadzoru doświadczonego pedagoga. Przyjeżdżał raz w miesiącu i sprawdzał, jak sobie radzę. Aż któregoś dnia powiedział, że szkoda jego czasu, gdyż radzę sobie wysmienicie.

Tak mi zeszło z uczeniem dziesięć lat, lecz wcześniej, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku, wyszłam za mąż. Dwudziestojednoletnia młódka poślubiła nieco starszego młodziana z Mokrego. Myśli pan, że wcześniej znałam Teofila Barniaka? Ani-ani. Mieszkaliśmy w tej samej wiosce, chodziliśmy do miejscowej szkoły, klęczeliśmy w jednej cerkwi, a jakbyśmy żyli w odległych od siebie rejonach. Jednak w czasie akcji „Wisła” jego historia potoczyła się inaczej niż moja; inaczej niż setek innych sąsiadów, a nawet Teofila rodziców. Gdy wszyscy szli do stacji w Szczawnem, on akurat był u znajomych w Zagórzu. Mieszkali w szkole i zrobili wszystko, żeby chłopak u nich został. Przyjechał na północ dwa lata później, bo matka i ojciec bardzo za nim tęsknili, a nie mogli go odwiedzić. Wtedy jeszcze istniał dla Ukraińców zakaz podróżowania na południowy wschód. Proszę spojrzeć za siebie, na ten portret nad łóżkiem. Byliśmy młodzi i piękni. Lata już Teofila nie ma, nie ma nawet mojego pierwородnego syna. Mieli odejść wcześniej.

Opowiem jeszcze o Stefanku. Daliśmy mu swoje nazwisko Perun, choć tak naprawdę, z urodzenia, nazywał się Izdebski. I jak szedł do szkoły, na powrót został Izdebskim. On zawsze, nawet kiedy był dorosły, bardzo mi dziękował. Za to, że go w styczniowy mróz przyniosłam na plecach ze spalonej Zawadki Morochowskiej i dałam nowe życie. Ale różnie z nim bywało – zaczął pić, później się ustatkował, ożenił. Pracował w kopalni na Śląsku. Też dawno w grobie.

Bazyli Stołycia:

– Jakie to było perfidne. Wygnać wszystkich, a potem zasiedlić tak, żeby poczuli się całkiem obco. Rozproszyc, pozbawić dawnych więzi, przyjaźni. I jeszcze zakazać zbierania się, choćby przy kieliszku. Bo będziemy knuć. Panie, kurwa, przeciw komu?!

Gdy po latach obejrzałem w telewizji film *Sami swoi*, to my też tak jechaliśmy – w bydlęcym wagonie, na słomie, w niewiadome miejsce. Tylko że na filmie pokazano to śmiesznie, a nam do śmiechu nie było. Istniała zasadnicza różnica między przesiedlonym Polakiem i Ukraińcem. Tego drugiego nie lubiano i się go bano. Na samo słowo: Ukrainiec, wielu reagowało alergicznie.

Wy, Stołycie, pojedziecie do wsi Gutkowo – tak nam powiedziano na stacji końcowej. To niedaleko Olsztyna. Przy dworcu zaprzęgliśmy do fury konia, załadowaliśmy bagaże i w drogę, coś koło dwudziestu kilometrów. Urząd repatriacyjny organizował dowóz, ale woleliśmy skorzystać z własnego. Ze strachu, że nam nasze toboły pokradną. Tylko jakieś grube sprzęty, których nie zmieściliśmy na furmankę, dostarczono państwowym transportem.

Byłem głodny, a już nie mieliśmy nic. Przy jakiejś osadzie tato powiedział, żebyśmy zaszedł do najbliższego domu i poprosił o kawałek chleba. Początkowo miał iść sam, lecz uznał, że dziecku chętniej dadzą, a może po prostu się wstydził? W ogrodzie stała kobieta; zapytałem łamaną polszczyzną, czy da mi coś do zjedzenia. Gdy zrozumiała, że ja nie Polak, od razu mnie z krzykiem przegoniła. Usłyszał to chyba jej mąż. Wyszedł zza domu i do niej: „Dzieciakowi żałujesz?! Przynieś natychmiast!”. Zawołał mnie i sam odkroił pół bochenka.

Podobno przed nasiedleniem Ukraińców na Ziemiach Odzyskanych władze gmin zwoływały zebrania. Urzędnicy i ubecy radzili Polakom, też nowym osadnikom, żeby mieli na nas oko, bo jesteśmy elementem podejrzanym. Że wśród nas na pewno będą też partyzanci UPA, których wcześniej nie wykryto przy wysiedleniach i w transportach. Jeśli w ten sposób nami straszono, to co się dziwić, że potem rzeczywistość część osadników nam nie ufała? Ludzie się izolowali, nie chcieli z nami się bratać. Ale byli i tacy, choć zrazu nieliczni, którzy w bujdy rozprowadane przez władze nie wierzyli. Kiedyś ktoś we wsi wypuścił plotkę, że Ukraińcy przemycili broń i będą do Polaków strzelać. Da pan wiarę, że niektórzy barykadowali się przed nami w chałupach?

Potrzebny był czas, żebyśmy się wzajemnie do siebie przekonali. Bo my, Ukraińcy, też zbyt pochopnie ocenialiśmy naszych nowych sąsiadów. Nie znaliśmy ich, a od razu nazywaliśmy ich zapiekłymi wrogami. Pewnie, że się tacy w Gutkowie trafiali, ale żeby wszyscy? To byłoby kłamstwo.

Ewa Stołycia:

– Tych, co jechali w Szczecińskie, straszono, że zginą w Bałtyku. A tych, których wieziono w Olsztyńskie, że

w jeziorach. Kto straszyl? A Polacy, zwykli cywile, żołnierze raczej nie. Oni nawet nam współczuli, może nie wszyscy, ale jednak. Już tam, we wsi Jelenino pod Szczecinkiem, spotkaliśmy takich, którzy byli gotowi oddać nam ostatnią koszulę i podzielić się ostatnim kartoflem. Prawdziwych chrześcijan. Oraz takich, którzy nie zawahaliby się rzucić na nas z pięściami. Pobić, zlinczować. Tylko że wojskowi nie dopuszczali do awantur.

Plakałam za Krywem, za naszym domem nad Sanem, jednak najbardziej za starszym bratem. Tym, który rok wcześniej ukrył się przed żołnierzami w gnojowniku, a potem z ojcem siedział w kopule cerkwi. Miał ledwie osiemnaście lat, gdy go zaaresztowali. Było tak: któregoś dnia jemu i kilkunastu innym kazano jechać do Leska wyrobić dowody. Wsiedli na fury i pojechali. I już nie wrócili. Najpierw Wasyl siedział w areszcie w Sanoku, a potem wysłali go do Jaworzna. Za co? Ani udowodnionej winy, ani sądu, ale powiedzieli, że pomagał banderowcom, to teraz odpokutuje. My w rodzinie nie długo nie wiedzieliśmy, jakby się Wasyl zapadł pod ziemię. Strasznie to przeżyliśmy, bo w życiu najgorsza jest niepewność.

Zostawiliśmy na cmentarzach bliskich. Nie było dnia, żeby o tym nie myśleć. W Krywem cmentarz był zaraz przy cerkwi, często ludzie tam zachodzili na krótkie *Zdrowaś Mario*. Groby ziemne i kamienne, krzyże drewniane i żeliwne. Baliśmy się, że ktoś je zniszczy, powywraca. I że nikt naszym nie zapali świeczki.

Ktoś powie, że tylko się skarżę. Ale nas pozbawiono wszystkiego, co najdroższe, najważniejsze: rodzinnej ziemi, domu, świątyni. Niedaleko naszej nowej wsi była wprawdzie cerkiew, ale prawosławna. My, unicy, nie chodziliśmy

do niej, z czasem zaczęliśmy się modlić w kościele. Wtedy przez długi czas było tak, że w Szczecinku najpierw odprawiano mszę dla wiernych rzymskokatolickich, a później dla grekokatolików. Tylko że mało kto się spowiadał, bo nie znał polskiego.

Paulina Smarkucka:

– Osiem dni. Tyle trwała moja mordęga w drodze na Ziemię Odzyskaną. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że coś takiego istnieje. Jak się ma dwanaście lat, to człowieka takie sprawy nie interesują. Wiem, że panował strach. Cisnęliśmy się w zamkniętych, cuchnących mieszanką potu, moczu i fekaliiów wagonach towarowych, a jak pociąg się zatrzymywał i wagony otwierano, myśleliśmy, że nas będą rozstrzeliwać. Ustawiać rzędami i pruć seriami. To było o tyle dziwne, że żołnierze obchodzili się z nami bardzo dobrze. Dbali o nasze wyżywienie, dopytywali, czy najmłodsze dzieci czują się dobrze, czy które nie chore, nie potrzebuje pomocy. Lecz jednocześnie nie mówili, jak długo będziemy jechać i dokąd. Brak informacji kumulował w ludziach lęk.

Stacja Karlino, miasteczko nieopodal Białogardu. Stały już podwozy, ciężarówki, ale część ludzi pojechała do miejsc osiedlenia wąskotorówką. Z mamą, siostrą i bratem trafiłam do wioski Rymań. Tato w tym czasie siedział w obozie w Jaworznie, jednak o tym, gdzie jest, dowiedzieliśmy się znacznie później.

„To jest wasz dom” – wskazał palcem jakiś cywil i zaraz się zabrał. Dom był nieduży, ale ładny, z ogrodem. Potem ogłoszono, że możemy wziąć pod uprawę tyle ziemi ile dusza zapagnie. Tylko kto miał na tych gruntach robić? Ostatecznie wzięliśmy sześć hektarów, tak w sam raz.

Rymań dawniej był niemiecki, a w czterdziestym siódmym zrobił się polsko-ukraiński. Dużo ludzi z Lubelskiego, z Rzeszowskiego, skądś jeszcze. I bardzo szybko się porozumieliśmy, nikt nikomu nie skakał do oczu. Jak gdyby ludzie rozumieli, że tylko dzięki wzajemnemu wsparciu zaczniemy godnie żyć.

Dzieciństwa nie zaznałam. Nawet do szkoły nie poszłam, tylko próbowałam uczyć się w domu. Poszła siostra, ja zaś pomagałam mamie w gospodarstwie. Tylko że po pewnym czasie zapadłam na zdrowiu. Zaczęłam kaszleć, ciężko oddychać. Myślałam, że to przeziębienie, jakiś rodzaj grypy. Lekarz mnie zbadał i wyjaśnił, że nadmorskie powietrze nie dla mnie i jeśli nie wyjadę na południe, astma mnie wykończy.

Antoni Tymcio:

– Z podróży na północ i pierwszych miesięcy w nowym miejscu nic nie pamiętam. Byłem za mały. Ale tak od piątego roku to już mi coś w głowie zostało. Osiedliśmy w Gronowie koło Lidzbarka Warmińskiego. Kobięcie samej z dziećmi, bez męża, zawsze trudniej i wiatr w oczy. Opowiedziała mi kiedyś, jak jechaliśmy odkrytym zisem ze stacji kolejowej. W którymś momencie brat zanadto wychylił się za burtę i wypadł. Rąbnął głową o bruk i już nigdy nie był taki jak przedtem. Zrobił się wolniejszy, często nie nadążał za tym, co inni mówią. Takie nas na początek spotkało nieszczęście.

Przybyliśmy do Gronowa w czasie, gdy większość gospodarstw była zajęta. Przydzielono nam chałupę pod słomą, chyba jeszcze gorszą, niż mieliśmy w Studennem. Ale mama była twarda; nie poddała się, tylko zakasała rękawy i wzięła

się do roboty. Państwo dało ziemię, mieliśmy krowy i byka. Ten byk osiłek okazał się największym dobrem. Chodził w kieracie i wszyscy sąsiedzi go od nas pożyczali. Za odpłatą.

Ojca wypuścili z więzienia w pięćdziesiątym czwartym. Długo nas szukał... Stał w progu w tym samym baraním lejniku, w którym go siedem lat wcześniej zabrano. Ale wewnętrznie to już nie był ten sam człowiek.

Anna Sokołowska:

– Pociąg ruszył, a potem kilka razy stawał. Wojskowi rozdawali zupę, chleb i mleko w puszkach. Pocieszałi, że nie ma powodu do rozpacz. I że wkrótce zacznie się dla nas dobre życie. Zanim dotarliśmy na stację docelową, minął miesiąc. Tyle czasu podróżowaliśmy do Szczecinka. Toż w miesiąc można by przejechać Europę, a nie kilkaset kilometrów.

Na miejscu pytano przesiedlonych, kto chce pracować na swoim gruncie, a kto w pegeerze. Tato uznał, że pójdzie do pegeeru. Gdyby miał konia, pewnie postąpiłby inaczej. Ale nie miał. Dostaliśmy przydział do trzyrodzinnego pegeerowskiego budynku w wiosce Węgorzewo. Przetransportował nas tam traktor i to była dla mnie fajna przejażdżka. W pobliżu mieszkali jeszcze Niemcy, lecz rychło wyjechali i już wokół zostali tylko Ukraińcy oraz Polacy. Sama nie doznałam od nikogo przykrości, chociaż jednego razu pewien chuligan wybił nam wszystkie szyby w oknach. Wyzywał od skurwysyńskich Ukraińców. Na to nadjechał dyrektor pegeeru i przegonił durnia.

Mój ojciec i brat byli bardzo szanowani w pracy, ten drugi powoził nawet dyrektorską bryczką. Nie mogliśmy narzekać; dzieciaki zapisano do szkoły, mali Ukraińcy zaprzyjaźnili się z małymi Polakami. Szybko poznałam polskie

literę, pomogła mi starsza siostra. I szybko dorosłam, bo taka była potrzeba.

Na męża wybrałam Polaka, nauczyciela. Nie miałam uprzedzeń i on też ich nie miał. My byliśmy już z innego pokolenia, które wprawdzie doświadczyło wojny, ale nie miało bezpośredniego udziału w polsko-ukraińskich waśniach. Te kwestie były poza nami, chcieliśmy patrzeć w przyszłość.

Zofia Dudyńska:

– Trzebiatów był w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku strasznie zaniedbanym miastem, lecz jednak miastem. Nas, z małej drewnianej wioski, nagle rzucono między kamienice i ulice. Również kilka innych rodzin z Kostrynia i okolic, z Trzciańca, ale też ludzi ze wschodniej Polski.

Najpierw kwaterowaliśmy w starych garażach, w prowizorycznych warunkach. Później przeniesiono nas do budynku, w którym do niedawna mieścił się niemiecki browar. W piwnicy leżały beczki na piwo, ale puste, bo mężczyźni sprawdzili. W pobliżu stała mleczarnia, szybko ją uruchomiono i doposażono w sprzęt.

Byłam u progu dorosłości, więc wkrótce poszłam do pracy w fabryce tapczanów. Robiłam parciane pasy, którymi wzmacniano spód kanapy. Nawet sobie chwaliłam, miałam pieniądze i mogłam też pomóc rodzinie. Bo przez pierwsze miesiące to moi bliscy najmowali się do roboty u innych gospodarzy, już dłużej zasiedziały. Nie mieliśmy jeszcze swojego pola, dlatego pod koniec maja wydzierżawiliśmy kawałek od sąsiada, żeby chociaż posadzić ziemniaki. Aż się niektórzy dziwili, skąd u nas taka determinacja. Że nie idziemy do urzędów po prośbie, tylko sami się staramy. A u nas to było naturalne, wszyscy od dziecka ciężko pracowaliśmy.

Polubiłam miasto. Sklepy, cukiernie, kino. Poznałam nowe koleżanki, kawalerów. Z roku na rok Trzebiatów się zmieniał na korzyść, a ja zmieniałam się z panny wiejskiej w miejską. Polubiłam też morze; w wolne dni spędzałam na plaży dużo czasu. Niekiedy tęskniłam za górami, ale to nie była tęsknota burzliwa, która rozrywała serce. Raczej cicha i spokojna, związana z przypominaniem sobie miłych chwil. Te gorsze jakoś wyparłam.

Jarosław Andruch:

– Skład dojechał do Poznania po pięciu dniach z przystankami. Nazajutrz wieczorem powieziono nas do Sokółska koło Strzelec Krajeńskich. Do jednej wsi kierowano najwyżej po dwie, trzy rodziny ukraińskie. Zamieszkaliśmy w opuszczonym pałacu niemieckiego ziemianina, kompletnie zrujnowanym przez Sowietów i do cna rozszabrowanym. Sufity i ściany, to wszystko. Koczowaliśmy w nim trzy tygodnie. Starsze siostry najmowały się do pracy w pobliskich gospodarstwach, bo wypadły akurat żniwa, a ja pasąłem krowy. Dzięki temu mieliśmy jedzenie, ale byliśmy prawie pozbawieni swoich mebli, sprzętów, narzędzi. I chodziliśmy w jednym odzieniu, bo brakowało na zmianę.

W Sokółsku i okolicy mieszkali jeszcze Niemcy. Mieli być wkrótce wywiezieni za Odrę. I rzeczywiście pewnego dnia wyjechali, a my, Ukraińcy, zajęliśmy lokale po nich. Moja rodzina dostała przydział w bloku rolniczym w Bobrówku. Tam już zostaliśmy. Każdego dnia wyglądaliśmy z okna na drogę, czy nie idzie nasza Olga. Odkąd w Oświęcimiu wojskowi wzięli ją z pociągu, wszelki słuch o niej zaginął.

Rozdział IX

Kopiec na niczyją cześć

23 kwietnia 1947 roku, pięć dni przed rozpoczęciem akcji „Wisła”, Biuro Polityczne KC PPR zdecydowało o utworzeniu na terenie Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie na Śląsku – dawnej filii Auschwitz – podoboju dla Ukraińców. Ale o potrzebie takiego miejsca informowali przełożonych już 30 marca – dwa dni po śmierci generała Karola Świerczewskiego – członkowie Wojewódzkiego Komitetu Bezpieczeństwa w Rzeszowie. „Uznali, że oprócz wysiedlenia ludności ukraińskiej i rodzin mieszanych polsko-ukraińskich, wprowadzenia sądów doraźnych, zniszczenia w wysiedlonych wioskach wszystkiego, co mogłoby być przydatne UPA, »wzmocnienia kolonizacji« terenów poukraińskich, konieczne jest również wprowadzenie obozów koncentracyjnych dla tych Ukraińców, którym zostanie dowiedziona wroga dla państwa działalność” – pisze Eugeniusz Misilo w książce *Akcja „Wisła” 1947*.

Później dodaje: „O wyborze Jaworzna na miejsce uwięzienia Ukraińców zdecydowało w głównej mierze bezpośrednie sąsiedztwo Oświęcimia, pełniącego w czasie Akcji »Wisła«

funkcję jednego z dwóch głównych punktów rozdzielczych transportów z deportowaną ludnością ukraińską”.

9 maja 1947 roku do Jaworzna przybył pierwszy transport z szesnastoma więźniami. Byli nimi Ukraińcy spod Leska i Sanoka oskarżeni o współpracę z UPA. Pod numerem jeden w księdze obozowej zapisano Marię Baran. Po niej do COP trafią jeszcze osiemset dwadzieścia dwie kobiety. Za murami obozu zostanie zamkniętych prawie cztery tysiące Ukraińców, w tym ci, którzy wpadną w ręce ORMO i MO po nielegalnych powrotach w góry. Także dwudziestu jeden nauczycieli, dwudziestu dwóch księży greckokatolickich i pięciu prawosławnych. Sto sześćdziesiąt dwie osoby nie przeżyją chorób, tortur i pracy ponad siły. Wielu zwolnionych nigdy nie odzyska zdrowia, a niektórzy oszaleją.

Jana Smarkuckiego zabrano z domu w Romanowej Woli. Sześć lat wcześniej wyruszył z rodzinnej wsi na przymusowe roboty do Niemiec. Pracował niewolniczo w Hamburgu do chwili, gdy miasto opanowali Anglicy. Ale zanim znowu zobaczył Bieszczady, minęły jeszcze niemal dwa lata. Jan Smarkucki wracał do Polski na piechotę. Przeszedł całe Niemcy, czasami tylko o parę kilometrów podwoziła go przygodna furmanka lub ciężarówka. Zatrzymywał się w wioskach i miasteczkach, gdzie za kartofle z mlekiem najmował się do prostych zajęć. Pomagał w gospodarstwach, w zakładach rzemieślniczych. Gdzie akurat się zdarzyło. Sypiał w stodołach, w rowach, zimą kątem u poznanych ludzi. Byli przecież i dobrzy Niemcy.

– Gdy w końcu zobaczyłem Romanową Wolę, aż mi się nogi ugięły – opowiada. – To jest takie uczucie, że człowiek chce, a nie może dalej zrobić kroku. Dopada go zupełna fizyczna niemoc i tylko mózg funkcjonuje sprawnie.

Siły wróciły mu nazajutrz. Miał dopiero dwadzieścia trzy lata, szybko się zregenerował. W wiosce opowiadano o rzeźbach, które wydały mu się niepojęte. Że Polacy aresztują Ukraińców, biją, oskarżają o największe zbrodnie. I że nie-dobrze być teraz Ukraińcem.

Co się miał bać, on, przymusowy robotnik w Rzeszy. Czy komuś tutaj, na polskich rubieżach, choćby nadepnął na odcisk, powiedział podle słowo?

Wspomina:

– Ogoliłem się, zjadłem jajecznicę i poszedłem na milicję w Ropience załatwić meldunek. Taki był obowiązek. Za biurkiem siedział jakiś oficer; spojrzał na mnie, spisał dane, a potem kazał poczekać i zamknął za sobą drzwi. Wrócił po kwadransie z obstawą. Dwóch wzięło mnie pod ręce, trzeci założył kajdanki. Byłem tak zaskoczony, że nie wydukałem słowa. Dopiero po chwili zapytałem, dlaczego mnie zamykają. Już w korytarzu doleciał mnie głos oficera: „Bo jesteś bandytą”.

Zawieźli mnie na plebanię w Wańkowej. W piwnicy siedział już paru mężczyzn, żadnego z nich nie znałem. Po dobie na gołej ziemi przerzucono nas autem do Urzędu Bezpieczeństwa w Lesku, a stamtąd po krótkim przesłuchaniu do aresztu w Sanoku. Dopiero tam zaczęło się prawdziwe maglowanie: o pseudonimy członków UPA, o lokalizację bunkrów, o siatkę cywilną w rejonie. Moje odpowiedzi, że nie mam o tych sprawach pojęcia, wzbudzały u śledczego wściekłość. Wrzeszczał, że jeśli nie zacznę gadać, odwróci stół i wsadzi mi go w dupę.

W ciasnych celach upchali od kilkunastu do kilkudziesięciu aresztantów. Już pierwszej nocy strażnik ponownie wezwał mnie na przesłuchanie. Żebym się przestraszył, pokazał

mi puste pomieszczenie, gdzie podłoga i ściany zbryzgane były krwią. A potem inne, w którym podłoga wysypana była gruzem. Więźniowie chodzili na kolanach, a strażnicy stali nad nimi z nahajami i walili przez plecy, jeśli któryś się zatrzymał. Jednym uderzeniem bat przecinał skórę.

Od nazistów nie oberwałem tyle, co od ubeków. Tłukli mnie po głowie pięściami, gumową pałką; kopali, stawiali pod lodowatą wodą. I tak przez dwa tygodnie. Któregoś dnia wszystkich osadzonych załadowano na ciężarówkę i powieziono na stację kolejową. Przy torach kłębił się tłum, ryczały zwierzęta, panował tłok i zamieszanie. Podjechały wagony towarowe, wsiedliśmy, a żołnierze zamknęli od zewnątrz zasuwy. Nie dostaliśmy ani jedzenia, ani picia. Zanim dostarliśmy do celu, pociąg zatrzymał się tylko raz. Wtedy dostarczono nam wodę, lecz zakazano wychodzić z wagonów. Inni mogli, ale oni nie byli więźniami.

Szczakowa – taki napis zobaczyłem na dworcu. Nic mi nie mówił, za to dużo zrozumiałem po zachowaniu ludzi, którzy stali przy torach. Ktoś rzucił w naszym kierunku kamień, potem posypały się następne. Oberwałem tylko raz, inni mieli mniej szczęścia. Gdyby nie konwojenci, rozjuszona grupka by nas ukamienowała. Żołnierze uratowali nam życie.

Na stacji zostaliśmy odseparowani od pozostałych z transportu i poprowadzeni w nieznane. Weszliśmy przez bramę na obszerny plac. Wokół stały długie baraki. Byliśmy w obozie.

Padł rozkaz: „Wszyscy do łaźni!”. Kazano nam się rozebrać do naga i stanąć twarzą do ściany. Po kolei każdy z więźniów otrzymywał cios w głowę, tak silny, że upadał. Potem lali na nas wodę – na zmianę lodowatą i gorącą. Na koniec fryzjer ogolił wszystkich do gołej skóry.

W każdym baraku kwaterowało od stu do stu pięćdziesięciu więźniów rozlokowanych na piętrowych pryczach. Nie dawano materacy ani poduszek. Za poślanie służyły trzy poprzeczne deski: jedna pod głowę, druga pod plecy, trzecia pod nogi. Do przykrycia brudny koc albo i nic.

Dla każdego łyżka i miska. Oraz numer. Nie tatuowano go więźniom jak w obozach hitlerowskich, ale oznaczał utratę człowieczeństwa. Osadzony stawał się zapisem w rubryce i według numeru wywoływany był do pracy lub na przesłuchanie. Nie miał już imienia, nazwiska.

Bito regularnie i wymyślnie. Strażnicy z barakowej inspekcji wybierali kilku osadzonych, kazali im się kłaść na podłodze, a innym więźniom łać ich deskami wyciągniętymi z prycz. Czasami zadowalali się dziesięcioma uderzeniami, innym razem i dwadzieścia nie wystarczało. Potem taki pobity przez tygodnie lizał rany, ale z pracy go nie zwalniano.

Czystość sprawdzano w barakach nawet kilka razy dziennie. Zaczynano od łyżki i miski. Jeżeli się nie błyszczały, więzień dostawał pałką przez grzbiet. Tak samo za niedoczyszczone, zdaniem personelu, buty. Oglądano dokładnie każdy kąt baraku. W szpary między deskami wkładano kawałek papieru; jeśli po wyjęciu znajdowano na nim kurz, ktoś musiał oberwać. Najczęściej więzień, który stał najbliżej.

Ciągle chciało nam się jeść, ale równie mocno – palić. Głód nikotynowy był straszny. Strażnicy palili, rzucali niedopałki na ziemię, ale więźniowi za podniesienie niedopałka groziły najcięższe kary: polewanie lodowatą wodą, bieganie z workiem wypełnionym kamieniami. Strach przed taką karą skutecznie paraliżował, a jednak niektórzy ryzykowali. Jeśli komuś się udało, zyskiwał chwilę szczęścia. Mógł w ukryciu zaciągnąć się dymem.

Dziennie dostawaliśmy trzy posiłki. Rano kromka czarnego chleba z lurowatą kawą, na obiad zupa o smaku gnijących warzyw, ale bez warzyw, wieczorem zaś znowu czarny chleb. Był lepki i kwaśny, lecz miał najwyższą wartość w całym obozie. Zdarzało się, że jeden osadzony wyrwał kromkę drugiemu i natychmiast pchał do ust, a ten drugi w tym czasie kopał go po całym ciele. Ze złości i z bezsilności. Kto miał chleb, zyskiwał większe szanse na przetrwanie. Walka toczyła się nieraz również o znalezioną na placu łupinę z ziemniaka. A byli więźniowie, którzy kawałkiem znalezionej szkła strugali patyki i jedli te obierki. Jedli też kwiatki, zioła, jakąś trawę. Wszystko, co pozwalało nasycić żołądek. Jednak ludzie posuwali się niekiedy do podłości. Za dodatkową rację żywnościową niektórzy donosili na innych osadzonych.

Najgorsze były „brygady rozrywkowe”, złożone ze strażników i wysługujących się im więźniów. Lubowali się na przykład w sprawdzaniu czystości nóg. Wybierali kilkunastu i pędzili do łaźni. Tam kazano im szorować nogi, a później do baraków znowu pędzono przez błoto albo kurz. I już na miejscu bito ich za to, że się dokładnie nie umyli...

Inną „rozrywką” była jazda na rowerze z przeszkodami. Polegała na tym, że kładziono wybranego więźnia na ziemi i przejeżdżano przez niego rowerem. Jeśli nadzorca się przewrócił, „przeszkoda” dostawała wyznaczoną liczbę razów batem. Też mnie to spotkało, naliczyłem piętnaście uderzeń.

Co pewien czas przywożono do obozu nowych zatrzymanych. Wszystkich nazywano bandytami, mordercami. Oskarżano, że zabijali Polaków. Może i wśród nich tacy byli, ale jeśli nawet – to jednostki. Przywożono mężczyzn, kobiety, czasami też dzieci. Miały cierpieć razem z rodzicami, a może

to były sieroty? Lecz skoro banderowskie, jak mówili żołnierze, to niewarte współczucia. Skazane na zapomnienie.

Kobiety siedziały w osobnych barakach, odgródzone od męskiej części drutem kolczastym. Widywałem je, kiedy chodziły codziennie rano w kolumnie do pracy. Wcześniej zbierały się na apelu, podobnie jak mężczyźni. Apele trwały w zależności od kaprysu personelu – od parunastu minut do kilku godzin. Słabsi nierzadko nie wytrzymywali i upadali. To dotyczyło zwłaszcza osób starszych bądź też wcześniej skatowanych za rzekome przewinienie. A przewinieniem mogło być już to, że ktoś stał niewystarczająco prosto.

Pracowaliśmy przy noszeniu piasku i usypywaniu z niego góry. Mieliśmy zbudować piaskowy kopiec na niczyją cześć, nikomu niepotrzebny. Ot tak, dla samego zbudowania. Każdy ruch wykonywaliśmy na komendę: „Ładuj! Nosilki weź! Naprzód marsz!”. I tak w kółko, od rana do wieczora. Kto się ociągał, odstawiano go na bok i musiał wokół tej góry skakać żabką. Albo się czołgać. Na najbardziej niepokornych czekał karcer – małe, ciemne pomieszczenie, w którym więzień stał w wodzie po pas. Nie wszystkich wyciągano stamtąd żywych, niektórzy mieli obgryzione przez szczury palce u nóg.

Utrata sił wpływała na psychikę. Ja też miałem chwilę słabości, nawet załamania. Pomógł mi wtedy sąsiad z baraku. Wydawał się silny, nie do zdarcia, a trzy miesiące później nie żył. Padł na tej hałdzie piachu.

Z początkiem stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku, po dziewięciu miesiącach w Jaworznie, wyszedłem na wolność. Przedtem podsunęto mi kartkę z informacją, że nigdy nikomu nie ujawnię, co widziałem w obozie. Pod treścią było miejsce na podpis. Podpisałem.

W Bieszczady nie miałem powrotu. Zanim odnalazłem wywiezioną na Pomorze rodzinę, minęły miesiące.

– W COP w Jaworznie zamknięto moją siostrę i ojca – opowiada Jarosław Andruch. – Obydwoje przeżyli, ale nigdy nie odzyskali pełnej równowagi.

Zacznę od początku: przede wszystkim nikt z nas, krewnych i najbliższych, nie wiedział, gdzie ich wywieziono. Czy są w jakimś więzieniu, czy może już nie żyją? Coś takiego jak obóz w powojennej Polsce oficjalnie nie istniało. Obozy były w czasie wojny i założyli je hitlerowcy. To wiedzieli wszyscy, dlatego gdy po pewnym czasie wyszło na jaw, że polski rząd stworzył obóz karny dla Ukraińców, przeżyliśmy wstrząs. Takie miejsce kojarzyło się z upodleniem, katowaniem i śmiercią.

Pewnie jeszcze długo nie wiedzielibyśmy z mamą o Jaworznie, gdyby nie przypadek. W Bobrówku, gdzie nas osiedlono, zamieszkała też pewna kobieta z Ropienki. Bez męża, którego – podobnie jak moją siostrę – wywleczono z pociągu w Oświęcimiu i poprowadzono w nieznanym kierunku. Chyba jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku dostała list. Był zaadresowany jeszcze na adres bieszczadzki i dopiero stamtąd dosłany przez kogoś do Bobrówka. List napisał Żyd, dawny sąsiad kobiety i właściciel sklepu. Niemcy w czasie wojny wymordowali mu całą rodzinę, a jemu udało się zbiec do lasu. Potem dzięki pomocy różnych ludzi przedostał się do USA. W liście opisał swój los, więc ona, jego dobra znajoma, także mu się zwierzyła. Po jakimś czasie dostała kolejny list, w którym nadawca pisał, żeby pojechała do Krakowa i odnalazła prokuratora (podał imię i nazwisko), od którego dowie się o mężu. Tak

też zrobiła, a dwa dni później stanęła na ulicy w Jaworznie. Nie mogła wejść za bramę obozu, jednak miała pewność, że jej ślubny jest za tymi drutami.

Od tego czasu również i my, Andruchowie, byliśmy niemal pewni, że ojciec i siostra siedzą w Jaworznie. Zaczęliśmy wysyłać dla nich paczki. Jedna po drugiej. Skoro żadnej nie zwrócono, uznaliśmy, że do nich dotarły, a oni żyją. Mama piekła chleb, potem kroїła go w połowie i wkładała do środka masło. Następnie znowu trochę zapiekała, żeby zasłonić miejsce po nożu... Gdzieś w tym samym czasie sprawą wojennych obozów zainteresowała się ONZ.

Dwudziestego pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku moja siostra Maria Bulwan urodziła w obozie syna. Trochę za wcześnie, więc nikt nie dawał mu szans. Wszędobylski brud, pchły, wszy i niedożywienie matki nie sprzyjały niemowlakowi, lecz jakby na przekór wszystkiemu – przeżył. Niespełna trzy miesiące później Marię zwolniono z obozu.

Odnalazła nas na podstawie karty przesiedleńczej, o której ktoś jej powiedział. Do Strzelec Krajeńskich przyjechała pociągiem, ale już stamtąd szła do nas piętnaście kilometrów. Z dzieciakiem zawiniętym w koc, w lutowy mróz. I ubrana jak na wiosnę, bo nic innego nie miała. Jej mąż był w tym czasie na drugim krańcu Polski, bez świadomości, gdzie jest jego żona i pierworodny syn, o którym nie miał pojęcia.

Długo nie mówiła o Jaworznie. W pamięci Marii to nie było miasto, lecz wyłącznie obóz. Ponizienie, głód, zimno. I maltretowanie. Kiedyś się przede mną otworzyła, choć tylko na chwilę. Opowiedziała o wrywaniu włosów, o marszobiegach z rękami wyciągniętymi przed siebie, o dźwiganiu

kamieni i cegieł mimo zaawansowanej ciąży, o długotrwałych stójkach na placu przed barakami: w deszcz i spiekotę. Ale najgorsze, mówiła, było znęcanie się psychiczne. Ukraińca chciano odczłowieczyć, więc nazywano go rezunem albo ukraińskim gównem. A kobietę – ukraińską kurwą. Tak jak Niemcy określali często Polaków mianem *polnische Schweine*^{*}, tak polscy strażnicy obozowi sprowadzali Ukraińców i Ukrainki do miana bandytów i kurew.

Więźniów Jaworzna zaszczuwano – i oni długo czuli się zaszczeni. Bali się wspominać, oskarżać za doznane krzywdy obozowych oprawców. Nawet upominać się o odszkodowanie. Dopiero po latach, ale też nie wszyscy. Setki byłych więźniów chciały tylko jednego – wyprzeć z pamięci traumatyczne doświadczenie. Chyba nikomu się nie udało.

Z samej Ropienki w COP w Jaworznie osadzono pięćdziesiąt siedem osób. Większość bez sądu i udowodnionej winy. Wszystkich jako współpracowników UPA.

Rok po opuszczeniu obozu Maria spotkała się z mężem. Pomógł znajomy major Wojska Polskiego. Osobiście zawiózł ją z małym Władkiem do Ropienki. Odtąd byli już razem, choć siostra wróciła w Bieszczady nielegalnie.

Wasył Mastyla trafił do obozu po czterech tygodniach spędzonych w piwnicy aresztu w Sanoku. Razem z nim w czerwcu 1947 roku za druty wsadzono więcej takich jak on nastolatków, którym na śledztwie powiedziano, że występowali się banderowcom.

– Czy mogłem się obronić? A w jaki sposób? Tłumaczyłem, że nie chodziłem do lasu, nie nosiłem jedzenia i listów.

^{*} Polskich świń (niem.).

A oni: „Tak, nie chodziłeś, tylko biegałeś. Ile razy, kiedy, dokąd?”.

Przestuchiwał mnie wysoki blondyn w mundurze. Rękę miał jak szufla. Jego bałem się najbardziej, bo gdy uderzył, to człowiek spadał z krzesła. Ale to było nic w porównaniu z mękami w Jaworznie. Patrz pan na moją nogę. Ten ślad został po tym, jak mnie porazili prądem. Podobny mam na głowie. Wciąż pytali o to samo: „Jakiej bandzie pomagałeś? Podaj nazwiska, pseudonimy. Gdzie mieli kryjówki?”. Codzienne maglowanie i codzienne lanie. Dwa zęby mi wybili, tłukli po nerkach. Sikałem krwią.

Byli ludzie, którzy przyznawali się do związków z UPA, choć nie w pełni świadomie. Pobici, skatowani, zastraszeni. I byli ludzie, którzy w istocie współpracowali z banderowcami. W dzień orali, kosili, a po zmroku znikali w lesie.

Po dziewięciu miesiącach w zamknięciu ważyłem czterdzieści kilogramów. Minęły jeszcze dwa lata, zanim trochę fizycznie okrzeplem. Lecz rany wewnętrzne się nie zagoiły.

O Jaworznie długie lata nikt publicznie nie mówił. Dawni więźniowie się bali, inteligencja ukraińska nie miała dostępu do polskich mediów, a władze PRL skutecznie blokowały wszelkie próby przypominania o niechlubnej karcie w historii kraju. Coś drgnęło dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Upadek bloku komunistycznego w Europie Środkowo-Wschodniej, transformacja ustrojowa i odzyskanie przez Ukrainę niepodległości stworzyły grunt do rozmów i odkrywania ciemnych wydarzeń z przeszłych dekad. Elity polityczne demokratycznej Polski zaangażowały się w dialog z Ukraińcami, ci zaś mogli wreszcie bardziej otwarcie opowiadać o swoich problemach. Jaworzno było jedną z wielu

kwestii nurtujących mniejszość ukraińską w Polsce, ale z pewnością czołową, bo dotyczącą śmierci i cierpienia.

Kilka lat po upadku PRL Telewizja Kraków wyemitowała w programie *U siebie* film dokumentalny poświęcony więźniom Jaworzna. Opowiadają w nim o swoich obozowych doświadczeniach. Czasami jednym tchem, innym razem z przerwami. Nie dlatego, że próbują sobie przypomnieć szczegóły (te wryły się w pamięć dostatecznie silnie i wyraźnie), lecz z powodu ściśniętego gardła. Chcesz coś powiedzieć, a gardło nie pozwala. Jakby ktoś zawiązał na nim pętlę. Słowa grzęzną jedno po drugim i nie mogą wydostać się na zewnątrz. Niekiedy trzeba poczekać dłuższą chwilę albo i przełożyć rozmowę na następny dzień. Ale w końcu się udaje.

Relacja pierwsza. „Kiedy nas już wszystkich zebrali, przyszedł taki starszy blokowy i powiedział, że nie będą nas tutaj trzymali bez pracy, że wszyscy muszą pracować, że nie będziemy jeść polskiego chleba za darmo. Jedna pani – nie wiem, kim ona była – miała taką aksamitną, ciemnobłękitną sukienkę i przypięty sztuczny kwiat (...). Ona powiedziała: »A bo my jemy polski chleb? My jemy chleb ukraiński«. To były jej słowa. Blokowy tylko spojrzał i wyszedł. Potem przyszło takich dwóch. Zabrali ją z baraku – nie wiem dokąd. Przyprowadzili ją mocno zbitą. Później codziennie musiała klęczeć przed barakiem. Dawali jej dwie cegły do rąk. Ręce trzymała do góry. Stała nad nią blokowa i kiedy jej ręce opadały, to ona ją biła (...). Nie pamiętam, jak długo to trwało. Ona nie wytrzymała i poszła na druty elektryczne”.

Relacja druga. „Ustawili nas w trzech rzędach. »Wszyscy siadać!«. W taki sposób: ręce na głowę i tak trzeba było skakać (pokazuje). To się nazywa żabki, bo żaba tak skacze,

ale można w ten sposób dwa, trzy metry, nie więcej, a tam trzeba było iść taką żabką dookoła długiego baraku. A do tego postawiono po dwóch żołnierzy. Nie, nie, przepraszam, nie żołnierzy. To byli z naszych ludzi. Tacy, którzy dostawali dodatkową porcję jedzenia. Tu dwóch, tam dwóch i po drugiej stronie dwóch. I tak skakaliśmy, a wkrótce każdy dostawał nahajem (...). Chcę jeszcze dodać, że wszyscy mieli być bez koszul. Nie wolno było mieć koszul. Z gołą głową i bez koszul. Niektórzy bili bardzo mocno, a inni tylko udawali, że biją”.

Relacja trzecia. „W szpitalu urodziłam sama, bez pomocy. Bóg dał, że się urodził tak, jakby kto splunął (...). Zapłakał. Wstałam, usiadłam, ale czym pępek zawiązać? Nie ma nikogo. Przy spódnicy miałam taką ładną przepaskę, rozprułam kawałek, wyciągnęłam nitkę, owinęłam nią pępownię i ode-rwałam (...). A on leży goły. Zapłakał. Wtedy przyszła taka jędza. Mówię jej, że nie wiem, w co go zawinąć. A były tam takie grube papiery. Zawinęła go w te papiery i poszła sobie. Co teraz? Zima, zimno. W baraku nie palone. Przecież nie będzie dziecko leżało w papierach. Ona przyszła jeszcze raz. Mówię jej, że nie mam w co dziecka zawinąć. »To wyrzuc go, jak nie masz w co zawinąć«. To go wyrzuc. Zdjęłam z siebie spódnice, porwałam, zrobiłam cztery pieluchy. Owinęłam dziecko i tak trzymałam pod bluzką, żeby mu ciepło było. Był koc, ale co z tego. Pełno w nim było pcheł. I tak przeżył w tych czterech pieluchach, ani niepranych, ani nic. Nie było gdzie wyprać”.

Za murami obozu w Jaworznie znalazło się także około stu Polaków. Oskarżono ich o sprzyjanie UPA lub nadmier-ną sympatię do Ukraińców. Jednym z osadzonych był An-drzej Bednarz, starosta lubaczowski i członek opozycyjnego

wobec rządów komunistów PSL. W 1945 roku zarzucono mu, że blokuje wyjazdy Ukraińców do ZSRR, wydając im zaświadczenia lojalności wobec Polski. Od tego czasu był pod szczególną obserwacją, a we wrześniu 1947 roku, już po zakończeniu akcji „Wisła”, został uwięziony.

„O ile jednak starosta Bednarz miał swoje »grzechy« wobec komunistów – zaznacza w artykule *Jaworzno: Centralny Obóz Pracy Igor Hrywna* – to osadzenie w Jaworznie polskiej amatorskiej grupy teatralnej z miasteczka Cieszanów (...) wygląda już zupełnie surrealistycznie. W kwietniu 1947 roku grupa występowała w śląskim Chrzanowie. Tam zatrzymało ich UB pod »zarzutem«, że skoro pochodzą ze wschodniej Polski, to mogą mieć jakieś związki z UPA. Przez więzienie Montelupich w Krakowie 12 członków grupy trafiło do Jaworzna. Była wśród nich Franciszka Buczek, której syn Marian Buczek w latach 2002–2009 był rzymskokatolickim lwowskim biskupem pomocniczym”.

Z relacji Franciszki Buczek, zamieszczonej w tym samym tekście:

„Przebywałam w Jaworznie rok. Siedziałam razem z Ukrainkami. Razem się modliłyśmy, wspólnie przeżywałyśmy naszą niedolę... Na przesłuchaniach Ukrainki strasznie bili. Z przesłuchań nie wracały o własnych nogach... Jakie były warunki? Ciężko to wspominać. 150 osób w baraku. Wszy i głód. Zimą na pryzkach leżał śnieg. Na śniadanie dawali chleb i kawę zbożową, na obiad rzadką zupę... Pracowałam w zakładzie krawieckim... Jeżeli wykonało się normę, to raz w tygodniu dostawało się 25 deka cukru, ćwiartkę chleba, 2 marchwie i pół amerykańskiej konserwy...”.

Żywnościowy przydział, o którym opowiada kobieta, nie dotyczył Ukraińców. Oni mogli się tylko oblizać. Ale

wiadomo, między innymi od Jana Smarkuckiego, że niektórzy Polacy pokątnie dzielili się przydziałem z ukraińskimi współwięźniami.

Do COP w Jaworznie przywożono aresztowanych aż do 22 maja 1948 roku. Wtedy to za mury i druty trafiło stu dwunastu żołnierzy UPA z sotni „Burłaki”, pojmanych w Czechosłowacji podczas próby przedostania się na Zachód. Odizolowano ich od innych osadzonych, a po dwóch dniach wywieziono do więzienia Montelupich w Krakowie. Stanęli później przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Rzeszowie. Część skazano na śmierć.

„Obóz w Jaworznie był tym miejscem na polskiej ziemi – pisze Eugeniusz Misiło – gdzie wzorce i doświadczenia hitlerowskie spotkały się ze stalinowskimi. Polscy komuniści (...) wykorzystali przeznaczenie obozowych obiektów pozostawionych przez Niemców, w tym ogrodzenia z drutu kolczastego podłączonego do prądu pod napięciem 500 V (...). Reaktywowano pohitlerowską strukturę hierarchii władzy: komendanta, oddziałowych, blokowych, a także funkcję szczególnie znienawidzonego przez więźniów »kapo«, zwanego w Jaworznie »gońcem«”.

Pierwszy ukraiński więzień Jaworzna zmarł w obozie 14 czerwca 1947 roku. Nazywał się Michał Ogarek i pochodził z Czaszyna w Bieszczadach. Ostatni więźniowie COP wyszli na wolność 8 marca 1949 roku.

Rozdział X

Zostały tylko kamienie

Większe miejscowości, choć okaleczone, zdołały przetrwać. Mniejsze zamieniono w ciągnące się kilometrami rumowiska domów, stajni i piwnic. Przypominały krajobraz po kataklizmie: rozryta ziemia, powalone budynki, czarne kikuty nadpalonych drzew. Rok później część tych pozostałości zasłonią pokrzywy i tarnina. Jakby parząco-ktujące zielsko chciało raz na zawsze zakryć ślady niedawnej obecności ludzi. Wymazać z przestrzeni to, co istniało przez stulecia.

W niektórych wioskach widoczne będą tylko ocalałe od pożogi cerkwie. Ich zwieńczone krzyżami wieżyczki i kopuły postoją jeszcze miesiące lub nawet lata, ale później i tak znikną z krajobrazu. Zostaną rozebrane, zburzone bądź wysadzone w powietrze, a przedtem jeszcze splądrowane i zbezczeszczone. Ikony opuszczonych świątyń będą się walać po ziemi niby na śmietniku, księgi liturgiczne zamienią się w podpałkę, a potem w nicość. Nieco chorągwi, lichtarzy, obrazów trafi szczęśliwie do magazynów, później zaś do muzeów, lecz będzie to ledwie wycinek z bogatego wyposażenia licznych cerkwi.

Zarosną zielskiem cmentarze, wykruszą się wyryte w kamieniu imiona zmarłych. Od tej pory pozostaną anonimowymi nieboszczykami. Tylko nielicznym uda się zachować tożsamość, dzięki czemu trafią z czasem do naukowych opracowań i zyskają przez to przedłużoną pamięć. Piaskowcowe pomniki posłużą budowniczym do utwardzania błotnistych traktów. Staną się podłożem – jak żydowskie macewy za okupacji – dla asfaltowych szos i sunących po nich niezliczonych samochodów. Zdarzy się, że nowa droga przejdzie fragmentami przez nieekshumowany cmentarz. Zasklepi go czarną mazią na zapomnienie. Inne cmentarze przemienią się w pastwiska. Bydło i owce wejdą między groby, zostawią na nich łajno, przewrócą siłą rozpędu i tak naruszone przez naturę i czas krzyże. Te żeliwne padną łupem złodziei, którzy je potną i sprzedadzą na złom. Czasami za równowartość litra wódki. Nikt tych ludzi nie ludzi nigdy nie odnajdzie i nie osądzi.

Wiele z przysiółków i wsi już się nie odrodzi. Będą jedynie małymi punktami na mapie, czarnymi kropkami, na które przez dekady nikt nie zwróci szczególnej uwagi. Z czasem, żeby zainteresowanym było łatwiej odróżnić je od reszty miejscowości, będą zapisywane na mapach kursywą i dodatkowo brane w nawias. Nie poprowadzą do nich nowe drogi, a stare zarosną, choć nie na tyle, by nie móc odtworzyć ich dawnego przebiegu. Można będzie na takim polnym dukcie stanąć i wyobrazić sobie wozy konne, które wraz z ludźmi zmierzały lata wcześniej do stacji załadunkowych. Przy odrobinie szczęścia ziemia odstąpi piechurowi zgubioną podkowę, gwóźdź albo i większy fragment sprzętu należącego do nieznanego z nazwiska gospodarza. A we wsi dużo więcej: narzędzi, garnków, fajerek. Pewnego dnia przechodzień natrafi nawet na but. Pleciony i zapinany

na prowizoryczną sprzączkę. Nie dziecięcy, ale na tyle mały, że musiał należeć do kobiety. Ten but przetrwa długi czas między skalnym załomem nieopodal zburzonej chyży. Jak się tam znalazł – pozostanie tajemnicą. Podobne łapcie, noszone do końca wojny przez Bojków w wysokich Bieszczadach, można współcześnie oglądać już tylko w albumach ze starymi fotografiami bądź w skansenach.

To, co głębiej w glebie, zostanie w niej na długo lub na zawsze. Ziemia obróci drewno w próchno, wypłuje tylko od czasu do czasu żelastwo. Znajdą się ludzie, którzy przypadkowe znalezisko zamienią w pasję poszukiwawczą. Wciela się w rolę archeologów polsko-ukraińskiego pogranicza. Niektórzy dla zabawy, inni po to, by lepiej zrozumieć skomplikowaną historię – ze strzępów i kawałków próbować posklejać ludzki los. Ten indywidualny, osobny dla każdego wygnańca, i ten zbiorowy – przynależny konkretnej wsi oraz jej wspólnotcie.

W studniach zastygnie woda. Na jej powierzchni utworzy się gruby kożuch z nawianych przez wiatr liści, trawy i pyłu. Dawniej przezroczysta, nabierze barwy mętnej. Po latach owe studnie przekształcą się w suche, zarośnięte wokół cembrowiny doły, które staną się pułapką dla dzikiej zwierzyny. Zgnije w nich niejedna sarna, której szczątki przypadkowo odnajdą później wędrowcy przemierzający opuszczone wsie. Do niewidocznych z daleka dołów będą wpadać też wypasane przez okoliczne pegeery cielęta. Z połamanymi nogami nadadzą się tylko na rzeź.

Zanim część poukraińskich wsi zasiedlą polscy osadnicy, miną lata. Ale i tak będzie to zasiedlenie połowiczne. Nie wszyscy – mimo pieniędzy i rzeczowej zachęty rządu – będą się garnąć do budowania na zgłiszczach. I na ludzkiej krzywdzie.

Zostali oddzieleni od gór niewidzialną na mapach granicą, poza którą rozciągał się obszar dla nich niedostępny. Stało się tak, choć leżał w granicach Rzeczypospolitej, a oni, Ukraińcy, byli jej obywatelami. Teraz jednak mieli żyć i umierać tam, gdzie im nakazano. W dziesiątkach miasteczek i setkach wsi, lecz jednocześnie w rozproszeniu. Czuli się przez to ludźmi drugiego sortu i w istocie nimi byli. Więźniami osadzonymi w strefie z niewidzialnymi drutami. Podzielonymi na kategorie – w zależności od stopnia zagrożenia dla państwa. Ci z przypisaną kategorią „A”, najgorszą, figurowali w aktach Urzędu Bezpieczeństwa. Z literą „B” w spisach wojskowych. Pozostałych, wolnych od podejrzeń o współpracę z UPA, dzieci i nieletnią młodzież – wrzucono do teczek z literą „C”. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego zaleciło, by w danej wsi umieszczać tylko jedną rodzinę z grupy „A” lub „B” oraz do pięciu z grupy „C”. W ten sposób rozdzielono setki bliskich sobie osób. I zakazano przemieszczania się poza strefę. W tajnej instrukcji Ministerstwa Ziem Odzyskanych z 10 listopada 1947 roku zapisano: „Swoboda ruchu osadników z akcji »Wiśła« zasadniczo ma być ograniczona. W szczególności niedopuszczalne jest opuszczanie Ziem Odzyskanych i powrót na dawne tereny”.

Niektórzy się sprzeciwili. Próbowali wracać – z jedną walizką i w naiwnej nadziei, że zdołają przeczekać w jakimś miasteczku, a z czasem przenieść się na swoje. Jakby nie rozumieli, że to swoje już nie istniało i mogło być obecne jedynie w pamięci. Ich przejętą siłą przez państwo własnością zarządzała teraz wyłącznie przyroda. Dzika, nieposkromiona, która po latach wojny światowej, a później bratobójczej

ze zdwojoną siłą zagarniała dla siebie wyludniony teren. Kiedyś to człowiek trzymał w ryzach przyrodę, nie pozwalając jej za bardzo zbliżyć się do zagród, a teraz role się odwróciły. Miała dla siebie wszystko i nie zamierzała się na nowo dzielić z człowiekiem. Przynajmniej nie od razu.

Więc ci odważni, a może zdesperowani, próbowali prze-mykać z północy na południe, bo za nic w świecie nie chcieli żyć gdzie indziej. Zostawiali na nizinach krewnych z obietnicą rychłego ich sprowadzenia, a ci wierzyli, że właśnie im, pierwszym odważnym, się uda. Zakaz zakazem, ale przypilnowanie ziemi ojców to obowiązek. Taki sam jak zebranie plonów z zasianych pól. W końcu, myślał ten i tamten, władza odpuści. Przecież nie będzie węszyć za pojedynczym Ukraińcem, którego jedynym pragnieniem jest pracować na kawałku roli, między jednym a drugim wzniesieniem. A nawet gdyby takich były dziesiątki, cóż znaczyłyby w polskiej masie? Podejrzewanie ich o to, że chcieliby knuć przeciwko ludowej ojczyźnie, swojej karmicielce, byłoby absurdem.

Nie umieli rozpuścić się w tłumie. Rozpoznawano ich po niepewnym spojrzeniu, nerwowych gestach, po akcencie. Wciąż porozumiewali się w języku ukraińskim i tylko niekiedy używali najbardziej pospolitych polskich słów. Szybko brano ich na celownik i aresztowano. A mimo to kolejni z wygnanych nie rezygnowali. Wprawdzie rzadziej decydowali się uciekać na *batkiwuszczynę*^{*}, za to wytrwale pisali do władz – z pomocą polskich sąsiadów – emocjonalne prośby o pozwolenie wyjazdu na opuszczone ziemie. Choćby w odwiedzinę. A jak się da – na stałe. Pewien rolnik w ciągu półtora roku napisał aż dwadzieścia dwa listy, lecz władze pozostały nieprzejednane.

^{*} Ojcowiznę (ukr.).

W artykule *Życie Ukraińców na ziemiach zachodnich w pierwszych latach po wysiedleńczej akcji „Wisła”* Igor Hałagida opisuje między innymi warunki bytowe. Nie zgadza się z ogólnie przyjętą przez rząd tezą, że dla Ukraińców z gór osiedlenie w nowych miejscach było równoznaczne z awansem społecznym. „Rzeczywistość pierwszego dziesięciolecia była inna. Północno-zachodnie regiony Polski (mimo skutków niedawno zakończonej wojny) stały wprawdzie na stosunkowo wyższym poziomie cywilizacyjnym niż Kresy południowo-wschodnie, jednak (...) w roku 1947 proces osadniczy na tych terenach zmierzał praktycznie ku końcowi. Ukraińcy z akcji »Wisła« byli ostatnią wielką grupą, która przybyła do północnych i zachodnich regionów Polski. Dlatego też gospodarstwa, które otrzymali, były najbardziej zniszczone. Inne, w lepszym stanie, zostały już wcześniej zajęte. Zdewastowane budynki, a nierzadko (...) pojedyncze izby, stodoły czy tylko piwnice ocalałe z większych kompleksów, często nie nadawały się do zamieszkania”.

Taki stan potwierdzają sprawozdania Ministerstwa Ziemi Odzyskanych, w których urzędnicy piszą, że dla osadników chronicznie brakuje szkła, blachy, papy i innych materiałów budowlanych. Z zajętych tylko na Pomorzu Zachodnim blisko dziesięciu tysięcy gospodarstw aż siedemdziesiąt pięć procent było zniszczonych, z czego trzydzieści procent wymagało odbudowy. Podobna sytuacja panowała w innych regionach zasiedlanych przez Ukraińców i mieszane rodziny ukraińsko-polskie.

To wcale nie oznacza, że wszyscy trafili źle. Dla części rodzin, liczonych w tysiącach, przymusowe przenosiny oznaczały lepszą przyszłość. Zwłaszcza dla tych, które

żyły dotąd w warunkach skrajnej nędzy. Gdy na obszarach poniemieckich rozwój infrastrukturalny szedł pełną parą, w Bieszczadach i Beskidzie Niskim wciąż panował gospodarczy zastój. Nie przez pięć czy dziesięć lat, lecz znacznie dłużej. Dwadzieścia lat po akcji „Wisła” nadal nie wszystkie wioski były zelektryfikowane, a do niektórych nie dojeżdżała państwowa komunikacja.

Ale – oddajmy sprawiedliwość – gdyby z południowo-wschodniej Polski nie wypędzono stu czterdziestu tysięcy ludzi, region ten mógł się rozwinąć równie szybko, co inne. Jedną decyzją polityczną zamieniono go w pozbawioną ludzi górską pustynię, która odradzać się będzie przez dekady, a i tak liczebnie nie osiągnie stanu sprzed wysiedleń. Nie odrodzi się także krajobrazowo, bo nikt nie odbuduje spalonych i zburzonych greckokatolickich świątyń, będących znakiem rozpoznawczym tego obszaru. Zyska za to przyrodniczo. Nigdzie indziej przyroda nie wytryśnie z taką siłą i esencją.

Trzymali się swojego pazurami, lecz wobec przemocy pozostali bezradni. Powieźli z sobą wspomnienia i obietnicę, że nie dadzą się przerobić na Polaków. Nikt im wprost nie powiedział, że mają nimi zostać i wyrzec się ukraińskości, ale dostatecznie silnie to odczuwali. „W sferze kulturalnej wysiedlenie ludności ukraińskiej spowodowało konieczność stałego, bezpośredniego kontaktu z kulturą polską, w starciu z którą kultura rozproszonej mniejszości nie miała warunków do przetrwania, a tym bardziej rozwoju (...). Dlatego przetrwały tylko te składniki kultury duchowej i materialnej, które mogły być zachowywane i przekazywane przez

starsze pokolenie młodszemu w czterech ścianach rodzinnego domu” – pisze Małgorzata Kmita w tekście *Wpływ akcji „Wista” na życie kulturalne Ukraińców w PRL*.

Ze wspomnień wysiedleńców:

– Długo nie rozmawialiśmy publicznie po ukraińsku, żeby nie narazić się na ataki ze strony niektórych Polaków. Dla nich nasz język był wrogi, nawet plugawy, kojarzył się jednoznacznie z tym, co banderowskie. Ale tak po cichu mówiliśmy tylko po naszymu. Zanim najstarsi z przesiedlonych zaczęli się trochę porozumiewać w polskim, minęło dużo czasu. Wielu z nich nigdy jednak nie nauczyło się w tym języku pisać i czytać.

– Kobiety jeszcze w pociągu, podczas podróży na północ, wymyślały piosenki, które później nucono w domach. Powstały spontanicznie i przetrwały do dzisiaj. Może dlatego, że opowiadały o rzeczach najważniejszych: o miłości, stracie, tęsknocie.

– Poszłam do szkoły, w której uczono polskiego i rosyjskiego. A ja byłam Ukrainką i chciałam się uczyć po ukraińsku. Nie rozumiałam, dlaczego nie mogę. Po jakimś czasie przyszło zarządzenie, że dla ukraińskich dzieci może być zorganizowana nauka ojczystego języka, ale po normalnych godzinach zajęć, czyli późnym popołudniem. Mało kto się zapisał.

– W mojej rodzinnej wsi była czytelnia, cerkiew, cztero-klasowa szkoła z językiem ukraińskim. A tu, na obcym, nie było nic. Oprócz modlitewnika nie mieliśmy w domu ani jednej książki napisanej cyrylicą. Babcia przewiozła ten modlitewnik pod ubraniem, bo się bała, że żołnierze jej zabiorą.

– Pozbawiono nas świątyń, oderwano od ziemi, ale nikt nie mógł nam zabrać tego, co w głowie i sercu. Wciąż obchodziliśmy święta według kalendarza juliańskiego, piekliśmy

nasze placki i ubieraliśmy wyszywane ukraińskim haftem koszule. Tylko że poza domem w nich nie chodziliśmy. Za bardzo klutyby w oczy Polaków. Później, po latach, już się z tym nie kryliśmy. Na wszystko potrzebny jest czas i w tym przypadku też go potrzebowaliśmy.

Nie wszyscy Polacy z Ziemi Odzyskanych wrogo reagowali na to, co ukraińskie, i odczuwali wyższość wobec ukraińskich sąsiadów.

– Zdarzało się – mówią wysiedleni – że jedni Polacy upominali drugich i przepraszaali nas za niegodne zachowania swoich rodaków. Z czasem ci negatywnie nastawieni zmieniali postawy. Pracowaliśmy razem w pegeerach, fabrykach, a nasze dzieci chodziły do tych samych szkół. Nawet ci najbardziej zapiekli zaczęli rozumieć, że nie da się żyć w nieustannej nienawiści.

– Chociaż – podkreślają dalej – w ukraińskim środowisku też nie brakło długo nieprzejeđnanych. Wszystko, co polskie, kojarzyło im się ze złem, tymczasem o naszym wygnańcym losie zdecydowali politycy, a nie zwykli obywatele.

Nadmorskie i mazurskie niziny zasiedliły rodziny w pełnym składzie oraz te wyszczerbione – przez śmierć bliskiego poniesioną w lesie, samobójstwo lub też zamknięcie w obozie. Bo to nie było tak, że owi wygnańcy z gór nie mieli synów i ojców w UPA i że ci synowie i ojcowie nie bili się do ostatniego naboju o *samostijną* Ukrainę. Jakkolwiek by ją rozumieli. Oficerowie polityczno-wychowawczy w sotniach wkładali dużo wysiłku, by nie tylko wyższa kadra, ale też zwykli strzelcy nabrali przekonania co do słuszności walki

z komunistyczną Polską. A że niejako przy okazji ginęli cywile – takie już prawo wojny.

Czasami o śmierci decydował przypadek, innym razem zaplanowana akcja, kiedy indziej znowu – lekkomyślność. Szczęśliwy traf sprawiał też, że ten czy tamten przeżył. W bunkrze umierało dziesięciu, lecz jedenasty akurat miał wartość i się ocalił. Odsiedział swoje i po wszystkim, choć zdarzało się, że w więzieniu tylko przedłużał życie o parę miesięcy lub rok, a potem prowadzono go na szubienicę. Często za winy popełnione, ale też za te, które mu wmówiono, a on w swojej bezsilności podpisał się pod protokołem. On albo ona, bo skazywano też kobiety. Te, które dobrowolnie zamieniły chłyzę na las, i te, które do tego lasu zaciągnięto. Matki i córki. Niektóre po pewnym czasie wracały do wsi, do swoich zwyczajnych zajęć, inne pozostawały przy partyzantach.

Tadeusz Andrzej Olszański w artykule *Konflikt polsko-ukraiński 1943–1947* pisze: „Do końca ukraińska partyzantka zachowała podziwu godną determinację – dezercje były (...) nieliczne, a oddawanie się do niewoli, nawet w beznadziejnej sytuacji – wyjątkowe (większość jeńców wziętych przez Polaków to ranni lub schwytani przypadkowo, z zaskoczenia) – zaś samobójstwa, nie tylko oficerów, były nagminne (...). I choć różnie można oceniać skłaniające do tego pobudki – trzeba oddać ukraińskim żołnierzom, że umieli być bezlitośni nie tylko wobec innych, ale i wobec siebie”.

Rozdział XI

Nie ma już dla nas miejsca na ziemi

Sytuację UPA wiosną i latem 1947 roku obrazują listy i raporty przechwycone przez wojsko*.

„Kolego Dowódco!” – pisze „Chrin” do jednego z sotennych. „Przyjmijcie szczerze żołnierskie pozdrowienia od gnanych przez II Armię gen. Świerczewskiego. U nas – łemkowska Sicz (...). Jak żyjecie? Nie zapomnijcie napisać, co nowego u Was, jakie nowe wiadomości? A jeśli chcecie coś więcej się dowiedzieć – to udajcie się do dowódcy Romana”.

12 lutego 1947 roku. „Dr. Prowidnyku! Rakowa przeżywa swoje ciężkie chwile (...), na Rakową ostatnio często niespodziewanie naskakują i idzie o to, że chcą ją spalić. 8.2.47 r. o godz. 20.30 jedna grupa WP z Tyrawy W. [Wołoskiej], a druga przez Moczary przybyli w liczbie około 60 ludzi, którzy przeprowadzili silne rewizje po chatach, stodołach, szukając banderowców, przy tym rozmawiali »kurwa jego

* Ich tłumaczenie nie zawsze jest poprawne językowo i bywa niedokładne.

mać, szkoda, że spóźniliśmy się o pół godziny, a złapałibyśmy wszystkich banderowców» (...). W tych dniach mają zwalniać starych wojaków do cywila, dlatego też i jest zadowolenie między wojskowymi, niektórzy rozmawiają »Ja jeszcze chcę żywy wrócić do domu«. (...) W Sanoku i sanockim powiecie ponaklejało WP plakaty, na których jest napisane, że WP w tych dniach złowiło w Paszowi [Paszowej] 30-tu banderowców, a w Rakowi [Rakowej] 3 zabili. W następstwie tego banderowcy zamordowali 10-ciu Polaków cywili w Tyrawie W. To jest kłamstwem polsko-bolszewickich ludożerców (...). Pozdrawiam szczerze – Sławko”.

2 kwietnia 1947 roku. Z listu krajowego prowidnyka do majora „Rena”, dowódcy 26. Odcinka Taktycznego „Łemko”: „(...) o tragedii san-punktu dowiedziałem się dopiero z Waszej notatki. Ofiary (...) osobiście przeżywam bardzo boleśnie. I ludzie tacy dzielni zginęli (...). Wina za upadek san-punktu jest administratora (»hospodarnyka«) – wina oczywista, jeśli ten »czarny duch« tak się odniósł do swoich obowiązków. Ofiary wszędzie są, bo my przecież na froncie i wróg grochem nie strzela, ale tam, gdzie tych ofiar można unikać, musimy stale do tego zdążać (...). Musimy zacisnąć zęby i pięści i iść dalej. Jednakże wtedy, kiedy jedni oddają krew i życie, a drudzy nie chcą wykonać prymitywnych swoich obowiązków – wówczas organizacja musi interweniować w tej sprawie. Odnośnie nadużyć i wszelkich innych nieporządków – to samo kryterium (...).

Który oddział kropnął Świerczewskiego? Przekażcie jemu ode mnie uznanie. To bardzo poważny sukces. Przez cały tydzień huczały o tym wszystkie radiostacje świata. To dobry początek na wiosnę. Daj Boże więcej takich.

Taktyka dla oddziałów na lato:

1. Naprawić oporządzenie (obuwie, ubrania) – przeprowadzić zbiórkę wśród polskiej ludności, zabrać krowy i sprzedać na ten cel. Rekwizycji unikać.
2. Nie prowadzić wojen zaczepnych, chyba że trzeba coś zdobyć albo od czasu do czasu zahamować zuchwałość i przenikanie wroga w teren (wtedy zasadzka). Oszczędzać amunicję!!! Czasem należy gdzieś uderzyć na wroga, ażeby strzelcy nie stracili bojowego ducha.
3. Prowadzić pracę polityczną pośród polskiej ludności. Robić głębsze i płytsze rajdy do polskich wsi. Zachowywać się correct, nie prowadzić akcji odpłatnych i karnych. Zastępować w lukach ich partyzantów i ich podziemie (bo ich załamało się). Nie trzymajcie się jednego swego lasu i rejonu. Każdemu oddziałowi wyznaczyć teren działania na polskim terenie (...). Starać się opanować lasy dalej na zachód od terenu Brod [zapewne: »Brodyca«] i na północ. Nasz partyzant musi odłączyć się od chaty. Nie chodzi o to, ażeby »bawić« Polaków i podtrzymać na duchu. Oni nie są tego warci i godni. Chodzi o międzynarodową arenę, o sformowanie antybolszewickiej opinii świata, chodzi o przyspieszenie procesu do wybuchu wojny, że w ZSRR gotuje się (wrze, kipi), że Truman może odważniej realizować swą »nową politykę« (rozumiecie?!). Zaś polski teren wykorzystywać jako bazę. Gdyby zamiast Polaków mieszkali tu Hindusi, to my robilibyśmy to samo pośród nich. Correct zachowanie się i taka akcja konieczna jest jeszcze i dlatego, że nasi za granicą prowadzą akcję o przyznanie przez

państwa zachodnie UP Armii jako armii z prawami międzynarodowymi. My musimy dać znać o sobie, ale co bardziej ważne – musimy pokazać swoje polityczne i kulturalne oblicze, ażeby upadła obawa, że my może jesteśmy »bandą« (...). Jednocześnie musimy tego lata zrobić taką samą »imprezę« jak zeszłego roku na wiosnę, rajd do CSRS (gdzie chodził Myron, Kornij, Bir) (...). Czy myślicie, że wystarczy Bir i Brod. [Brodycz] – Chrina boję się puszczać, ażeby nas nie skompromitował? Może jeszcze wysłać stąd Bur. [Burlakę] lub Hrom. [Hromenkę]? Jakie Wasze zdanie w tej sprawie? Oczywiście tu nie chodzi o ilość oddziałów, ale o jakość ich pracy (...). Najważniejsze – to zachowanie się. Tam również nie chodzi o podtrzymanie ich na duchu, oni dranie również nie są tego warci – chodzi o szum i reklamę międzynarodową. Po naszym odejściu przyjeżdżają w dane miejsce zagraniczni korespondenci i rozpytują ludność, jak my zachowujemy się (...). Otóż nie trzeba dawać złego materiału o sobie. Trzeba próbować pobyc tam trochę dłużej, zapuścić się trochę dalej. Nasze centralne władze żądają, ażeby na ten teren rajdować częściej i zagłębiać się jak najdalej, bo to daje więcej niż 10 wygranych walk na naszym terenie (...).

Zdrowia i sił życzę Wam, drogi przyjacielu. Sława Ukrainie! – Ja”.

4 kwietnia 1947 roku. „Towarzyszu Prowidnyk!” – pisze „Nestor”. „(...) w nocy przychodzimy do Rakowej, zachodzimy po ciemku pod mieszkania i słuchamy, gdzie kto co mówi (...), krążą pogłoski o przesiedlaniu, ludzie już zaczynają

mówić, że przesiedlenie rozpocznie się 10 IV 47 r., ludność w dużym strachu (...). Mówią, że w górach, tam gdzie padł generał, spalili 7 wiosek zupełnie, a ludzi przesiedlają na zachód”.

11 kwietnia 1947 roku. „Kolego Prowidnyk!” – pisze „Homin”. „U mnie w terenie jak zwyczajnie WP – codzienne zjawisko. W leskim powiecie WP chodzi małymi grupami, najwięcej po 40 osób. Ostatnio wróg idzie na dokładne dane. Już nie robią rewizji po wszystkich domach jak dawniej. Często odnajdują kryjówki (...) ludności, co mieli na przechowywanie rzeczy przed rabunkiem. Najgorzej dokucza WP z Wilszanicy [Olszanicy] i z Ropienki. W sanockim powiecie WP chodzi większymi grupami, bardzo dziko zachowuje się MO i ORMO z Mrzygłoda. Ostatnio nie przebijają, biją. Ludność szeroko mówi o wysiedleniu. Później mówią, że będą wysiedlać na zachód, na wschód, inni mówią, że będą wysiedlać tylko podejrzone rodziny. Wszyscy opierają się na mowach urzędników. Prawdopodobnie, że z powiatu leskiego mają wysiedlać 440 rodzin. Ludność boi się specjalnie wysiedlenia na zachód, otwarcie oświadcza, że woli jechać na wschód (...). Czy będzie zdolna chociaż stawić opór przeciw wysiedleniu, tego twierdzić nie można. Ludność podniosła się bardzo po ostatnim wypadku w górach 28 III 47 r. W przeciągu zimy ludność tego terenu usprawiedliwiła się w pełni, dopomogła nam przeżyć zimę po wsiach. U nas podczas zimy nikt nie siedział w lesie”.

7 maja 1947 roku. „Drogi mój Hrome! (...) U nas pustynia. Wywieźli ludzi – płakali wszyscy nasi znajomi. Dużo (...) tych, którzy nam pomagali, siedzi w więzieniach. U nas

zginęli: »Sosna«, »Petruch«, »Kawun«, prawdopodobnie »Niezgoda« i »Mora«. Polakom zdali się: »Kuczoria«, zdezerterowali: »Rosa«, »Spiwak« (...), zgłosili się w WP: »Roma« i »Uherec«. U komandry »Bira« zginął czotowy »Jar« w zasadzce, buńczucznyj »Czepiga«, »Zalizneczenko«, »Hrim«, »Bystryj« i inni. U komandry »Burlaki« także są wielkie straty. My przeszliśmy dużo walk. Straty – 8 zabitych, 11 rannych. U Polaków 92 zabitych. Oficerowie II Armii gen. Świerczewskiego przyrzekli, że mnie muszą zniszczyć. Moje pseudo stało się takie groźne, wszędzie brzmi na Ukrainie i w Czechosłowacji (mam stamtąd meldunki). I co mi z tego, kiedy nie ma tutaj nawet co zapalić, a także chodzimy bosi i obdarci. Proszę cię, przyslij mi kawałek mydła, bo nie mamy się czym ogolić, trochę nici i może jakieś spodnie, moje rajtki są całkiem zdarte. Nie zapominaj o mnie, ja o tobie nie zapominam. Zawsze ten sam – »Chrin«.

7 maja 1947 roku. „Hej Burlako mołodenkij! Koło mnie bieda, bo nie mam czym ogolić się. Bój się Boga, przyslij mi kawałek mydła (...). Przyslij mi obiecany 1 litr smalcu, bo łój mi szkodzi”.

Piszą też podkomendni „Chrina” .

„Dąb”: „(...) jesteście obdarci (...) Polacy tropią nas bezustannie i wydaje się, że nie ma już dla nas miejsca na ziemi”.

„Wierzba”: „Z Chryszczatej Lachy zrobili niemal park”.

„Zajczyk”: „Już kończą wysiedlać i my zostaliśmy jak Robinson Kruzoe; nie mamy żadnych wiadomości ani gazet – w ogóle nic nie mamy. Jakoś przeżyjemy, byle tylko było zdrowie”.

„Duch”: „Chryszczata wygląda jak rozbita szachownica. Z dołów utworzonych po wybuchu pocisków armatnich

unoszą się dym. Wszędzie mnóstwo okopów. Płoną zdeptana konna droga. Wszystko to wygląda jak piekło”.

7 maja 1947 roku. Z listu „Ciapki”, oficera polityczno-wychowawczego w sotni „Chrina”, do siostry:

„Droga siostrzyczko! Korzystając z tego, że jadą ludzie na zachód, chcę napisać do ciebie kilka słów (...). Już po świętach, ale naprawdę wtedy nie miałem możliwości napisać do Ciebie i złożyć ci pozdrowienia Wesołych i Szczęśliwych Świąt. Podczas Wielkanocy był u nas najgorętszy czas obłą, bo »lasznia« silnie rozjuszyła się za »Karolka«, któremu my skróciliśmy ten ziemski raj (...). W naszym terenie już od początku kwietnia było tak gorąco, że musieliśmy iść w trykutnyk, bo tu niemożliwe było się już utrzymać. Codzienna pogoń tak dała »po kulach«, że nie można było wytrzymać, a wszystko przez głupiego Karolka. No cóż, zabiliśmy go, to przypało, a »lasznia«, rzekłby, pogłupiała – biega za nami i spokoju nie daje. Po dobrej głodówce (4 dni) my zatrzymaliśmy się aż w Wetlinie. Tu świętowaliśmy Wielkanoc, ale na drugi dzień poszliśmy w gości do Skrytoho. Tam była również Maryjka, tak że święta bardzo wesoło nam przeszły. Zaraz po świętach my w połączeniu się z »Birem« musieliśmy wiać na Chryszczatą, gdzie siedzimy prześladowani przez Polaków aż do dzisiaj. Zawzięli się »lachi« na nas, jeszcze od 16 września [zapewne: marca] cały czas biegają za nami. Ale wtedy była prawdziwa kasza. My im tego dnia daliśmy »po kulach« na Kamionkach i wieczorem poszliśmy do lasu nad Łukowe (...), a oni 18.III. zaraz z rana aż do 5 wieczorem tak nas ganiłi po tym parku, że kalesony były mokre. Ja jeszcze takiej karuzeli nie widziałem, zebrali się wtedy bractwo na Chryszczatej o głodzie i chłodzie (jeść nie było co, bo lachy

zabrały nam mięso, a kupić nie było gdzie, bo oni łążą za nami śladem). [wyraz nieczytelny] ...uradzono, aby zrobić zasadzkę, i popadł wówczas biedak Karolko. W Kołonychach dwa dni później zrobił »Bir« zasadzkę, wykropił tych 30-tu dziadów (między nimi starszych), którzy byli przy likwidacji szpytarki. I wówczas »lasznia« ściągnęła warszawską dywizję i biega za nami jak wściekła. No, ale »ono głupie«, widzimy, że nie ma z kim rozmawiać, i odstępujemy od nich. No, ale dosyć żartów. U nas położenie dosyć poważne. Teraz wysiedlili już cały trykutnyk (...), żyjemy teraz jak na wojnie. »Lasznia« operuje i robi obławy. »Bir« miał bój na Łopienniku, od Baligrodu aż do Kołonyci były oddziały, był ranny czotowyj »Czawa«, »Bokser«, idąc coś zjeść do Stężnicy, zabił z pistoletu porucznika z UBP. Ja piszę cały czas takie głupstwa – a co najważniejsze, to zapomniałem. Myślę trochę na Ciebie pokrzyzczyć. Ty, zapchawszy się w cichy kąt, całkowicie o mnie zapomniałaś. Przecież wiesz, że ja Ciebie tylko mam i interesuje mnie, co koło Ciebie się dzieje nowego (...). O cudzych nie zapytuję, ale Twoje postępowanie mnie interesuje. Więc nie bądź taka morowa i napisz coś o sobie, by ten biedny »Ciapka« nie martwił się, nie siwiał ze zgryzoty, myśląc o siostrzyczce (...). Szczerze pozdrawiam. Herojam Sława!”.

7 maja 1947 roku. List autorstwa „Chrina”, znaleziony u zastrzelonego przez wojsko łącznika, adresowany prawdopodobnie do „Brodyca”:

„Sława Ukrainie! Dzisiaj oderwałem się od nieprzyjaciela i korzystając z okazji, piszę do Was przez kuriera. U nas już naprawdę Zaporoska – Łemkowska Sicz. Wokoło pustki, po których hula II Armia Świerczewskiego. Polaków jest tutaj ok. 20 tysięcy. Zajęli wszystkie wioski, a oprócz tego kwaterują

po lasach. Robią zasadzki, obławę, wywożą wszystko. Pilnują również wsi położonych pod lasem, abyśmy nic nie mogli zgromadzić. Przeczesują skraj lasu w poszukiwaniu żywności. Mają rozkaz – wytępić, ścigać, ścigać aż do końca. Mnie też ścigają, począwszy od 16 III, taka pogoń to niczym nie różni się od »stalinowskiej miotły«. W ciągu tego czasu miałem 4 walki, 7 potyczek, 12 zaskoczeń. Moje straty: 8-miu zabitych, 11-tu rannych i 4 wziętych do niewoli. Nieprzyjacieli miał 92 zabitych i prawie tylu rannych. Dowódca »Bir« urządził skuteczną zasadzkę, w której zabił 31 z grupy operacyjnej, po zniszczeniu przez nich szpitala [na Chryszczatej]. Po takim sukcesie nie chce nawet z nami rozmawiać. Niestety jednak w tym, że rozbili go 15 kwietnia, przeszukując dokładnie cały teren. Dzisiaj też go gonią. Cierpią nasi na tym, że nie przywykli nosić ze sobą kartofli i bobu (...). O »Łysym Generale« dobrze wiecie. On mówił, że nie ma g...rza, który by mnie trafił, a tymczasem zginął od zaporoskiej kuli. Kapał się w Elbie, Wiśle, Nysie, lecz »skapał się w rzeczce Jabłonka«. Miał zamiar przeprowadzić »generalną ofensywę przeciw banderowcom«, ale zginął najwierniejszy współpracownik Stalina.

Otrzymuję ze wszystkich stron gratulacje. Nazywają nas teraz »rycerzami Łemkowszczyzny«, ale ci rycerze tak wyglądają, że można ich wystawić na postrach ludziom. Chodzimy wszyscy obdarci. Płaszcz popaliliśmy przy ogniskach, bo nie mamy już taboru (5 nam rozbili). Niektórzy nie mają zupełnie ani koszuli, ani kaletonów. Nikt nie goli się, bo nie ma mydła. Ogień dobywamy, krzesząc hubki, i obserwujemy, czy nie pali się gdzieś trawa podpalona przez Polaków. Dużo strzelców chodzi w łapciach z krowiej skóry. Stan jest straszny, ale prawdziwy. Słyszałem przed Bożym Narodzeniem, że mój sąsiad Roman (...) miał dla »Hrynia« jakiś podarunek

(...). Przepraszam za śmiałość, że proszę o to, ale jestem tak obdarty, że może to być kurtka łatana, ale żeby była, bo łątać tutaj nie ma czym. Proszę Was bardzo, o ile tylko macie możliwość, jeśli Was jeszcze nie pędzą (a pędzić będą), bo jednostki wojska z Baligrodu idą w Waszym kierunku, więc bądźcie ostrożni – zakupcie dla mnie 30 m drelichu, 2 kg mydła, 20 szpilek nici, 10 ołówków, 100 arkuszy papieru, 20 pudełek pasty, 2 pudełka laku, 10 kg soli, kamienie do zapalniczek, 5 paczek zapalek. Może to uda się Wam zrobić z Krystyną, do której też piszę. Kolega Dawidenko ma na to pieniądze, ale nie może i nie ma gdzie kupić (...). Poszedłbym w lasy dukielskie, ale nie chcę narażać Was na obławę. Czekam rozkazu z góry, bo tutaj będzie trudno wytrzymać. Zapasów nie ma, a zgromadzenie ich jest niemożliwe, bo Polacy pilnują. Proszę również, jeśli chcecie, przekażcie nam Wasze zmagazynowane mięso. Decyzję swoją prześlijcie przez kuriera do mnie. Kurier »Cz« ma łączność ze mną. Tutaj różne »kuszcz« i grupy ochronne ostrzą sobie apetyty na Wasze zapasy. Wojsko musi dbać o wojsko, nie zapominajcie!

Dzisiaj powinienem ubrać i obuć dwie brygady – jest to niemożliwe i dlatego zwracam się do Was, kolego Romanie, o pomoc (...). Wojsko polskie znajduje się we wszystkich wioskach, szkoda więc myśleć o jakiejś łączności z miastem (chyba za dwa, trzy miesiące). Literaturę, jaka by ona nie była, przyslijcie. Jakie macie wiadomości o wojnie?

Dowódca »Burlaka« stracił dwóch »czotowych« i wszystkich »rojowych«, w ciągu trzech dni miał 7 walk (...). Cztery razy wysyłali mnie do Czechosłowacji. Między sobą żartujemy: »Ukraino, bądź spokojna, bo herojam słabo« [zamiast: herojam sława]. Mimo okrążenia i wycieńczenia z głodu nastrój żołnierzy dobry, ale jak długo?... Kto wie? (...) Po

śmierci generała Świerczewskiego rozstrzelano w Sanoku 25 powstańców. Na Ukrainie masowe aresztowania. Więzienia przepełnione Ukraińcami. To wszystko świadczy o bliskiej wojnie (...). Zaraz zbieram się podejść pod Duszatyn, ażeby dostać coś do palenia. Zbieramy stare szmaty, bo ranni mogą być w każdej chwili.

(...) Ukłony od »Stacha«, »Ciapki« i »Hroni«.

Fragment rękopisu znalezionej przez żołnierzy WP w czasie akcji „Wisła”:

„Drogi Towarzyszu! O nowinach, jakie są u nas – nie piszę, bo na pewno czytaliście w prasie, która szeroko rozpisuje się o śmierci gen. Świerczewskiego (...). Wojował po całym świecie, a tu od zardzewiałej partyzanckiej kuli zakończył życie na dalekiej Łemkiwszczyźnie. W Sanoku i Baligrodzie radzili mu nie jechać do Cisnej, ale on odpowiedział: co mam się bać na polskiej ziemi... I pojechał. Zasadzkę zrobił nasz Hryn [Chrin], wprowadzie nie wykorzystał jej zupełnie, bo spóźnił się, a miał jeszcze drugiego generała kropnąć. Plk Gerhard (34 p.) ciężko ranny, znowu pójdzie ruch po całym świecie o UPA. Za taką rzecz warto złożyć gratulacje. Mało gdzie coś podobnego się zdarza. Na pewno gen. Franco zaciera ręce i dziękuje nam za taki »sztos«.

Druga wiadomość też dobra. 1 IV 1947 r. K-r. Bir zrobił zasadzkę, niedaleko poprzedniego miejsca. WP z Cisnej szło skokami 10 km, a w końcu wsiedli na auto jak raz koło zasadzki. Było ich 32 i wszyscy zginęli jak jeden [dwie osoby ocalały]. Było tam 5-ciu oficerów, komendant MO z Cisnej, 16-tu podoficerów. Zdobyto 5 karab. maszynowych, automaty, karabiny, pistolety (5), 22 kożuszki, płaszcze, mundury itd. Polacy mieli poucinane kule, żeby więcej raniły

powstańców. To byli ze spec. Grupy z Cisnej kpt. Antoszaka. Wszyscy brali udział w akcji na san-punkt [szpital UPA w masywie Chryszczatej], teraz mają godną zapłatę. Po tej akcji zrobili obławę na las Łopiennik i Chreszczatu, ale bezskutecznie. Tu nadal ściągają siły, przygotowują nowe obławy (...). 6 IV 47 r. większe siły WP (1000) poszły ponad San w góry, inna grupa (400) poszła do Cisnej. Nie dadzą nam świętować, ale i oni nie świętują.

6 IV 47 r. obstrzelał k-r. B. [Bir] Baligród, były alarmy. Bieda tylko, że pociski z moździerza nie eksplodowały wszystkie. 7 IV 47 r. znowu 250 WP obskoczyło wieś Żernycu [Żernicę], we wsi był oddział B. z 4 żandarmami. Zaskoczeni ze wszystkich stron poczęli się wycofywać i przebijać. Bili się przez dwie godziny. Z naszej strony zabitych 2-ch żandarmów, buńczucznyj (...) któren skrył się na strychu i podczas rewizji przestrzelił się. Jeszcze żywym wzięło WP jego i rzuciło na bok, i cepami młóciło, potem połamało mu ręce, nogi, i tak dobiło. Każdego bili, kogo tylko złapali. Rabowali co popadło pod ręce. Wróg stracił jednego porucznika, sierżanta i 2-ch żołnierzy. Sami bandyci podziwiali naszą walkę”.

Wojsko bezustannie, za dnia i w nocy, penetrowało wysiedlone wsie i leśne masywy. Niszczyło bunkry i szałas z żywnością, lecz tylko z rzadka natrafiało na upowców. Ci umieli wychodzić cało z sytuacji na pozór beznadziejnych. Nie zawsze, lecz na tyle często, by żołnierze odczuli na własnej skórze daremny wysiłek. Kilometrami przemierzali trudny teren, a do koszar wracali wyczerpani. Po latach generał Juliusz Hübner, ówczesny zastępca dowódcy

Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego w stopniu pułkownika, oficjalnie skrytykował szefa GO „Wisła” generała Stefana Mossora za nieudolne kierowanie akcjami przeciwko UPA. Dopiero pod koniec maja 1947 roku sztab opracował nowe wytyczne do walki z banderowcami i zaczął wprowadzać je w życie.

Jak jednak wyglądało uganianie się żołnierzy za ukraińskimi partyzantami, zaświadcza relacja Kazimierza Szlendaka: „Wyżywienie było bardzo słabe, 3 razy dziennie kasza manna, często zepsuta i z robakami. W okresach przebywania na zasadzkach otrzymywaliśmy końskie konserwy mielone razem z kośćmi, które powodowały trudności w załatwianiu potrzeb fizjologicznych, szczególnie dla tych, którzy przebywali z dala od strumyków (...). Obciążenie żołnierza było duże. (...) Plecak – były to zwykłe worki, tzw. »mieszaki«, do których w rogi układało się ziemniaki, aby można było złapać paskiem lub sznurkiem i założyć na plecy. Było to ciężkie i niewygodne. Żołnierzom dawały się we znaki górskie marsze, szczególnie nocne. Po ciemku, gdy owijacz się odwiązał, a ktoś na niego nastąpił, to przewracał się właściciel owijacza, a na niego pozostali, którzy szli za nim gęsiego”.

Szlendak zaznacza też, że często w wysiedlanych wsiach brakowało kwater dla żołnierzy. W Brzozowej koło Żmigrodu za nocleg dla dwóch drużyn posłużył kurnik. Posprzątano go, wyścielono słomą, ale ciasnota powodowała, że żołnierze przewracali się z boku na bok na komendę. Po takiej nocy wstawali z rozsadzającym czaszkę bólem głowy. I maszerowali dalej, w kolejny masyw leśny, w którym mogli się kryć upowcy.

Po zmasowanych wojskowych obławach rozbite już częściowo sotnie odeszły na sowiecką Ukrainę (sotnie „Bira”,

„Chrina” i „Stacha”) bądź też do Czechosłowacji (sotnie „Brodyca”, „Burlaki” i „Hromenki”), skąd próbowały przedzierać się do amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec. Ostatecznie doszedł tam z trzydziestoma sześcioma bojowcami tylko „Hromenko”.

Jeszcze długo po wysiedleniach i rozbiciu UPA lasy w pobliżu granicy z ZSRR i CSRS kryły partyzantów, którzy zdołali przetrwać oblawy. Koczowali w bunkrach i liczyli na przetrwanie. A gdy się wszystko uciszy – na odnalezienie wysiedlonych rodzin. Inni nie wyobrażali sobie życia w komunistycznej Polsce i układali plany przedostania się na Zachód. Przez Czechosłowację do Austrii i Niemiec przeszło w 1947 roku niemało banderowców, dlaczego więc im nie miałoby się teraz udać?

W gorszej sytuacji byli ci, którzy uciekali przed wojskiem za San, do Związku Sowieckiego. Tamtejszy pas graniczny strzeżono o wiele mocniej. Mimo to niektórzy podejmowali próbę ratunku za wszelką cenę, pamiętając o tym, że radziecki pogranicznik nie zawaha się zastrzelić uciekiniera, zwłaszcza tego z bronią w ręku.

Byli też tacy – głównie po czechosłowackiej stronie – którzy po tygodniach lub miesiącach ukrywania się pękali i szli na najbliższy posterunek milicji. Potem trafiali do więzienia. Mogli tam umrzeć, zakatowani przez śledczych, lecz mogli też ocalić życie. Z szansy pół na pół skorzystały dziesiątki *strilciw*. Po paru bądź parunastu latach za kratami lub w ciężkich obozach pracy, zaczynali wszystko od nowa.

Różne losy. Na przykład taki:

Wasył K., pseudonim „Prut”, uciekł z sotni „Karmeluka”. Działała na pograniczu polsko-radzieckim, zapuszczając się w okolice Lutowisk i Ustrzyk Dolnych z jednej strony oraz Stefkowej i Olszanicy – z drugiej. Czasami wchodziła nieco głębiej w terytorium polskie lub przeciwnie – szła dziesiątki kilometrów na wschód. Nigdy jednak na tyle daleko, by na dłużej opuścić przygraniczny pas.

W chwili poboru do sotni Wasył miał dwadzieścia lat. Został zabrany do lasu z zagonu kartofli, a do rodzinnej chaty w górskiej wiosce już nigdy nie wrócił. Mimo to – uratował życie. Po ucieczce z oddziału został postrzelony przez żołnierzy podczas próby przedostania się do Czechosłowacji. Jego kolega dezertor zginął, on zaś zdołał dotrzeć do przygranicznej wsi, gdzie półprzytomnego ocaliła wiejska gospodyni. W jej domu wylizał rany, nabrał sił, a któregoś dnia poprosił kobietę, by poszła na niego donieść. Przyznał się, że jest zbiegłym członkiem UPA. Przekazano go władzom polskim, aresztowano i osądzono. Odsiedział piętnaście lat.

– Działaliśmy zwykle wspólnymi siłami: wojsko, milicja, bezpieka – opowiada Jan Kulacki, oficer Głównego Zarządu Informacji Wojskowej. – Dzień po dniu wychodziliśmy w teren i penetrowaliśmy lasy w poszukiwaniu banderowskich niedobitków. Nieraz i tydzień w drodze, ciągle na piechotę, przez błota, potoki i wykroty. Nocleg na ziemi, a o świcie od nowa. Metr po metrze, drzewo za drzewem, w nieustannej obawie, że w każdej chwili zjawi się wróg i cię zabije. Takie było nasze przekonanie i z tą świadomością wyruszaliśmy na akcje. Osamotniony, często głodny partyzant był nawet bardziej niebezpieczny niż wtedy, gdy funkcjonował w oddziale. Nie kontrolował emocji i nie myślał racjonalnie.

Myśmy oczyszczali wioski dokładnie, żeby nie uchował się ani jeden banderowiec. Nasz dowódca, pułkownik Komar, zwykł mawiać: „Chłopcy, wioska jest moja, a co w wiosce, to wasze”. Ale to nie znaczyło, że możemy się mścić na cywilach. Istniał jednak specjalny rozkaz, wedle którego my, żołnierze Informacji Wojskowej, mieliśmy strzelać do każdego Polaka, który będzie unikał walki z UPA. Osobiście nikogo z rodaków nie zabiłem, ale w czasie krwawego boju z Ukraińcami w Jamnej takie przypadki miały miejsce. Nasi strzelali do upowców, a czasami też do swoich. I pułkownik Komar też powtarzał: „Kto się będzie cował, kula w łeb!”.

Przeczysywali lasy na zmianę – raz pod Wetliną i Cisną, potem wokół Dwernika i Zatwarnicy, kiedy indziej w pobliżu Leska. Odkrywali bunkry z porzuconą bronią, a czasami z ludźmi.

– Tak było w Monastercu, kiedy jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku osobiście zlokalizowałem u zbiegu potoków podziemną kryjówkę. Dostrzegłem na kilku bukach dziwne rysy. Zacząłem odgrzebywać butem ziemię, na nic podejrzanego jednak nie trafiłem. Ale coś mi podpowiadało, żeby grzebać dalej. I za trzecim razem, przy niewielkim świerku, poczułem pod podeszwą deskę. Wtedy już otoczyliśmy teren, odbezpieczyliśmy karabiny. Po nawoływaniach i ostrzeżeniach, że wrzucimy do środka granaty, z ziemianki wyszło czterech upowców. Byli tak wycieńczeni i przeraźliwie bladzi, że bardziej przypominali zjawy niż żywych ludzi. Musieli długo siedzieć pod ziemią i prawie nic nie jeść.

Banderowcy umieli budować kryjówki; śmiało można powiedzieć, że byli w tym mistrzami, dlatego nawet w wiele lat po akcji „Wisła” szeregu bunkrów nie odkryto. Pozostawały tajemnicą znaną tym, którzy zdołali przeżyć, lub zabraną przez

zabitych do grobu. Te, które lokalizowano, automatycznie niszczone. Nie zawsze uprzednio sprawdzano.

– Niekiedy po prostu zakładaliśmy ładunki i trach – po wszystkim. Ale częściej najpierw wynosiliśmy z nich to, co nadawało się do użytku. W pewnej kryjówce, urządzonej na wzór dwuizbowego mieszkania z kuchnią, znaleźliśmy płótna, płaszcze, pasy, sprzęt gospodarczy, dokumenty, beczki z kiszoną kapustą i czarną maszynę do pisania. Odczytałem napis: Remington. Miała łacińską czcionkę i była w dobrym stanie. Służyła mi jeszcze przez kilkanaście lat, a potem podarowałem ją synowi. Żołnierze i milicjanci zabierali dla siebie z bunkrów różne rzeczy. Żeby pokazać kolegom oraz na pamiątkę. Mogliśmy brać wszystko oprócz broni i amunicji; ta musiała być zabezpieczona i zdana w dowództwie. Nie mieliśmy jednak pojęcia, ile śmiertelności żelastwa po UPA zostało w lesie.

Chowali karabiny i granaty w załomach skalnych, w dziuplach, pod pniakami zwalonych drzew. Z nadzieją, że jeszcze po nie wrócą. Część broni tkwiła w skrytkach pod powałami ocalonych domów czy stodół, we wnękach przy studniach, w piwnicach. Nie było już w wysiedlonych wioskach ludzi ani zwierząt, zamarło zupełnie życie, ale pozostały namacalne, choć niewidoczne gołym okiem, ślady obecności ukraińskich partyzantów.

– Wszystkim się wydawało, że skoro przeciw UPA rzucono dwadzieścia tysięcy żołnierzy, to w proch rozbiją zbuntowanych Ukraińców, a rzecz wcale nie była taka łatwa – tłumaczy Józef Kopczyński, w latach czterdziestych milicjant w Baligrodzie, Łukawicy i Lesku. – Wprawdzie wygnano ludzi na Ziemię

Odzyskane, rozbito lub zmuszono do ucieczki wszystkie sotnie, ale dużo upowców i cywilów zdołało się ukryć. Trwali w tym bezsensie, ponieważ wierzyli, że wkrótce oblawy się skończą, a oni wrócą do swoich wsi i zaczną od nowa żyć jak gdyby nigdy nic. Nie pojmowali, że to niemożliwe, że nikt im nie odpuści. Bo jak jest winna, to musi być też kara.

Późnym latem 1948 roku na posterunek MO w Łukawicy przyszedł miejscowy sołtys. Zameldował komendantowi, że przyjął w domu ukraińskiego uciekiniera, którego do wyjścia z lasu zmusił głód. W kryjówce nad Łukawicą została jeszcze jego żona oraz inny mężczyzna.

– Po kwadransie wyprowadziłem od sołtysa owego człowieka. Po dość długim marszu zatrzymaliśmy się przed szalasem z gałęzi, mchu i liści. Towarzyszył mi tylko jeden milicjant, jednak miałem przekonanie, nie wiem skąd, że tamci są bezbronni. Krzyknąłem, żeby wyszli na zewnątrz z podniesionymi rękami. Po chwili wyszedł wynędzniały, brodaty chłop, ale kobieta nie chciała. Uległa dopiero po długich namowach. Kiedy ją zobaczyłem, opuściłem karabin i zrobiło mi się jej żal. Miała czterdzieści, może pięćdziesiąt lat, lecz zmęczenie, głód i brud wyraźnie ją postarzały. Stała chuda, przygarbiona i tak słaba, że musieliśmy ją podtrzymywać. Potem się okazało, że od tygodnia nic nie jadła, a wcześniej co kilka dni jakieś uzbierane w lesie rośliny. Ruszyliśmy w dół, do wioski. Kapral prowadził pod bronią mężczyzn, ja siedziałem przy kobiecie. Musiałem ją cały czas trzymać pod rękę, inaczej by upadła. Byliśmy w połowie drogi, gdy nagle jej mąż odbiegł parę metrów, schylił się i podniósł coś z ziemi. To trwało sekundy i było tak niespodziewane, że nie zdążyliśmy zareagować. Ukraińiec trzymał w dłoni poziomkę; podszedł

do żony i podał jej do ust. Na chwilę znieruchomieliśmy. Prowadziliśmy być może upowców, naszych wrogów, ale ten gest poruszył do głębi nasze serca.

Na posterunku daliśmy im jeść i pić. Kobieta zapytała, czy może się umyć. Zagrzałem wodę, nalałem do miednicy, podałem mydło i ręcznik. Nie mieliśmy parawanu, więc skleciłem dla niej prowizoryczne przepierzenie z koca i zasłony okiennej. Kaprał spisał dane i zeznania mężczyzny, ja czekałem na nią. Kiedy usiadła naprzeciw, jeszcze nic mnie nie tknęło, jednak po chwili, gdy się jej uważnie przyjrzałem, długopis wypadł mi z dłoni. Patrzyłem w oblicze najbliższej sąsiadki mojej siostry Michaliny, która mieszkała z dziećmi w tym samym baraku w Kołonicach, oddzielona od Ukrainki jedynie sienią. Jej mąż nie chciał iść do UPA, lecz wiedział, że prędzej czy później zostanie wcielony. I dlatego, jak twierdziła, uciekli z Kołonic wiosną 1946 roku. Ukryli się w lasach nad Łukawicą, choć nie zdołałem ustalić, w jaki sposób udało im się przetrwać tak długi czas, nie wpadając w ręce wojska ani banderowców. Tego samego dnia po przesłuchaniu odwieźliśmy zatrzymaną trójkę do MO w Lesku. Wtedy ostatni raz widziałem tę kobietę; mam nadzieję, że przeżyła.

– Gdybyś ty wiedział, jakie tu były dziwne relacje – wspomina dalej Kopczyński. – Ukrainiec wspierał polskich żołnierzy, a Polka siedziała przy sotni i dziergała dla *strilców* skarpety. I żeby tylko wtedy, kiedy byli silni. Nie, ona trwała z nimi na dobre i na złe, nawet rok po akcji „Wisła”. To było latem czterdziestego ósmego roku. Skończyłem służbę na posterunku MO w Lesku i pojechałem w prywatnych sprawach do Sanoka. Wysiadłem na dworcu, patrzę, a tam stoi Marysia, sąsiadka z Baligrodu. Co tam sąsiadka, moja

chrzestna, która trzymała mnie przed ołtarzem w kościele. Podniosłem rękę i krzyczę: „Nanaszka! Nanaszka!”*. Jak mnie dojrzała, spięła się i spieszyła. Stała odziana w szary drelich, przez ramię miała zarzuconą zwykłą wiejską torbę. Ja byłem w mundurze starszego sierżanta, komendanta milicji. Chciałem z nią porozmawiać, bo od dawna nie widzieliśmy się, a ona od razu: „No, weź, aresztuj mnie, aresztuj!”. Zdziwiony odparłem, że nie mam zamiaru jej aresztować, bo i za co? Poza tym jestem w Sanoku prywatnie. Pytam, co tu robi, gdzie mieszka, a ona mnie odciąga na bok, żeby ludzie nie słyszeli, i szepcze: „Józio, ja jest na Chryszczacie, w bunkrze-szpitaliku... Tam ranni, chorzy, przyjechałam do miasta po lekarstwa...”. „Że co? W jakim bunkrze, do ciężkiej cholery!”. „Józio, ty mi daj spokój, proszę...”. A potem nagle cium w policzek i wmieszała się w tłum. Moja chrzestna, nanaszka moja, Polka z UPA.

W rodzinie Marii było tak: mąż Ukrainiec, ale stronił od polityki i przyjaźnił się z Polakami. Zięć Marii, Ukrainiec nacjonalista, służył w baligrodzkiej *Ukrainische Hilfspolizei*. Synowie Marii: jednego wzięli do Armii Czerwonej, zginął na froncie; drugiego zabili na granicy słowackiej, gdy szmuglował trefny towar; trzeci w 1944 roku, po masakrze Polaków w Baligrodzie, uciekł do Ameryki. Nie miał ze zbrodnią nic wspólnego.

Maria została na Chryszczatej, a później podobno uciekła do córki na Ziemię Odzyskane. Jej męża i synową jeszcze w 1946 roku wysiedlono na Wschód.

Takie to pogmatwane losy.

* Matka chrzestna (ukr.).

Rozdział XII

Kim ty jesteś, Ukraińcu

Cztery lata po akcji „Wiśła” przesiedleńcy wciąż próbowali wracać. Niektórym się udawało. Innych zawracano – niekiedy prosto z dworców – i znowu odsyłano na północny zachód. 19 czerwca 1951 roku rząd w tajnym piśmie upominał urzędników wojewódzkich, powiatowych i gminnych, że źle pilnują zakazu wyjazdów Ukraińców w rodzinne strony. Ale już w kwietniu 1952 roku Biuro Polityczne KC PZPR przyjęło uchwałę, która zezwalała na ponowne osiedlenie wygnańców w górach, „z wyjątkiem elementów wyraźnie szkodliwych”. W zapisie dodano jednak: „Zezwolenia na wyjazdy powrotne ograniczyć do wyjątkowych wypadków i rygorystycznie przestrzegać podporządkowania się przepisom prawnym w wypadkach samowolnego opuszczania gospodarki na Ziemiach Zachodnich”.

Trzy lata później nadal umożliwiano powroty tylko w ograniczonym zakresie.

Z pisma Biura Społeczno-Administracyjnego Urzędu Rady Ministrów do Ministerstwa Kolei. 29 maja 1954 roku:

„W ostatnim czasie ilość Ukraińców opuszczających gospodarstwa i udających się do poprzedniego miejsca zamieszkania znacznie się wzmożło. Powrót Ukraińców z ZO (Ziem Odzyskanych) ułatwia m.in. fakt stosunkowo łatwego udzielenia zezwoleń przez władze kolejowe na przewóz taborem inwentarza żywego i martwego (...). URM prosi o wydanie zarządzenia odnośnym placówkom PKP, aby nie wydawały zezwoleń (...) osobom, które nie posiadają zaświadczeń (...) właściwej wojewódzkiej rady narodowej”.

Rok później władze straciły cierpliwość.

Fragment listu sekretariatu KC PZPR do komitetów wojewódzkich i powiatowych partii z czerwca 1955 roku: „Spowodować likwidację samowolnych powrotów ludności ukraińskiej do poprzednich miejsc zamieszkania (...). Komitety (...) województw lubelskiego i rzeszowskiego winny dopilnować, by prezydium rad narodowych w stosunku do osób, które powróciły po 30 czerwca 1952 r., powracając nadal i uporczywie domagają się zwrotu swych poprzednich gospodarstw, zajętych obecnie przez osadników, PGR-y, spółdzielnie produkcyjne (...) – ponownie je wysiedliły”.

Rząd uchylił jednak wypędzonym furtkę.

„Zalegalizować powroty po 30 czerwca 1952 r. na poprzednie gospodarstwa, o ile (...) te nie zostały (...) nikomu przydzielone”.

Ktoś miał szczęście, ktoś inny – nie. Być może nawet w tej samej osadzie, gdzie gospodarstwo od gospodarstwa dzieliło kilkaset metrów. Jakiś Stefan czy Michał znowu mógł wachać pył własnego podwórza, a jego dawny sąsiad nadal o tym marzył.

Z informacji w sprawie ludności ukraińskiej zachowanej w archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Maj 1956 roku:

„Osiedlenie się ludności ukraińskiej na Ziemiach Odzyskanych odbywało się w okresie, kiedy już lepsze gospodarstwa były rozdysponowane. W wielu wypadkach lokowano po kilka rodzin na jednym gospodarstwie (olsztyńskie, zielonogórskie). Sytuacja (...) jest dość trudna, np. w woj. olsztyńskim na 10 462 gospodarstw ukraińskich – ponad 3000 wymaga kapitalnego remontu, a 850 w ogóle nie nadaje się do użytku i wymaga natychmiastowej zamiany (...). Dotychczas nie zwiększono puli przydziału materiałów budowlanych i kredytów bezzwrotnych dla zainteresowanych województw. Te i inne trudności (...) są jedną z głównych przyczyn powracania wysiedlonych na poprzednie miejsce zamieszkania (...). Najwięcej powraca z woj. olsztyńskiego, gdzie sytuacja jest bodaj najcięższa. Np. w wielu miejscowościach powiatów: Morąg, Górowo Iławieckie, Reszel często kilka rodzin ukraińskich mieszka w jednym niezbyt dużym budynku. Dość często spotyka się, że rodzina chłopska 6–10 osobowa mieszka w jednym pokoju”.

I dalej: „Pojawienie się powracających na dawnym miejscu (...) wywołuje częste kłótnie, bijatyki i niepokój wśród osiedleńców. Niektórzy osiedleńcy pod wpływem ciągłych upomnień ze strony powracającego opuszczają swoje gospodarstwo i osiedlają się w miastach lub urządzają gospodarstwo na działkach przyzagrodowych spółdzielczych. Spośród powracających wielu nie pracuje i znajduje się w trudnych warunkach materialnych i mieszkaniowych. W województwie rzeszowskim Prezydium WRN w zasadzie nie toleruje samowolnych powrotów”.

W liście padają słowa o konieczności naprawienia krzywdy wyrządzonej Ukraińcom przez władze PRL (pomoc finansowa i rzeczowa), lecz także zdanie, że trzeba zniechęcać przesiedlonych do wyjazdów w Bieszczady czy Beskid Niski.

Z przemówienia ministra oświaty Witolda Jarosińskiego, przedstawiciela rządu i KC PZPR, na I zjeździe Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego (UTSK). Warszawa, 16 czerwca 1956 roku:

„(...) nasz rząd i partia apelują do ludności ukraińskiej, aby nie powracała na dawne tereny, gdyż przeważnie nie ma tam warunków do osiedlenia się. Stan faktyczny jest taki, że na podstawie naszych ustaw osadnicy zarówno na terenach wschodnich, jak i odzyskanych stali się pełnoprawnymi właścicielami użytkowanych gospodarstw (...). Państwo pójdzie z (...) pomocą tym (...), którzy nie mają odpowiednich warunków do prowadzenia gospodarki na Ziemiach Odzyskanych. Będzie udzielało bezzwrotnych funduszy na budowę domków mieszkalnych, remonty zagrod, zakup inwentarza”.

W kwietniu 1957 roku Sekretariat KC PZPR przyjął uchwałę w sprawie ukraińskiej mniejszości narodowej w PRL. Miała uregulować trudną kwestię powrotów Ukraińców i rodzin mieszanych na południowy wschód. Zapisano w niej między innymi możliwość ponownego osiedlenia się na opuszczonych przymusowo w 1947 roku gospodarstwach (włącznie z pomocą państwa), ale pod warunkiem, że pozostały one wolne, a chętni otrzymali pozwolenie Wojewódzkiej Rady Narodowej. Ten sam warunek dotyczył ziemi oraz pozwolenia na przewóz majątku kolejną. Całą akcję chciano zakończyć do 1960 roku.

Jednocześnie uchwała zobowiązywała premiera PRL do wydania zarządzenia zakazującego samowolnych powrotów. „Osobom, które samowolnie powróciły i objęły gospodarstwa, nie będzie udzielana (...) pomoc finansowa i materialowa”.

Zabroniono również „dewastowania i rozbierania wszelkich zabudowań poukraińskich. Powroty indywidualne i grupowe mogą odbywać się tylko za zezwoleniem władz, w ramach planowej akcji”.

12 marca 1958 roku Sejm PRL podjął jeszcze jedną uchwałę dotyczącą Ukraińców zasiedlonych na Ziemiach Zachodnich. Pozwolił im wracać w góry, ale z zastrzeżeniem, że kupią gospodarstwo wyłącznie za własne pieniądze. Państwo nie chciało już dokładać z budżetu do ukraińskiej mniejszości. Nieliczni z pomocą krewnych z zagranicy nabyli domy gotowe do zamieszkania bądź też wyremontowali zapuszczone. Niektórzy na gołej ziemi wybudowali się od nowa. Jedni i drudzy znowu byli w swoich siółach lub – znacznie częściej – w ich pobliżu. Inni – w przeliczeniu na tysiące – nie mieli na to najmniejszych szans.

Wcześniej południowo-wschodnie rubieże mieli zasiedlić Polacy. Szybko i tłumnie, jak prorokowała władza. Ale coś poszło nie po myśli.

Z pisma dowódcy GO „Wiśła” generała Stefana Mosora do sekretarzy PPR w Rzeszowie i Sanoku (wydanego jeszcze w dniu rozpoczęcia operacji, 28 kwietniu 1947 roku): „Nie leży w interesie państwa, aby teren

przesiedlony był zamieniony w pustynię (...). Postanowiono rodzin zakwalifikowanych jako element dodatni nie namawiać do wyjazdu na zachód, lecz postąpić z nim w sposób następujący:

1. Skupiać je w większe zgrupowania pod opieką wojska, a następnie wysłać do niżej podanych miejscowości, w których będą osiedlani jako zwarte wsie, zaopatrzone w ORMO i pozostające pod opieką wojska.
2. Zgrupowania te należy wysłać do miejsc przeznaczenia pod ochroną wojska, zapewniając im możliwości transportowe dla odstawienia na miejsce (...) możliwie największej ilości dobytku.
3. (...) należy zwozić do miejscowości osiedlenia środkami wojska (...) dobytek z pozostałości poukraińskich: zboże, kartofle, sprzęty domowe i część inwentarza.
4. Niżej podane miejscowości (...) mają być w pierwszym rzędzie opróżnione z Ukraińców.
5. Miejscowości do zasiedlenia (...): Komańcza (opiekę zapewni WOP), Bełchówka, Zawadka, Morochów, Mokre i rejon stacji kolejowej Kulaszne oraz Tarnawa, Olchowa, Hoczew, Ropienka, Wańkowa, Paszowa, Olszanica, Bezmiechowa, Monasterzec, Zasław, Bykowce, Olchowce, Liszna, Mrzyglód i Tyrawa Solna oraz rejon Baligrodu.
6. Około wymienionych miejscowości (...) będzie w najbliższym czasie coraz szerzej osadzana ludność z czysto polskich powiatów województwa rzeszowskiego”.

W dziesiątkach innych wsi i przysiółków miały zostać tylko kamienie.

Ze sprawozdania dowództwa GO „Wisła”. Rzeszów, 25 lipca 1947 roku:

„W związku z szeroką akcją ewakuacyjną powstał dodatkowy problem zasiedlenia terenów opróżnionych przez ludność ukraińską. Zadanie to, tak ważne dla całości gospodarki państwowej, musiało być wykonane możliwie jak najszybciej ze względu na konieczność zebrania zbóż i zagospodarowania tych terenów. Tymczasem miejscowy aparat administracyjny był za słaby (...), toteż akcja zasiedleńcza w początkowej fazie rozwijała się dość słabo (...). Obecnie akcja ta rozwija się coraz sprawniej (...). Dotychczas zasiedlono 1094 rodziny z innych powiatów woj. rzeszowskiego i dokonano przesiedlenia wewnętrznego 2231 rodzin. Razem zasiedlono (...) ponad 13 500 osób (...). Specjalne zagadnienie stanowi problem zasiedlania całkowicie opróżnionego pld.-wsch. cypla pow. Lesko. Teren ten winien być objęty planową akcją zasiedleńczą w ciągu przyszłego roku, po odliczeniu państwowych obszarów leśnych, ośrodków przemysłu drzewnego i kopalnianego (...). Winien działać tutaj specjalny baon operacyjny WOP. W przeciwnym razie obszar ten może stać się azylem dla resztek rozbitych band, błakających się jeszcze po naszym terenie, jak i przenikających ze Związku Radzieckiego i Czechosłowacji”.

Z tekstu w „Nowinach Rzeszowskich” z 29 września 1949 roku:

„W obecnej chwili na naszym terenie znajduje się do objęcia w pow. leskim – 704 wolnych gospodarstw, przemyskim – 605, gorlickim – 341, jarosławskim – 284, lubaczowskim – 237, sanockim – 223, jasielskim – 95 i krośnieńskim – 80. Na każde z wymienionych gospodarstw, w zależności

od gleby, przypada od 5 do 10 ha ziemi oraz kompleks zabudowań gospodarskich. Budynki wskutek wojny i dywersyjnej działalności band częściowo zostały uszkodzone i wymagają niewielkich remontów. W związku z tym każdy z przesiedleńców otrzymuje 50 tys. złotych bezzwrotnej zapomogi na remont zabudowań oraz 80 tys. złotych pożyczki zwrotnej na zakup konia lub krowy (...). Z dodatkowych kredytów otrzymuje pożyczkę na nasiona, nawozy sztuczne i orkę, jak również korzysta z ulg podatkowych”.

Fragment informacji zamieszczonej w „Nowinach Rzeszowskich” 24 października 1949 roku:

„Na czoło zagadnień natury gospodarczej powiatów sanockiego i leskiego wysuwa się jeszcze nadal problem osiedleńczy. Oba te powiaty w czasie dywersyjnej działalności band upowskich przerzuciły dużą ilość ludności na osiedlenie Ziemi Odzyskanych, wskutek czego sam powiat leski w roku 1947 miał do objęcia blisko 2000 gospodarstw, zaś powiat sanocki około 1000. Natychmiast po uspokojeniu terenów przystąpiono do akcji osiedleńczej, ściągając przede wszystkim byłych robotników folwarcznych i chłopów bezrolnych z woj. krakowskiego. Z powiatów limanowskiego, sądeckiego, tarnowskiego i myślenickiego napłynęli wkrótce nowi osiedleńcy w łącznej liczbie 13 318 osób i inwentarza żywego 1032 sztuk (...). Rzeczowa propaganda skłoni (...) jeszcze wielu rolników do przeniesienia się na tereny pow. sanockiego czy leskiego”.

28 czerwca 1956 roku „Nowiny Rzeszowskie” donosiły:

„Jak wygląda sytuacja ekonomiczna powiatu leskiego? Jest to obszar zamieszkały przez 17 157 mieszkańców,

z czego 1847 osób w Lesku. Gęstość zaludnienia średnia na 1 km kwadr. – 16 mieszkańców, na południu i wschodzie nie przekracza 8 mieszkańców. Przed wojną wynosiła na 1 km kwadr. 60,9 mieszkańca (...). W powiecie leskim istnieje obecnie 38 miejscowości niezamieszanych. Ten niski stan ludnościowy jest poważnym czynnikiem zahamowania rozwoju gospodarczego”.

Z artykułu w „Nowinach Rzeszowskich” z 27 września 1956 roku:

„Do końca bieżącego roku będzie można osiedlić w woj. rzeszowskim około tysiąca rodzin ukraińskich, z czego blisko połowę w pow. gorlickim. Szereg podań Ukraińców o pozwolenie na powrót nie można było uwzględnić, ponieważ ich dawne gospodarstwa zajmują już osadnicy i nie podlegają one zwrotowi. Zasiedlanie ziem południowych ma przebieg planowy i zorganizowany, a zatem wyklucza się wszelkie powroty »na dziko« i zajmowanie ziemi samowolnie według upodobań, jak również »dzikie« budownictwo zagród (...). Nie odtwarza się absolutnie wsi starych, tylko urządza nowe osady rolnicze (...), liczą od 10 do 15 ha i mają charakter wyraźnie hodowlany. Niektóre osiedlające się rodziny ukraińskie utrudniają pracę komisji do spraw rejonizacji osadnictwa. Nie wykazują bowiem chęci do obejmowania całych gospodarstw, starają się je rozdrabniać i chcą tworzyć znowu gospodarstwa karłowate (...). Tolerować tego się nie będzie, powrócić będą mogli jedynie ci, którzy zagospodarują całą gospodarkę wskazaną przez fachowców (...). W 1958 r. zakończona już zostanie akcja osiedleńcza w pow. gorlickim, natomiast będzie nadal w pozostałych – tzn. ustrzyckim, sanockim i leskim”.

7 marca 1957 roku „Nowiny Rzeszowskie” pisały:

„Kilka słów o powtarzających się raz po raz »wizytach« wysiedlonych niegdyś z Podkarpacia Ukraińców. Sprawa jest przesądzona – państwo nie zgodzi się na jakiegokolwiek przejawy awanturnictwa ze strony tych »wizytatorów«. Obawy wśród osadników, jakie dają się ostatnio odczuć na Podkarpaciu, są więc nieuzasadnione. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zajęło (...) wyraźne stanowisko. Obecnie za fakty tolerowania wypadków łamania praworządności w tym zakresie wina spada na odpowiednie organa władzy terenowej”.

Protokół posiedzenia Kolegium MSW w Warszawie z 5 czerwca 1956 roku:

„Informacja w sprawie ludności ukraińskiej.

Towarzysz Hübner: – W latach 1944–1946 i 1947 władza na terenach objętych (...) akcją »W« należała faktycznie do band UPA. Mieliśmy pełne prawo i obowiązek walczyć z tą kontrrewolucją przy pomocy wojsk regularnych. W walce tej wydawane były bezwzględne dyrektywy dotyczące ludności cywilnej, które spowodowały, że cała ludność czynnie popierała bandy. W tych warunkach nie istniała praktycznie możliwość likwidacji band bez równoczesnego wysiedlenia ludności. (...) Były wypadki występowania niektórych komunistów przeciwko bezwzględny, krzywdzącym ludność cywilną dyrektywom, ale nie było sprzeciwu wobec akcji »W« jako takiej. Popelniliśmy ogromny błąd w stosunku do ludności ukraińskiej, stosując przeciw niej ostre represje. Akcja »W« była ostatecznym wynikiem tego błędu. Oceniamy nasze stanowisko w tych sprawach jako niesłuszne i niesprawiedliwe, niezgodne z naszą ideologią, ale sama ocena

nie usprawiedliwia naszych potwornych błędów. Konieczna jest pełna rehabilitacja i zdanie rachunku z tego, co było.

(...) zorganizowanie gremialnego powrotu [Ukraińców] jest praktycznie niemożliwe, ale (...) w każdym poszczególnym przypadku Partia i rząd uczynią wszystko, co będzie możliwe do zrobienia. Uważam, że problem krzywd popełnionych rozwiązać należy nie tylko poprzez powrót, ale przez udzielenie maksymalnej pomocy i opieki wszystkim tym, którzy czują się pokrzywdzeni.

Towarzysz Sosna: – Znane mi są nastroje panujące wśród wysiedlonej ludności ukraińskiej. Dla nich najważniejszą sprawą jest dyskryminacja w akcji »W«. Powszechne jest pragnienie zmycia piętna, które ciąży nad nimi od chwili wysiedlenia. Dopóki Partia nasza nie powie, że akcja »W« była niesłuszna, dotąd w praktyce nie ustanie dyskryminacja.

Towarzysz Nakoniecznik: – Do niedawna tendencje powrotu wśród wysiedlonych były silne, ale istniały dlatego, że władze miejscowe źle traktowały wysiedlonych. Oznaczanie budynków mieszkalnych wysiedlonych literą »W«, niedopuszczanie Ukraińców do udziału w życiu gospodarczym i społecznym stwarzały wzajemne antagonizmy.

Towarzysz Fijałek: – (...) ocena tych zagadnień oznacza pełną rehabilitację ludności ukraińskiej. Uważam, że (...) jest na to za wcześnie. Do sprawy tej trzeba podejść ostrożnie. Trzeba wykazać błędy Ukraińców i nasze. Nie można rehabilitować wszystkich bez względu na to, czy byli winni, czy też nie. Oznaczałoby to przyjęcie całej winy na siebie”.

Rozdział XIII

Krzew dzikiego bzu

W 1956 roku rząd już oficjalnie i bez tworzenia sztucznych przeszkód pozwalał wygnańcom z akcji „Wisła” wracać w Bieszczady, choć nie godził się na to, by osiedlać dawnych mieszkańców w ich rodzinnych wioskach. Czasami dlatego, że były niemal odcięte od świata. Przez blisko dziesięć lat zdążyły zdziczeć, a lokalni urzędnicy nie zaplanowali w nich nowego osadnictwa. Miały pozostać miejscami pozbawionymi pamięci – zasłoniętymi przez łopiany, oplecionymi przez tarninę.

Stefan Wiślocki:

– Tak się przyzwyczaiłem do płaskiego Ciechnowa, że z wolna zapominałem górzystą Rakową. Pewnie, czasami jeszcze ktoś splunął na mój widok, napyskował, ale tak ogólnie żyło się coraz lepiej. Żona, dzieci, normalność. Aż któregoś dnia przyszedł do mnie teść. „Słyszałeś? Nasi odjeżdżają na swoje. Pakują konie, krowy, toboły i odjeżdżają”. „A po jaką cholerę? Toż tam wszystko spalone. Albo zajęte przez obcych”. „Nie wszystko. Rusz tyłek i się rozeznaj”.

Ruszyłem. Z dworca w Koszalinie poszedłem prosto do urzędu wojewódzkiego. Jakiś gryziپیۆrek zapytał mnie, dlaczego chcę wracać w Bieszczady. Co za pytanie! Bo ziemia rodzinna, dzieciństwo, wspomnienia. „A kto prócz ciebie jeszcze chce?”. „Jak to kto? Żona, szwagier, teść. Wszystkie Wisłockie i Hawileje”.

Urzędnik kazał napisać podanie, a potem czekać na decyzję. Podobną prośbę o pozwolenie na przenosiny w Rzeszowskie skleił jeszcze mój kolega Wasyl. Musiał zaznaczyć, że służył w UPA, został skazany i odsiedział wyrok. On miał największe wątpliwości, czy mu pozwolą wyjechać, a jednak pozwolili.

Jeszcze nie wzięliśmy wszystkiego. Na razie wyruszyliśmy na rekonesans. Zobaczyć, czy warto. Po długiej podróży wieczór zastał nas na stacji kolejowej w Ustrzykach Dolnych. Chcieliśmy do rana przekimać na ławkach w poczekalni, lecz zaraz pogonili nas sokiści. Warczeli, że stacja to nie hotel. Na szczęście był jeszcze ostatni pociąg do Zagórza, to wsiedliśmy. Potem chodziliśmy trochę po miasteczku, aż na obrzeżach, za mostem na Osławie, dostrzegliśmy kopki siana. Tam spędziliśmy pierwszą bieszczadzką noc od dziecięciu lat. Przy chlebie i wódce.

Rankiem Wasyl, ja i teść poszliśmy w kierunku Baligrodu. Próbowaliśmy łapać okazję, ale nie zatrzymał się ani jeden samochód. Po krótkim odpoczynku na skwerze, na którym stał czołg, ruszyliśmy do Cisnej. W Jabłonkach spojrzeliśmy na pomnik postawiony Świerczewskiemu, jeszcze ten pierwszy, mały. Chyba często ktoś tam przychodził, bo w wazonach stały świeże kwiaty. Pierwszy raz zobaczyliśmy miejsce, w którym UPA urządziła zasadzkę na „Waltera”. Nie zastanawialiśmy się, jak to mogło być i w którym konkretnie

miejscu zginął generał, ale targało nami przedziwne uczucie ciekawości zmieszanej z niepokojem.

Minęliśmy stary cmentarz, zachwaszczony, z przewróconymi tu i ówdzie kamiennymi nagrobkami. Ze starej zabudowy nie było zupełnie nic, a po cerkwi została tylko podmurówka. Podobno świątynię rozebrano kilka tygodni wcześniej... Swoją drogą ciekawe, kto i co z tego drewna potem zbudował.

Cisna była już dość zagospodarowana, budowano kolejkę wąskotorową, działały sklepy, szkoła, schronisko. Ale tylko wypiliśmy piwo w kiosku spożywczym i poszliśmy do Wetliny. Znowu kolejne kilkanaście kilometrów. Na rogatkach zatrzymali nas wopiści. Pytali, skąd jesteśmy i czego tu szukamy. Gdy odparliśmy, że przyjechaliliśmy odwiedzić rodzinne strony, byli zdziwieni, a nawet nieco podejrzliwi. Jednak po sprawdzeniu dowodów i tych papierów z województwa życzyli powodzenia.

Hawilej koniecznie chciał iść do Mucznego, ale to był jeszcze kawał drogi. Znowu Wasyl się rozmarzył, żeby zobaczyć Zawój. Moja Rakowa leżała po innej stronie i na razie nie zaprzątałem sobie nią głowy. Przez Połoninę Wetlińską chcieliśmy pójść skrótem w kierunku Zatwarnicy, lecz w ciągu dekady od przesiedleń przyroda tak wiele zmieniła, że nawet Wasyl, który dobrze poznał ten teren, zaczął się gubić. Ostatecznie udało nam się zejść grubym lasem aż do Suchych Rzek. Nie było tam nic oprócz parterowego hotelu dla robotników leśnych. Któryś z nich powiedział nam, że jak chcemy się nająć do roboty, to musimy znaleźć leśniczego z Zatwarnicy. Godzinę później stanęliśmy przed jego obliczem. Gdy się dowiedział, że jesteśmy Ukraińcami, odmówił zatrudnienia. No to poszliśmy do Dwernika. Tamtejszy

leśniczy okazał się bardziej wyrozumiały, dał nawet kwatery w leśniczówce.

Moje klamoty, zwierzęta jechały z Pomorza wagonami przeszło tydzień. Aż do Ustrzyk. Tam wynająłem dwa stare skrzyniowe i na raty zwoziłem dobytek do Dwernika. W tym czasie utwardzona droga sięgała tylko do Czarnej, dalej w głąb gór makabra, dlatego kierowcy strasznie się wściekali. Mimo to przewieźli mi wszystko co do garnka.

Nie szukaliśmy z nikim zwady, ale któregoś dnia wchodzimy z Wasylem i szwagrem na podwórze leśniczówki, a tam górale z siekierami. „Kurwa wasza ukraińska mać, wypierdalać!”.

Na to szwagier też podniósł siekierę i do nich: „Siadać na dupie, i to już!”.

I wtedy nadszedł leśniczy. Wrzasnął, że ma być spokój, a jeśli nie, to wszystkich wywali z roboty. Zrozumieliśmy, że dla własnego bezpieczeństwa będziemy musieli poszukać innego miejsca do spania.

Pracowaliśmy w lesie ręcznymi pilami. Cholernie ciężkie zajęcie, za to nieźle płatne. Żeby uciąć dużą jodłę, trzeba się było namachać. W przód i w tył, moja-twoja, setki razy. Sześć dni w tygodniu od rana do zmierzchu. Pewnego dnia jednak wzięliśmy wolne i poszliśmy do Lutowisk, żeby się zameldować. Urzędniczka w gminie rozdziawiła gębę. Zaczęła dukać, że nic nie wie, że kto pozwolił, że nie wolno. Wróciliśmy z niczym, ale zaraz potem postanowiliśmy, że pojedziemy ze skargą do Warszawy. Najpierw do redakcji „Naszego Słowa”, ukraińskiej gazety, a potem – jeśli za pośrednictwem dziennikarzy nic nie wskóramy – do rządu. Przed wyjazdem sam poszedłem do gminy i zażądałem pisma z pieczętą, dlaczego nie mogą meldować Ukraińców.

Dostałem taki świstek. Do stolicy pojechał z nami zaprzyjaźniony Polak z Dwernika. Chciał osobiście potwierdzić, że jesteśmy w porządku. W „Naszym Słowie” od razu zrobił się szum; rozzwoniły się telefony po urzędach i niemal natychmiast odwrotną drogą nas zapewniono, że wszystko będzie pozytywnie załatwione. Trzy dni później w Lutowskach bez najmniejszych kłopotów wpisano nam meldunek w dowodach.

Tyle że Ukrainiec wciąż był kimś podejrzanym. Leśniczy nieustannie nas sprawdzał, podsłuchiwał, nasyłał ubeków. Byliśmy pod ciągłą obserwacją. Kiedyś nie wytrzymałem i zapytałem jednego tajniaka: „Po cholere ciągle za nami łazicie?”. „Żeby nie przyszło wam do łbów znowu bandy zakładać!”.

Anna Kucyj:

– Postanowiłam wrócić w Bieszczady w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym. Nie od razu z przekonaniem, że na stałe. Miałam się rozejrzeć, zobaczyć, jak żyją inni, i dopiero wtedy zdecydować. Mój rodzinny dom w Bereżkach nie istniał, ale w okolicy na gruzach starych wsi powstawały nowe. Pojechałam razem z Hawilejową, teściową Stefana Wiślockiego, i jeszcze kilkoma osobami. Z Ustrzyk Dolnych najpierw piechotą, a potem okazją dotarliśmy do Stuposian. Najęliśmy się do pracy przy koszeniu łąk w miejscowym nadleśnictwie. Mieszkaliśmy w baraku dla robotników nad potokiem Wołosatym, do którego chodziłam prać ubrania i pościel. Kamieniste dno rzeki tworzyły lokalnie szare skały, na tyle miękkie, że można było odłamywać fragmenty i stosować jako naturalne mydło. Ołówkowy kamień doskonale się pienił i skutecznie niszczył brud.

Stuposiany dopiero powstawały z powojennej nicości. Wzdłuż drogi wzniesiono kilka domów, planowano kolejne, lecz Ukraińców nie chciano meldować. A jak żyć i pracować bez meldunku? Ten sam problem dotyczył innych miejscowości, do których wracali wysiedleni w akcji „Wiśła”. Wszyscy myśleli, że to chwilowy kaprys władzy, i wszyscy byli w błędzie. Tu, na miejscu, nikt nie chciał Ukraińców. Byliśmy wciąż niegodni zaufania, gorsi od Polaków. Może potrzebni przez chwilę do pomocy, ale nie na dłużej.

Bereżki leżały od Stuposian niespełna dziesięć kilometrów, a jednak bałam się tam pójść, przynajmniej w pierwszych tygodniach. Zachowałam w sobie obraz palonej wsi i miałam świadomość, że nie zobaczę nic oprócz zarośniętych resztek zniszczonej zabudowy. Z drugiej strony bardzo mnie tam ciągnęło; chciałam znowu stanąć na swoim podwórzu, odwiedzić cmentarz, nawąchać się tamtego powietrza, choć było ono identyczne jak w Stuposianach. I chciałam o tym opowiedzieć mamie, która została na północy. Nie odważyła się pojechać ze mną – jakby w obawie, że rozdrapie stare rany; że zaczną ją boleć jeszcze bardziej, a ona nie będzie umiała temu bólowi zaradzić.

Przez Stuposiany biegła wcześniej bita droga. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku zaczęto ją utwardzać kamieniem. Robotnicy wozili furami glazy z potoku Wołosatego i pobliskiego Sanu. Któregoś dnia na tej drodze poznałam swego przyszłego męża. Miałam dwadzieścia lat i tak się zakochałam, że już nie chciałam wracać w Koszałińskie. Napisałam do braci i mamy, że zostaję, a rok później już wszyscy byliśmy w Bieszczadach. Wysłałam za męża i zamieszkałam z wybrankiem w jednym pokoju leśniczówki w Dwerniku. Gdy w pobliskim Chmielu zaczęli się osiedlać Ukraińcy, dołączyliśmy do nich.

Chyba w pięćdziesiątym ósmym, jeszcze przed ślubem, pojechałam z Wasylem do Bereżek. Rozglądałam się, a wszędzie krzaki, las. I jak znaleźć swój kawałek, poznać, gdzie był dom, stodoła, wujkowa stolarnia? Wtedy przyszedł mi na myśl chrzestny mojej mamy, wróżbita-jasnowidz, który wcześniej przepowiedział nam wojnę, wygnanie, poniewierkę. Oraz to, że po czarnych dniach przyjdą jasne i że w miejscu mojego rodzinnego domu, na ruinach pieca wyrośnie krzew bzu. Po dziesięciu latach nie było śladu po podwórzu i nawet potok Zwór płynął jakoś inaczej. Zaczęłam szukać tego bzu, lecz nagle przypomniała mi się nasza jabłoń. Jej gałęzie kiedyś niemal dotykały okien domu, ale przy wysiedlaniu Bereżek liznął ją ogień, więc mogła nie przetrwać. W pewnej chwili Wasyl wypatrzył jabłonkę między chwastami, zerwał owoc i mi go podał. Ugryzłam i wyplulałam. Był kwaśno-cierpki, nie smakował jak jabłka z tamtego zapamiętanego drzewa. Dalej w gęszcz już nie poszłam, bo byłam w klapkach i obawiałam się żmij, za to poszedł narzeczony. Gumiaki dobrze chroniły jego nogi przed gadami i pokrzywami. Kiedy tak stałam, przed oczami zamajaczyły mi białe róże. Widziałam je tylko w wyobraźni, lecz dobrze pamiętałam, że rosły w przydomowym ogrodzie. Z lekkiego wzniesienia dostrzegłam pozostałości dawnej wsi – resztki spróchniałych płotów, kamienie, belki, cegły. Po paru minutach z zamyślenia wyrwał mnie Wasyl. Coś mówił, szedł do mnie i trzymał w ręce białą różę. Taki mnie wtedy ogarnął strach, że chciałam uciekać. Nie wiem dlaczego, nigdy tego nie pojęłam. A on, mój ukochany, stał jeszcze i rwał z leszczyny orzechy; rwał i napychał nimi kieszenie, jakby chciał ich nazbierać na zapas.

Potem zeszliśmy niżej, prawie nad potok. Stał tam niewielki żeliwny krzyż, który widywałam w dzieciństwie.

Nie wiem, jakim sposobem ocalał, ale poczułam się nagle bezpiecznie. Wiedziałam, że jestem na działce naszych sąsiadów, bo tylko u nich był taki krzyż. A my mieszkaliśmy nieco wyżej. Dopiero wtedy zrozumiałam, że to jabłko było z nadpalonej jabłoni, tylko straciło słodycz, a róża z naszego ogrodu. Nie znalazłam jedynie krzaku bzu, ale może źle szukałam.

Rok później do Bereżek pojechała mama. Też zrazu nie poznała miejsca i też, kiedy weszła między róże, sparaliżował ją strach. Jakby znowu miało się wydarzyć coś złego.

Katarzyna Bereżańska:

– Najpierw w prasie i w radiu trąbiono, że w Bieszczadach na osadników czeka ziemia. Hektary nieruszonej od lat ziemi. I że jest też huk roboty w lesie. No więc trąbiono, żeby jechać w pojedynkę i rodzinami i osadzać się w górach. A państwo we wszystkim pomoże. Ale to się tyczyło Polaków, o Ukraińcach jeszcze nie wspomniano. Dopiero kiedy władza zobaczyła, że wcale tak dużo ludzi do życia w górach się nie garnie, pozwoliła wracać tutejszym z dziada pradziada. Tylko że dwie rzeczy odstraszały: lęk przed tym, że to podpucha i będą zamykać w więzieniach, oraz perspektywa uciążliwej podróży – z bydlęm, końmi, wozami, skrzyniami, zbożem. Myśmy już to przeszli i strasznie nie chcieliśmy powtarzać tego doświadczenia. Z drugiej jednak strony wielu pragnęło znowu siał i orać na *batkiwuszczynie*.

W głowie roily się pytania i wątpliwości: dadzą dom czy nie? Może trzeba będzie zamieszkać w ziemiance? Albo kątem u kogoś za opłatą? No i jak dużo tego pola? Tyle co wcześniej, do metra, czy tylko okrawek? Ot, żeby posadzić kartofle, cebulę?

Narada pierwsza, druga, jeszcze jedna. Chłopy uradziły, że trzeba jechać, ale ja nie bardzo chciałam. Już mi się w Słuchowie zaczęło podobać, wyszłam za męża, urodziłam dzieci, zaczęłam zapuszczać korzenie. Ale chłopy gadali swoje – że człowiek powinien żyć tam, gdzie przyszedł na świat.

Najpierw pojechali tato i brat. Zawój wyglądał jak dzungla. Jeden las, jeden chwast. Zakaz osiedlania. Poszli na cmentarz, chwilę postali i zawrócili. Pierwszą noc spędzili pod gołym niebem, tak samo jak pierwszą noc po wysiedleniu. Ojciec przypominał sobie o tym i potem często powtarzał. Uznał to za coś symbolicznego. Jakby ta wiosenna noc tysięcy dziewięćset czterdziestego siódmego roku była pożegnaniem i jednocześnie obietnicą powrotu.

W pięćdziesiątym dziewiątym mój ślubny postanowił, że i nam czas wracać, choć niektórzy przestrzegali. Mówili, żeby nie jechać, bo Polacy będą do nas strzelać jak do kaczek. Jak Boga kocham, właśnie tak mówili.

Chmiela nie znałam. Tę wioskę wysiedlono nie w akcji „Wisła”, lecz w tysięcy dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku, gdy należała do Związku Radzieckiego. Kiedy oddano ją Polsce, sprowadzono osadników zza Bugu i z Krakowskiego. Ukraińskie rodziny zajęły stare chałupy pod Otrytem. Prawie nie nadawały się do kwaterunku, były zrujnowane i ograbione, ale kto by śmiał narzekać? Jeszcze władza się obrazi i znowu wypędzi? Górale zamieszkali w centrum wsi. Przywieźli dużo owiec i wypasali na łąkach przy Sanie. A nasi poszli rąbać las i zwozić drzewa. W lesie było mnóstwo pracy, lecz nie każdy się nadawał. Zdechłak by sobie na tych skarpach nie poradził.

Jedni Polacy nam sprzyjali, inni gadali, że od nowa chcemy budować w Bieszczadach Ukrainę. Przez pierwsze lata

siedzieliśmy jak na beczce prochu – z lękiem, że nas pobiją, podpalą. Jeśli nie górale, to jacyś inni, dla których byliśmy banderowcami. Milicjanci zachodzili do naszych domów tak, jakby ciągle czegoś szukali. I nieustannie zadawali pytania: co robimy, dokąd chodzimy, z kim się spotykamy. Wszystkie listy do Ukraińców przechodziły przez milicyjne łapy. Listonosz musiał od razu nieść je na posterunek, a dopiero później do adresatów. Najgorzej, gdy list przychodził z zagranicy, z Anglii czy Ameryki. Wtedy taki ktoś był już pod specjalnym nadzorem. Ile tam dolarów w tych listach przepadło, ho, ho! I weź udowodnij, że ukradli na pocztę albo na MO. A że kradli, to pewnie!

Panie kochany, co to były za wredne czasy. Jak Polak dał komuś po gębie, to tylko uderzył. Ale jak Ukraińiec – na pewno chciał zabić. Kiedyś syn pobił się z polskim sąsiadem, ten pobiegł na milicję, a ta zawiadomiła prokuraturę. Aresztowali mi chłopaka, to pojechałam do Ustrzyk go bronić. Mówię prokuratorowi, że syn może niewinny i że chcę podać mu paczkę, a ten do mnie: „Ludowa władza nie pozwoli, żeby ukraińscy bandyci napadali na Polaków! Ja wytępię wszystko, co ukraińskie!”. Tak wrzeszczał, aż się skuliłam i z płaczem poszłam na pekaes. Ale potem narobiłam takiego szumu, że się Ustrzyki zatrzęsły. Trzy dni później prokurator sam do mnie zapukał. Wy tłumaczył, że mu nerwy puściły, i poprosił, żebym już nigdzie się nie skarżyła. Co miałam zrobić? Przebaczyłam.

W centrum wsi stała drewniana cerkiew. Dawniej miejscowi się nią szczycili, lecz teraz jej wrota były rozdarte, okna wybite, dach podziurawiony. W środku pegeerowcy składowali obornik, krzyż utopili w gnoju po ramiona. Moja siostra okropnie przez to płakała. Aż kiedyś zebrała się na odwagę i potajemnie wzięła ten krzyż do domu.

Cerkiew była nieustannie bezczeszczona. Nie dość, że prawie nic nie ocalało z wyposażenia, to jeszcze i te resztki zdzierano. A pewnej nocy ktoś podłożył ogień. Gdyby nie leśniczy, który mieszkał naprzeciwko, zostałby tylko popiół. Potem strażacy stwierdzili, że świątynię specjalnie obłano benzyną.

Mogliśmy się modlić nawet w ruinie, ale nie mieliśmy pozwolenia. To już nie była cerkiew dla grekokatolików, tylko pozbawiony funkcji sakralnej obiekt państwowy. Z konieczności jeździliśmy do kościoła w Lutowskach, trzynaście kilometrów, lecz po czasie uznaliśmy, że trzeba odzyskać cerkiewkę. To już było w latach sześćdziesiątych, chodziliśmy po ukraińskich domach za podpisami. Do Polaków nie wstępowaliśmy, chociaż niektórzy nie mieli nic przeciwko. A jednak znalazł się jakiś podlec, bo przyszła milicja i tę listę nam zabrała. Pomógł ją odzyskać proboszcz z Lutowsk. Pojechał do biskupa, a biskup przekonał partię. Wprawdzie zrobiono z cerkwi kościół, ale nam to nie przeszkadzało. Na najbliższe Zielone Świątki obeszłam cerkiew, zamailam młodą laską leszczyny i posadziłam przy ścianie. Rosta tam wiele lat, do czasu kolejnego remontu, kiedy z jakichś powodów ją wycięto. Miałam pamiątkę i nie mam pamiątki. Takie to życie.

Wszystko przez wysiedlenia się wywróciło. Dawniej umiałam pisać tylko po ukraińsku, a dzisiaj tylko po polsku. Zapomniałam cyrylicę.

Paulina Smarkucka:

– Odkąd mi lekarz oznajmił, że gdy zostanę na północy, to prędko umrę, już tylko czekałam na dzień wyjazdu. Ale to jeszcze potrwało, długie miesiące. Janek, mój ślubny, wciąż dochodził do siebie po obozie w Jaworznie, musieliśmy jakoś ogarnąć ziemię. Głupio było zostawiać coś w połowie

zrobione. Nasi następcy mieliby pretensje, uznaliby nas za dziadów, a nie gospodarzy.

Wcześniej pojechał ojciec. Napisał, że zatrudnił się w pegeerze w Serednicy i zamieszkał w Romanowej Woli, na dodatek w rodzinnym domu. Nie mogłam uwierzyć, że ocalał, bo przecież przy wysiedleniach zwykle palono zabudowę. Od tego dnia nie mogłam już spokojnie usiedzieć. Aż pewnego razu pożegnaliśmy sąsiadów i ruszyliśmy pociągiem z Karlina na południe. Z krowami, meblami i trzynastoma ulami. Te ule były najcenniejsze, dały początek naszej pasiece, dumie Smarkuckich.

Pociąg stanął na dłużej w Krakowie. Wsiadłam i zdało mi się, że nie oddycham. Moje płuca nagle zrobiły się tak lekkie, że mogłabym wracać do domu nawet pieszo. Potem stałam przy oknie i oglądałam umykający wraz z pędem pociągu krajobraz. Z każdym kilometrem coraz bardziej przypominał ten zapamiętany przed laty. Potem zobaczyłam napis Zagórz. Stąd do Romanowej Woli został kawałek. Jeszcze Lesko, parę wsi i koniec. Ale to już wynajętym autem z dużą paką. Siedziałam z dziećmi w sfoferce, a Janek między gratami pod plandeką. Mijaliśmy kolejne miejscowości; uśmiechałam się, rozmawiałam z sfoferem, ale kiedy wjechaliśmy do Olszanicy, wszystko przeszłe stanęło mi przed oczami: plac ogrodzony drutami, tłum przerażonych ludzi, rżenie koni, pokrzykiwania żołnierzy. I ten pociąg, do którego nas wtedy wsadzono.

Tato wybiegł na podwórze, wnuki rzuciły mu się na szyję, a ja z emocji nie mogłam się ruszyć. Dopiero po chwili mąż wyrwał mnie z odrętwienia. Nasz dom wyglądał strasznie. Gnój sięgał okien, w jednym zamiast szyby była dykta. Spojrzałam na ojca, a on do mnie: „Nie chciałem ci o tym pisać”. Wyszło, że poprzednicy, którzy osiedli tu po nas, nic nie

robili, bo już się budowali gdzie indziej. I tak zapuścili tę chałupę, ledwie piętnastoletnią. Krytą słomą, ale przytulną. Kiedyś przed wejściem było równo, teraz widniały doły po kolana, jakby ktoś – cholera wie po co – przekopał podwórze i nie chciało mu się po sobie posprzątać.

Nie mieliśmy szczęścia. Jeszcze w Rymaniu odwiedził nas stryjek z Wańkowej. Został świadkiem Jehowy, chodził w garniturze i wszystkim prawił kazania. Powiedział, że zanim wrócimy, znajdzie nam dobrą chatę, tylko musimy dać pieniądze. Tato nie pożalował grosza, a stryj, owszem, dom załatwił, ale dla siebie. W połowie murowany, pod blachą. Pożydowski. I już pieniędzy nie oddał.

Dwa tygodnie nam zeszło, zanim wywieźliśmy gnój i wyrównali obejście koło rodzinnej chałupy. Dało się mieszkać, jednak nie tak jak przedtem. Kiedy parę lat później w Bieszczady zdecydował się wrócić mój brat z żoną i mamą, odstąpiliśmy im to lokum, a sami przenieśliśmy się do Dźwiniacza. I znowu miesiącami wychodziliśmy z ruiny, ze zniszczonego gospodarstwa. Ręce sobie po łokcie urabiałam. Łopata, taczki, wiadra i tak w kółko. Wtedy przez chwilę pożalowałam Rymania. No, ale astma...

Dźwiniacz był wtedy zasiedlony przez samych Polaków, różnych przyjezdnych, a my byliśmy z Jankiem trochę polscy i trochę ukraińscy. Sądziłam, że nikomu nie przeszkadzamy, ale pewnego razu zaczepił mnie jeden chłop. „Jak zechcę, to cię sprzątnę i nic mi nie zrobią, kurwa twoja ukraińska mać”. Nie darowałam. Pojechałam na skargę do partii w Ustrzykach, a tam mi poradzili, żebym założyła sprawę w sądzie. Dwóch świadków miałam, to podałam bydlaka. A zanim jeszcze dostał wezwanie, znowu mnie zwyzywał. Szłam drogą i kiedy mnie zobaczył, zaczął się wydzierać:

„Przepadła Ukraina, ten chamski ród, zwyciężył orzeł biały i polski lud!”. Pijany był, ale czy to wytłumaczenie? Sędzia zasolił mu grzywnę, to się trochę uspokoił. Kiedyś spotkał mnie na zabawie i przeprosił. Wyznał, że nie wie, co mu się wtedy stało. Więcej mnie nie zaczepiał, za to mężowi różni ludzie wypominali Jaworzno, ten przeklęty obóz. Że skoro w nim siedział, to na pewno zasłużył. A ja wiem, że tam wsadzali również niewinnych!

Gdy dzieci trochę podrosły i urodziłam kolejną dwójkę, przenieśliśmy się do Ustrzyk Dolnych. Mąż wypatrzył niewielki domek z działką i już zostaliśmy. Razem z ulami, z pszczołami. Rok w rok zbieraliśmy setki litrów miodu i ktoś może powiedzieć, że życie nam miodem płynęło. Ale co myśmy przeszli, tego psu nie życzę.

Maria Piekutowska:

– Przyjechałam do Seredniego Wielkiego w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku. Mąż wprowadzie namawiał na Lubelskie, lecz trochę się bałam. Tam było jeszcze biedniej niż w Bieszczadach, a miejscowi nie cierpieli Ukraińców. Może nigdy nie zdecydowalibyśmy się na przenosiny, gdyby nie plotka. Głosiła, że lada chwila po swoje przyjdą Niemcy i wygnają Polaków na cztery wiatry. Poradziłam się ojca: „Masz męża Polaka, to wracaj w nasze góry. A kiedy napiszesz, że da się żyć – dołączymy”.

Zamieszkaliśmy z dziećmi w dawnej plebanii greckokatolickiej. Z okna widać było resztki zniszczonej cerkwi. Znikały na moich oczach aż do ostatniego kamienia. Potem, po latach, postawiono tam pamiątkowy krzyż.

Do własnego domu nie mogłam pójść, bo mieszkał w nim nowy osadnik. Nawet gdybym go na kolanach prosiła, toby

się nie zamienił. Ale w środku mnie gniozło, że taka niesprawiedliwość. Tyle wysiłku ojciec włożył w ten budynek, a potem ktoś go dostał za nic.

Do Seredniego wróciły jeszcze tylko dwie rodziny, kilka lat przed nami. Zawsze to raźniej, jednak tato pisał, że jeśli mi będzie źle, miejsca u niego nie zabraknie. Nawet przychodził do nas pewien góral i namawiał, żeby mu sprzedać gospodarstwo, ale zawzięłam się w sobie i nic nie wskórał. Ile razy człowiek może się przeprowadzać? Tak w ogóle to górali mieszkalo w okolicy więcej. Byli niezadowoleni, że rząd pozwala osiedlać się Ukraińcom. To znaczy, jak twierdzili, banderowcom. Pisali skargi do władz, że boją się tu żyć, a z tego strachu śpią z siekierami pod kołdrą.

Moją rodzinną ziemię zabrał pegeer. Czasami patrzyłam, jak jeżdżą po niej traktory, i serce mi pękało. Gorsze jednak były najścia różnych takich, co to niby zachodzili napić się wody, o kogoś zapytać, a szpiegowali. Kiedyś wprost mi tajniak powiedział, że mam kontakty z dawnymi upowcami. I co takiemu można było zrobić? Lata minęły, zanim przestali podsłuchiwać, podejrzewać. Mężowi też się dostawało – że wziął za żonę Ukrainkę. A my wszystkim na przekór żyliśmy w największej zgodzie.

Byli rozmaici Polacy. Powiem jak na spowiedzi, że więcej dobrych. Ci z Tarnawy pamiętali ojca, chętnie mi pomagali. Dalecy krewni z Zahoczewia też. Po czasie już nikt nie pamiętał i nie dochodził, kto i skąd się wziął w Seredniem.

Tato do gniazda nie wrócił. Dla niego było za późno.

Katarzyna Konwicka:

– Wszystko przez nogę Michała. Gdyby miał zdrową, pewnie byśmy nie wrócili. No, ale coraz bardziej cierpiał i już nie

było rady. Przyjechaliśmy do Chmiela w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, z rocznym synkiem i pięcioletnią córką. Dlaczego tutaj? Bo już inni z naszych mieszkali, a swój ciągnął do swojego. Nie przywieźliśmy dużo, na Pomorzu zostały nasze kury, gęsi, trochę mebli. Nie chcieli nam dać dwóch wagonów, a jeszcze soltys tłumaczył, że trzeba zostawić choć trochę następnym gospodarzom. I zamiast na odjeźdźnym powiedzieć coś miłego, to rzucił niby od niechcenia: „Jedziecie zawiązywać bandy”. I co to było za myślenie tyle lat po rozwaleniu UPA? Niech to szlag trafi!

Dom nam się trafił kiepski, mocno zniszczony. W środku gołe ściany, roztrzaskana kuchnia. Od razu wzięliśmy się do roboty, pomogli sąsiedzi. Ale jakoś od początku na tym miejscu nam się nie układało, ciągle wiatr w oczy. Jeszcze wykopaliśmy jesienią kartofle, a potem Michał umyślił, żeby pójść z dobytkiem do Hulskiego. Ciągnęło go, to była jego wieś. Stało tam jeszcze parę chałup z wybitymi oknami i zrujnowana cerkiew. Poza tym kompletna pustka. Jak na takim odludziu się zagospodarować i za co? Mieliśmy świnie, koło metra wagi. Stwierdziliśmy, że ubijemy interes. Damy gminie tę maciorę, a w zamian zażądamy dwóch budynków – na dom i oborę. Wybraliśmy najmniej zniszczone, wskazaliśmy urzędnikom. Kręcili nosem, lecz ostatecznie przyklepaliśmy transakcję. Potem wzięliśmy pożyczkę w banku i kupiliśmy dwa konie. Michał jeździł po nie aż na zachód, bo tam tańsze.

W Hulskim osiedli też zaraz Głuchowie i Piekłakowie. Można powiedzieć, że te trzy rodziny obudziły wioskę z le-targu. W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku mieszkało w niej kilkaset osób, a w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym – kilkanaście. Chociaż jedno się nie zmieniło. Do Hulskiego wciąż prowadziła polna, dziurawa droga.

Gdy mocno popadało, zamieniała się w grzęzawisko. Koła wozów konnych miejscami po osie tonęły w błocie, a kto szedł, gubił w bajorze gumiaki. Wtedy najbardziej byłam zła na męża, bo wkrótce nasza córka miała pójść do szkoły.

Ale daliśmy radę. I w jesieni, i zimą. Latem coraz częściej przyjeżdżali turyści. Spacerowali po okolicy, spali pod namiotami, a w Hulskiem czasami kupowali mleko. Kiedyś odwiedzili nas studenci, którzy uczyli się na księży. Powiedzieli, że obozują w pobliżu i czy nam to nie przeszkadza. Nie przeszkadzało. Potem między murami cerkwi zrobili prowizoryczny ołtarz i zaprosili na wspólną modlitwę. Ładne to było, odmawialiśmy różaniec, śpiewaliśmy pieśni maryjne. Tak mnie ujęli, że sama nosiłam im jedzenie: jajka, ziemniaki, ogórki. Nie chciałam pieniędzy, to wciskali mi do fartucha.

Prawie dziewięć lat minęło, gospodarstwo się rozrosło, aż nagle urzędnicy z Lutowisk powiedzieli, że będziemy musieli się wynieść. „Że co?!”. „Ano tak, wynieść, bo Hulskie przeznaczono pod wypas państwowego bydła”. Niech to krew zaleje! No ile razy można się przeprowadzać? Jeszcze nam doradzili, że możemy pojechać pod Ustrzyki, bliżej miasta. Tylko że myśmy chcieli być u siebie, a przynajmniej o rzut kamieniem.

Często chodziłam do Suchych Rzek, chociaż tam już nic prócz jednego baraku nie stało. Ale pan rozumie, wspomnienia, przeżycia. Nie da się zapomnieć. Kiedyś poszłam specjalnie po to, żeby odnaleźć schowany przy wysiedleniach złoty pierścionek. Jak weszło wojsko, to go włożyłam pod kamień przy domu. Szukałam z synem, raz i drugi, ale tu już wszystko wyglądało inaczej. Przyroda zmieniła krajobraz, może ten kamień zarósł nawet krzakami. Odwiedzałam też cmentarz w Zatwarnicy, na którym leżą moi rodzice. Modliłam się za

ich dusze i prosiłam, żeby mi pomogli odnaleźć pierścioneł. Na pewno chcieli, ale się nie udało.

Osiadliśmy w Czarnej, z okładem dwadzieścia kilometrów od Hulskiego. Była okazja, górale sprzedawali tanio piętrowy dom. I już tu zostaliśmy. Mieliśmy pod nosem gees, szkołę, pegeer, gminę. Tylko nie to, co najdroższe.

Bazyli Buszowiecki:

– Ojciec nie mógł sobie znaleźć miejsca. Chodził zamyślony, nieswój. Aż kiedyś zebrał się na odwagę i oznajmił, że jedzie w Bieszczady. Był chyba pięćdziesiąty drugi rok i Ukraińcom nie pozwalano tak sobie podróżować, zwłaszcza na południe. Bo jeśli jechał na południe, to po co? Może broń odkopać, ważne papiery? Oczywiście po UPA, jakżeby inaczej. Tak właśnie myślała władza, polscy komuniści. A ci ludzie, zwykłe chłopcy, jak *mij batko**, chcieli tylko zobaczyć swoje. Z tęsknoty ich tam ciągnęło, z niczego więcej.

Pojechał on i kilku znajomych. Nikt ich nie zatrzymał, spokojnie dotarli do Jaworca. Wieś była zarośnięta, wszędzie pustka i tylko za cmentarzem stał szałas. Mieszkali w nim górale, którzy wypasali w okolicy owce. Ale one łążyły też po grobach. Nasi strasznie się na to wkurzyli i nakrzyczeli na juhasów. Że jak nie przestaną, będzie złożona skarga do gminy w Cisnej. Musieli się przestraszyć, bo zaraz poszli ze zwierzętami gdzie indziej.

Potem ktoś doniósł do władz, że jacyś obcy kręcą się po wioskach. Milicja ich zaraz wysłedziła, ale sprawdziła papiery i puściła. Bo tak po prawdzie to jacy oni byli obcy? Znali tu każdy krzak i kamień. O właśnie, kamień! Przed

* Mój ojciec (ukr.).

powrotem na Pomorze tato wyciągnął z potoku taki niewielki, wygładzony przez wodę. Mieścił się w dłoni. Położył go w domu na kredensie obok lichtarza i zakazał ruszać.

Najgorzej wygnanie znosili najstarsi. Dziadki i babki. Siedzieli w chałupach i wspominali. Nie chcieli zaakceptować nowego losu. Że i na równinach można żyć, siał, zbierać. I to lepiej niż w górach, bo Niemcy zostawili trochę sprzętów rolniczych. Ci w średnim wieku szybciej potrafili się dostosować. Rozumieli, że muszą zakasać rękawy, w przeciwnym razie sami sobie zaszkodzą. I swoim dzieciom, które trzeba było posłać do polskich szkół, pomóc odnaleźć się w nowym środowisku. Młode pokolenie nie miało żadnych problemów z aklimatyzacją. Boże ty mój, my chcieliśmy tańczyć, całować dziewczyny i pić wino. To chyba normalne.

Niektórzy z naszych urządzili się w porządnym domach. Mieli żarówkę zamiast świeczki, gniazdko w ścianie. Mogli podłączyć radio, pralkę. W tym samym czasie w wioskach pod połoninami nikt jeszcze o elektryce nie myślał. Cywilizacja, panie kochany, dotarła w Bieszczady bardzo późno.

Kiedyś przeczytaliśmy w gazecie, że Polska Ludowa zagospodarowuje poukraińskie tereny. Oraz że rząd nie będzie robił problemów Ukraińcom, którzy zechcą się zaangażować w tę odbudowę. Ale była niepewność: może podpuszczają, sprawdzają? A jeśli znowu czeka nas tułaczka, nędza, głód? Takie pytania zadawano sobie na co dzień, w dodatku poszła fama, że nie będzie można osiedlić się w swojej dawnej wsi. Skoro nie można, to po co jechać? I jeszcze tyle ze wszystkim zachodu: wynająć wagony, kupić paszę dla bydła i koni, oddać państwu pole. Ludzie łapali się za głowy, bo głupieli.

Ja z moją Helą też mieliśmy wątpliwości. Aż któregoś razu zebrali się nas kilku i pojechaliśmy rozeznaczyć sprawę.

Był kolega z Zawoja, inny z Buka, kolejny spod Przemyśla. On się w Rzeszowie odłączył, a my dalej aż do Leska. Stamtąd kursowały już autobusy w głąb Bieszczadów. Zza szyb oglądaliśmy mijane wioski: Hoczew, Nowosiółki, Mchawę. Gdziekolwiek rosły nowe budynki, a przy nich straszyły ruiny starych. Z osmalonych kominów wyrastały gałęzie, wokół wałało się zbutwiałe drewno i zgniła słoma. W Baligródzie autobus miał przystanek, wsiadli jacyś ludzie. Pamiętałem Baligród sprzed wojny, ale ten w niczym tamtego nie przypominał. Cerkiew była opuszczona, mniej ludzi chodziło po ulicach, a willa doktora Kuźmaka, dawniej chluba miasteczka, stała odrapana i brudna. Kiedy mijaliśmy Jabłonki, każdy odruchowo spojrzał po sobie i na skromny pomnik Świerczewskiego, lecz nikt nie śmiał się odezwać. Zwłaszcza po ukraińsku w obecności polskich pasażerów. To mogłoby wywołać burzę. Potem już tylko jabłońska góra i wjazd do Cisnej. Tak się zmieniła, że prawie jej nie poznałem.

Po południu dotarliśmy pieszo do Smereka. Kiedyś niczego sobie wieś, a w dziesięć lat po akcji „Wisła” – wioseczka. Dopóki nikt nie rozeznał, że my Ukraińcy, był spokój. Ale gdy tylko osadnicy się o tym dowiedzieli, pobiegli na skargę do gminy. I już nawet nie czekaliśmy na reakcję, tylko wzięliśmy walizki i poszliśmy przez góry do Dwernika. Pewnie, że mogliśmy się postawić, tylko po co? Łatwo komuś puścić juchę z nosa, a ile kłopotów? Zaraz by się rozniosło, że ukraińscy bandyci napadli porządných Polaków.

W Dwerniku mieszkał leśniczy Władysław Nowobilski. Po ukraińsku zagadał do nas, czy chcielibyśmy pracować w lesie. Dał nam kwaterę w baraku po strażnicy granicznej, za jakiś czas kupiliśmy na zachodzie silne konie do zrywki drewna i tak się zaczęło nasze sprowadzanie w góry.

Ta część Bieszczadów była bardzo zapóźniona. Do Zatrwarnicy nie prowadziła jeszcze nowa droga, a stara zarosła olchą. Rozpleniła się do tego stopnia, że trzeba było się przez nią przedzierać jak przez busz. Za wycinkę olchy dobrze płacono, dlatego dużo ludzi z okolicy przyjeżdżało z piłami, siekierami.

Po pewnym czasie o nas, Ukraińcach, dowiedział się kierownik pegeeru z Chmiela. Przyjeżdżał agitować, żebyśmy poszli robić u niego. Mielśmy pilnować zbóż przed żarłocznymi dzikami. Straszne szkody te dziki robiły, a nie było na tyle myśliwych, żeby je wystrzelać. Po naradach zmieniliśmy zatrudnienie. Zająłem w Chmielu opuszczony dom, inni następne. Sprowadziłem żonę i w jedenaście lat po wysiedleniu zaczęliśmy wszystko od początku.

Ciągnęło mnie do Jaworca, ale od razu nie poszedłem. Dopiero po paru miesiącach. Najpierw wstąpiłem do naczelnika gminy w Cisnej z prośbą o zgodę na osiedlenie w Jaworcu. Naczelnik rozłożył ręce: „Starej zabudowy nie ma, nowej wznosić nie można. Przykro mi”.

Odruchowo spojrział w mój dowód i nagle jakby diabeł w niego wstąpił: „Won mi stąd! Nie pozwolę, żeby na moim terenie Ukraińcy się osadzali! Nie będą mi tu tworzyć band!”.

Usiadłem na schodach, zakurzyłem sporta, a potem z tych nerwów poszedłem do knajpy. Dopiero setka mnie uspokoiła.

Tak, tak, kurwa mać. Z początku to nami strasznie gęby wycierano. Wyśmiewano, obrażano. Szczuto polskie dzieci na nasze dzieci. Nazywano banderowskimi pomiotami. Kpiono, że jesteśmy jak Cyganie, bez własnego państwa. Najgorzej górale. Nie dziwota, że w końcu musiało dojść do mordobicia.

Jak nam już za mocno dokuczano, to coś we mnie pękło i chciałem uciekać. Nie z powrotem na Ziemię Odzyskaną, tylko przez zieloną granicę do Sowietów. Już prawie spakowałem plecak, ale z zamiaru zwierzyłem się znajomemu wopieście. Popukał się w czoło, to odpuściłem.

Kiedyś znowu siedziałem na ławce przed domem. Przyszli harcerze z pobliskiej stancy i zapytali, czy mogą nabrać wody ze studni. „A bierzcie i pijcie. Dzisiaj i kiedykolwiek”. To się napili, napełnili manierki, a na odchodnym do mnie: „Pan Ukrainiec, to pewnie był w UPA i wyrzynał Polaków”. O mało mnie krew nie zalała! Pogoniłem gówniarzy i zakazałem wstępu na podwórze. Choćby padali z pragnienia, już bym im wody nie dał.

Zmieniło się po latach. Nowych osadników uczyliśmy pracy w górach i małymi krokami zbliżaliśmy się do siebie. Potem nawet niektórzy z naszych i obcych się pomieszali, jak przed wojną.

Anna T.:

– Pochodzę spod Jarosławia, a w Bieszczady przyjechałam za mężem. Wtedy, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku, w Zatwarnicy nie było prawie nic. Taka czarna dziura, bo dalej zamiast drogi sam las. Bazyli nie mógł uwierzyć. Stał nieruchomo na własnym podwórzu, rozglądał się wokół i powtarzał jak w malignie: „To niemożliwe, to niemożliwe...”.

Kilka jabłoni i śliw – tyle zostało po gospodarstwie Bazylego. Nawet tego los mu nie oszczędził. Bo wcześniej trzy lata katorżniczej pracy na Syberii i rok w obozie w Jaworznie. Jak on to przetrwał? Siłą woli – jak inni, którzy przetrwali.

Teraz, w letni jasny dzień, zamiast się ucieszyć, siedział na priaku i płakał. Sam ze sobą rozmawiał; mówił coś o chacie, młynie i pięćdziesięciu morgach pola. Później poszedł na cmentarz. I tam stał się cud, bo zobaczył niemal nietknięty grób ojca. Wiele grobów bezpowrotnie zrównano z ziemią, część zburzono, a ten nie skruszał. Nie ruszyła go wojna, wysiedlenia, żadna pożoga. Przetrwał na przekór wszystkim zawieruchom i dopiero w czasie pokoju miał doznać upokorzenia. Trzy razy ktoś rozbijał pomnik z piaskowca, a Bazyli trzy razy go naprawiał.

Czy my komu zrobili co złego, że tak nas nienawidzili? Kiedyś o mało nie oberwałam cegłą, która wleciała przez okno do kuchni. Innym razem wrzucono nam w nocy zapaloną lampę naftową. Mąż w porę się zerwał, ugasił. I ciągle te wrzaski pod domem: „Niech zginie Ukraina, niech zginie chamski ród!”. Siedzieliśmy skuleni pod ścianą i zagryzaliśmy wargi. Kłębiły się myśli, czy aby nie rzucić wszystkiego i nie wyjechać. Któregoś dnia mąż walnął pięścią w stół: „Przetrzymamy” – powiedział.

On harował w lesie, ja w oborze i w polu. Urodziłam dzieci, wykształciłam, a potem odprowadziłam Bazylego na cmentarz. Nie jakiś obcy, ale swój, tutejszy.

Wasył Mastyla:

– Chciałem od nowa się pobudować w Krywem, ale nie pozwolili. To się pobudowałem w Chmielu. W tysiąc dwieście sześćdziesiątym trzecim roku we wsi mieszkało trochę górali, nieco ludzi z nakazu pracy i garstka Ukraińców. Czasami strach było wejść do knajpy, bo zaraz cię różni tacy wyzywali od najgorszych, a koło sklepu pastwili się nad dziećmi – że ukraińskie pomiotła i takie tam. Kiedyś

na przystanku PKS w Lutowiskach nazwano mnie banderowcem. Nie wytrzymałem i poskarżyłem się komendantowi WOP-u. Ten skargę wysłuchał i wypuścił drugim uchem. Kto by bronił Ukraińca? Potrafiono złość skierować i na zwierzęta. Kiedyś siedzę w chałupie, patrzę przez okno, a tu idzie dwóch pijanych i do psa: „Do budy, ukraińska sobako!”. Pies też był niechciany i wrogi, to go obrzucili kamieniami. Latami nosiłem w sobie urazę, jednak na starość wybaczyłem wszystkim, którzy traktowali mnie jak odpadek. Dla których byłem wyrzutkiem. Tylko Jaworzna nie dałem rady wybaczyć.

Bazyli Stołycia:

– Niektórzy rwali się do powrotu w Bieszczady jak szaleńcy. Na wariata. A rozsądni radzili: jeszcze za wcześnie, nie pora; jeszcze się rany nie zagoiły. My, młodzi, myśleliśmy tak: pojedziemy, najmiemy się do roboty, wybadamy, co i jak. A jeśli nie będzie przeszkód – zostaniemy. I tak wsiedliśmy do pociągu: ja, mój brat, paru kolegów. Miałem dwadzieścia lat i dobrze pamiętałem rodzinny Zawój, ale jakoś szczególnie mnie nie ciągnęło. Więcej tam doświadczyłem biedy niż dobrobytu, to za czym? Zresztą wszystko po wysiedleniach zarosło... To już nie było miejsce dla ludzi.

Najpierw trafiłem do Smereka. Pracowałem w lesie i mieszkalem z innymi w stajni, w której kwaterowali też górale. Kiedyś w niedzielę poszedłem z kumplami na piwo do Wetliny, a później w odwiedziny do Zawoja. Niczego nie poznałem, wszędzie jeden chwast. Gdy wróciliśmy do naszej stajni, górale siedzieli z siekierami. Myśleli, że poszliśmy po ukrytą broń i będziemy do nich strzelać. Nie raz i nie dwa słyszałem, jak między sobą rozmawiali, że Ukraińcy na pewno mają w lesie bunkier, a w nim karabiny, amunicję,

pieniądze. Że wracają w góry, żeby od nowa się zbroić i znowu zawalczyć o *samostijną* Ukrainę. Oni bali się nas, a my ich. Wzajemny lęk powodował, że nikt spokojnie nie spał, tylko czuwał, żeby mu za chwilę ktoś nie rozwalił głowy.

Ewa Stołyca:

– Mama bardzo chciała umrzeć w Krywem. Nie wyobrażała sobie, że jej kości mogłyby leżeć w innym miejscu. Ciągłe nalegała, żeby załatwiać wagony i wracać, a to nie było takie proste. Nie rozumiała, że z tym wszystkim wiązą się ograniczenia, i nie chciała dopuścić myśli, że tamto Krywe przestało istnieć. W jej pamięci wciąż było ludne, kipiące życiem; mogła w każdej sekundzie przywołać w pamięci turkot młyna wodnego czy maszyn w tartaku. Przenosiła się w czasie i rozmawiała z sąsiadami, szła do cerkwi i do sklepu. Mawiała, że może zamieszkać nawet w piwnicy, byle w swojej wsi. Żyła w teraźniejszości, a jednocześnie w przeszłości.

Ona tęskniła, ojciec też, lecz jakoś nie mogli się zdecydować. Do czasu, aż odważył się wujeczny brat ojca. Skoro on wrócił, to dlaczego nie my? Ale to był taki ostrożny powrót, żeby wszystko najpierw poukładać, a potem zamieszkać jak ludzie.

Przyjechałam z rodzicami w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku. Miałam już narzeczonego. Był o dwa lata młodszy, choć wcale mi to nie przeszkadzało. Spotykaliśmy się z miesiąc, może półtora, a zaraz potem – ślub.

Bazyli:

– Zajęliśmy dom w Chmielu po ukraińskiej rodzinie, którą w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku wywieziono w głąb sowieckiej Ukrainy. Czasami mnie dręczyło, jak

ci ludzie się nazywali, potem mi przeszło. W pobliżu osiedli też inni Ukraińcy, to było nam rażniej. Kupiliśmy z Ewą bydło i konie, dostaliśmy od państwa ziemię. Nam praca w górach nie była obca, ale ci z nizin, których zachęcono do gospodarzenia na tym terenie, kompletnie sobie nie radzili. Bo to raz musiałem tłumaczyć jednemu z drugim, co i jak ma robić, żeby mu w polu urosło? I byli tacy, którzy dziękowali, oraz tacy, którzy pluli złością. Jakby przyjęcie pomocy od Ukraińca było dla nich wstydem. To również dlatego przez pewien czas żyliśmy w izolacji, nieomal w zamkniętym kręgu mniejszości. Nie chcieliśmy na siłę szukać przyjaźni, ale też nikt nie szukał jej u nas. Sąsiedzkie relacje z Polakami w obrębie jednej wsi wykluwały się długo i opornie, a co powiedzieć o relacjach szerszych, obejmujących mikroregion i region?

Tu u nas takie rzeczy się działy, że prawie oparły się o sąd. Bo przykładowo: idę drogą, a tu zaczepia mnie niby znajomy i krzyczy: „Cześć, tryzub!”. To ja do niego: „S pierdaj!”. No co takiemu miałem odpowiedzieć? On mnie obraża, a ja się będę śmiał? Tryzub jest dzisiaj w godle niepodległej Ukrainy, jednak wtedy kojarzył się Polakom wyłącznie z banderowcami. A banderowcy z bandytami. Drugą taką sytuację miałem w urzędzie gminy w Czarnej. Też mi jeden wrzasnął na powitanie: „Cześć, tryzub!”. Chciałem mu dać w pysk, ale powstrzymali mnie urzędnicy. I jeszcze stanęli w mojej obronie, tamtego zaś wyprosilili za drzwi.

Albo w gospodzie w Czarnej. Zamówiłem obiad i piwo, a bufetowy do mnie: „Ty banderowcu, won na Ukrainę!”. Wyszedłem, lecz prosto na posterunek. Poskarżyłem się milicjantom, jak w knajpie geesu potraktowano obywatela PRL. Pan sobie wyobrazi, że do gospody pofatygował się sam komendant MO? Kilka dni później spotkaliśmy się

w ustrzyckim sądzie, przed kolegium do spraw wykroczeń. I bufetowy zapłacił za obrazę.

Ewa:

– Długo czułam się gorsza. Nie wewnątrz, bo mam swój honor, ale na zewnątrz. Ot, choćby w sklepie, na poczcie, na przystanku. Wszędzie tam wielokrotnie próbowano mnie obrazić, poniżyć. Za to, że jestem Ukrainka. Z początku, jak wróciliśmy, to Ukraińców pokazywano sobie palcami, jak małpy w zoo. Nie do wiary? A moje dzieci, które nauczycielka w Lutowskach wystawiła na środek klasy i powiedziała do polskich uczniów: „To są Ukraińcy, zapoznajcie się”. Że przesadzam? A pan wie, co wtedy znaczyło słowo Ukrainiec? No to musi pan uwierzyć, że ta nauczycielka nie miała wyczucia. Nie rozumiała, że dla większości polskich dzieci ukraińskie były dziećmi bandytów. Siedziały w szkole skulone, z opuszczonymi głowami. Nie miały się czego wstydzić, nic nikomu nie zawiniły, a nosiły w sobie strach i wyobcowanie.

I co się polskim dzieciom dziwić, że długo stroniły od naszych? W domach słyszały tylko o bandach UPA, o łunach w Bieszczadach. O Ukraińcach-rezunach. Szczęściem nie wszystkie. Z czasem złe odeszło w niebyt, ale cień nieufności pozostał. Zimna rezerwa, dystans. Nawet już po upadku komuny, za wolnej Polski i wolnej Ukrainy, kiedy zasypano wiele rowów niechęci i wybaczone sobie wiele krzywd.

Bazyli:

– Po latach nasi zaczęli częściej odwiedzać stare strony, choć niewielu decydowało się wracać na stałe. Kiedy oglądali puste, zarosłe zielskiem wsie, załamywali ręce. Szli na

cmentarz i tam chlipali pod nosem. Bo w sumie w większości opuszczonych wsi zostały tylko cmentarze, a gdzieniegdzie ich resztki. To umyśliliśmy, żeby w takich miejscach ustawić pamiątkowe krzyże, wysokie na dwa metry i wyższe. Pomagałem taki wkopywać w Zawoju...

Ewa:

– Moja mama tak długo jechała do Krywego, że nie dojechała. Wcześniej snuła plany, że zbuduje dom z drzew wyciętych na stokach Otrytu. Na zachodzie miała murowany, lecz nigdy się nie przyzwyczaiła. Mieszkała w nim do śmierci, ale go nie lubiła. W Krywem też ustawiono pamiątkowy krzyż. Zjechali się dawni mieszkańcy z kraju i z zagranicy, nawet zza oceanu. Było nabożeństwo, poświęcenie, gościna. Było pięknie. A tak w ogóle to on miał być wkopany koło ruin cerkwi kilka lat wcześniej, tylko że władza nie pozwoliła. Wtedy też tam stałam, w tłumie na mszy świętej, i wszystko mi się przypominało: nasz dom, ścieżka, którą gnałam krowy na pastwisko, sklep żydowski, krzywa czereśnia. I te dwie lipy, między którymi mój tatuś zrobił huśtawkę.

Maria Barniak:

– Nam w Kutach żyło się dobrze do czasu, aż zaczęli przyjeżdżać młodzi Niemcy. Chodzili po całym powiecie węgorzewskim, zaglądali po kątach, wspominali. Choć nigdy nachalnie – zasiali w nas ziarno niepewności. Kiedyś tato powiedział, że oni chyba szykują się do powrotu, a to może oznaczać, że zabiorą, co kiedyś zabrano im. Zajęty przez nas dom z sześcioma izbami i wszystko inne. Z początkiem lat sześćdziesiątych te niemieckie odwiedziny były już tak częste, że tato postanowił się spakować i jechać w Bieszczady.

Osiadł w górach w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku. Ja z rodziną dwa lata później.

Teraz Polacy byli tu większością, ale przyznam nie bez wstydu, że mieli dla mnie więcej serca niż Ukraińcy, z którymi się wychowywałam i którzy wrócili przed nami. Nikt z Polaków mnie i męża nie obrażał, pomagali nam. A Ukraińcy – nie byli zadowoleni z powrotu rodaków, bo niektórzy mieszkali na naszych dawnych włościach i bali się, że zaczniemy się o nie dopominać. Żalowali kawalka zagonu pod kartofle. Raz poprosiłam o to dawną znajomą, a ona, że nie ma wolnego nawet metra. No to jej powiedziałam, żeby przyszła do mnie, ja mam wolne hektary. Zmieszała się i odeszła bez słowa.

Kupiliśmy nowe gospodarstwo, zaczęliśmy wszystko od nowa. W Morochownicy, znanym z dzieciństwa przysiółku Mokrego, już wszystko było zajęte, więc osiedliśmy w Mokrem. A rodzice w Morochowie, w domu z pięknym śliwkowym sadem.

Miałam dobre referencje z pracy, jednakże do szkoły już uczyć nie poszłam. Krowy, świny i tak dalej. I ziemia. Mogłam uczyć w Suchodole koło Sanoka, w średniej szkole rolniczej. Dawali mi pokój z kuchnią, ale nie wzięłam. Za daleko dojeżdżać, a trzeba było się zająć gospodarką. Do Suchodołu poszedł się uczyć syn. I tam zdał maturę. Potem premier Piotr Jaroszewicz osobiście wybrał go na dyrektora fermy owczej w Czarnej.

Do Zawadki Morochowskiej nie chodzę. Kiedyś poszłam i zaraz wszystko, jak kiedyś, zobaczyłam. Teraz wznosi się tam do nieba wielki krzyż, a pod nim, na placu mojego dziadka, są dwie zbiorowe mogiły. Co rok odprawiane jest nabożeństwo ekumeniczne ku czci pomordowanych.

Od dziecka ciągnęło mnie do Zawadki, bo w wiosce stała urocza cerkiewka i rosły śliczne jabłonie... Wciąż bym chciała, a nie mogę. Mam krwawy obraz w oczach: leży chłopczyk przeбитy, ciotka moja, chłopci. I koleżanka Hania, której z okna płonącego domu wystawały tylko nogi w kolorowych skarpetkach.

Jezu mój, Jezu...

Władysław Szul:

– Długo się wahałem: jechać, nie jechać? Do Hroszówki już nie było po co, tam sama goła ziemia, lecz miałem marzenie, żeby chociaż w pobliżu. Żona zrazu chciała do swojej Werchraty, tylko że mnie to nie pasowało. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku uznaliśmy, że dłużej nie usiedzimy na północy. Sprzedaliśmy połowę majątku, a znajomy kolejarz z Susza załatwił wagon towarowy.

Po dwóch dniach wysiedliśmy na stacji w Sanoku. Poprosiłem miejscowych z PKP, żeby odstawili nasz wagon na bocznice, a oni mi na to, że niczego nie będą dla Ukraińców robić. I żebyśmy nigdzie nie odchodzili, bo zaraz z powrotem pojedziemy na północ. Takie mieliśmy powitanie...

Upatrzyłem dla nas dom w Zabłotcach, tuż pod miastem. Murowany i niedrogi, to nad czym miałem się zastanawiać? Poszedłem do pracy w wodociągach, a Katarzyna, moja ślubna, zajęła się pobliskimi sadami i ogrodami. Miała świetną rękę do kwiatów, do drzew owocowych, to ją przyjmowali. Za pięćdziesiąt złotych dziennie. To były marne pieniądze, ale nie wyrzydzaliśmy; liczyła się każda zarobiona złotówka.

Mieliśmy już dwójkę dzieci; w szkole nie przyjęto ich z otwartymi rękami, rówieśnicy dogadywali, wyśmiewali, za to na lekcji religii, w dodatku rzymskokatolickiej, miny im

zrzędy. Młodszy syn jako jedyny poprawnie odpowiedział na pytanie księdza, co to jest grzech pierworodny. A klasa: „Skąd on to wie, przecież Ukrainiec”. Nie rozumieli, że grekokatolicy uczą się tego samego, nawet jeśli nie mogą modlić się w cerkwi.

Od pierwszego dnia po powrocie myślałem, żeby coś zrobić w rodzinnej Hroszówce. Uznałem, że najlepszą pamiątką pamięci będzie kaplica. Kiedyś już tam stała, strawił ją ogień. W latach dziewięćdziesiątych własnymi rękami zbudowałem nową, pięć i pół metra wysokości. Wewnątrz zamontowałem drewnianą figurę świętego Jana. Pewnego razu przyjechałem się pomodlić, a tam pusta wnęka. Zamówiłem u rzeźbiarza podobną figurę. Może nikt jej nie ukradnie.

Anna Suchan:

– Mamę w Bieszczady nie ciągnęło; szybko przyzwyczaiła się do nizin, lecz ojciec ciągle myślał o Cisnej: o dawnych kolegach, gospodarce, górach. W pięćdziesiątym siódmym zdecydował, że wracamy. Rok wcześniej przyjechał tu na rozpoznanie, spotkał się z braćmi Wierzbickimi. Najbardziej lubili się z Dolkiem, który przetrwał obóz w Oświęcimiu i ciężkie roboty w Niemczech. Wrócił chudy jak patyk, zasuszony, ważył niespełna czterdzieści kilo. Mój tato pojechał po niego do Leska, bo on już był taki wycieńczony, że nie mógł iść.

No więc wróciliśmy i znowu zaczynaliśmy prawie od zera. Nasza rodzinna chata wyglądała jak chlew, ktoś długo trzymał w niej zwierzęta. Od nowa musieliśmy wstawiać okna i drzwi, zbijać podłogi; od nowa budować oborę, drewnię. Wszystko od nowa.

Cisna dopiero się zaludniała. Mieszkali tylko leśnicy i trochę robotników drogowych, a osiedleńcy przyjechali nieco

później. Mówiło się, że to Polacy krzywo patrzyli na wracających w Bieszczady Ukraińców, ale przyznam, że zdarzali się Ukraińcy, którzy patrzyli jeszcze krzywiej. Jak pewna Ukrainka z Rabego, która wyszła w wojnę za Polaka i tutaj została. Ciągłe powtarzała z wyższością, że skoro nas wygnano na Ziemię Odzyskane, to tam powinniśmy siedzieć.

Starsi byli osadzeni w tej ziemi, nie do wyrwania. Młodzi inaczej – jedną nogą na północy, drugą na południu. Latami żyli w rozdarciu.

Antoni Tymcio:

– Odkąd tato wyszedł z więzienia, ciągle powtarzał, że lepiej żyć biednie w Bieszczadach, niż czekać, aż przyjdą Niemcy i zabiorą swoje. W pięćdziesiątym szóstym postanowił, że wracamy. Jako jedni z pierwszych oficjalnie, a nie na dziko. Studencko istniało już tylko z nazwy, dlatego wybraliśmy Terkę. Ładnie, nad Sanem i wystarczyło przeskoczyć górkę, żeby się znaleźć na własnej ziemi.

Ale to już nie była ta sama Terka, co przed wysiedleniami. Prawie sami Polacy, w dodatku niechętni Ukraińcom. Do tego stopnia, że na wiejskim zebraniu ludzie zgodzili się na osiedlenie tylko trzech czy czterech rodzin ukraińskich. Jakby się bali, że kiedy tych rodzin będzie więcej, wydarzy się coś złego.

Domy w Terce w większości wciąż kryły strzechy, dopiero z czasem zaczęto zmieniać słomę na blachę. Miałem dwanaście lat, znowu poszedłem do szkoły i poznałem mnóstwo kolegów. Ale gdy graliśmy w piłkę, to żartów nie było. Wystarczyło, że któregoś chłopaka przypadkiem skosiłem, a zaraz wyzywał mnie od ukraińskich hajdamaków. Nie miałem wtedy pojęcia, kto to jest hajdamaka, i polskie

dzieci zapewne też. Ale od kogoś ten wyraz musiały usłyszeć i potem po głupiemu powtarzały.

W sąsiednim Bukowcu nadal żyła moja babcia ze strony mamy. Mogliśmy nawet u niej zamieszkać, miejsca nie brakowało, lecz ojciec zdecydował, że będziemy osobno. Zajęliśmy dom w pobliżu rzeki; na przydział pola czekaliśmy jednak jeszcze prawie rok. Przez ten czas za pozwoleniem pegeeru kosiliśmy trawę w Studennem i paśliśmy tam krowy. Tato nawet kombinował, czyby się nie przenieść na stałe, ale szybko studził głowę, bo jak żyć bez drogi, szkoły, sklepu?

Stała tam jedna samotna chałupa, w której latem pomieszkiwali górale. Zastanawiałem się, w jaki sposób przetrwała, skoro inne nie zdołały. Była już przygnieciona do ziemi, miejscami dziurawa, lecz gdyby ktoś chciał ją wyremontować, miałby z niej pożytek na lata. Pewnego dnia znowu poszedłem do rodzinnej wsi. Zamiast chaty zobaczyłem zgłiszczą. Podobno ogień podłożyli przed wyjazdem juhasi.

Zofia Dudyńska:

– Osiałałam w Uhercach na prośbę teściowej w listopadzie tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku. Ona tam na północy usychała z tęsknoty za utraconym i każdego dnia namawiała na wyjazd. W końcu uległam, choć zostawiałam Trzebiatów z żalem. W Bieszczadach, mimo że niemal pod bokiem dawnego domu, czekała mnie orka na ugorze.

Zaczynaliśmy z mężem od zera, na kawałku pola w pobliżu torów kolejowych. Nie mogliśmy zamieszkać na rodzinnej działce w Kostryniu, więc postanowiłam, że przynajmniej będę korzystać z tego, co na niej zostało. Przypomniałam sobie drzewa owocowe zasadzone przez brata i kiedyś poszłam

je zobaczyć. A tam gałęzie ciężkie od jabłek i śliwek. Jadłam je z taką zachłannością, jakbym nigdy wcześniej podobnych nie smakowała. Później jeszcze wielokrotnie odwiedzałam to miejsce, nie tylko dla samego sadu, lecz żeby w samotności powspominać. I nigdy nie wracałam do Uherzec na pusto, musiałam przynieść choćby siatkę owoców. To one dawały mi zdrowie i siłę do pracy, a przynajmniej tak sobie wmawiałam.

Z moich bliskich nikt więcej w góry nie wrócił. Namawiałam, przekonywałam, wszystko na próżno. Pisali w listach, że już za późno, że nie przesadza się starych drzew i takie tam. A przecież nie wszyscy byli starzy... Tu chodziło o coś innego, mianowicie o lepszy byt. Oni wiedzieli, jak słaba ziemia na południu, jaki biedny region, a tam otwierały się dla nich horyzonty. Bo to nieprawda, że wszyscy Ukraińcy płakali po wygnaniu. Niektórzy dziękowali za akcję „Wisła” – zamieniła im nędzę na dobrobyt, a strach na bezpieczeństwo.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku w Solinie zaczęto budowę zapory wodnej. Pewnego dnia o świcie usłyszałam ryk silników. Drogą w pobliżu naszej posesji sunęły ogromne ciężarówki, dźwigi, spychacze. Masa ludzi zatrudniła się przy wznoszeniu zapory, przyjeżdżali z całego kraju. Solinę też wysiedlano w czterdziestym siódmym, choć tam mieszkało dużo Polaków, którzy wtedy zostali. Jednak teraz, z powodu wielkiej tamy wodnej, i oni musieli się wynieść. Pod przymusem, jak wcześniej Ukraińcy, tyle że nie pod lufami karabinów. Kiedyś burzono chaty wysiedlanych Ukraińców, teraz równano z ziemią chałupy Polaków. Żeby tylko. W Solinie rozebrano cerkiew, w Wołkowie wysadzono w powietrze kościół. I wtedy, i wcześniej nikt się nie liczył z uczuciami zwykłych ludzi.

Jan Wolański:

– Na zachodzie urodziło się troje moich dzieci. Nie myślałem, żeby się przeprowadzać, lecz życie nie jest przewidywalne. Żona powiedziała, że skoro zdecydowali się jej rodzice, to ona musi jechać za nimi. Poszedłem do gminy, mówię, że chcę sprzedać gospodarstwo, a urzędnik do mnie: „Czyś pan zgłupiał? Dzieci panu nie szkoda?”.

Teściowie mieszkali w Ustrzykach Dolnych od sześćdziesiątego szóstego roku, kupili drewniany dom; ja zaś dwa lata po nich. Na upartego mogłem się pobudować w rodzinnej Zawadce, paręnaście kilometrów od Ustrzyk, ale po co? Na dawnych polach wyrósł las, wioska w niczym nie przypominała tej sprzed lat. Pomyślałem, że nic na siłę. I że jak będę miał potrzebę, to wsiadę w pekaes i pojedę w odwiedziny.

Jeszcze jedno. Całe to gadanie o wielkiej stracie to pic. Zapewne niektórzy na przesiedleniu stracili, ale wyłącznie niektórzy.

Anna Sokołowska:

– Nie miałam oporów, jednak mąż postanowił, że zostajemy. „Gdzie ty chcesz mnie zabrać, w te góry, lasy?” – mówił. „I co ja tam będę robił?”.

Nasza znajoma z Hulskiego, Piekłakowa, napisała, że zna odpowiednich ludzi, wszystko załatwi, nawet w Ustrzykach, a nie na wsi. Dla męża posadę nauczyciela w szkole lub wychowawcy w internacie i mieszkanie w bloku. „Tu jest tak pięknie, zielono” – namawiała. A Henryk odpowiadał, że się z Węgorzewa nie ruszy. I koniec.

Potem owszem, przyjeżdżał ze mną w Bieszczady, chodiliśmy do Krywego, pokazywałam mu naszą gruszę na polu,

miejsce po domu. „Rzeczywiście, zielono, aż się w głowie kręci” – powtarzał. „Krajobraz jak z bajki. Tylko bajka nie moja”.

Od akcji „Wisła” odwiedziłam Krywe piętnaście razy. Da Bóg, jeszcze odwiedzę. Na cmentarzu leży moja mama, Katarzyna Jaskółka. Na tabliczce na krzyżu ma napis po polsku. Kiedyś pewien ziomek to zobaczył i do mnie z pretensją, że napis powinien być po ukraińsku. Odparłam, że nikt nie będzie mi niczego dyktował. Mnie, Ukraince, wdowie po Polaku, córce tej ziemi.

M.:

– Rodzice żyli w rozdwojeniu. Z rozrównieniem rozpaмиętywali przeszłość, lecz nie chcieli słyszeć o powrocie do Tworylnego. Może gdyby mogli niedługo po wysiedleniach, to jeszcze, ale nie później. Na samą myśl czuli się zmęczeni, przerażała ich perspektywa długiej podróży, a najbardziej to, że znowu będą musieli zaczynać od zera. Do tego dochodził cały galimatias z załatwianiem wagonów kolejowych: dla zwierząt, paszy, mebli. Nic za darmo, trzeba było słono płacić i jeszcze się prosić. Co innego ja, młoda, otwarta na przyszłość. Gdy w sześćdziesiątym ósmym roku narzeczony napisał, że dłużej nie możemy żyć setki kilometrów od siebie, spakowałam toboły.

To już był inny świat. Ten zapamiętany z dzieciństwa postarzał się, przybyło mu zmarszczek, a niegdysiejszy pejzaż mocno się zmienił. Zrazu nie miałam odwagi iść do Tworylnego, dopiero po jakimś czasie się odważyłam. Przypomniła mi się moja szmaciana lalka, którą zakopałam pod gruszą w dniu wysiedlenia. Naiwnie myślałam, że teraz ją z łatwością odnajdę, a to już było niemożliwością. Nie

mogłam skojarzyć dokładnego miejsca, poza tym przez dwadzieścia lat ziemia z pewnością przerobiła ją na próchno.

Pierwsza wizyta w rodzinnej wsi mocno mną tępnęła. Wciąż widziałam ją oczami pięciolatki – z aleją dworską, masą domów, ludną i gwarną. Teraz droga zmieniła się w ścieżkę, miejsca po chatach zarosły burzanem, inne pożarła olcha. Czułam żal pomieszany ze złością i nic nie mogłam zrobić. Kiedyś w odwiedziny przyjechali rodzice. Odnaleźli plac, na którym stała nasza chałupa, ale po gruszy nie został nawet ślad. Więc już drugi raz nie próbowałam szukać tej mojej laleczki. Potem sobie przypomniałam, a może mi się przyśniło, że to drzewo spłonęło, kiedy żołnierze niszczyli gospodarstwo.

Ze wszystkich moich bliskich tylko ja wróciłam w góry. Lecz gdybym przeczuła, co mnie tutaj czeka, zostałabym w Olsztyńskiem. Bo kim dla zasiedlonych w Bieszczadach Polaków był wtedy Ukraińiec? Te przyspiewki o chamskim rodzie, rzucanie kamieniami w ukraińskie dzieci, wytykanie ich palcami, nawet w szkole przez nauczycielki. Byliśmy dla innych jak trędowaci, z którymi lepiej nie rozmawiać i do których lepiej się nie zbliżać. I to nie przez chwilę, tylko latami.

K.:

– Tato nie mógł się pogodzić, że stracił tyle ziemi. Kiedyś powiedział, że mógłby zamieszkać nawet w stajni, żeby tylko być znowu na swoim. Orał te nasze nędzne siedem hektarów, lecz nieustannie myślał o utraconych dwudziestu. A potem, jak już doszło do nas, że Polska Ludowa poluzuje tutejszym Ukraińcom, odliczał godziny, kiedy pojedzie na południe.

Zebrał się z Głuchem i Konwickim. Trzech starych gospodarzy miało przygotować grunt swoim rodzinom. Prosto z pociągu poszli do powiatu w Ustrzykach Dolnych. Kiedy

nas wysiedlano, powiat był w Lesku, a Ustrzyki w granicach ZSRR. Później Ruscy oddali miasto i jeszcze inny kawałek Bieszczadów. No więc poszli do powiatu, a tam im powiedziano, że jeśli chcą, to niech się osiedlają. Z tym zastrzeżeniem, że nie powinni liczyć na wielką pomoc. Ale ziemi mogli brać do woli, setki hektarów leżały odłogiem.

Pod koniec lat pięćdziesiątych w niektórych spalonych wioskach państwo zaczęło budować domy dla leśników. Powstawały osady leśne, a do nich musiano poprowadzić utwardzone drogi. Postanowiliśmy to wykorzystać. Już nie upieraliśmy się, żeby jechać na dawne gospodarstwo do Suchych Rzek, tylko do Zatwarnicy. I tam, na rodzinnej działce mojej mamy, zatrzymał się nasz wóz z dobytkiem. Biedaczka, została z siostrą u Sowietów, nie mogły już wrócić, za to nam się poszczęściło, może jak nikomu innemu.

Tato wyprorokował. Zamieszkaliśmy w stajni, bo dom po akcji „Wisła” nie ocalał. A że wojsko wznosiło w pobliżu mosty, kupiliśmy trochę desek na drugą stajenkę. W jednej ludzie, w drugiej konie. Tak się zaczęło to drugie życie w Bieszczadach, choć na siłę oferowano nam gospodarstwo w Bandrowie. Chciano szybko zasiedlić tę wioskę przyjezdnymi z różnych stron kraju, tylko że nas to nie urządziło. I ta upartość się opłaciła...

W Olsztyńskim poznałem dziewczynę. Od słowa do słowa i wyszło, że ona z Tworylnego, sąsiadka z dzieciństwa. Nasze wioski dzieliły ledwie rzeka i góra. Ale nie pojechała ze mną od razu w Bieszczady, dołączyła później. Przetrwaliliśmy najgorsze, potem pobraliśmy się w kościele. Dlaczego nie w cerkwi? A kto by jechał specjalnie aż do Komańczy, a może i Przemyśla? W pobliżu żadnej czynnej nie było.

Igor Halagida w artykule *Kościół greckokatolicki w Bieszczadach 1944–1989* pisze: „Wraz z wiernymi swe parafie opuściła też – wyjeżdżając do USRS, bądź na tzw. Ziemię Odzyskane – większość greckokatolickich duchownych. Z niepełnych danych wynika, że wiosną 1947 r. w Polsce pozostało jedynie ok. 130 księży – z tego kilkunastu na terytorium Bieszczad. Niemal wszyscy po akcji »Wisła« znaleźli się na Ziemiach Zachodnich i Północnych (...). W wyniku akcji »Wisła« greckokatolicka sieć parafialna uległa ostatecznej likwidacji – w Polsce południowo-wschodniej nie pozostała ani jedna parafia katolickiego obrządku wschodniego, a ich majątek został w znacznym stopniu rozgrabiony (...). Duchowieństwo i wierni (...) niemal całkowicie zostali wyrugowani z krajobrazu kulturowo-wyznaniowego Bieszczad. Jedynym wyjątkiem była (...) Komańcza, gdzie powrócił zwolniony z Jaworzna wiekowy ks. Emilian Kahleniuk i w miejscowej cerkwi odprawiał nabożeństwa dla pozostałej tu garstki grekokatolików”.

„Październikowa odwilż 1956 r. przyniosła pewną zmianę (...). Komuniści zgodzili się na tolerowanie kilkunastu greckokatolickich punktów duszpasterskich na Ziemiach Zachodnich i Północnych. W żaden jednak sposób strona komunistyczna nie chciała zezwolić na nabożeństwa greckokatolickie w Polsce południowo-wschodniej”.

Dopiero w 1957 roku uruchomiono punkt duszpasterski w Przemyślu. W 1962 roku w Kulasznie, w 1974 w Rzepedzi, w 1977 w Olchowcu, a w 1985 – w Ustrzykach Dolnych. W wysokich Bieszczadach dla celów religijnych nie otwarto ani jednej cerkwi. Unitów powróciło w góry tak niewielu – ze strachu, niepewności, chorób i niechęci – że w szeregu wiosek nie miałyby kto się modlić.

Wracali z różnych przyczyn – czasami z przemożnej tęsknoty, kiedy indziej z zamiarem odzyskania zagrabionego majątku. Albo z obydwu tych powodów. Komu oceniać te wybory?

Na przykład w Uhercach było tak: przyjechała z północy miejscowa Ukrainka, a w jej domu – zbudowanym za dolary zarobione przed wojną w Stanach Zjednoczonych – izba porodowa. Poszła do gminy, powiatu, partii. Wszędzie odesłali ją z niczym. Wyśmiali. To wprowadziła się do stodoły obok porodówki i przemieszkała tak dwie zimy. Na walizkach, przy piecyku wstawionym przez litościwych ludzi.

Miała syna. Któregoś dnia przyjechał krewny i zabrał chłopca za granicę. Potem się okazało, że do Związku Radzieckiego.

- Umarła ze zgryzoty – mówią jedni.
- Umarła z samotności – twierdzą drudzy.

Rozdział XIV

Oczy szeroko otwarte

Wracających w góry Ukraińców bierze pod lupę Służba Bezpieczeństwa. Najbardziej tych, którzy mają upowską przeszłość, choć także inni nie są godni zaufania. Wszystkich urodzonych przed 1930 rokiem podejrzewa się o banderowskie resentymenty, a młodszych – z pomocą starszych – o utajnioną działalność przeciwko Polsce Ludowej. Dla SB powroty ukraińskich rodzin nie są uwarunkowane pragnieniem życia na opuszczonej przed laty ziemi, lecz mają polityczny cel. Nieważne, że dziewięćdziesiąt procent to chłopci po kilku klasach albo i bez nich. Że kobiety to gospodynie domowe, a dzieci dopiero zaczynają edukację, w dodatku w polskiej szkole. Bezpieka wie swoje – ma wokół siebie zakamuflowanych wrogów. Musi wiedzieć o nich wszystko.

W 1957 roku SB w Ustrzykach Dolnych zakłada sprawę agenturalnego sprawdzenia Ukraińców osiadłych w Stuposianach, Dwerniku i Chmielu. Do współpracy angażuje pracowników nadleśnictw i pegeerów, wypuszcza w teren także

etatowych tajniaków. Ukraińcy budują drogi, ścinają drzewa, orzą i sieją, lecz zawsze pod czujnym okiem nadzorców. W sklepie robią zakupy, ale sprzedawcy pilnie baczą na to, co podają ukraińskim klientom. Chleb i kiełbasa nie wzbudzają podejrzeń, jednak sklepy są spożywczo-przemysłowe. Na półkach denaturat (może posłużyć do podpalki), w kącie kilofy i łopaty (przydatne do odkopania ukrytej broni), a na regale siekiery (do rąbania drewna lub roztrzaskania komuś głowy). W ten, a nie inny sposób myśli bezpieczeństwa, dlatego nieustannie czuwa. Sen jest nazbyt ryzykowny.

Niektóre wioski nadal porasta olszyna, inne z wolna zapętniają się osadnikami, ale to ledwie kilka procent stanu z lat czterdziestych. Każdy przybysz, choćby tylko chwilowo, jest obiektem zainteresowania służb. Domy, w których mieszkają Ukraińcy, są pod stałą obserwacją. Mysz się nie prześlizgnie, a co dopiero człowiek.

Informatorzy SB wszędzie węszą podstęp. Obywatel „B” spieszy z powiadomieniem, że w Ustrzykach Górnych nieznanego osobnika robi zdjęcia „pozostałych zgłiszcz tej gromady oraz terenu przylegającego do granicy”. TW „Budowlany” donosi, że Ukraińcy „stale chodzą po lesie z łopatami i motykami i zaciosują (znaczą) drzewa, co budzi podejrzenie”. Z kolei agent „Sęp” pisze, że „w miejscowości Dwernik w lesie został odkopany bal drzewny o średnicy 30 cm oraz długości do 115 cm (...). W kłodzie tej była przechowywana broń”. Również „Sęp” alarmuje, że pewien Ukrainiec zwierzył mu się, iż chodził „na zebrania bandy UPA”.

Największą uwagę esbeków przykuwa Chmiel. „Wieś jest zasadniczo podzielona na dwa ośrodki: polski i ukraiński.

Zgrupowani tutaj Ukraińcy są w przewadze dawnymi mieszkańcami okolic. Trzymają się oni oddzielnie, tworząc osobne społeczeństwo, kontakty z ludnością polską ograniczają jedynie do koniecznych spraw urzędowych lub gospodarczych” – pisze tajny współpracownik SB.

W jednym z donosów wymienia czternaście nazwisk Ukraińców, których należy mieć pod szczególną kontrolą. Podaje przykłady niecnych zachowań, jak ten, że do grupy turystów mieszkaniac Hulskiego mówił w języku ukraińskim, „jak wam się podoba Ukraina”, albo gdy zainteresowanych osadnictwem przybyszów z województwa krakowskiego zniechęcał do nabycia gruntu. Żeby tylko. Rzucił im w twarz, że to ukraińska ziemia, na co ci bez słowa odeszli.

Konfident pisze, iż niektórzy Ukraińcy pozwalają sobie na niewybredne uwagi wobec Polaków, jakoby ci byli tutaj niechcianymi i zawadzali autochtonom. W emocjonalnych rozmowach między sobą, lecz także niekiedy przy Polakach, opowiadają, że tutaj jeszcze będzie wolna Ukraina. Podobno wiedzą, gdzie jest zmagazynowana broń, pilnują nieodkrytych przez wojsko bunkrów i zakopanych dzwonów, które „na dany sygnał znowu zadzwonią”. Co to może oznaczać, zastanawia się TW, czy aby oni, Ukraińcy, nie szykują nam, Polakom, powtórki z połowy lat czterdziestych?

Ciągle się skarżą, że im państwo nie pomaga, a powinno; że rząd i partia nie interesują się losem ukraińskiej mniejszości, a faworyzują polską większość; że pozwala na osadnictwo, a rzuca kłody pod nogi w sprawach meldunkowych.

Nie rozumieją, że nie po to władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej pozbywały się Ukraińców z południowego wschodu, by teraz, gdy towarzysz Gomułka zgodził się nieco rozluźnić krępujące Ukraińców pęta – pozwalał im na

wszystko, czego zapagną. Byłoby to wbrew logice, a nawet zdrowemu rozsądkowi, żeby przed tymi, którzy noszą w sobie tyle win, może nawet mają krew na rękach, otwierać szeroko ramiona i wmawiać, że są naszymi słowiańskimi braćmi i siostrami. Nawet tym, którzy nikomu nie zawinili, nie wolno na jotę ufać, bo od kolebki są przesiąknięci ukraińskim nacjonalizmem.

Spotykają się wieczorami w grupach w wybranym domu i czytają podejrzone pisma. Utrzymują kontakty z rodzinami w RFN, Anglii, Australii i Stanach Zjednoczonych, skąd dostają marki, funty i dolary. Namawiają listownie Ukraińców pozostających na Ziemiach Odzyskanych do przyjazdu na stałe w góry. „Pomagają sobie w ten sposób, że dają im mieszkanie i ziemię w początkowym okresie osiedlenia, a nawet płacą za nich transporty”.

– Nie może być tak, żeby Ukraińcy tutaj się panoszyli i jeszcze mieli przywileje od władzy – żali się oficerowi SB zwerbowany do współpracy agent. Jaka to sprawiedliwość, że Ukraińcom wracającym z zachodu Polski na pniu sprzedaje się ziemię, przymyka oko na nielegalne budowy i jeszcze pozwala podejmować pracę, która ułatwia otrzymanie broni myśliwskiej. Czy takie postępowanie nie jest antypolskie i nie stwarza zagrożenia dla bezpieczeństwa Polaków?

A co powiedzieć o tym, gdy jeden z drugim odgraża się, że w Bieszczadach znowu będzie Ukraina i że Ukraińcy upuścili Polakom za mało krwi, ale jeszcze upuszczą? Albo gdy ukraiński gospodarz z wyrzutem mówi polskiemu, że pali na polu drewno z ukraińskiego lasu? To nie żarty ani gadanie wariata, tylko nienawiść w najczystszej postaci. Jak mają się czuć polscy osadnicy, których państwo namawia do

gospodarzenia w górach pod bokiem niechętnych im ukraińskich rolników?

TW pisze o codzienności w Chmielu:

„Grupa osób narodowości ukraińskiej przy każdej nadarzającej się okazji wrogo występuje przeciwko ludności polskiej (...). Ze względu na to, że nacjonałści ukraińscy dążą do tego, by na tutejszy teren ściągnąć jak największą ilość Ukraińców z Ziemi Zachodnich (...), stwarzają antagonizmy między ludnością polską, którą nie dopuszcza się do osadnictwa w tym rejonie (...). W związku z tym, że w myśl zarządzenia Prezesa Rady Ministrów z maja 1952 roku osoby objęte akcją »W« na swe dawne gospodarstwa mogą powrócić tylko za zgodą właściwych przeżydiów PRN (Powiatowych Rad Narodowych), Ukraińcy urządzają się w ten sposób, że najpierw przyjeżdża jedna osoba, która otrzymuje pracę w leśnictwie, zamieszkuje w budynku leśnym, lecz z czasem remontuje lub buduje nowy dom i ubiega się o ściągnięcie pozostałej rodziny”.

Z raportu oficera SB:

„W teczce luźnych materiałów na tę grupę [Ukraińców z Chmiela, Dwernika, Krywego, Hulskiego i Zatwarnicy] znajduje się pismo Referatu ds. Bezpieczeństwa w Szczecinku z 1959 roku, który poinformował, że S. będąc na ich terenie, opowiadał, że znalazł już dwa bunkry po byłych bandach UPA oraz wie o bunkrach, gdzie ma być zachowana broń (...). Referat do spraw Bezpieczeństwa w Ustrzykach Dolnych, prowadząc sprawę przeciwko K., posiadał informację, że faktycznie K. i S. bardzo często udawali się za rzekę San, gdzie mieli znaleźć bunkier z materiałami tekstylnymi,

maszyną do szycia itp., lecz wszystko było zbutwiałe. Zachodzi więc możliwość, że w/w jako członkowie UPA mogli znać miejsce zmagazynowanej broni po byłych bandach UPA”.

Z doniesień współpracowników SB:

„Porą jesienną 1963 r. obywatel L. P. pał owce na pastwisku, które rozeszły się i między innymi miały zajść na pastwisko S. M. Kiedy zauważył to S., przyleciał z siekierką do wspomnianego i począł go różnorodnie wyzywać i powiedział: uciekaj natychmiast z mojego pastwiska, to jest nasza ziemia ukraińska”.

„Podobny fakt miał miejsce w czasie sprzeczki pomiędzy obywatelem L. a S. B., który powiedział: »Ty polska mordo«”.

„K. miał mówić, że wie, gdzie są ukryte dzwony (gdzieś na polu w miedzy), lecz w jakiej miejscowości, tego nie mówił”.

„S. M. stwierdził, że żona B. T. była łączniczką bandy UPA. Nosila różnego rodzaju meldunki i tam je przechowywała, gdzie to było możliwe, a nawet i w ustach”.

Z notatki Jana Telegi, porucznika SB w Ustrzykach Dolnych: „S. kłócąc się porą letnią 1963 r. z ob. Ch. (...) powiedział do niej tak: »Po coś przyjechała na naszą ziemię i w ogóle czego się tu osiedlać na naszej ojcowiznie, idźcie na inną ziemię«. S. mówił to w języku ukraińskim”.

Kontakt obywatelski L. K. donosi, że we wrześniu 1964 roku rozmawiał z K. M., który między innymi powiedział:

„Taki stan rzeczy długo istniał nie będzie, to wszystko się zmieni, wojna jest nieunikniona, zachód komunizm rozgromi, a on tylko na to czeka. Jeśli się zmieni, naród ukraiński się zjednoczy, a starzy mieszkańcy powrócą na swoje

starodawne ziemie, z których zostali wysiedleni (...). K. M. posiada bagnet wraz z pochwą, który należycie konserwuje i jak gdzieś jedzie, wozi go na furmance (...), kształtuje poglądy ukraińsko-nacjonalistyczne, a w otoczeniu [osób] narodowości ukraińskiej używa tylko i wyłącznie tego języka”.

Dopisek funkcjonariusza:

„To nie upoważnia nas do jakichkolwiek obiekcji i podejrzeń, jest to jego osobista sprawa narodowościowa”.

Notatka służbowa por. Jana Telegi z rozmowy z kontaktem obywatelskim T. B., Ustrzyki Dolne, 12 grudnia 1964 roku:

„Rozmawiając kilka dni temu ze swoim znajomym N. A. zamieszkałym w Ustianowej (...) oświadczył do niego w ten sposób: w roku 1960 kupiłem stary dom do rozbiórki na terenie Chmiela. Kiedy zajechałem (...) wraz z moim synem w celu rozebrania tegoż domu (...) przyszedł [H. M.]. Zapytując ich, co tu robią, ci odpowiedzieli, że kupili ten dom i rozbierają. Na widok jego osoby byli oni do pewnego stopnia zaskoczeni i przestraszeni, ponieważ H. posiadał na ramieniu długi karabin KB oraz za pasem miał sztylet od siekiery i z drugiej strony nóż. Ci widząc, że człowiek uzbrojony, ogarnął ich strach (...). Naładowali drzewa i odjechali. Ten na odjeźdźnym powiedział do nich »więcej tu nie macie po co przyjeżdżać«. Istotnie N. więcej już nie był w Chmielu ani też nikomu nic nie mówił”.

Notatka służbowa por. Jana Telegi z rozmowy z K. M., Ustrzyki Dolne, 17 grudnia 1964 roku:

„Wyjaśnił, że on z P. odnaleźli bunkier po b. bandach UPA nad Hulskim w lesie, w którym znajdowała się zniszczona

już maszyna do pisania i waga kuchenna. Przedmioty te nie nadawały się w ogóle do użytku (...). W bunkrze tym członkowie UPA mieli magazyn żywnościowy. Jeśli chodzi o broń, to on ani też P. nie znaleźli jakiegokolwiek broni w bunkrach”.

„Zapytano go, gdzie się podziały dzwony z poszczególnych cerkwi na tut. terenie (...). Z cerkwi w Zatwarnicy jeden dzwon duży zabrali Niemcy, drugi natomiast o wadze w przybliżeniu 150 kg on wspólnie z G. J. z Hulskiego zakopali w ziemi, a następnie nie wiadomo kto ten dzwon odnalazł. Stwierdził natomiast, że ten dzwon obecnie znajduje się w kościele w Wołkowyi (...), sam ten dzwon rozpoznał, jak był w tej miejscowości i oglądał dzwon. Stwierdził, że rozpoznaje go po numerze i kolorze”.

„Zapytany, czy ktoś zamieszkuje na tut. terenie z byłych członków bandy UPA, ten oznajmił, że K. W. był członkiem UPA, za co siedział w więzieniu (...). Podał, że w 1946 r. K. był u niego w domu w celu pożywienia się wraz z innymi członkami bandy. Ponadto nadmienił i w ogóle tego nie ukrywał, że częstymi gośćmi w jego domu byli członkowie bandy UPA, którzy chodzili za żywnością, a jeśli przyszli, kazali sobie dać jeść. Jeśli ktoś się temu sprzeciwiał, straszili (...) rozstrzelaniem lub powieszeniem (...). Był kilka razy słuchany przez członka SB [bojówki Służby Bezpieczeństwa UPA], był to Ukraińiec z terenu USRR (...). W przesłuchaniach rozpytywano go na różne okoliczności, jak się ludność zachowuje i on sam. Był on w tym czasie przez niedługi okres soltysem. Rozpytywano, jak często przyjeżdża wojsko do Hulskiego i czy jest odwiedzany przez nich (...) ostrzeżono go, że jeśli stwierdzą, iż on donosi na nich do WP, to zostanie powieszony. Z jego rozmowy można się było zorientować, że współpracował tak z bandą, jak i też z WP. Nadmieniał (...),

że jemu też proponowali wstąpienie do bandy, jednakowoż tego nie uczynił. Tłumaczył się rzekomo tym, że jest ranny z frontu i zdrowie jemu nie odpowiada. Jego przydatność do UPA uzasadniali tym, że jest on żołnierzem frontowym i mógłby mieć pod swoim dowództwem kilkadziesiąt ludzi, mimo tego na te propozycje nie wyraził zgody. Wspomniał, że banda UPA dużo młodych chłopców zabrała przymusowo tak z Hulskiego, jak i też z Krywego, niektórzy puciekali, których po złapaniu rozstrzelano lub powieszono”.

Kontakt obywatelski „Śmiały” informuje, że B. T. i B. B. „porą wiosenną 65 r. prowadzili rozmowę na temat zachowanej broni w miejscowości Jawoczew [Jaworzec] pow. Lesko. Obydwaj twierdzili, że zachowali 20 pistoletów, które (...) znajdują się w dobrym stanie. Ponadto nadmieniali, że zachowali dwa motocykle (...), być może motocykle niemieckie, które w tej chwili nie stanowią żadnej wartości (...). Na terenie Chmiela wśród rodzin narodowości ukraińskiej panuje niezgoda i ciągła kłótnia”.

W 1965 roku mieszkaniec Hulskiego K. M. skarży się w Referacie do spraw Bezpieczeństwa w Ustrzykach Dolnych:

„Obywatel P. H. z Zatwarnicy oczernia jego żonę, że ta miała być w bandzie UPA (...). Z tego też względu ma on do niego pretensje i czuje żal. Twierdzi natomiast, że jego żona współpracowała z partyzantką radziecką działającą na tutejszych terenach w okresie okupacji niemieckiej (...), w dzień przebywała w domu, a porą nocną chodziła po wioskach i zbierała potrzebne informacje, które z kolei przekazywała dowództwu tej partyzantki. Praca była ciężka i niebezpieczna (...), wymagała poświęcenia i odwagi. K.

chcąc potwierdzić ten fakt współpracy jego żony z partyzantką, podał nazwisko dowódcy, który tu działał (...), ponieważ posiada jego adres. Nazywa się on Burgarenko, zamieszkuje w Kijowie (...). Żona wspomnianego posiadała zaświadczenie, że współpracowała z partyzantką. Zaświadczenie to w 1946 r. zabrało jej WP [Wojsko Polskie] do odczytania (...) i potem jej nie oddano. Kiedy rozmawialiśmy na temat przesiedlenia ludności ukraińskiej w ramach akcji »W«, z tym posunięciem się zgadzał, ponieważ powstały bandy ukraińskie, mordowano ludność ukraińską i polską. Jak sam się wyraził, on powrócił na swoją rodzłą ziemię, gdzie żyli jego rodzice i on się wychował, i na tej ziemi chce umrzeć, ponieważ ziemi tu nie brakuje. Dalej nadmienił, że wszystkim wysiedlonym winni zezwolić na powrót na tut. tereny. Rosjanie winni oddać Polsce to, co zabrali na wschodzie. Ta wypowiedź świadczy o jego rewizjonistycznej myśli i zmianie granic Polski”.

Operacyjną obserwację osadników ukraińskich Służba Bezpieczeństwa w Ustrzykach Dolnych prowadzi do maja 1967 roku. W tym czasie konfidenci bezpieki piszą kilkadziesiąt donosów, opartych głównie na domysłach i plotkach. Niekiedy przyczyniają się do tego sami Ukraińcy, rozsiewając niepokojące informacje, by zniechęcić Polaków do osadnictwa w Bieszczadach.

Sprawa oficjalnie zostaje zamknięta, ale mniejszość ukraińska jest pod obserwacją jeszcze przez długie lata. Każdy, kto po akcji „Wisła” i odwilży 1956 roku decyduje się wrócić na *batkiwuszczynę*, automatycznie staje się elementem podejrzany. Niektórzy, żeby uniknąć nieustannego nękania, a nawet ostracyzmu ze strony polskiej większości, decydują

się na współpracę ze służbami PRL, a te roztaczają nad agentami parasol ochronny.

Inni wciąż są podsłuchiwani, mają kontrolowaną korespondencję, sprawdzany rozkład dnia, mocno ograniczone możliwości podjęcia atrakcyjnej pracy. Szczególnie byli więźniowie Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie oraz dawni partyzanci UPA. Ci ostatni nie zostają zrehabilitowani do końca. Brud win – nawet jeśli nie mają na sumieniu żadnej ofiary – jest nie do zmycia. Aż po grób, a nawet później, kiedy ich dzieciom i wnukom wypomina się banderowską przeszłość ojców i dziadków. Upowiec niezmiennie – mimo coraz szerszego dostępu do obiektywnej literatury – kojarzy się wyłącznie z mordercą trzymającym w ręku topór.

Jak w Ogniomistrzu Kaleniu.

Rozdział XV

Żal za grzechy

Niektórzy wracali na stałe. Inni tylko na chwilę – żeby jeszcze raz popatrzeć i znaleźć resztkę swojego: kamień z fundamentu chyży, wyschniętą studnię, zdziczałą jabłoń. Wracali na panichidę* za umarłą wieś, krótką rozmowę przy zarośniętych dawno grobach. Czasami takie wizyty przebiegały niezauważenie, kiedy indziej – stawały się okazją do odwetu.

– Pod koniec lat pięćdziesiątych do Baligrodu przyjechała Ukrainka rodem z Bystrego – opowiada Józef Kopczyński.
– Kiedyś blisko współpracowała z UPA. Przez nią szóstego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku zginął jej schorowany polski teść. Podobno banderowcy nie chcieli zabijać przykutego do łóżka starca, ale sama ich uprosiła. No więc przyjechała, a gdy miejscowi się dowiedzieli, krew im się zburzyła. Mnie też. Poszliśmy do parku konnego po najbrudniejszy wóz, a potem po nią. Wiedziała, że nie ucieknie. Powieźliśmy ją główną ulicą Baligrodu na cmentarz

* Nabożeństwo żałobne (ukr.).

wojskowy, gdzie w ziemnych mogiłach, obok czerwonoarmistów poległych w walkach z hitlerowcami, leżały polskie ofiary upowców. We wzburzeniu mogliśmy tę kobietę pobić, opluć, ukamienować; mogliśmy zrobić wszystko. A my tylko rzuciliśmy nieszczęsną między groby, żeby poczuła na twarzy błoto.

– Operacja „Wisła” to fatalny błąd – przyznaje Kopczyński. – Polski rząd, gdyby tylko chciał, mógł szybko rozprawić się z UPA. Należało jednak od razu rzucić przeciwko banderowcom regularne wojsko, a nie grupki słabo uzbrojonych milicjantów i ormowców. Nawet KBW niewiele mogło. A potem? Zamiast po rozbiciu UPA zostawić zwykłych Ukraińców na swojej ziemi i pozwolić im gospodarować, wszystkich uznano za odpowiedzialnych i wygnano. Czy może być coś głupszego? Mówię to ja, dawny milicjant, który sam walczył przeciwko banderowcom, lecz miał także wśród Ukraińców znajomych i przyjaciół. Przez masowe deportacje Bieszczady nigdy już ludnościowo nie wróciły do stanu sprzed akcji „Wisła”. Nie odrodziły się w taki sposób, w jaki mogły, gdyby nie tragiczna w skutkach decyzja władz.

Zdaniem Jana Pisulińskiego, badacza konfliktu ukraińsko-polskiego z lat 1944–1947, tam, gdzie działało podziemie ukraińskie – wysiedlenie ludności rzeczywiście pozbawiło UPA niezbędnego zaplecza. Ale na przykład na Łemkowszczyźnie nie było potrzeby takiej operacji. Podaje uzasadnienie: między styczniem a kwietniem 1946 roku władze sowieckie przeprowadziły u siebie akcję pod nazwą Wielka Blokada. Wojsko otoczyło wioski i odcięło partyzantów od źródeł zaopatrzenia. Jednocześnie przeczesywało lasy.

Udało się zniszczyć do sześćdziesięciu procent partyzantki upowskiej, lecz nikogo przy tym nie wysiedlono.

Na Łemkowszczyźnie, na zachód od Gorlic, działała tylko jedna sotnia licząca około stu ludzi. Do tego kilkadziesiąt osób siatki cywilnej. Po co więc przesiedlono aż dwadzieścia pięć tysięcy Łemków? Ponieważ wzdłuż granicy Polski z ZSRR i Czechosłowacją zaplanowano czystkę etniczną. Każdy, kto z urodzenia był Rusinem (niezależnie od tego, czy czuł się Ukraińcem, Bojkiem, Łemkiem), musiał opuścić *batkiwsczynę* i na dalekich Ziemiach Odzyskanych zapomnieć o korzeniach – rzecz jasna przy wytężonej pracy polskich służb. Chciały one wyprać ukraińskie mózgi z pamięci o przeszłości, zohydzić UPA i uformować nowych obywateli wedle własnego wzorca. Ktoś taki jak Ukrainiec miał w Polsce nie istnieć; nową, powojenną Polskę zaplanowano homogeniczną, ulepioną z jednej, wyłącznie polskiej gliny.

Tyle że Ukraińcy – przynajmniej zdecydowana większość – nie dali się wtłoczyć w komunistyczne tryby i przerobić na bezwonną masę. Nie pozwolili odebrać sobie prawa do ojczystego języka, kultury, religii oraz wymazać własnej tożsamości.

Z wystąpienia Grzegorza Motyki podczas obrad Sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych w 2007 roku, poświęconych akcji „Wiśła”:

„Wszyscy polscy historycy uważają, że Ukraińska Powstańcza Armia była zagrożeniem dla integralności terytorialnej państwa polskiego i należało ją zlikwidować. Spór dotyczy metody likwidacji, czy należało stosować odpowiedzialność zbiorową i wysiedlać całą ludność cywilną, czy też nie. Część historyków uważa, że była to jedyna skuteczna

metoda w działaniach przeciwpartyzanckich i tylko w ten sposób można było zlikwidować UPA. A więc wysiedlenia były konieczne i usprawiedliwione, a każda grupa ludności ukraińskiej pozostawiona na tym terenie stanowiłaby zagrożenie i byłaby oparciem dla, jak to ujęto, »niekończących się działań terrorystycznych«. Druga grupa historyków (...) uważa, że wysiedlenia nie były konieczne (...). Władzom ówczesnej Polski Ludowej można zarzucić (...), że przez całe lata nie przykładaly wagi do działalności Ukraińskiej Powstańczej Armii. Istnieje szereg dokumentów, które wskazują, że UPA poważnie zajęło się dopiero w 1947 r., ponieważ traktowano działalność ukraińskiej partyzantki jako sprawę drugorzędną, niezagrażającą władzy politycznej polskich komunistów. Władzy zagrażała polska partyzantka i opozycja, to ją należało zlikwidować w pierwszym rzędzie”.

I dalej: „Stosowanie odpowiedzialności zbiorowej polskie władze najpewniej zapożyczyły w latach czterdziestych od władz sowieckich. To właśnie w Związku Sowieckim bardzo popularne było rozwiązywanie problemów partyzantki i działalności antykomunistycznej poprzez masowe wysiedlenia”.

Posel Eugeniusz Czykwin: „Władze komunistyczne, realizując akcję »Wisła«, chciały osiągnąć dwa cele. Pierwszy doraźny, czyli likwidację podziemia ukraińskiego, a drugi perspektywiczny, asymilację ludności w nowym środowisku polskim. Ten ostatni cel mieścił się w ówczesnej polityce narodowościowej, która zmierzała do zbudowania Polski jednonarodowej. Dlatego wysiedleniami objęto nie tylko tereny, na których działała UPA, ale także te, gdzie (...) nie działała, np. wschodnią część Beskidu Sądeckiego oraz zachodnią Beskidu Niskiego”.

3 sierpnia 1990 roku Senat Rzeczypospolitej Polskiej potępił akcję „Wisła”. W uchwale podkreślono, że w czasie operacji zastosowano – właściwą dla systemów totalitarnych – zasadę odpowiedzialności zbiorowej.

– Czy czuję żal? – zastanawia się głośno Bazyli Buszowiecki. – Dawniej duży, teraz mniejszy. Już we mnie nie kipi, tylko tkwi zastygły.

– Spokoju nigdy nie zaznałam – podkreśla Paulina Smarkucka. – Jakby mi wypalono w sercu piętno.

– Całe życie miałam pod górę, a przeleciało jak ptak z gałęzi na gałąź – mówi z goryczą Katarzyna Konwicka. – Frrrrrr! I już, koniec.

Bibliografia

- Akcja „Wisła”. Polska i Ukraina w latach trzydziestych i czterdziestych XX w.*, tom 5, praca zbiorowa, Warszawa–Kijów 2006.
- Akcja „Wisła”. Przyczyny, przebieg, konsekwencje (materiały z konferencji naukowej)*, praca zbiorowa, Archiwum Państwowe w Przemyślu, Przemyśl 2007.
- Akta dotyczące walk z Ukraińską Powstańczą Armią, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej.
- Akta dotyczące zamachu oddziału UPA na generała Karola Świerczewskiego 28 marca 1947 roku, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej.
- Akta przesłuchań żołnierzy Wojska Polskiego po zasadzce UPA na wopistów z Cisnej 1 kwietnia 1947 roku, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej.
- Akta sprawy „Nacjonalizm ukraiński”, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, oddział w Rzeszowie.
- Bielecki Teofil, Ławski Jan, *Gdy umilkły ostatnie strzały*, Warszawa 1969.
- Bieszczady w Polsce Ludowej 1944–1989*, praca zbiorowa pod redakcją Jakuba Izdebskiego, Krzysztofa Kaczmarek i Mariusza Krzysztofińskiego, Instytut Pamięci Narodowej, Rzeszów 2009.

- Bieszczady, Słownik historyczno-krajoznawczy, część I – gmina Lutowska*, Wydawnictwo Stanisław Kryciński, Bieszczadzki Park Narodowy, Ustrzyki Górne–Warszawa 1995.
- Bieszczady, Słownik historyczno-krajoznawczy, część II – gmina Cisna*, Wydawnictwo Stanisław Kryciński, Towarzystwo Karpackie, Warszawa 2007.
- Biuletyn nr 32 Sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych, Warszawa 22.05.2007.
- Bobusia Bogusław, *Akcja „Wisła” – przyczyny, przebieg, konsekwencje*, materiały konferencji naukowej zorganizowanej 23–24 lutego w Przemyślu.
- D. Z. [inicjał dziennikarza], *Z akcji osiedleńczej na terenach południowych*, „Nowiny Rzeszowskie”, 27.09.1956.
- Drozd Roman, *Polska władza i stosunek polskich władz do powrotów Ukraińców w latach 50. w świetle dokumentów*, miesięcznik „Wisnyk Zakerzonnia”, Oddział Przemyski Związku Ukraińców w Polsce.
- Fragment filmu o więźniach Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie – cztery krótkie relacje byłych osadzonych, TVP Kraków, *U siebie* – program mniejszości narodowych i grup etnicznych, realizacja: Andrzej Warchiw.
- Gankiewicz Franciszek, *Przeżyłem kawał historii*, [w:] *Pionierzy. Pamiętniki osadników bieszczadzkich*, praca zbiorowa pod redakcją Henryka Jadama, Rzeszów 1975.
- Hałagida Igor, *Kościół greckokatolicki w Polsce 1944–1989*, [w:] *Bieszczady w Polsce Ludowej 1944–1989*, Instytut Pamięci Narodowej, Rzeszów 2009.
- Hałagida Igor, *Życie Ukraińców na ziemiach zachodnich w pierwszych latach po wysiedleńczej akcji „Wisła”*, [w:] *Problemy Ukraińców w Polsce po wysiedleńczej akcji „Wisła” 1947 roku*, Wydawnictwo Szwaipolt Fiol, Kraków 1997.

- Hrywna Igor, *Jaworzno: Centralny Obóz Pracy*, [w:] www.ukraincy.wm.pl.
- J. F. [inicjał dziennikarza], *Pomyślny wiatr od gór*, „Nowiny Rzeszowskie”, 7.03.1957.
- Kmita Małgorzata, *Wpływ Akcji „Wisła” na życie kulturalne Ukraińców w PRL*, [w:] *Problemy Ukraińców w Polsce po wysiedleńczej akcji „Wisła” 1947 roku*, Wydawnictwo Szwajpołt Fiol, Kraków 1997.
- Kronika Parafii Rzymskokatolickiej w Baligrodzie – relacja odręczna z ataku UPA na Baligród 6 sierpnia 1944 roku.
- Kronika Szkoły Podstawowej w Baligrodzie – relacja odręczna z ataku UPA na Baligród 6 sierpnia 1944 roku oraz z wizyty generała Karola Świerczewskiego w Baligrodzie 28.03.1947 roku.
- Litopys UPA, nr 29, Toronto–Lwów 1999.
- Litopys UPA, nr 34, Toronto–Lwów 2001.
- Misiło Eugeniusz, *Akcja „Wisła” 1947*, Archiwum Ukraińskie, Warszawa 2013.
- Mor. [inicjał dziennikarza], *Powiaty Sanok i Lesko czekają na osiedleńców*, „Nowiny Rzeszowskie”, 24.10.1949.
- Motyka Grzegorz, *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła”*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011.
- Motyka Grzegorz, *Tak było w Bieszczadach. Walki polsko-ukraińskie 1943–1948*, Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 1999.
- Motyka Grzegorz, *W kręgu „Łun w Bieszczadach”*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 2009.
- Myśliński Stanisław, *Strzały pod Cisną*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1978.
- Olszański Tadeusz A., *Konflikt polsko-ukraiński 1943–1947*, [w:] www.ji.lviv.ua (tekst z 2001 roku, oparty na wcześniejszej publikacji autora pod pseudonimem Jan Łukaszów w „Zeszytach Historycznych”, Paryż 1989).

- Pilszak Eugeniusz, *Jak zginął wielki żołnierz – internacjonalista?*, „Nowiny Rzeszowskie”, 29.03.1950.
- Pisuliński Jan, *Akcja specjalna „Wista”*, Wydawnictwo Libra, Rzeszów 2017.
- Problemy Ukraińców w Polsce po wysiedleńczej akcji „Wista” 1947 roku*, opracowanie zbiorowe pod redakcją Włodzimierza Mokrego, tom 1, Wydawnictwo Sz wajpolt Fiol, Kraków 1997.
- Ros Jerzy, *Śmierć Generata*, „Dookoła Świata”, 26 marca 1967.
- Sawicki Ryszard, *Płonące wzgórza*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1971.
- Smoleński Paweł, *Pochówek dla rezuna*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2001.
- Vajda Oleh, materiały wspomnieniowe dotyczące Krywego nad Sanem, opracowanie przygotowawcze do monografii wsi; zbiory udostępnione przez autora.
- Wal. [inicjał dziennikarza], *Ziemia czeka na pług*, „Nowiny Rzeszowskie”, 29.09.1949.

Spis treści

Rozdział I	Krew i łzy	11
Rozdział II	Okruchy przeszłych dni	21
Rozdział III	Majątek ukryty w drzewie	59
Rozdział IV	Szli, a za nimi śmierć	86
Rozdział V	Bez przebaczenia	108
Rozdział VI	Dwie kule dla generała	118
Rozdział VII	Domy płonęły jak pochodnie	136
Rozdział VIII	Długa podróż w nieznane	176
Rozdział IX	Kopiec na niczyją cześć	220
Rozdział X	Zostały tylko kamienie	235
Rozdział XI	Nie ma już dla nas miejsca na ziemi.	245
Rozdział XII	Kim ty jesteś, Ukraińcu	265
Rozdział XIII	Krzew dzikiego bzu.	276
Rozdział XIV	Oczy szeroko otwarte	316
Rozdział XV	Żal za grzechy	327
	Bibliografia	332

Akcja „Wisła” to wciąż niezamknięty rozdział polskiej historii. Bolesny, drażliwy, niewygodny. Dlaczego zastosowano zbiorową odpowiedzialność wobec stu czterdziestu tysięcy obywateli polskich narodowości ukraińskiej, nazwano ich bandytami i wygnano z rodzinnych stron? I dlaczego po latach część z nich – mimo tkwiącego w nich lęku – wróciła w góry?

Reportaż Krzysztofa Potaczały ukazuje różne odcienie zbrojnego konfliktu ukraińsko-polskiego na rubieżach Rzeczypospolitej. Polacy i Ukraińcy – niegdyś sąsiedzi na tej samej ziemi – dawni milicjanci, funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa, żołnierze WP i bojownicy UPA, opowiadają, jak wyglądało wówczas ich życie. Przytoczone relacje stanowią niezwykle świadectwo czasów bratobójczej wojny; pokazują, że żadna ze zwaśnionych stron nie miała czystych rąk.

Operacja „Wisła” trwa w przekazywanej z pokolenia na pokolenie pamięci. To wspólna pamięć obydwu nacji – nacechowana nieufnością, pretensją i niechęcią do wybaczenia win.

Ale nadzieja na pojednanie nie gaśnie.

KRZYSZTOF POTACZAŁA – dziennikarz, reporter. Publikuje w prasie regionalnej i ogólnopolskiej. Do tej pory wydał: *KSU – rejestracja buntu, Bieszczady w PRL-u* (trzy tomy) i *To nie jest miejsce do życia. Stalinowskie wysiedlenia znad Bugu i z Bieszczadów. Mieszka w Ustrzykach Dolnych.*

Patronat medialny

WIEDZA I ŻYCIE

 **ciekawostki**
historyczne.pl

Cena 39,99 zł

ISBN 978-83-8169-088-1



9 788381 690881

 www.proszynski.pl